

ELŻBIETA SIDOROWICZ

$$\frac{\sqrt{n^2+6}-n}{\sqrt{n^2+2}-n}$$
$$\frac{\sqrt{n^2+6}-n}{\sqrt{n^2+2}-n} = \lim_{n \rightarrow \infty} \frac{\sqrt{n^2+6}-n}{\sqrt{n^2+2}-n} \cdot \frac{\sqrt{n^2+2}+n}{\sqrt{n^2+2}+n}$$
$$\lim_{n \rightarrow \infty} \frac{(n^2+6-n^2)(\sqrt{n^2+2}+n)}{(n^2+2-n^2)(\sqrt{n^2+6}+n)} = \lim_{n \rightarrow \infty} \frac{3(\sqrt{n^2+2}+n)}{(\sqrt{n^2+6}+n)}$$
$$\lim_{n \rightarrow \infty} \frac{3\sqrt{1+\frac{2}{n^2}}+3}{\sqrt{1+\frac{6}{n^2}}+1} = \frac{3(1+0)+3}{1+1} = \frac{6}{2} = 3$$

$$P(A) = \frac{C_{12}^1 \cdot C_{18}^1 + C_{12}^2 \cdot C_{18}^0 + C_{12}^3 \cdot C_{18}^0 + C_{12}^4 \cdot C_{18}^0 + C_{12}^5 \cdot C_{18}^0 + C_{12}^6 \cdot C_{18}^0 + C_{12}^7 \cdot C_{18}^0 + C_{12}^8 \cdot C_{18}^0 + C_{12}^9 \cdot C_{18}^0 + C_{12}^{10} \cdot C_{18}^0 + C_{12}^{11} \cdot C_{18}^0 + C_{12}^{12} \cdot C_{18}^0}{C_{30}^1}$$

$$P(A) = \frac{\binom{12}{1} \cdot \binom{18}{3} + \binom{12}{2} \cdot \binom{18}{2} + \binom{12}{3} \cdot \binom{18}{1} + \binom{12}{4} \cdot \binom{18}{0} + \binom{12}{5} \cdot \binom{18}{0} + \binom{12}{6} \cdot \binom{18}{0} + \binom{12}{7} \cdot \binom{18}{0} + \binom{12}{8} \cdot \binom{18}{0} + \binom{12}{9} \cdot \binom{18}{0} + \binom{12}{10} \cdot \binom{18}{0} + \binom{12}{11} \cdot \binom{18}{0} + \binom{12}{12} \cdot \binom{18}{0}}{\binom{30}{1}}$$

OKRUCHY

GORZKIEJ CZEKOLADY

Rachunek nieprawdopodobieństwa | 1

VIDEOGRAF

$$P(A) \approx 88,83\%$$

ELŻBIETA SIDOROWICZ

OKRUCHY

GORZKIEJ CZEKOLADY

Rachunek nieprawdopodobieństwa | 1

V I D E O G R A F

Redakcja

Anna Jeziorska

Projekt okładki

Elżbieta Sidorowicz

Fotografie na okładce

© ArtOfPhotos / shutterstock.com

Redakcja techniczna, skład i lamowanie

Damian Walasek

Przygotowanie wersji elektronicznej

Maksym Leki

Korekta

Urszula Bańcerk

Marketing

Anna Jeziorska

promocja.videograf@gmail.com

Wydanie I, Chorzów 2021

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA

41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3 C

tel. 600 472 609, 664 330 229

office@videograf.pl

www.videograf.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: LIBER SA

05-080 Kludyn, ul. Zorzy 4

Panattoni Park City Logistics Warsaw I

tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12

dystrybucja@liber.pl

dystrybucja.liber.pl

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2020

Tekst © Elżbieta Sidorowicz

ISBN 978-83-7835-885-5

*Wszystkie postacie i sytuacje opisane w tej książce są najzupełniej fikcyjne,
a jakiegokolwiek podobieństwo z prawdziwymi osobami i sytuacjami -
niezamierzone i przypadkowe.*

Oleńce

10 sierpnia

To Leszek kazał mi pisać.

– Czyś ty zwariował? – spytałem. – Co ja jestem, pensjonarka? Faceci nie piszą pamiętników.

– To pisz dziennik – westchnął Leszek. – Dziennik, nocnik, co tam sobie chcesz. Ale lepiej pisz, chyba że chcesz w dalszym ciągu srać szyszkami.

Pomyślałem, że nie chcę srać szyszkami, bo po co mi jeszcze do kompletu hemoroidy. Potem pomyślałem, że Leszek zna mnie lepiej, niż wszyscy ludzie na świecie razem wzięci i się poddałem.

To może być nawet ciekawe doświadczenie. Nie pisałem od czasów licealnych, to znaczy coś tam pisałem, ale nie dbałem ani o nieskazitelną formę, ani o nazwanie emocji, ani o nic, co ważne jest w zapisie literackim. Zresztą teraz też raczej nie zamierzam bawić się w tworzenie wiekopomnego dzieła. Dziennik ma mi pomóc skanalizować wściekłość i frustrację, no i OK. Do tego ma służyć.

Oczywiście, że będzie służył do wszystkiego innego, jak to w życiu. Zamiaty zawsze są pełne blasku. Jeśli chodzi o wykonanie, to zazwyczaj jest jak jest. I na tym polega nasz wdzięk.

Czy uda mi się opisać na spokojnie tę aferę?

Wciąż jeszcze nie wiem. Na razie miota mną niecywilizowana chęć odbezpieczenia pistoletu. Właściwie co chwilę odkładam długopis i odbezpieczam.

Bardzo przyjemne uczucie.

12 sierpnia

Dziś zadzwonił do mnie Piotrek i powiedział, że Liceum Plastyczne nie podlega Ministerstwu Oświaty, tylko Ministerstwu Kultury i Sztuki, i żebym spróbował. Na wszelki wypadek powiedziałem, żeby się walił, ale kto wie, czy nie spróbuje. Szczególnie jeśli chcę przeżyć. Śmierć z głodu jest dosyć uciążliwym sposobem popełniania samobójstwa, głównie ze względu na zaangażowanie czasowe, które wyraźnie kłóci się z moim temperamentem. Temperament mam dość wybuchowy, więc to raczej byłby Wielki Wybuch.

A prawda jest taka, że z firmy Garlickiego wyszedłem nie tylko jak śnieg biały, ale też z wilczym biletem. Jak się okazało, jest to sprawa dość upierdliwa i potrafiąca dokumentnie zrujnować życie, o czym oczywiście

wcześniej nie wiedziałem. Nigdzie nie mogę znaleźć zatrudnienia, macki Garlickiego sięgają chyba wszędzie – na wszystkie uczelnie państwowe i prywatne, praktycznie w każde liczące się naukowo miejsce. Podejrzewam, że jest pierdoloną ośmiornicą. Już trzy razy byłem po słowie i zaraz następnego dnia dzwonił telefon, a w nim słodki, kobiecy głos sekretarki podrzynał mi gardło informacją, że poprzednie ustalenia mogę sobie powiesić na gwoździu w kiblu, bo właśnie kogoś na to miejsce zatrudnili.

Upadłem tak nisko, że zacząłem rekonesans po szkołach, trudno, mogę uczyć matematyki. Otóż nie mogę.

Sześć warszawskich liceów zbyło mnie grzecznie, ale stanowczo.

Postanowiłem sobie, że nigdy więcej.

Potem zdecydowałem, że to plastyczne jednak sprawdzę.

Ostatni raz.

15 sierpnia

Jestem umówiony z dyrektorem Andrzejewskim z tego plastyka. Myślałem, że jest tylko jedno liceum plastyczne w Warszawie, to na Smoczej, ale okazało się, że od kilku lat istnieje też drugie, na Żoliborzu. Sekretarka umówiła mnie na rozmowę bez żadnych obiekcji, zobaczymy, co będzie dalej.

Wieczorem pojechałem do Leszka, żeby zalać trochę robaka godności osobistej. Proszę, ścieliła się przede mną kariera naukowa, piękna, strzelista, jak start rakiety. Doktorant, beniaminek, naukowiec, genialne dziecko teorii liczb... Jak dobrze pójdzie, będę wbijał dumną naukę w tępę łby małolatów... o ile ich wcześniej wszystkich nie powybijam. Lepiej za młodu, po co się mają męczyć...

Leszek, widząc mój stan ducha, wyciągnął Tullamore Dew i rozbroiliśmy ten granat. Późno w nocy odebrał mi kluczyki od samochodu. Argumentowałem, że tak będzie szybciej, wygodniej i zdecydowanie bardziej widowiskowo.

Spytał, od kiedy celuję w widowiskach.

Przespałem się u niego na kanapie. Rano spojrzałem w lustro, twarz miałem jak murzyński sandał. Pomyślałem sobie, że to jest właśnie odpowiednie oblicze, które chcę zaprezentować mojemu potencjalnemu pracodawcy. Na widok takiej twarzy każdy pryncypał powinien jeszcze raz bardzo poważnie się zastanowić, czy na pewno chce mnie zatrudnić.

16 sierpnia

Byłem dziś w liceum plastycznym, żeby porozmawiać z jego dyrektorem.

Andrzejewski jest wielkim, potężnym facetem, co najmniej 140 kilo żywej wagi. Przeprosił, że nie może przyjąć mnie w gabinecie, bo ten właśnie się maluje i zaprosił do pokoju nauczycielskiego.

– A więc chciałby pan u nas pracować? – zagaił zrećźnie.

Nie chciałem. Skinąłem głową.

– Skończył pan matematykę na Uniwersytecie Warszawskim, obronił pan tam dyplom. Ponad rok temu dołączył pan do zespołu profesora Garlickiego w jego prywatnej firmie i równocześnie rozpoczął pan pracę nad doktoratem pod kierunkiem profesora na pana macierzystej uczelni – oznajmił mi dyrektor.

Ponieważ fakty te kiedyś tam obity mi się o uszy, więc nie odzywałem się.

– Nagle jednak zrezygnował pan z doktoratu i z pracy w firmie profesora Garlickiego. Dlaczego?

Co mu miałem powiedzieć?

Miałem wyjaśnić, że gdy przyszedłem niewinny jak dziewczeczka do zespołu Garlickiego, byłem od lat jego ukochanym uczniem i faworyzowanym doktorantem, a w zespole z mety zostałem przyjęty do najściślejszego grona współpracowników, wprowadzonych w najbardziej poufne zlecenia? Miałem mówić, jak byłem z tego powodu szczęśliwy i dumny, a przede wszystkim wdzięczny za okazane mi zaufanie? Miałem mówić o tym, że bez namysłu w sytuacji krytycznej stanąłem po jedynej właściwej stronie i w nagrodę zostałem bezpardonowo usunięty z życia profesora i z życia zespołu? Czy może o tym, że ktoś zabawił się mną i zniszczył bez wahania, a w każdym razie pozbawił mnie możliwości jakiegokolwiek wytłumaczenia i obrony? Że profesor, którego traktowałem jak żywe wcielenie boga na Olimpie, nie zadał sobie nawet najmniejszego trudu, by spróbować mnie zrozumieć, a choćby zawahać się w swej ocenie i swym potępieniu?

Cała afera znów na krótko stanęła mi przed oczami, wyraźna w każdym szczególe... Chyba będzie już szła za mną jak zły cień ta dziwna, podejrzana sprawa, ocierająca się o kryminał i o nieobliczalnych reperkusjach. Tak, reperkusje były o wiele większe, niż mogłem przewidzieć, ale muszę przyznać, że niczego nie żałuję.

Więc co z tego mogłem opowiedzieć miłemu dyrektorowi liceum plastycznego?

– Ze względów osobistych – powiedziałem po namyśle.

Dyrektor patrzył na mnie zza okularów takim wzrokiem, jakby nagle odkrył we mnie jakąś wadę rozwojową lub fizyczną ułomność, której nie wypada przypatrywać się wprost.

– Hm, a co skłoniło pana do wyboru właśnie naszego liceum?

– Lubię sztukę – odparłem, uśmiechając się pogodnie.

– Tak, to bardzo miłe – powiedział bez uśmiechu. – Jednakże trzeba mieć pewne predyspozycje do odbioru sztuki.

– Wydaje mi się, że warunkiem wstępnym do odbierania sztuki jest posiadanie mózgu – odpowiedziałem z jeszcze pogodniejszym uśmiechem.

I tak za cholerę nie chciałem tu pracować.

– A więc dobrze, panie Pawle – odezwał się nagle dyrektor. – Sytuacja w naszej szkole wygląda tak: pani Biegańska, która jest zatrudniona u nas na etacie, właśnie poszła na urlop macierzyński. Mogę zawrzeć z panem umowę na jeden rok szkolny, ponieważ potem pani Biegańska wróci na swoje stanowisko. Nasza szkoła nie jest duża, liczy tylko osiem klas, po dwie równoległe w każdym roczniku. Czy ma pan jakiegokolwiek doświadczenie pedagogiczne?

– Tak, jako doktorant miałem zajęcia ze studentami.

– Musi pan cały czas pamiętać, że nasza szkoła odbiega od tego poziomu. To liceum. W dodatku artystyczne i taka też młodzież tu się uczy. Ale lubi pan sztukę, więc myślę, że nie będzie pan miał żadnego problemu.

Jego ironia przeszła gdzieś nade mną dużym łukiem, w ogóle mnie nie dotykając. Chciał mnie zatrudnić! Coś niebywałego.

Przez sekundę napawałem się zwycięstwem, potem jednak pomyślałem, że tak naprawdę to facet jest w czarnej dupie – połowa sierpnia, kobitka na zwolnieniu, lada chwila zacznie się rok szkolny, lepszy trędowaty niż nikt...

Przyjrzałem mu się uważnie i skinąłem głową.

– Zatem myślę, że możemy przystąpić do sfinalizowania umowy – powiedział.

Wieczorem pojechałem do Piotrka, bo nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Ostatecznie co brat, to brat, zna mnie całe życie. Ula tylko na mnie spojrzała i poszła podgrzewać obiad.

– Nie pękaj, stary – powiedział Piotrek. – Lepsze to, niż nic. Musisz wziąć na wstrzymanie. I bardzo dobrze, że tylko rok. Przynajmniej tam nie utkniesz. Zobaczysz, wszystko się wygładzi, oklapnie. Facet spuści trochę dymu z uszu, za rok ruszysz znów z doktoratem, nic straconego. Przyda ci się ten czas.

– Ale...

– Nie pękaj, mówię. Zobaczysz, jeszcze będziesz miał w życiu wszystko, co będziesz chciał. Pozycję naukową, kupę szmalu, piękne kobiety, szybkie samochody...

– Czy na odwrót?

– Na odwrót też może być – parsknął śmiechem Piotrek i klepnął mnie po ramieniu.

Pewnie ma rację. Mam nadzieję, że ma rację. Nigdy nie zależało mi na kupie szmalu, ale przyznaję, że sytuacja, gdy nie mam czym opłacić czynszu, jest trochę wytrącająca z równowagi.

Samochód mam, może nie piękny, ale chodzi, a szybkie kobiety...

Jakoś po Majce nie chce mi się o tym myśleć. W ogóle nie chce mi się myśleć. O niczym.

1 września

Bardzo późna sierpniowa noc i gwiazdy lecą na wskroś czarnego nieba. Co gwiazda, to niewypowiedziane życzenie. Bo nie wypowiadam go.

Nie ma już Majki, nie ma marzeń o potędze. Umysł mam wypalony, gorycz rozlewa mi się miękko po całym krwiobiegu. Trucizna tej goryczy wsącza się bezlitośnie w naczynia krwionośne, w pamięć, w serce, w mrok. Chyba utraciłem już wszystko. Na własną prośbę, na własne żądanie.

Tyle z tego mam. Lewitujący kwadrat podłogi i niebo gwiazdziste nade mną.

To może nie taki najgorszy punkt wyjścia. Gdy zamknę powieki, widzę drżącą krwinkę gwiazdy w kąciuku oka. Ale bez tej wódki chyba bym nie przeżył.

Przejrzałem sobie podręcznik metodyczny dla każdej klasy. Będzie mnie obowiązywał ten program. Czy kiedykolwiek sądziłem, że coś takiego się w moim życiu wydarzy?

Jutro...

Jutro Wielki Bal w Operze.

Wszelka dziwka majtki pierze i na kredyt kiecki bierze...¹

A zatem – do widzenia, do jutra.

2 września

– Moi państwo, powitajmy nowego kolegę. Pan Paweł Jeż będzie uczył matematyki w naszej szkole w tym roku.

...A to pan Zbigniew Radtke od fizyki, pan Darek Krauz od biologii... nie, od historii... czy raczej biologii, nie, jednak historii, pani Bożena Talarczyk od chemii, oho, zaczyna się, pani Beata Grabowska od angielskiego, pani profesor Barska, uczy polskiego, pan Andrzej Skibiński projektowania ogólnego... ktoś od projektowania graficznego, od malarstwa, rzeźby, francuskiego, przysposobienia obronnego, wir postaci przechodzący przez moją sponiewieraną głowę.

Zbyszek Radtke w moim wieku, w dodatku fizyk, ale... nie wiem, facet jest tak ściśnięty w dupie, że bardziej nie można. Znam takich mózgowców, pośmiewiska każdej klasy, z paranoicznymi oczami, stawami nóg wyginającymi się pod niemożliwymi kątami, szczególnie gdy ich właściciele siedzą i niebacznie chcą założyć nogę na nogę... Raczej nie będzie z niego pociechy.

Darek, chyba jednak od historii, wydaje się fajny, spoko ziomek, może uda nam się pogadać parę razy, i ten drugi, Wojtek Szymański od? technologii? też OK.

Z babeczek mało która przywodzi myśl o grzechu, koszmarna Bożenka od chemii zdaje się nie spuszczać ze mnie oczu, ale może po prostu ma wadę. Zgryzu chyba też, bo wyraźnie się ślini. Znam, niestety, takie powalone modele.

Reszta to ludzie starsi. Bardzo dużo starszych osób.

Staliśmy wszyscy stłoczeni w rozległej auli, słuchając okolicznościowego przemówienia dyrektora. My z jednej strony, z drugiej rzędy wiośnianej młodzieży w strojach galowych. Zupełnie jak na zabawie w remizie.

Mdliło mnie od wczorajszej wódki i od tego, co miało nastąpić.

10 września

To jest po prostu niemożliwe.

Niemożliwe jest, żeby jakakolwiek szkoła prezentowała taki matematyczny poziom. Bardzo chciałbym zobaczyć na własne oczy tę panią Biegańską, która doprowadziła do tego dna, upadku i pustki umysłowej. Przecież tego się nie da opisać.

W każdej klasie sprawdzam poziom wiedzy, ale nic nie mogło mnie na taką depresję przygotować. Może dobrze, że nie spotkałem nigdy pani Biegańskiej, bo czuję, że jej nowo narodzone dziecko zostałoby sierotą.

Nieprzytomne oczy, tępa udreka na obliczach. Albo spojrzenia wbite w podłogę, żeby przypadkiem nie ściągnąć mojego wzroku. Zadaję retoryczne pytania, proponuję najprostsze przykłady, żyłki na skroniach zaczynają mi pulsować nieposkromionym rytmem udaru.

Niestety nie dorosłem do moich nowych obowiązków. Dziś w klasie oznajmiłem spanikowanej panience, że jej mózg to pusty bęben maszyny losującej. Innej poradziłem, żeby raczej poszła pograć w ping-ponga. Była tak nieprzytomna, że o mało nie poszła. Nie wiem, ile razy jeszcze będę musiał powiedzieć, że skrócić można sukienkę, ułamek jedynie uprościć. A wyrazy podobne nie znoszą się, tylko redukują. Znieść to można jajko. Czuję, że lada chwila zniosę.

Gdyby głupota mogła fruwać, to nad tą szkołą wisiałaby permanentna czarna chmura.

Najlepszy sposób zniszczenia szkoły? Czekać na łące w ukryciu, aż wielka chmura zawisnie wprost nad znenawidzonym budynkiem. Wtedy wypuścić petryfikującą strzałę, która zamieni chmurę w marmur. Reszty nie warto omawiać.

Jaki dawny jest czas, gdy czytałem Cortazara... Jaki dawny jest czas, gdy pisałem... cokolwiek. Może czas wrócić?

Czas nigdy nie wraca.

15 września

Zadzwoił do mnie mój kumpel z byłej pracy, z firmy Garlickiego – Miki Konieczny. Przyznaję, że to ja dałem mu w prezencie to przezwisko, potem hm... odszedłem, ale przezwisko zostało. Zawsze chcę spytać, czy jest jakoś spokrewniony z Koniecznym z Piwnicy Pod Baranami i zawsze zapominam. Tym razem było tak samo.

– Cześć, stary – powiedział Miki. – Co tam u ciebie?

– Żyję – odparłem krótko. – Jeszcze.

– To prawda, że Garlicki puścił za tobą wilczy bilet?

– Pracuję w szkole.

– Nie pierdol? – zdziwił się Miki. – Dzwonię, bo wiesz...

Nie wiedziałem.

– Sprawa jest taka: parę dni temu zadzwonił do Garlickiego, do firmy, koleś ze Stanów z MIT. Zaproponowali ci tam stypendium...

Zatkało mnie doszczętnie. MIT – Massachusetts Institute of Technology. Co prawda to nie Ivy League – ale MIT! Przełknąłem ślinę.

– Garlicki dał mu chłodną odpowiedź, że już nie pracujesz w zespole, że się na tobie zawiódł i nie ma ani twojego adresu, ani telefonu. Przykro mi, stary. Ale dzwonię, żeby ci powiedzieć, że zapisałem nazwisko faceta, więc odnaleźć go tam na uniwersytecie to będzie miki...

Dla niego wszystko było miki. Pomyślałem, że dobrze mu wybrałem przezwisko. Zanotowałem nazwisko faceta, podziękowałem, rozłączyłem się...

No dobra, zadzwonić tam to miki. I co powiem facetowi? Zorientowałem się, że jestem już prywatnym człowiekiem, zwykłym nauczycielem w liceum, nie stoi za mną żaden zakład naukowy, nie jestem już członkiem szanowanego w świecie zespołu, jestem baranem, który odstrzelił się na własną prośbę. Kto będzie ze mną gadał, co mam do zaoferowania?

Miki jest przyzwoitym facetem, ale chyba lepiej, żeby tego nie robił, nie wspominał w ogóle o tej sprawie... Przez sekundę z telefonicznej słuchawki powiało dawną atmosferą starych przyjaźni, wspólnej pracy, wzniosłych marzeń... Tęsknię za tym zespołem, mimo że Garlicki... Tęsknię za nimi i taka jest cholerna prawda.

Tu, w tym dzienniku, mogę być szczery. Tu nikogo i niczego nie udaję, nikt tego nie będzie czytał.

Dlatego nie dbam o formę literacką, o poprawność towarzyską czy obyczajową, jestem sam nad tymi kartkami, jest czarna noc i znów wódka.

Następnego dnia wezwał mnie dyrektor Andrzejewski.

16 września

– Panie Pawle, czy moglibyśmy porozmawiać?

Taki wstęp nigdy nie wróży nic dobrego. Jak świat światem.

Gabinet ciągle się malował, znów wyładowaliśmy w pokoju nauczycielskim, opustoszałym po przerwie.

– Panie Pawle, jest pan prawdziwym postrachem w naszej szkole.

Spojrzałem na niego spode łba.

– Proszę... bardzo proszę o większą wyrozumiałość dla naszych uczniów...

– Ci nasi uczniowie kompletnie nic nie umieją, panie dyrektorze – powiedziałem ponuro.

Nie wspominałem o pani Biegańskiej. Przecież nie będę flekował nieobecnej. Nie będę oskarżał kobiety. Mamusia mówiła, że mi ręka uschnie... To znaczy w tym wypadku język.

– Nasi uczniowie... – zaczął Andrzejewski i zatrzymał się.

To debile – dokończyłem w myślach. To stado debili, taka jest smutna prawda.

– To przyszli artyści. To cholernie wrażliwe dzieciaki, często o ogromnym talencie. Ambitni, neurotyczni, interesujący, prawdziwe nieoszlifowane diamenty. Proszę, niech pan spojrzy na nich bardziej pobłażliwie.

Popatrzyłem na niego.

– Te diamenty będą musiały zdać maturę – powiedziałem powoli. – Jakoś trudno mi to sobie wyobrazić. Matematyka jest na egzaminie dojrzałości przedmiotem obowiązkowym.

– To prawda, lecz młodsze klasy...

– Im większa dziura na początku, tym większa przepaść na końcu – przerwałem mu stanowczo. – Muszę przyznać, że jestem przerażony stanem ich wiedzy.

Przez dłuższą chwilę mierzyliśmy się wzrokiem bez sympatii. Czego on właściwie ode mnie chce?

Wyjaśniło się w następnym zdaniu.

– Drogi panie, mam właściwie tylko jedną prośbę... – powiedział dyrektor, gwałtownie grzebiąc po kieszeniach. Wyjął zmietoszoną paczkę papierosów, obejrzał ją dokładnie i schował z powrotem. Za późno. Namiętne pragnienie zapalenia fajki oładnęło mną bez reszty. – Jest w czwartej klasie pewna szczególna uczennica. To sierota, straciła w zeszłym roku rodziców, zginęli w wypadku samochodowym. To Ania Kielanowicz, jest w czwartej a. Dziewczyna została zupełnie sama.

Zacząłem się gorączkowo zastanawiać, czy prośba, która za chwilę padnie, będzie dotyczyła zaadoptowania tej nieznaney Ani. Ale nie. Prośba okazała się bardziej banalna.

– To niezwykle utalentowana dziewczynka, chluba naszej szkoły, profesor Czechowska nie może się jej nachwalić. Pani Barska, jej

wychowawczyni, darzy ją ogromną sympatią.

No dobrze, pomyślałem, do celu.

– Ania ma duszę typowo humanistyczną. Jest świetna z języka polskiego, niestety z matematyką ma kłopoty. Czy pan...

Nastawiłem czujnie uszu. Co ja, mianowicie?

– Czy nie zechciałby pan traktować jej trochę łagodniej?

– Nie – odpowiedziałem. – Nie zechciałbym.

– Nie uznaje pan kompromisów?

„Nie. Może jeśli chodzi o strategię, ale nie o zasady” – tak odpowiedział Robert Redford w filmie *Więzień Brubaker* na identycznie sformułowane pytanie.

Nie byłem Redfordem. Co miałem odpowiedzieć?

– Ujmę to tak – powiedziałem. – Od momentu, gdy zacząłem tu pracować, stałem się odpowiedzialny za poziom edukacji tej młodzieży. Całej, bez wyjątków. Jest mi niezwykle przykro, ale to nie jest moja wina, że pana uczennica straciła rodziców. Proszę mnie nie zmuszać, bym stosował taryfę ulgową z tego powodu.

– A zatem dziękuję, panie Pawle, za rozmowę – powiedział dyrektor, podniósł się i wyszedł.

Zostałem sam w pustym pokoju. Wyjąłem papierosa i zapaliłem. Potem zgasłem papierosa i zapaliłem kolejnego. Potem zgasłem kolejnego.

Jak ostatni cham. Dlaczego zachowałem się jak ostatni cham? Czy to ta rozmowa z Mikim tak mnie rozstroiła? Czy niemożność zapalenia? Co się ze mną dzieje? Jak mogłem być tak obcesowy, arogancki, bezceremonialny, opryskliwy i impertynencki? Jest jeszcze parę innych przymiotników, nie chce mi się ich wyliczać. Co mi zawiniła ta cała Ania, że akurat na niej skrupiło się wszystko? Moja niezgoda, bunt, moje stracone złudzenia, okpione nadzieje, moja gorycz, wściekłość, frustracja wobec świata – akurat musiały trafić pięknym prostym w tę nieznaną mi Anię, Bogu ducha winną, prócz tego, że nie umiała matematyki.

Siedziałem zmartwiałym i przerażonym własnymi reakcjami, w zupełnie pustym pokoju nauczycielskim, całkiem sam. Gdyby była przy mnie Majka...

Majka potrafiła sprowadzić każdą sytuację do parteru jednym prostym komentarzem, krótkim aforyzmem, celną pointą. Redukowała wszystko, co nazywała transcendentálną abnegacją bytu, to ja miałem tendencję do wpadania w takie stany – ona nigdy. Potem piliśmy drinka, albo szliśmy do

łóżka i moje serce znowu zaczynało podejmować nierówną walkę z życiem. Ale, jak mówiłem, nie było już Majki.

Sam zakończyłem ten toksyczny związek, to ja podjąłem tę decyzję. Majka. Szalona, trzymająca mnie w pionie, wyśmiewająca skrupuły. Trzeźwa, przytomna. Kiedyś ją kochałem.

17 września

Postanowiłem przyuważyć sobie tę Anię, o którą ściałem się z Andrzejewskim, bo jakoś wcześniej jej nie kojarzyłem. Poprosiłem Darka i pokazał mi ją na korytarzu. Szczuplutka blondynka, wielkie oczy, pasikonik. Leszek nazywa tak niewyrośnięte małolaty, którym wszystko poszło w oczy i w niebotycznie długie nogi. Ładna. Nawet bardzo ładna. Rusza się z wdziękiem, ma klasę. Teraz ją sobie przypomniałem, siedzi w trzeciej ławce od okna, z taką bardzo jasną blondynką o nietypowym imieniu. Nie pamiętam jakim.

No tak. Przecież mam dziennik, a tam jest wszystko zapisane. Czemu po prostu nie sprawdziłem listy? Chyba brak kojarzenia staje się zaraźliwy...

Sprawdziłem. Ania siedzi z Apolonią. No proszę, widocznie tak też można mieć na imię. Człowiek uczy się całe życie.

Ania nic nie umie, od razu to widać. Jeszcze nigdy nie udało mi się z nią nawiązać kontaktu wzrokowego, umyka spojrzeniem, boi się.

Głupio mi z powodu tego wszystkiego, co powiedziałem Andrzejewskiemu. Żal mi tej dziewczyny. To nie jest prosta rzecz, zostać zupełnie samą. Bez rodziców, bez wsparcia. Z takim Andrzejewskim, w roli dobrotliwego wujaszka. Niech go diabli wezmą!

Chyba będę musiał z nim porozmawiać, powiedzieć, że ochłonałem, przemyślałem i przepraszam. Albo może pogadać z jej wychowawczynią? Wychowawczynią czwartej a jest pani Barska, bardzo starsza, nobliwa pani, trochę w typie tej aktorki angielskiej Maggie Smith, ale o łagodniejszej twarzy. W oczach co pewien czas błyska jej iskra prawdziwego humoru. Czuję wewnętrzną ulgę, gdy pomyślę, że Ania jest pod jej opieką.

No i proszę. Czemu raptem zaczęła mnie obchodzić ta nieznana mi zupełnie dziewczyna? Dlatego, że ją w pośpiechu skrzywdziłem? Burknięciem, fochem, brakiem empatii... Wstyd.

1 Nawiązanie do poematu Juliana Tuwima Bal w Operze.

20 września

Dziś gówniarze z czwartej zablokowali czymś drzwi do pracowni matematycznej. Nie wiem, co wpakowali do zamka, w każdym razie to coś spełniło zadanie na mur-beton. Pewnie bym się wkurzył, ale wyraźnie na to czekali. Przez sekundę zobaczyłem w ich oczach jawną kpinę, nieposkromioną ciekawość, po wierzchu hardość, pod spodem obawę i lęk, a nade wszystko złośliwość.

Jeżeli ludzie osiemnastoletni chwytają się tak szczeniackich pomysłów, to znaczy, że naprawdę są bezradni.

Mam pewien nawyk od bardzo dawna, nauczyłem się tego od Leszka. Kilka lat pracowałem jako ochroniarz i każde nowe miejsce ogarnia jak pies na tropie, bada podwórka, zakamarki, tylne wyjścia, boczne schody. Powiedział kiedyś: „Wiesz, jakoś bardziej ufam otwartym przestrzeniom”. Nauczyłem się robić tak samo. W ciągu kilku pierwszych dni przeszedłem tę szkołę wzdłuż, wszerz i w poprzek, zorientowałem się w wyjściach, kierunkach świata, policzyłem okna.

Więc po tej akcji z dziurką bez namysłu wyprowadziłem całą klasę na boisko i przez otwarte okno, pod którym kazałem postawić wyciągnięte z sąsiedniej sali krzeselko, zagoniłem wszystkich do środka. Bardzo mi się chciało śmiać, chyba pierwszy raz w tej szkole. Wygląda na to, że będę musiał przyjąć zasadę *ad hominem argumentum*... dostosować się do ich myślenia na każdym poziomie relacji.

Pomyślałem o Leszku i przypomniało mi się, jak pracowałem w tej firmie ochroniarskiej, zaraz po studiach i to w dodatku w Łodzi. Potem po jakimś czasie zrezygnowałem. Gdy spytałem dlaczego, westchnął i powiedział, że się trochę zniechęcił.

– A co cię w tym zniechęciło? – spytałem, bo byłem naprawdę ciekawy.

Leszek odstawił piwo i spojrzał na mnie.

– Chcesz wiedzieć, jak było? Proszę, tytułem wstępu: Łódź, wczesne lata dziewięćdziesiąte, circa dziewięćdziesiąty drugi, ale głowy nie dam. Chronimy między innymi lokalnego biznesmena, który prowadzi interesy ze Wschodem, czego skutkiem bywają wizyty dżentelmenów ze złotymi zębami, groźby czy na przykład bomba w samochodzie. Czasami jest naprawdę grubo i wtedy on i jego rodzina mają ochronę dwadzieścia cztery na siedem, a kiedy dogada się ze swoimi kontrahentami, zdejmujemy całodobową obstawę i zostaje tylko przycisk napadowy w domu; w razie

alarmu grupa interwencyjna leci na bombach na Teofilów, gdzie klient rezydował. Akcja właściwa: jest właśnie spokojniejszy okres, klient wraca z urlopu, nasz szef czeka na niego w aucie w okolicach Nowosolnej, żeby go odkonwojować i sprawdzić dom i okolicę. Ja siedzę na nasłuchu na radiu, na stanowisku kierowania. W terenie mam dwa samochody – szefa i grupę interwencyjną. Wieczór mija spokojnie aż do momentu, kiedy klient, który miał w aucie i w domu nasze radiostacje, zgłasza szefowi: „Sto dwadzieścia jeden, mam ogon, dwa auta, od Rawy mi siedzą na zderzaku”. Szef każe mu dać znać, kiedy będzie przy wjeździe do Łodzi, wbija się między niego i te dwa auta, i wszyscy lecą na Teofilów z pogwałceniem wszelkich przepisów. Ja w międzyczasie kieruję grupę interwencyjną do domu klienta. W grupie są akurat Maciek po trzech turach w czerwonych beretach w wojskach ONZ w Syrii i Sławek po sześciu latach służby w kompanii antyterrorystycznej. Chłopaki zostawiają wóz w dyskretnym miejscu, przeskakują płot i zajmują miejsca za dwiema rozłożystymi tujami, z dobrym widokiem na bramę i ulicę. Szef z trasy zgłasza drewnianym głosem: „Sto dwadzieścia, mam ogon, dwa niezidentyfikowane auta, jadę za klientem na obiekt. Jesteś na miejscu?”. „Przyjąłem” mówi Maciek. „Prowadź ich na mnie”.

Leszek przerwał, wziął łyk piwa i po chwili kontynuował.

– Robi mi się ciut ciepło... Brama się otwiera. Klient wjeżdża na podjazd, brama zaczyna się zamykać. Szef na dwóch kołach wpada w uliczkę, blokuje samochodem wjazd na posesję. Dwie ciemne bryki wjeżdżają za nim, zatrzymują się po dwóch stronach auta. Wysiada z nich czterech gości. Dwóch obstawia ulicę w obu kierunkach, dwóch pozostałych kieruje się w stronę auta szefa. Ten wyciąga giwerę i wciska ją między siedzenie a środkową konsolę, tak żeby móc szybko sięgnąć. Chłopaki w zieleninie dawno mają już w dłoniach przeładowane klamki. Obcy zbliżają się do auta, ustawiają się po obu stronach i jeden puka w szybę. A ja kilka kilometrów od całej akcji, niepewny co się dzieje, bo na radiu cisza, i spocony jak pedofil w Disneylandzie... jasny chuj! Wiem, że nie mogę odkleić tyłka od fotela, bo zaraz ktoś może potrzebować wsparcia. Tymczasem na Teofilowie szef opuszcza okno; nieznajomy macha mu przed oczami szmatą i odzywa się w te słowa: „Dobry wieczór, policja. Proszę o prawo jazdy i dokumenty wozu”. Szef przetyka ślinę i odpowiada: „Panowie, jestem pracownikiem licencjonowanej firmy ochroniarskiej i mam tu w samochodzie naładowaną broń. Teraz bardzo powoli sięgnę po nią i podam panu kolbą do przodu, dobrze?”.

Gliniarz stracił głos i tylko kiwnął głową. Szeff wyciągnął giwerę i wręczył ją osłupiałemu gliniarzowi – a trzeba ci wiedzieć, że nasz szef, będąc wzrostu siedzącego psa i skromnej budowy, targał ze sobą największe kopyto w firmie – brazylijskiego Taurusa, licencyjną kopię Beretty 92 AF. Po rutynowym sprawdzeniu licencji, pozwolenia na broń, dokumentów auta i tak dalej, szef spytał, skąd ten pościg. A gliniarz na to: „A bo dostaliśmy cynk, że ktoś chce tego pana napaść na trasie”. No i wiesz, wtedy się trochę zniechęciłem. Sytuacja mogła się przerodzić w naprawdę zajebistą strzelaninę z udziałem siedmiu osób. Gdyby nie zimna krew wszystkich uczestników zdarzenia, jatka zdarzyłaby się konkretna, a tak skończyło się bez rozlewu krwi, tylko parę kleksów na majtkach zostało. Wtedy sobie pomyślałem: mam jeszcze w życiu parę rzeczy do zrobienia, jak mi tak zależy na kleksach, to mogę je sobie zafundować bez problemu na planie filmowym, bez ostatecznego ryzyka, za to na pewno za lepsze pieniądze.

O, i taka to była historia. Doceniłem urok tej opowieści.

– Rozumiem, dlaczego powiedziałaś, że bardziej ufasz otwartym przestrzeniom.

– No tak. – Leszek uśmiechnął się rozbrajająco. – A z drugiej strony nawet na pustej równinie to, co jest za mną, równie dobrze może już nie istnieć, póki się nie odwrócę.

No i gadaj tu z takim...

25 września

Ogrom frustracji, z którym nie potrafię sobie poradzić, doprowadził mnie do ściany. Wtedy zadzwonił do mnie Piotrek i powiedział, że bym wpadł do niego i Uli, bo może będzie miał dla mnie pewną propozycję. Super. Każda propozycja będzie lepsza niż to, z czym się kopię.

Zameldowałem się u nich przed czasem, Piotrka jeszcze nie było, Ula spytała, czy nie zjadłbym obiadu. Podziękowałem. Trudno, nie jest najlepiej, ale nie upadłem jeszcze tak nisko, żeby pustoszyć cudze lodówki. Bogiem a prawdą, ja mam w mojej wyłącznie mróz...

– No to ci podgrzeję – powiedziała Ula i uśmiechnęła się do mnie łobuzersko.

Ula jest bardzo inteligentną dziewczyną – mój brat nie tolerowałby koło siebie głupiej kobiety – ale jest także mądra, tą kobietą mądrością, przy której nasza męska inteligencja przypomina częstokroć program

komputerowy, poniechany w trakcie pisania. Nie lubi swego imienia w pełnym brzmieniu, mówi, że przypomina jej potrząsanie szyszakiem, natomiast lubi zdrobnienie Ula – kojarzące się z pasieką i płynnym, złotym miodem. Sama nie jest blondynką, ma ciemne włosy, ale miodowe oczy, właśnie takie, jak jej niemodne imię i lubię ją naprawdę bardzo.

Przyniosła mi wielką miskę zupy dyniowej z imbirem, posypaną z wierzchu pestkami słonecznika.

– Powinieneś gdzieś wyjechać – powiedziała po prostu.

Podniosłem głowę i spojrzałem na nią. Uregulowałem czynsz i comiesięczne płatności, odliczyłem sobie kasę na fajki i benzynę, byłem bez grosza. Nie mogłem nigdzie wyjechać.

– Ja ci pożyczę – powiedziała znów Ula. – Oddasz mi z pierwszej pensji.

– Nie mogę...

– A tak się tłuc, jak teraz, to możesz? – Spojrzała na mnie uważnie. – Nie byłeś nigdzie na wakacjach, szarpałeś się z Garlickim, rozstałeś się z Majką, szukałeś roboty... Nie odpocząłeś.

– Nie mam czasu na taki luksus jak wakacje – powiedziałem ponuro.

– Wakacje to nie jest luksus. To konieczność. Ładuj akumulatory, jedź, przewietrz się. Wejdź na jakąś górę, przepłyń jakieś jezioro, umęcz się ostatecznie, niech cię deszcz wygrzmoci, wiatr przewieje, słońce oślepi, jedź, bo przecież widzę, że przepalają ci się styki. Wrócisz i zaczniesz wszystko od nowa. Podziękujesz mi.

Podniosła się, wyszła do drugiego pokoju, wróciła i położyła przede mną na stole kilka banknotów.

– To za dużo – zacząłem się bronić.

– Tyle sobie zachomikowałam na buty. Jak ja sobie mogę kupić buty za tyle, to ty możesz sobie uratować życie za tyle samo. Dostaniesz wypłatę, oddasz. Możesz w ratach.

– Przestań, oddam zaraz po pierwszym. Dzięki. Jesteś...

– Tak, wiem, najbardziej zajebistą bratową na świecie, mówiłeś mi już kiedyś. – Zaśmiała się. – Dolać ci jeszcze zupy?

– Nie, dzięki, więcej nie wcisnę, choć żałuję, bo pyszna.

Piotrek wpadł z impetem, jak to on, i oznajmił, że nosi się z zamiarem założenia niewielkiej firmy komputerowej, serwis, naprawy, pogotowie w nagłych wypadkach i co ja na to. Powiedziałem, że OK, wchodzę we wszystko, ostatecznie od kiedy złożyłem dobrych parę lat temu pierwszego

blaszaka, niewiele mnie w komputerach potrafi zaskoczyć, prócz magii oczywiście, ale na nią to już nie ma ratunku.

– A może tak byśmy też napisali parę programów, co? – zapytał jeszcze Piotrek. – Co, widzę, że to już prędzej?

– Proszę bardzo, mogę robić wszystko, pisać programy, naprawiać, jeździć jako pogotowie awaryjne, wszystko, co tylko oderwie mnie od tej mordegi w szkole – westchnąłem. – Szkoła to nie jest miejsce dla normalnych ludzi.

– Wyjeżdż – powiedziała Ula. – Wróć. Przyjdź i powiedz, jak było.

27 września

No to już. W piątek po lekcjach wrzuciłem plecak do samochodu i pojechałem w Bieszczady.

28 września

Wetlina zapchana była po dziurki w nosie. Po długich peregrynacjach, czarną już nocą znalazłem pokój w Strzebowiskach. Pani właścicielka obejrzała mnie bardzo dokładnie w blasku zewnętrznej lampy, podczas gdy ja próbowałem przybrać miły i uprzejmy wyraz twarzy. Chciałem się już walnąć na łóżko, z Warszawy w Bieszczady naprawdę trochę się jedzie, byłem wyżuty, brudny i zrezygnowany.

– Ja tutaj, drogi panie, mam turystów z Austrii – powiedziała pani wyniośle. – Ale może coś tam dla pana znajdę. Szkoda, że pan wcześniej nie uprzedził.

Pominałem to milczeniem. Pani właścicielka w wieku mocno balzakowskim wprowadziła mnie do mikroskopijnego pokoju, w którym trudno się było nawet obrócić, ale skinąłem głową. Łazienka niestety była wspólna na korytarzu, niech tam. Za to cena – akurat na moją kieszeń.

Wyciągnąłem plecak z samochodu, zainstalowałem się w pokoju i poszedłem się umyć. Prysznic przytwierdzony był na stałe do ściany, woda lała się wyłącznie z góry, przy czym sitko, mocno już wysłużone, strzelało wesołym, nieskoordynowanym biczem wodnym gdzieś obok głównego nurtu, zalewając doszczętnie wszystko dokoła. Pomyślałem, że to pewnie taki model specjalnie dla Austriaków. Poza tym woda nie dała się uregulować, albo leciał wrzątek, albo od razu lodowata, bez stanów pośrednich. Może bym i nawet rozkręcił to sitko i trochę naprawił, ale nie dzisiaj. Poza tym uznałem, że lepiej omówić to z właścicielką, bo może Austriacy tak lubią. Wygrzmocony wrzątkiem wróciłem do pokoju i

zadumałem się nad stanem udostępnionych mi naczyń. Dostałem do użytku czajnik elektryczny, kubek, widelec, dużą łyżkę do zupy i duży płaski talerz. Prawdopodobnie Austriacy potrafiliby zrobić coś z takim zestawem, wiadomo, nie ma cwaniaka nad Austriaka.

Ja nie miałem nic na kolację, wyciągnąłem zatem z plecaka butelkę ginu i zacząłem się poniewierać. Łóżko przynajmniej było wygodne, więc zanim straciłem ostateczny kontakt z wieżą kontrolną, pomyślałem jeszcze, że w górach alkohol wchodzi zdecydowanie lepiej.

29 września

Następnego dnia zjadłem śniadanie w małym barze w Wetlinie, kupiłem sobie dwie drożdżówki, litrową butelkę maślanki i pojechałem na parking u stóp Połoniny Caryńskiej.

Ranek był bardzo chłodny, założyłem gruby sweter i kamizelkę puchową, plecak na grzbiet, srebrne młoty w głowie, oczy czerwone jak wampir – mogłem ruszać. Zanim wyszedłem poza linię lasów dwa razy myślałem, że mnie szlag trafi. Brak kondycji brakiem kondycji, ale jak mogłem się doprowadzić do takiego stanu? Prócz maślanki miałem dwie półtoralitrowe butelki wody, poszły obie. W lesie była mgła, pod nogami szron. Raz wyraźnie poczułem na sobie spojrzenie jakiegoś zwierzęcia, ono było głęboko schowane, ja nie miałem zamiaru go szukać. Zmierzyło moje plecy i zostało w zaroślach. Kamienie były śliskie, między nimi stężało błoto i glina. Im wyżej, tym cieplej i wreszcie wyszedłem na odkrytą przestrzeń.

Mgła została w lesie, tu gdzie stałem pochylały się wysokie po pas suche trawy i zaczynały się otwierać pierwsze panoramy. Na szlaku nikogo. Na to właśnie liczyłem, na szczęście obcowania z krajobrazem w samotności, bez zdyszanego tłumu na grzbiecie. Byłem tylko ja, zdyszany. Uspokoilem oddech. Zdjąłem kamizelkę, poszedłem w górę. Do schroniska dotarłem już tylko w koszuli.

Pokonałem tę drogę na szczyt w jakimś strasznym tempie, nie wiadomo po co, w każdym razie ja nie wiedziałem. Uzupełniłem zapas wody, zjadłem bigos gotowany na ścierkach, wysapałem się i ruszyłem grzbietem połoniny tak długo, aż wreszcie znalazłem odpowiednie miejsce. I tam zaległem.

Nigdy nie rozumiałem ludzi, którzy idą szlakiem, trzymając się w dodatku prognozowanego czasu wejścia co do minuty, więc pędzą tam, dolatują i natychmiast podejmują trud schodzenia, tak jakby liczyła się tylko droga. Droga jest ważna, ale droga służy też czemuś. Dotarciu w

pewne miejsce, do którego dochodzi się, by tam być. Nie minąć, nie przelecieć nieuważnie. Zatrzymać się. Być. Być wewnątrz gór.

Moje miejsce miało wszelkie cechy miejsca idealnego. Było na grzbiecie połoniny i w dwie strony otwierały się zapierające dech widoki – coraz odleglejszych pasm górskich, coraz bardziej zamglonych, fiołkowych, błękitnych.

Trawy szeleściły i gięły się, gdy przechodził przez nie wiatr. Ten sam wiatr przechodził też przeze mnie, na wylot, na wskroś. Nad dolinami biegła wysoko jedna chmura i jej stalowy cień kładł się po kolei na szczyty gór i przełęcze, pograżając je w mroku. Chłodne, jesienne słońce roztopiało na trawach szron.

Przesiedziałem w ten sposób dwie godziny, błogosławiąc Ulę.

Pozamykałem sprawy z Garlickim i z zespołem, z którego nikt nie stanął w mojej obronie. Pożegnałem się definitywnie z Majką i jej cień odszedł ode mnie, jak cień biegnącej chmury. Pogodziłem się jakoś ze szkołą, która jednak przyjęła mnie na swoje artystyczne łono, zapobiegając tym samym Wielkiemu Bum, które prawdopodobnie musiałyby nastąpić.

Pozwoliłem, żeby wiatr wywiał ze mnie udękę, żal, zawiedzione nadzieje i alkohol. Na koniec zjadłem dwie drożdżówki i popiłem maślanką.

Gdy zszedłem w dolinę i dobrnąłem wreszcie do mojego pokoju, o który bili się Austriacy, byłem spokojny i cichy, pogodzony i trzeźwy, gotów do zaczynania życia na nowo.

I to właśnie miało nastąpić.

Nic jeszcze o tym nie wiedziałem, ale gdzieś wysoko przełożyły się wielkie przekładnie, ruszył bezgłośnie system zamków i zasuwek, zapadni, kół zębanych, ciężarków i przeciwwag – ruszyła skomplikowana maszyna zmiany. Jak okaże się ważna – nic jeszcze o tym nie wiedziałem.

Natomiast wymyśliłem, co mogą robić Austriacy z widelcem, łyżką do zupy i płaskim talerzem.

Otóż mogą jeść spaghetti.

Ci Austriacy to naprawdę spryciarze.

4 października

Był pierwszy tydzień października, piątek, koniec przerwy i szedłem właśnie z dziennikiem na lekcję do czwartej klasy, gdy to wszystko się stało.

Zobaczyłem dwie dziewczyny na środku korytarza, z których jedna jak na zwolnionym filmie powolutku osuwała się na ziemię, a druga bezskutecznie usiłowała ją podtrzymać czy złapać. Próba się nie udała, podszedłem szybko, roztrącając tłumek uczniów, który natychmiast zebrał się wokół leżącej dziewczyny. Dopiero wtedy ją rozpoznałem. To ta Ania, o którą była ścina z dyrektorem, dziewczyna, która została zupełnie sama. Wtedy burknąłem to, co burknąłem, teraz pochyliłem się, odsunąłem jej przerażoną koleżankę i dźwignąłem Anię z ziemi. Podniosłem się, trzymając ją na rękach, spojrzałem z bliska w jej twarz i raptem poczułem, że schodzi ze mnie lawina.

Mika Waltari, jeden z moich ulubionych pisarzy, zaczął swego *Czarnego anioła* słowami: „Ujrzałem cię pierwszy raz i przemówiłem do ciebie. Było to tak, jakby przeszło przeze mnie trzęsienie ziemi”. Ja poczułem schodzenie lawiny – tak lodowaty, że aż parzący jęzor, gwałtownie sunący z głowy, przez piersi i brzuch, aż do kolan. Potem smugę lodu zastąpiła fala ukropu i pomyślałem z przerażeniem, że chyba się czerwienię.

Rozejrzałem się, koło mnie stał już tłum, powiedziałem więc groźnie:

– Czwartą a proszę do klasy i wyjąć kartki, ja zaraz przyjdę.

Odpowiedział mi zbiorowy jęk, a mnie zrobiło się ich nawet trochę żal, bo nie zapowiadałem kartkówki, ale koniecznie potrzebowałem trochę czasu, żeby dojść do siebie. Korytarz opustoszał, a ja z Anią przeszedłem dużą aulę i po trzech schodkach koło sali gimnastycznej wniosłem ją do gabinetu lekarskiego. Pani doktor szczęśliwie była, co rzadko się zdarza. Natychmiast położyliśmy Anię na kozetce pokrytej ceratą, ale w żaden sposób nie mogłem powiedzieć, co się stało. Przypomniałem sobie koleżankę, poleciałem do klasy, koleżanka, mamrocząc coś pod nosem, rzuciła się do gabinetu, a ja biegłem za nią, zdając sobie sprawę, że zachowuję się jak idiota. Pod drzwiami udało mi się zaczekać, koleżanka zreferowała sprawę i wyszła, dopiero wtedy wsadziłem łeb do środka, po uprzednim dokładnym i długim pukaniu.

– Coś się stało poważnego? – spytałem, czując, że nie w pełni panuję nad językiem.

– Bóle menstruacyjne, tyle że bardzo silne – odpowiedziała lekarka, patrząc na mnie uważnie ponad oprawkami okularów. – Jak się ocknie, to zaaplikuję jej silne proszki, dobrze by było, gdyby ktoś ją odwiózł do domu.

– Ja ją odwiozę – powiedziałem stanowczo, gotów kategorycznie uciąć w zarodku wszelkie protesty. Te na szczęście nie padły. – Mam teraz ostatnią lekcję, przyjdę po nią za czterdzieści minut. Proszę jej powiedzieć, że ma na mnie poczekać.

– O, z pewnością – odparła pani doktor, leciutko się uśmiechając. – Nie sądzę, żeby miała za dużo energii po tym wszystkim.

Skinąłem głową, poszedłem do klasy i podyktowałem dwa krótkie równania, bo musiałem się jakoś pozbierać do kupy. Nawet mi się to udało, tyle tylko, że niewiele z całej lekcji pamiętam. Po dzwonku poleciałem do gabinetu lekarskiego, jakby mnie psy ścigały.

– Proszę, może pan wejść – usłyszałem i wszedłem do środka.

Ania była już przytomna, na mój widok spróbowała podnieść się z kozetki, ale w połowie próby zrezygnowała.

– Pomalutku – powiedziałem. – Nigdzie się nie spieszymy. Ja już jestem teraz wolny i czekam na ciebie w szatni. Jak będziesz mogła przyjść, to przyjdź, odwiozę cię do domu.

Skinęła głową. Oczy miała zupełnie czarne. Już miałem wychodzić, gdy raptem uniosła się na łokciu i wyciągnęła do mnie rękę.

– To pan mnie tu przyniósł, prawda?... Dziękuję.

Ująłem na moment jej dłoń. Była bardzo gorąca i spocona. Drobną, rozpaloną, drgającą z bólu. Pani doktor wyszła za mną na korytarz, przymknęła drzwi i odezwała się rzeczowo:

– Dostała panadol i vegantalgin forte, powinno jej to pomóc, tylko naprawdę lepiej by było, gdyby ktoś z nią został przez jakiś czas. Nie wiem, czy pan...

– Aha, nie wyglądam na takiego, który potrafiłby się zająć chorym, innymi słowy nie ma pani zaufania do moich zdolności pielęgnarskich. Nie, nie, przyrzekam, że zrobię wszystko, co trzeba, a poza tym...

– Cóż, tak, tyle że dolegliwość jest, powiedziałabym, natury specyficznej...

– A poza tym mam samochód pod szkołą – dokończyłem. – Proszę pani, może na to nie wyglądam, ale naprawdę jestem już od dłuższego czasu dorosłym facetem i proszę mi wierzyć, że nie umrę z zażenowania.

Chyba jednak musiałem wyglądać na dorosłego faceta, gdyż pani doktor skinęła głową i przysięgam, że miała ochotę się uśmiechnąć.

– Dobrze, więc proszę ją przysłać do szatni, ja tam czekam.

Czekałem dość długą chwilę. Ania zeszła powolutku, w rozwiązanych trampkach i z plecakiem ześlizgującym się co chwilę z ramienia. Wziąłem go od niej. Usiadła koło mnie w samochodzie, chwilę mocowała się z pasem, potem powiedziała nagle:

– Ale to naprawdę będzie dla pana kłopot, ja mieszkam bardzo daleko.

– Więc tym bardziej cię odwożę. Co to znaczy daleko?

Zamyśliła się.

– No, będzie z dwadzieścia pięć kilometrów, jak obszył...

O mało się nie udławiłem ze śmiechu.

– Dobrze, ale w którą stronę?

– W stronę Piaseczna. Za Pyrami. Prawie pod Lasem Kabackim.

Włączyłem silnik. Dopiero gdy wymanewrowałem się na Wybrzeże Gdańskie, powiedziałem do Ani:

– Wcale nie tak daleko. Ja mieszkam na Ursynowie, to ten sam kierunek.

– O? – powiedziała grzecznie Ania.

– Lepiej się czujesz?

– Tak, teraz już nieźle, dziękuję. Pewnie nie powinnam była dziś przychodzić do szkoły, ale jakoś tak przysłałam siłą rozpędu... W każdym razie przynajmniej widzę jedną korzyść.

– No? Jaką?

– Przestałam się pana bać.

Odwróciłem gwałtownie głowę i spojrzałem na nią.

– Być może robię właśnie w tej chwili straszny błąd – ciągnęła Ania – ale jestem tak przymulona tymi proszkami, że mi właściwie wszystko jedno.

– Naprawdę uważasz, że robisz błąd?

Przyjrzała mi się z uwagą.

– Nie. Wiem doskonale, że pan wie, że nie umiem matmy. Gdyby pan o tym nie wiedział, idiotyzmem byłoby uświadamianie pana...

– Istotnie, nie musisz mnie chyba uświadamiać – wyrwało mi się, zanim zdążyłem pomyśleć i Ania parsknęła cichym śmiechem.

– Przepraszam, głupio to sformułowałam. Gdyby pan nie wiedział o mojej kompletnej ignorancji, głupotą byłoby przyznawanie się do niej. Ale pan wie, dlaczego się pana boję. Właściwie bałam.

– A dlaczego przestałaś się bać?

– Bo pan wcale nie jest taki straszny jak myślałam. To znaczy, wiem doskonale, że nie będzie mi pan pobleżał, jeśli chodzi o matematykę, co do

tego nie ma najmniejszych wątpliwości i to jest w ogóle ponury dramat, ale trudno mieć o to do pana pretensję... Z tym, że ja się też pana bałam jako człowieka, a teraz właśnie przestałam się bać.

Bała się mnie jako człowieka...

Więc aż tak strasznie narozrabiałem w tej szkole, żeby trzeba się mnie było naprawdę bać?

Wiozłem tę małą, dzielną istotę, która odważyła mi się o tym wszystkim powiedzieć, zdając sobie przecież sprawę, że może się właśnie ostatecznie skazuje, która nic o mnie nie wiedząc – starała mi się zaufać i czułem, jak policzki pali mi wstyd.

– Teraz w lewo, proszę – powiedziała. – Może pan tutaj zawrócić i potem pierwsza w prawo.

Pierwsza w prawo była niezbyt długą ulicą, wyglądającą jak cienista aleja, prowadząca do jakiegoś domu. Kończyła się ślepo pod przekrzywioną bramą, zza której wychylał się szary, trochę dziwnie wyglądający dworek z dwiema kolumnkami, które niczego nie podtrzymywały, i z dwoma ogromnymi świerkami po obu stronach wejścia.

– To tu – powiedziała Ania.

– Tu mieszkasz? – spytałem w osłupieniu.

– Tak. Ten dom kupili moi rodzice na kilka miesięcy przed śmiercią. Tata zdążył go co prawda bardzo starannie zaprojektować, tyle że nie zdążył tego projektu zrealizować. Trochę to idiotycznie wygląda, prawda? Ale pokażę panu wszystkie rysunki techniczne, cały komplet dokumentacji i przekona się pan, że założenie jest świetne i może kiedyś... może mi się uda... – nie skończyła.

– A czy ty... – zacząłem i też przerwałem, bo żadne z pytań, które mi się cisnęły na usta, nie nadawało się do wypowiedzenia na głos.

O co miałem ją spytać? Czy nie boi się mieszkać sama w takim wielkim domu na zupełnym odludziu? Jak udaje jej się go utrzymać? O czym myśli, siedząc tu późnym wieczorem, gdy jej rówieśnicy jedzą kolację, umawiają się do kina, pubu, czy w tysiąc innych ogólnie dostępnych miejsc? Jak ona sobie daje radę?

Poszedłem za nią z jej plecaczkiem. Ania otworzyła ciężkie drzwi, weszliśmy do środka i stanąłem, jakby mnie strzelił piorun. Na wprost ciągnął się długi korytarz, zakończony ogromnymi, przeszklonymi drzwiami. Za nimi znajdował się jakiś duży pokój, który słabo widziałem, gdyż przez wszystkie szyby, i okienne, i przez szyby w rozsuwanych

drzwiach, lał się potok złotozielonego światła. Na prawo od wejścia znajdowała się kuchnia, a dzięki temu, że usunięto ścianę od strony korytarza, łączyła się z nim w jedno bardzo duże pomieszczenie. Była tam belka z zastrzałem podtrzymująca strop, duży czarny stół o nogach łączonych pod blatem poprzecznymi podpórkami i cztery białe przecierane krzesła. Była to śliczna, nieco staroświecka, nieco zabawna kuchnia, przytulna, ozdobiona obrazami, jakimiś śmiesznymi pojemniczkami i dużymi słojami na okiennym parapecie, w których coś nabierało mocy. Na ile mogłem się na pierwszy rzut oka zorientować, to nalewka na wiśniach.

– Zaraz nastawię wodę na herbatę – powiedziała Ania, wywlekając kanister zza jakiejś szafki.

Odebrałem go jej, gdyż był to solidny, dziesięciolitrowy baniak, sam nalałem wodę i spróbowałem nakłonić Anię, żeby się położyła.

– Naprawdę już się nieźle czuję – uśmiechnęła się. – Ale dobrze, zaraz sobie posiedzimy w spokoju, chyba że pan się bardzo spieszy?

Za skarby świata bym od niej nie wyszedł.

– Nie, nie spieszę się nigdzie i z przyjemnością wypiję z tobą herbatę. Skąd wozisz tę wodę?

– W lecie z Powsina. Ładuję dwa kanistry na rower i obracam mniej więcej w godzinę. W zimie jest gorzej, w każdym razie w tym roku zamierzam przywozić samochodem.

Kolejna sensacja.

– Masz samochód? I potrafisz prowadzić?

– Mam samochód, bardzo pięknego wartburga, który mi został po rodzicach, a czy umiem prowadzić? Teoretycznie tak. Zrobiłam prawo jazdy, jak miałam siedemnaście lat, za zgodą rodziców, dosłownie na kilka tygodni przed ich śmiercią... Jeżdżę rzadko, bo nie bardzo umiem sobie poradzić z tym gruchotem, ale w tym roku pewnie już nie będę miała wyjścia.

Czajnik zagwizdał. Ania zaparzyła herbatę, poszperała w kredensie i wyjęła stamtąd duży kawał placka z jabłkami.

– I piec też umiesz? – spytałem, coraz bardziej zafascynowany.

– Och, to na początku było straszne. – Roześmiała się. – W każdym cieście zakalec, może pan to sobie wyobrazić? Ale potem już szło mi coraz lepiej. Szczególnie, że zmusza mnie do tego konieczność.

– Jaka konieczność? – Nie zrozumiałem.

Podeszła do okna i odchyliła zasłonę.

– Proszę, niech pan spojrzy. Ta tutaj to jabłotka. I ta w prawo, i dalej następna, i jeszcze w drugim rzędzie...

Stałem za nią, patrząc na jej włosy i błagając ją w duchu, by się nie odwracała. Odwróciła się jednak, spojrzała na mnie z lekkim uśmiechem i ciągnęła:

– Ta pani, która tu mieszkała, była chyba trochę pomyłona, dziewięć jabłoni w jednym sadzie. Owocują co drugi rok, ale za to wszystkie naraz. W każdym razie dokładnie wiem, co to jest klęska urodzaju. Akurat teraz jest apogeum. Robię z tych cholernych jabłek przeciery, soki, musy, piekę szarlotki, śnią mi się po nocach, znajomi wynoszą torbami i w dalszym ciągu nie mogę się opędzić. Panu też dam, dobrze?

– Pewnie. – Uśmiechnąłem się. – Jeśli mogę cię jakoś wybawić z kłopotu...

– Ale nie dlatego. – Zaczerwieniła się. – Naprawdę są dobre! Chciałabym się panu jakoś odwdziaczyć. Przykro mi, że tak to ujęłam.

Wzruszyła mnie i przez chwilę nie mogłem znaleźć słów.

– Aniu, wszystko jest w porządku. I naprawdę nie musisz mi się odwdziaczać.

– Dobrze, ale jabłka panu dam. A skąd pan wie, jak mam na imię? – spytała nagle.

– Wiem.

– Wydawało mi się, że pan mnie nigdy nie kojarzy, to znaczy imienia z osobą i nawet byłam z tego dość zadowolona, bo wie pan, lepiej się nie rzucać w oczy w moim przypadku...

– Teraz cię już kojarzę.

– Czy mam się z tego cieszyć, czy nie bardzo?

– A jak wolisz?

– Wolę się cieszyć – powiedziała prędko.

A potem zaczerwieniła się i dodała:

– Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale jest pan naprawdę strasznie miły.

Stałem na środku kuchni z filiżanką herbaty i z talerzykiem z ciastem w dłoniach, kompletnie nie miałem pojęcia, co powiedzieć, czułem, że mam głupi wyraz twarzy i wiedziałem z całą pewnością, że się w niej zakochałem. To była ta lawina, która zeszła z mego serca kilka godzin temu, to było to, co mądry Waltari nazwał trzęsieniem ziemi, to była absolutna, niczym niezmacona pewność. Nigdy jeszcze nie przeżyłem nic podobnego.

– Przepraszam pana na chwilę – powiedziała Ania, spuszczać oczy, i szybko wyszła z kuchni.

Filiżanka dzwoniła mi o talerzyk, zacisnąłem z całej siły zęby i odstawiłem wszystko na blat stołu.

Nigdy nie przypuszczałem, że kiedykolwiek będę mógł się tak trząść.

W ogóle nie wierzyłem w miłość od pierwszego wejrzenia.

Nie miałem pojęcia, jak to się mogło stać.

Usłyszałem szum wody w łazience i potem głos Ani:

– Proszę, wypijemy herbatę w tym pokoju.

Podjąłem znowu wyzwanie talerzykowo-herbaciane, mając nadzieję, że uda mi się nie rozlać wszystkiego. Ania otworzyła drzwi i znów stanąłem oniemiały, gdyż w życiu nie widziałem tak pięknego wnętrza. Pokój był bardzo duży, podzielony na część wypoczynkowo-kominkową i jadalnię, łączącą się z kuchnią dodatkowym korytarzykiem, którego wcześniej nie widziałem. Sufit podtrzymywały ciężkie belki, meble też były staroświeckie i ciężkie, ale nie raziły w tak dużej przestrzeni. Mnóstwo półek z książkami. Stare biurko, przytulna kanapa i ogromny fotel zarzucony poduszkami, z którego zerwało się w popłochu jakieś czarne stworzenie i jak błyskawica runęło w stronę otwartych drzwi.

– To moja kotka, Zadyma – powiedziała Ania z lekką konsternacją. – Niezbyt obyta – dodała po chwili.

– Nazywa się Zadyma? To dosyć oryginalnie.

– Bo i ona jest dosyć oryginalna. Zobaczyłam ją po raz pierwszy w sytuacji dla niej typowej – usłyszałam potworny hałas, wrzaski i skomlenie, jakąś kotłowaną na drodze, no, po prostu straszną zadymę. Skoczyłam do okna i zobaczyłam psa, który wyrwał ile sił przed siebie, skomląc rozpaczliwie, a na jego grzbiecie i głowie siedział czarny kot, wczepiony wszystkimi pazurami i wydający dźwięki, o jakie nigdy bym nie posądziła takiego małego stworzenia. Nie wiem, jak ten kot to zrobił, w każdym razie był to jego stały numer, wyjeżdżał tak na każdym psie, który miał nieszczęście zaplątać się w okolicy. Widywałam potem tego kota dość często, z czasem zaczął się pojawiać w mojej piwnicy, a później się zaprzyjaźniliśmy. No i wtedy się okazało, że to nie kot, tylko kotka. Imię nasunęło się samo. Jest już ze mną prawie pół roku.

– A czy nie wolałabyś raczej psa?

– Pewnie tak, ale kot jest jednak mniej kłopotliwy. Pies strasznie by się męczył, bo mnie przecież prawie cały dzień nie ma.

Ania włączyła cichy, spokojny jazzik, otworzyła kolejne drzwi prowadzące na niewielką werandę i gestem zaprosiła mnie, bym usiadł. Na werandzie, mającej charakter oranżerii przez terakotową posadzkę i skłębiony gąszcz kwiatów, stały wygodne, lekkie, pobielane fotele ogrodowe z wikliny i biała ławka-huśtawka, wymoszczona białymi i szarymi poduszkami.

Udało mi się z najwyższą ostrożnością umieścić podzwaniającą filiżankę na małym stoliku i czym prędzej opadłem na fotel. Ania usiadła na huśtawce, podwijając jedną nogę, drugą co pewien czas odpychała się od ziemi. Filiżankę i talerzyk trzymała w dłoniach w sposób najzupełniej swobodny. Ta ujmująca swoboda była w jej wszystkich ruchach, w sposobie prowadzenia rozmowy, zdradzała wyśmienite wychowanie i kulturę – coś, co naprawdę dobre domy zaszczipiają swym dzieciom w sposób odruchowy. W Ani czuć było tę klasę.

– Ta weranda to projekt twojego taty? – spytałem, rozglądając się dyskretnie po oranżerii, w której z kolei były takie bajery, jak ogromne okna-drzwi na rolnkach prowadzące na taras, podwieszany sufit z oświetleniem halogenowym i nowoczesny w rysunku witraż, wprawiony w bardzo wąską szczelinę w murze, biegnącą od sufitu do podłogi. Witraż pulsował wszystkimi odcieniami błękitu, rzucając niebieskie błyski na zielen kwiatów i nadając całemu wnętrzu głęboki, chłodny ton, który sprawiał, że pokój wyglądał jak zatopiony w wodzie. Czegoś takiego nie mógłby wymyślić zwykły człowiek.

– Tak – powiedziała Ania, wpatrując się w czubek swojego buta. – Zrobił projekt całego domu, ale zdążył zrealizować tylko parter. W tej chwili jest tu kuchnia, sypialnia, ten duży pokój z werandą i łazienka. Po przeciwnej stronie sieni jest już wybudowana pracownia, z której na razie korzystam tylko w okresie letnim, bo jest niewykończona i nie ma poprowadzonych instalacji. Tata projektował nadbudować piętro, w którym pomieściłyby się sypialnie... No cóż, na razie nie ma takiej potrzeby.

Miles Davies cichutko płakał na trąbce.

– I tak nie wyobrażam sobie, jak udaje ci się ten dom utrzymać – mruknąłem.

– Mam z tym trochę problemów, ale ogólnie jakoś sobie radzę. Mam rentę po rodzicach, prócz tego zarabiam, ostatnio już całkiem nieźle.

– Zarabiasz? W jaki sposób?

– Przede wszystkim projektuję witryny sklepowe. Mam już kilka sklepów, którymi się na stałe zajmuję. Trochę sprzedaję obrazki, piszę wierszyki dla dzieci...

– Piszesz wierszyki?

– Tak – odparła Ania, lekko się czerwieniąc. – Tak właściwie to piszę wiersze, te dla dzieci to produkt, powiedziałabym, uboczny, choć ostatnio coraz bardziej mnie ciągnie, żeby opracować własną książeczkę dla dzieci. Najzupełniej autorską – wiersze i ilustracje. W ogóle mam duszę typowo humanistyczną...

Milczałem.

Za żadne skarby nie chciałem poruszyć tematu matematyki. Wiedziałem doskonale, że oto pojawia się przede mną wspaniała pretekst do spotkań z Anią, wystarczy zaproponować jej pomoc w matematyce i rozwiąże się samoistnie dręczący mnie cały czas problem, jak być blisko niej. I wiedziałem też, że nie potrafię w ten sposób wykorzystać sytuacji, że mi po prostu nie wolno. Nie tak się chwyta rajskie ptaki. Nie tak. Na matematykę przyjdzie jeszcze czas, bo ona nie kłamie, gdy mówi, że nic kompletnie nie umie. Tak, ale to potem. A teraz, jeśli chcę, by mnie polubiła, zaufała mi i zaczęła traktować jak przyjaciela, to nie mogę wykorzystywać swej przewagi.

Trąbka łkała słodko, a ja siedziałem bez słowa.

Nie wiedziałem, jak w naturalny sposób mogę zaproponować Ani swoje wsparcie. Przecież już od roku jest sama i daje sobie radę, dlaczego niby miałyby przyjmować jakąkolwiek pomoc? Jest odważna, samodzielna, dorosła, ułożyła swe życie z namysłem, tak jak umiała najlepiej, więc jak sprawić, by zechciała w nim znaleźć miejsce dla mnie? Nie miałem absolutnie nic, żadnego punktu zaczepienia, prócz tego jednego, z którego nie chciałem skorzystać.

Patrzyłem na Anię kołyszącą się na huśtawce, bardzo szczupłą, o długich nogach, wąskich dłoniach i stopach, z burzą wijących się jasnozłoty włosów, bledziutką, wymęczoną bólem Anię, wtuloną w poduszki i czułem całkowitą, porażającą pewność, dotyczącą uczuć i równie całkowitą niepewność, jeśli chodzi o poczynania.

– Bim, bim, bim, bim – powiedział stary zegar, ukryty gdzieś wewnątrz pokoju.

Nie sądziłem, że mogła już się zrobić czwarta.

Z wewnętrznej kieszonki marynarki wyjąłem mały bloczek i pióro, zapisałem mój domowy numer telefonu.

– Aniu, mówiłaś, że masz jakieś problemy z samochodem – powiedziałem. – Gdybym mógł być ci w jakiś sposób pomocny, zresztą niekoniecznie jeśli chodzi o samochód, gdybyś miała jakiś problem, to możesz do mnie zawsze zadzwonić.

Boże, odważyłem się to powiedzieć...

Ania wpatrywała się we mnie z uwagą. Zaszło mi w ustach, miałem potworną ochotę na papierosa i wiedziałem, że muszę wytrzymać jej spojrzenie.

– Dziękuję – powiedziała wreszcie. – Ale wiem, że to będzie dla pana kłopot.

Odczułem tak dużą ulgę, że odruchowo wyjąłem papierosa i zapaliłem. Pierwsze uderzenie dymu o gardło przywróciło mi nieco do przytomności.

– Wykluczone – powiedziałem spokojnie. – Przepraszam, nie spytałem cię, czy mogę zapalić.

– Naturalnie, proszę bardzo – odparła – tu gdzieś jest popielniczka...

Skinałem głowę.

– Wykluczone – powtórzyłem. – To nie będzie dla mnie żaden kłopot. Aniu... – pochyliłem się do przodu, opierając łokcie o kolana. – Nie sądz, że nie domyślam się, z jakimi trudnościami musiałaś się uporać, żeby ten dom był tak piękny, ciepły i pełen życia, jak jest teraz. Wiem dobrze, że to nie przyszło samo. – Przerwałem na chwilę, uśmiechnąłem się lekko i kontynuowałem: – Wiem także, że dla dziewczyny może stać się problemem wywiercenie dziury, zmiana opony, zreperowanie zlewu, te wszystkie rzeczy, które mężczyźni wykonują zupełnie bez trudu. Dlatego chciałbym, abyś wiedziała, że w takich sytuacjach zawsze możesz liczyć na moją pomoc. Proszę, pamiętaj o tym.

Ania siedziała w absolutnym bezruchu, wpatrując się we mnie ogromnymi, niebieskimi oczami. Więc ma niebieskie oczy. Wtedy w gabinecie lekarskim były czarne z bólu.

– Dziękuję – powiedziała wreszcie. – Dziękuję panu za wszystko.

– Czy lepiej się teraz czujesz? Mogę cię już zostawić?

– Tak...

– W takim razie ładujemy bagażnik jabłek i nie będę cię dłużej zadreślał swoją obecnością.

- Ależ pan wcale... Ależ nie...
- Aha, akurat. Widziałem, jaka byłaś przerażona na początku, gdy zaproponowałem, że cię odwiozę.
- Ale to na początku...
- A teraz już nie?
- Teraz nie.
- No to całe szczęście. W takim razie mamy zrobiony pierwszy krok. – Uśmiechnąłem się do niej.

Ania odwzajemniła mój uśmiech. Wydawała się zaskoczona, oszołomiona, ale jednak się uśmiechnęła. Sięgnęła po spory wiklinowy koszyk, odsunęła szklaną taflę drzwi i wyszliśmy razem na taras, a potem po schodkach do ogrodu. Był dość zdziczały, ze skłębioną, dawno niestrzyżoną trawą, wysokimi kępami ostów i jakichś chęchów, zamykał się rzędem wysokich świerków, brzoź i modrzewi. Z prawej strony rosły w równych szeregach drzewa owocowe, rzeczywiście z przytłaczającą przewagą jabłoni. Już chciałem zaproponować, że może tu wejść z kosiarką i doprowadzę trochę ogród do ładu, ale potem pomyślałem, że przy tej ilości spadłych jabłek kosiarka od razu spełni rolę sokowirówki... Prędko nabieraliśmy pełen kosz.

– Proszę, niech pan to zanieś do samochodu i wróci jeszcze raz – poprosiła Ania.

– Bój się Boga, ale co ja zrobię z taką ilością jabłek?

– Jak bagażnik, to bagażnik... – Roześmiała się.

– Dobrze – poddałem się i ruszyłem do samochodu, zastanawiając się, co powie moja matka, gdy przyniosę jej do domu pół sadu.

Obróciłem jeszcze raz, potem przeszliśmy z Anią na front domu.

– Pamiętaj o przyrzeczeniu – powiedziałem. – Do zobaczenia, Aniu.

Zapaliłem silnik i zacząłem pomalutku wycofywać samochód, uważając, żeby nie połamać krzaków. Gdy spojrzałem w lusterko, Ania stała przy furtce w swoich czarnych bardzo wąskich spodniach, czarnym luźnym swetrze, spod którego wyglądał biały kołnierzyk, z falą jasnych włosów i z koszykiem w ręce. Podniosłem dłoń w geście pożegnania i ruszyłem.

Miałem niczym niezmaconą pewność, że nigdy do mnie nie zadzwoni, ale wiedziałem też, że myśli o mnie zupełnie co innego, niż myślała dotąd. I choć sama nie zadzwoni, to może odpowie na kolejny krok z mojej strony.

Pojechałem do domu obmyślać ten krok.

6 października

Oczywiście nic nie wymyśliłem, za to zacząłem definitywnie usuwać wszelkie ślady Majki z mojej przestrzeni prywatnej. Impulsem do tych zmian było pytanie Piotrka, czy nie chciałbym przypadkiem dużego, prawie nowego materaca, bo udało im się kupić okazji nowe łóżko, w związku z czym materac mają na zbyciu.

Przypadkiem chciałem.

Gdy mieszkała u mnie Majka, mieliśmy wielkie, rozłożyste łóże na całą sypialnię, dokładnie naprzeciwko szafy ściennej firmy Komandor, do której Majka zażyczyła sobie lustrzane drzwi, bo jarało ją oglądanie naszych nagich wyczynów. Nie chcę przez to powiedzieć, że trzeba mieć defekt mózgu, żeby się jarać takimi rzeczami, owszem, ja też lubiłem czasem zerknąć, ale za to zdecydowanie się przeciwstawiłem, gdy Majka zażądała przymocowania lustra na suficie nad łóżkiem. Bałem się, że mimo wszelkich moich starań, konstrukcja nie wytrzyma, cholerne lustro zleci nam na łeb w finałowej scenie i – jak to mówi Leszek – zostanie z nas gówno i buty, a nawet i tyle nie. Nie byliśmy kowbojami, nie chodziliśmy spać w butach.

Po naszym rozstaniu Majka zabrała oczywiście łóże, posunąłem się nawet do tego, że je rozkręciłem, zniosłem do samochodu i odwiozłem pod wskazany adres. Szafy na szczęście nie wzięła. Zostałem w sypialni sam, na dmuchanym materacu, na wprost całej ściany luster. Trzeba przyznać, że czułem się co najmniej jak baletnica w sali ćwiczeń i zaczęła mnie prześladować myśl, że jednak tak wysoko to nogi nie uniosę. Materac od Piotrka i Uli był zatem pierwszym kamykiem, poruszającym lawinę zmian.

Najpierw wypieprzyłem lustro, zostawiłem je tylko na jednej płycinie drzwi, resztę zastępując sklejką, którą pomalowałem na czarno. Z kilku starych desek, które miałem w piwnicy, zbiłem podest pod materac. Przy okazji pomyślałem, że dobrze byłoby mieć w domu jakąś skrytkę na chowanie dziennika – Piotrek miał klucze do mojego mieszkania, mama też, raczej wolałbym, by taki rozłożony na wierzchu dziennik nie kusił nikogo swą jakże ewidentną dostępnością... Co nie znaczy, że nie mam zaufania do najbliższych mi osób, ale jednak strzeżonego... Po co ma im to wpadać w oko? Ruchoma deska w podeście załatwiła sprawę.

Materac dostałem naprawdę fajny, prawie nowy, metr sześćdziesiąt na dwa metry. Całe szczęście. Wyrosłem już z wieku harcerskiego, spanie na

dmuchanym materacu, z którego co noc schodzi całe powietrze, jakoś przestało sprawiać mi przyjemność. Z dwóch starych palet, wyszlifowanych na gładko i pomalowanych na czarno, zrobiłem zagłówek, z reszty desek półki na książki, dokupiłem tylko w Ikei wsporniki. Wyrzuciłem won wszystkie bibeloty Majki, jakieś nasze wspólne zdjęcia w ozdobnych ramkach, wszystko to popakowałem w pudła i zniosłem do piwnicy. Kwiatki Majki oddałem mojej mamie, która zawsze miała „zielone” ręce, a sam po namyśle i przypomnieniu sobie *Leona Zawodowca*, kupiłem jeden duży kwiat o prostych jak sztylety liściach. Powstrzymałem się przed nadaniem mu jakiegokolwiek imienia.

Przestrzeń się oczyściła, ponieważ miałem już pensję ze szkoły i nieoczekiwanie przyszło jakieś ostateczne wyrównanie z firmy, więc raptem spłynęło mi trochę forsy. Oddałem pożyczkę Uli i uznałem, że będzie mnie jeszcze stać, by odmalować mieszkanie. Nie wiem, co mnie niosło, chyba potrzeba, by wszelki ślad po Majce zniknął z mojego życia.

W dużym pokoju pomalowałem ściany na biało, a sufit na szaro, a sypialnię całą na szaro.

Poprzestawiałem trochę meble, niewiele tego miałem, głównie półki na książki, w salonie fotel, sofę i niewielki stół, telewizor, dwa krzesła. Wychrzanilem wszystkie obrazki Majki, nie chciałem niczego, co mogłoby mi ją przypomnieć. Zostałem z pustymi ścianami i poczułem się znacznie lepiej.

Miałem tylko to, co trzeba. Głęboki fotel, w którym mogłem czytać, oglądać telewizję i słuchać muzyki, niewielki blat do pisania, dużo półek, stół. W sypialni prawie normalne łóżko, duże, wygodne i puste, półkę, na którą łatwo było sięgnąć, czy coś na nią odłożyć, lampkę nocną z regulacją ostrości światła. Obszerną, teraz prawie pustą szafę i komputer.

Kuchnia była ergonomiczna, miała mnóstwo szafek i blatów, tyle że nie grzeszyła urodą. Po namyśle pomalowałem drewniane fronty szafek też na szaro i wreszcie się uspokoilem. Mieszkanie zmieniło zupełnie swój wyraz, teraz było męskie i tylko męskie. Było moje.

Majka odeszła ode mnie po raz kolejny i nic już nie mogło sprawić, by powróciła kiedykolwiek. Zapachy wyrugowane, ślady zatarte, zasypane wspomnienia.

Wieczorem położyłem się do mojego nowego łóżka, w nową, zupełnie czarną pościel (Majka uznawała tylko białą, krochmaloną w dodatku na sztywno), zapaliłem nocną lampkę i wpatrzyłem się w sufit. Leżałem

zupełnie sam, nagi i bezbronny, samotny i czysty w pachnącym świeżą farbą mieszkaniu – pustym, surowym, oszczędnym, oczyszczonym z pamięci.

Byłem zupełnie sam i moje serce podnosiło się po raz kolejny.

12 października

W związku z czym w następną sobotę pojechałem do Leszka.

Leszek dzwonił do mnie w tygodniu, powiedział, że musi naprawić płot i czybym mu w tym nie pomógł, bo jakoś mu nie wyrosła trzecia i czwarta ręka. Powiedziałem, że jasne i pojechałem do niego w sobotę rano. Okazało się, że musi przygotować dodatkowy padok, bo właśnie kupił nowego konia, ogiera.

Poszliśmy go obejrzeć.

Ogier był gigantyczny, cały czarny, wyglądał jak Smok Wawelski. Oczy miał zupełnie czerwone, więc spytałem Leszka, czy puszcza ogień pyskiem, czy nosem, na co Leszek się roześmiał i poklepał potwora po szyi, zwracając się do niego: „Maklerku”. Maklerek coś zaryczał w odpowiedzi, a ja pomyślałem, że różne ludzie mają fioły. Ja nie dotknąłbym Maklerka długim drągiem, bo prędzej bym się zesrał ze strachu, ale co kto lubi. Maklerek oczywiście musiał mieć osobny wybieg, zupełnie zrozumiałe, przecież inaczej zeżarłby żywcem resztę koni, więc Leszek przysposabiał kawał łąki i montował ogrodzenie z długich żerdzi. Rzeczywiście było to trochę niewygodne w pojedynkę.

Zbierałem się pół dnia, żeby wyartykułować jakąś wypowiedź o Ani, wreszcie Leszek mnie ubiegł.

– No, mów – powiedział. – Mów, co się stało, bo tak się nadymasz, że zaraz ci żyłka pierdząca pęknie.

– Zakochałem się – powiedziałem.

Leszkowi długi drąg wysnął się z rąk i poleciał nam prawie na nogi. Odkoczyliśmy w tym samym momencie.

– Proszę cię – poprosił Leszek. – Uprzedzaj jakoś, bo dostanę zawału. W kim się zakochałeś?

– W Ani – powiedziałem.

– Wiesz, że trzeźwy stąd dzisiaj nie wyjdiesz? – spytał.

– Wiem.

– To chodź do chałupy, bo dziś już na nic ta robota.

Czasem Leszek zachowuje się zupełnie tak jak kochana babcia, która zawsze trzyma ulubiony smakołyk dla swego wnusia i podtyka mu go, gdy ten ją odwiedzi. Leszek tak trzyma dla mnie whisky. Sam woli raczej wódkę i to zdecydowanie czystą, natomiast jakimś dziwnym trafem zawsze się dla mnie jakaś whisky znajdzie.

Usiedliśmy w salonie i odraportowałem mu uczciwie wszystko od początku do końca. Leszek patrzył na mnie cały czas bardzo uważnie.

– Prokurator wchodzi? – spytał krótko.

– Zwariowałaś? Ania ma osiemnaście lat.

– A nogi do samego nieba? – spytał jeszcze, robiąc przytyk do pewnego wiersza, który kiedyś napisałem, za jego zresztą namową, tuż po aferze z Garlickim, kiedy musiałem sobie przypominać, że są jeszcze na świecie fajne rzeczy.

– Do nieba i jeszcze dłuższe. – Uśmiechnąłem się.

– A w dodatku nie umie matmy, a ty występujesz jako zły wilk, który połyka bez gryzienia, czy jak to tam szło o tym Kapturku?

Skinałem głową.

– No to co masz zamiar zrobić?

– Właśnie nie wiem. Wiem, że ją Kocham.

– Rany boskie – powiedział Leszek i zamilkł.

Ja też zamilkłem, bo jakoś nie było mi łatwo mówić o tym wszystkim. Leszek nalał nam trzecią szklanekę whisky.

– „Za nieobecnych przyjaciół, stracone miłości, starych bogów i porę mgieł. I niech każdy z nas odda diabłu, co jego” – powiedział słowami Neila Gaimana nasz odwieczny, ulubiony toast, pozbawiający nas przytomności w różnych momentach naszego żywota.

Wypiliśmy.

– A jak Marysia? – spytał jeszcze Leszek.

– Przyjedź do mnie, zobacz mieszkanie – zaproponowałem.

– Gruntowny remont?

Przytaknąłem.

– Widzisz to wnętrze? – spytał znowu. – A pamiętasz, jak wyglądało, gdy była Patrycja?

Pamiętałem. Połapałem się, że obaj zrobiliśmy to samo – remont generalny, by usunąć wszystko, co mogłoby kaleczyć serce.

– No to dla twojej prywatnej informacji – gdyby przyszła do mnie kiedykolwiek i powiedziała: „Zaczynamy jeszcze raz”, to mimo że widzisz,

jak ten dom wygląda, upadłbym na kolana i dziękowałbym jej aż do śmierci... To tyle, jeśli chodzi o remonty.

– Ja już nie upadnę przed Majką – powiedziałem. – Nigdy. Zakochałem się. Czy to do ciebie dociera? Pozbyłem się tego upiora, wampira wysysającego moją krew dzień i noc.

– Po kilku drinkach zdecydowanie zanika w twych wypowiedziach poczucie obciachu.

– Spadaj. Dolej. Pozbyłem się Majki. Jestem wolny. Tak wolny, że mogłem się zakochać.

– Jesteś szalony, wiesz o tym? Opowiedz mi coś o niej.

Ale w tym momencie Bila poderwała się i runęła do drzwi, więc kontrolnie wyszliśmy na dwór sprawdzić, co się stało. Bila wybiegła z nami, stanęła, zamarła, potem ruszyła i rozpoczęła oszczek taktyczny.

– Chyba wrócę po strzelbę – westchnął Leszek.

– No wiesz... – powiedziałem niepewnie. – Jeśli zaczniesz dokonywać próby ostrzału spokojnych obywateli tylko dlatego, że przechodzą akurat koło twojego płotu, to może się to spotkać z pewną dezaprobatą. Naprawdę się nie zdziwię, jak przyjedzie po ciebie czarna sotnia.

– Zwariowałaś? – spytał z ciekawością Leszek. – To przecież dziki, nie ludzie.

– Nie będę uprawiał dzika, wybij to sobie z głowy – zastrzegłem.

– Chyba cię pogięło. Chodź, odstraszymy je trochę, bo zrobiły się już za bardzo bezczelne.

Na Bilę nie mogliśmy specjalnie liczyć, dynamikę miała akurat taką jak lodówka i taką samą przejawiała zdolność bojową. Wyszliśmy przed bramę razem, Leszek podniósł strzelbę i wypalił pionowo w niebo. Mrok pod naszymi nogami gwałtownie się zakłębił, a potem runął w jeszcze większy mrok, tam gdzie stała ściana lasu. Łomot i tętent ucichł.

– No i już – powiedział Leszek. – Wracamy. Obesrany?

– Nie zdążyłem.

– Tak to już jest u nas na prowincji.

Wiedziałem doskonale, że nie strzeliłyby do tych dzików, nawet gdyby mu próbowały ryć podłogę w salonie. Leszek generalnie lubił zwierzęta. Zawsze miał dużo psów, bo ludzie połapali się i wrzucali mu psy przez siatkę. Leszek odkarmił, odchuchiwał, wynajdywał nowe domy. Czasem psy zostawały. Pamiętam moment, gdy miał sforę złożoną chyba z ośmiu egzemplarzy, ostatnio ograniczył się do trzech. Ilości kotów chyba sam nie

był w stanie ogarnąć, pętało się to po stajni i domu, śpiąc w najdziwniejszych miejscach i kradnąc co się dało. Cholerna kura Petronela wskakiwała człowiekowi na kolana. Trzeba było bardzo lubić zwierzęta, żeby mieszkać z Leszkiem. Ja zwierzęta zawsze lubiłem, zresztą u Leszka tylko bywałem. Z Patrycją było gorzej.

Zdaje się, że kres temu związkowi położyła kura, choć właściwie to chyba był pretekst. Tak naprawdę to Patrycja była głupią cipą bez serca, nie mogłem się nadziwić Leszkowi, że stracił dla niej głowę, bo to nie była dziewczyna, dla której warto tracić cokolwiek. Nigdy tego Leszkowi nie powiedziałem. Była dla niego ważna, przyjąłem ją z dobrodziejstwem inwentarza. Gdy odeszła, Leszek był w naprawdę złym stanie.

Pomyślałem wtedy, jak wiele mogą z nami zrobić kobiety. Człowiek wydaje się mądry, normalny, trzeźwy, myślący, zahartowany, a raptem zdarza się Pacia, zdarza się Majka i zdarza się nieszczęście.

Tym razem miała się zdarzyć Ania... a na żadne nieszczęście nie byłem gotów.

– Dobrze – powiedział Leszek. – Miałeś mi o niej coś opowiedzieć.

Ale byłem już w objęciach piątej whisky, więc zacząłem mówić na głos *Beniowskiego*, ten najpiękniejszy kawałek od: „Kłębami dymu niechaj się otoczę...”. Fotel pływał pode mną jak wielki żaglowiec. Dotarłem do słów: „Patrzaj! powracam bez serca i sławy, jak obłąkany ptak i u nóg leżę...” – i się zatrzymałem.

Leszek podniósł się, podszedł do okna i odsłonił żaluzję. Wielki księżyc stał nieruchomo nad domem, zalewając wszystko upiornym blaskiem, tak jak to tylko księżycy potrafią.

– Ty pajacu – powiedział cicho Leszek. – Ty kretynie, ty zasrany romantyku... Nie masz nawet pojęcia, jak ja ci zazdroszczę...

13 października

Następnego dnia dokończyliśmy budowę płotu, żeby Maklerek miał co roznosić kopytami w drzazgi, i poprosiłem Leszka:

– Nie rozmawiajmy więcej o Ani. Jeszcze nie umiem, muszę sobie wszystko w głowie od nowa poukładać.

– Jasne. – Leszek się uśmiechnął. – Co prawda chętnie zobaczyłbym na własne oczy dziewczynę, która doprowadziła cię do takiego stanu, ale nie ma sprawy, mogę poczekać. Wrócimy do tego, kiedy będziesz chciał.

Pomyślałem, że jego też kocham.

14 października

A potem uznałem, że muszę trochę przystopować z alkoholem...

16 października

Mam dwadzieścia dziewięć lat, za sobą naprawdę sporo doświadczeń i do tej pory byłem przekonany, że zdołałem się już uodpornić na nieprzewidziane wypadki losowe, w każdym razie o tyle, by nie burzyły doszczętnie wszystkiego, co dotąd udało mi się wypracować.

Ale ta blondwłosa małolata o oczach, w których czai się uśmiech i gorycz bardziej gorzka niż najbardziej trujące zioła, rujnuje mój spokój. Ona ma osiemnaście lat, ja o jedenaście lat więcej, ona jest uczennicą, ja profesorem, wiem, że to wszystko z daleka pachnie jeśli nie prokuratorem, to porażką, która jest w cały układ nieomylnie wpisana, i co z tego, że próbuję się przed tym bronić?

Patrzyłem na nią w szkole następnego dnia po tym, jak odwiozłem ją do domu.

Pamiętałem przecież jej twarz, ale gdy zobaczyłem ją znów – drgnąłem. Co w niej jest? Pamiętałem, jak wyglądała, lekko przechylona na moje ramię, z kaskadą włosów przerzuconą przez rękaw mojej marynarki, połyskliwych i drgających światłem. Twarz była delikatna i wąska, oczy leżały głęboko w oczodołach, podłużne płatki powiek, tak cieniutkie, jak z papieru, rzęsy długie na pół palca, ich cień na pół policzka, buzia drobna, wyraźne wszystkie kości, na nich troszkę mięsa, płaściutko i skóra. Ania.

Twarz smutna, włosy na oczach, oczy rozstawione dość szeroko, zamknięte, nic o nich nie wiedziałem. Usta pełne i łagodne w wykroju, ale

wargi nie do pary, a raczej ich wyraz przeciwstawny sobie – górna ściągnięta, dorosła, dolna dziecinna, słodka. Włosy były rozsypane i osuwały się ciężką falą.

I jeszcze ten ułamek skóry tuż przy uchu, delikatny, jak ze snu – i stamtąd chyba poszła ta lawina.

Potem jej czarne oczy w gabinecie, determinacja spoconej dłoni i próba ukrycia przestachu... Czego się bała? Przecież nie mnie. Może mojej arogancji. I rozmowa w samochodzie – wahająca się na granicy jakiejś dziwnej gry, w której była zalotność i obawa, odwaga, nieprzekupność i zadziorność, i nieuchwytny flirt, który nie próbował niczego załatwić, niczego wykorzystać, który po prostu igrał w słońcu i trzepotał się jak ptak, nie zdając sobie sprawy z własnego istnienia.

I jeszcze w kuchni: „Proszę wybaczyć mi śmiałość...” i oczy już niebieskie, niebieskie jak wszystkie morza świata.

Gdy następnego dnia zobaczyłem ją w szkole, wydała mi się wyższa i bardziej kobieca niż dziecinna. Nie znaczy to, że nie była równie krucha jak wczoraj, ale kruchość ta łączyła się z obłą, falistą linią jej ciała – idealnie zgodnie. Włosy nie były tak jasne, jak mi się wydawały, raczej buszował po nich tylko ten platynowy, prześwietlony błysk, ulotny, a jednak pozostający jako jedyny we wspomnieniu.

Cóż dziwnego, że zgłupiałem od tego zupełnie? Rozsądek podpowiadał, że już dosyć napłatałem sobie w życiu, brał mnie stanowczo pod rękę i odprowadzał na stronę, gdzie klarował potem z umęczonym wysiłkiem: „Stary, to nie dla ciebie. Zostaw ją, to dziecko, nic dobrego z tego nie wyniknie, stracisz siły i zdrowie, i równowagę psychiczną, której i tak nie masz za wiele, możesz być narwany, ale nie szukaj usilnie guza, zgłupiałeś na stare lata, jak ty to sobie właściwie wyobrażasz?”

Nie wyobrażałem sobie.

Po Majce miałem w życiu dość rozpaczliwy okres, gdy narkotyzowałem się przygodnymi panienkami, szybkimi i łatwymi w obsłudze, których prędkość wyskakiwania z majtek nawet mnie samego wprawiała w zakłopotanie, ale jak każdy facet korzystałem z tego, nie wiedząc właściwie, dlaczego miałbym sobie odmawiać. Aż wreszcie ogarnęła mnie przerażająca pustka, w której nie było już miejsca ani na takie kontakty, ani na żaden inny prawdziwy związek, byłem pusty, obolały i suchy. I wtedy właśnie przyszła ta chwila. Najpierw, odruchowo, uwierzyłem. Potem

zacząłem zaprzeczać. Bronilem się, lecz jak miałem przed tym uciec, do ciężkiej cholery?

Przeczuwałem, w co wchodzę i w żaden sposób nie potrafiłem temu zapobiec. Nie było w tym ani konsekwencji, ani mądrości, ani bolesności doświadczeń, nie było przewidywania, właściwie w ogóle nie było rozsądku. Tylko to irracjonalne drgnięcie, które raptem zamienia człowieka w wariacką wysepkę czystego romantyzmu w morzu cynicznej walki o to, by nie dać się zrobić światu po raz kolejny.

Ale gdyby nie było tych irracjonalnych drgnięć, czy w ogóle mogłaby istnieć miłość?

Nie, już nie chcę o niczym mówić. Wszystko stało się poza mną... Wiedziałem o tym od dawna i ta decyzja zapadała we mnie bez odwołania, na przekór wszystkiemu, co mogłoby mnie uratować, bez najmniejszych wątpliwości, wbrew desperackim i niemoralnym próbom obrony.

Wiem już wszystko. Jest noc, 16 października, siedzę nad tym zeszytem, Susan Vega śpiewa, a ja spalam się łagodnym ogniem, bardziej nieuchronnym niż mógłbym kiedykolwiek przewidzieć, niżbym chciał...

17 października

Moje kontakty z Anią, niestety, zatrzymały się w fazie pełnego zawieszenia.

Codziennie mówiłem jej w szkole „Cześć”, ona niezmiennie odpowiadała „Dzień dobry” i nie szukała ze mną bliskości. Jasne włosy, szczupła, giętka, uchylająca się przed spojrzeniem. Nie wiedziałem, czego się złapać, w jaki sposób zacieśnić relacje. Zdarzało mi się zerkać na nią ostrożnie, gdy nie widziała, ani razu nie przyłapałem jej na żadnym spojrzeniu. Nic, absolutnie nic, co mogłoby dawać jakiegokolwiek nadzieje.

W drugim tygodniu października nastąpiło w klasie małe zamieszanie, spowodowane nieoczekiwanym wyjazdem Apolonii wraz z rodzicami do Anglii. Pola chciała kończyć naszą szkołę, trzeba było przygotować jej ćwiczenia do samodzielnej pracy, co miesiąc miała pisać test ze wszystkich przedmiotów, aby uzyskać zaliczającą ocenę. A Apolonia siedziała w ławce z Anią.

Zdałem sobie sprawę, że to pewnie jej najbliższa przyjaciółka i zrobiło mi się cholernie przykro, gdy pomyślałem, że również Polę musi Ania utracić. Nie wiedziałem, czy jest zaprzyjaźniona z kimś innym, czy zostanie po raz kolejny sama – sama w klasie, sama w ławce.

Jak się okazało, o to ostatnie nie musiałem się martwić. Gdy po wyjeździe Poli przyszedłem na lekcję do czwartej, Ania siedziała z Michałem Krassowskim.

Kojarzyłem Michała, bo zdarzyło mu się raz odpowiedzieć całkiem przytomnie i połapałem się, że facet kuma bazę, co na tle tego koszmarnego bezrefleksia stanowiło miłą odmianę. Teraz jednak wkurzyłem się strasznie. Nie było w tej klasie zwyczaju, żeby faceci siedzieli z dziewczynami, stąd wniosek, że musiała ich chyba łączyć bardzo bliska relacja. Jaka – wolałem się raczej nie domyślać...

Przyjrzałem się dokładnie Michałowi. Był bardzo w typie takiego amerykańskiego aktora Matta Damona – ta sama asymetria w twarzy, taki sam zabójczy wdzięk, przy – na dobrą sprawę – braku urody. Michał, tak jak Matt, nie był ładny, był za to cholernie przystojny. Wysoki, dobrze zbudowany, zdolny, inteligentny, nie pękający przed światem... Prawdopodobnie w pysk też umiał lunać, zupełnie tak samo, jak Damon. Nie spodobało mi się to wszystko. Cholernie mi się nie spodobało.

Potem pomyślałem, że właściwie czego chcę od świata, przecież taka dziewczyna jak Ania nie mogła być sama. Apolonia wyjechała, nie zdążyłem się z nią zaprzyjaźnić i spytać o wszystko. Zresztą pewnie by mi nie powiedziała.

Ania, Michał. Nie mogłem o tym myśleć. Co za niefart. Facet nie jest jakimś dupkiem, którego łatwo ośmieszyć, nie, facet jest spoko. Nic do niego nie miałem, prócz tego, że kręcił się za blisko Ani. Na przerwach też byli prawie cały czas razem. Nie dotykali się, nie obejmowali, nie było między nimi nic, co skłaniałoby do jakichś podejrzeń, ale... kto się sparzył na gorącym mleku, ten na zimną krowę dmucha. Serce... serce było nieufne, wyczułone na każdy ruch, podejrzliwe do bólu, tyle razy już oszukane, że teraz stężało w niepokoju.

Muszę się jakoś połapać, muszę rozgryźć tę relację, inaczej wszystko na nic. Nie zdobędę Ani.

Czy ona się w nim kocha?

Dopomógł mi przypadek, a raczej to ja temu przypadkowi pomogłem. Trudno, odpiardolcie się ode mnie wszyscy święci.

Zobaczyłem w szkole Anię z ogromną reklamówką, z której wystawały na wszystkie strony jakieś dziwne kształty. Zostawiła torbę w szatni, udało mi się dotrzeć do niej niepostrzeżenie. Mam przy kluczach mały breloczek, a w nim zestaw survivalowca i włamywacza-dżentelmena: pilnik, małe

szczypcę, małe ostrze scyzoryka, małe nożyczki i małą latarkę, a ponadto otwieracz do piwa i korkociąg.

Obejrzałem się starannie na boki, po czym bez wahania nadciąłem reklamówkę z góry na dół, tak aby wytrzymała, powiedzmy, kilka pierwszych kroków. Potem sprawdziłem, ile Ania ma lekcji i postanowiłem warować przy szatni, żeby katastrofa przypadkiem mnie nie ominęła. Miałem tego dnia wyjątkowo mało zajęć, liczyłem, że Ania będzie miała więcej.

Darek spytał, czemu siedzę po godzinach, wyłgałem się, że muszę uzupełnić dziennik. Zbyszek też spytał – powiedziałem, że czekam na obiad. Rzeczywiście, w szkole od października ruszyły obiady i wykupiłem je, mimo głębokiego niepokoju, jakim przejmował mnie zapach powietrza w okolicy stołówki. Powietrze pachniało jak długo gotowane części garderoby, z którymi nie bardzo wiadomo, co zrobić – czy od razu wyrzucić, czy jeszcze spróbować ostatni raz wyprać.

Tym razem aromat mnie nie powstrzymał, czekałem na Anię i co więcej mogło się liczyć?

Gdybym się nawet bardzo starał i tak nie udałooby mi się zaplanować całej akcji lepiej. Nadwątlona torba z najwyższym taktem rozerwała się do końca tuż pod moimi nogami. Cała zawartość runęła na podłogę i mogłem rzucić się do pomocy. Ania zbierała tuż koło mnie, wściekła i czerwona.

– Co to jest? – spytałem z zaciekawieniem, podając jej jakiś duży, półprzezroczysty element, który z niczym mi się jakoś nie kojarzył.

– Chmury – odparła krótko.

– A więc mamy spotkanie w chmurach.

W ostatniej chwili powiedziałem „spotkanie”, miałem na końcu języka „pierwszy krok”, ale już to chyba kiedyś wcześniej powiedziałem, poza tym nie wiedziałem, czy lubi Hłaskę.

Ania podniosła głowę i przyjrzała mi się z zaciekawieniem. Boże, jakie miała piękne oczy. Jaka cała była piękna, zażenowana, trochę niepewna, trochę zła, trochę zainteresowana...

– Czy wiesz, że się w tobie zakochałem? – chciałem spytać po prostu i w ostatniej chwili się powstrzymałem.

W romantycznych oparach zupy ze starych szmat patrzyliśmy na siebie, klęcząc na podłodze.

– Kocham cię – mówiło coś we mnie.

– Dokąd to wiesz? – zapytałem.

– Na witrynę. Właśnie montuję wystawę.

– A to są elementy tej wystawy?

Wyciągnąłem rękę, wyjąłem jej z dłoni wielkie tektury.

– Daj. Podwiozę cię.

Oczywiście zaoponowała.

– No, przestań. To niewygodne, a poza tym chyba ci torba pękła.

Tak, tak, wiem coś o tym. Od rzemyczka do koniczka, najpierw rozpruwam ludziom torby, potem zacznę wyciągać portfele...

– Gdzie to jest? – spytałem Anię.

Śródmieście. Wyszliśmy razem przed szkołę, otworzyłem przed nią drzwi samochodu. Znów była tuż przy mnie, na fotelu obok. Drobną, szczuplutką kolana, chmurny profil. Promień słońca przedarł się przez ołowiane niebo i obrysował jej kontur blaskiem. Wycofałem samochód.

Jak długo można jechać do Śródmieścia?

Jak długo będę miał ją tutaj, na siedzeniu obok, bez zaciekawionych ludzkich spojrzeń? Co mogę jej powiedzieć? Jakimi słowami?

– A właściwie – spytałem z namysłem – dlaczego jeździsz z tym wszystkim w objęciach komunikacją miejską? Nie chcesz reaktywować swojego samochodu?

Samochód. To jedyne, czego się mogłem uczepić. Problemy z samochodem. Nic na ten temat nie mówiła, nie prosiła mnie o pomoc. Udałem, że w ogóle tego nie zauważam. Udałem sam przed sobą, że właśnie zwróciła się do mnie o poradę.

– Chcesz czy nie chcesz? – spytałem.

Bo ja chcę... Chcę do obłędu. Chcę cię, moje ulotne marzenie, „światło mojej duszy, płomieniu”... Nie, proszę, Nabokov się w grobie przewraca i gryzie trumnę.

– Bo nie mówisz o tym, nie dzwonisz...

Ania nic nie odpowiadała. Spociłem się cały z przejęcia. Wciąż odwrócona profilem, piękna, której wdziera się w życie bestia. Wdzierałem się bez umiaru. Musiałem wykorzystać jedyną chwilę. Jedyne pretekst.

– Widzę, że to jakaś poważna sprawa – powiedziałem desperacko.

Niech chociaż spojrzy na mnie. Spojrzała.

– Przepraszam, zamysliłam się. Chciałabym, pewnie. Myślę, że to ułatwiłoby mi życie.

– Więc? – spytałem, z kompletnie suchym gardłem. – Kiedy się umawiamy?

Samochód przede mną przyhamował, w ostatniej chwili unikałem zderzenia. Ręce mi się trzęsły, noga na pedale gazu też. Zaraz mi powie, żebym się bujał. Zaraz mi powie, że ją molestuję i Bogiem a prawdą, nie pomyli się. Zaraz na mnie fuknie, albo, co gorsza, wyśmieje, albo się przerazi... Każdy by się przeraził. Sam bym się przeraził na jej miejscu.

– Słuchaj – powiedziałem nieswoim głosem. – Muszę go po prostu obejrzeć. Trzeba go podładować, podregulować. Zobaczyć, czy wszystko w porządku. Masz opłacone OC i AC?

Skinęła głową. A potem – potem spytała cicho:

– A nie szkoda panu czasu?

Tym razem o mało się na ten samochód przed nami nie władowałem, bo mgła zasłoniła mi oczy. Zgodziła się. Zgodziła. Zgodziła. Zrobiłem pierwszy krok, prosto w chmury.

– Nie – powiedziałem stanowczo. – Nie szkoda.

19 października

Piotrek nagrał jakichś klientów, ale wszystko scedowałem na niego, bo przecież musiałem w sobotę pojechać do Ani.

– Stary, tak się nie da – powiedział Piotrek, wściekły jak rzadko. – Albo coś robimy razem, albo...

– Proszę cię. Tylko raz. Naprawdę nie mogę.

– Ale co się, kurwa, stało?

– Kurwa, zakochałem się – powiedziałem, bo już dłużej nie dało się tego utrzymać w tajemnicy.

Piotrek zamarł, obrzucił mnie zszokowanym spojrzeniem.

– A, to bardzo przepraszam. – Ukłonił się. – Powiesz coś więcej?

– Nie dziś.

– No no! A to dopiero wiadomość. Trzeba powiedzieć mamie.

– Proszę cię... – Przestraszyłem się nie na żarty. – Mamie nie. Ledwo doszła do siebie po Majce.

Mama nie znosiła Majki, ale rozumiała, że ją kocham. Ogrom wysiłku, jaki wkładała w zachowanie poprawnych stosunków, był naprawdę godny podziwu. Nie znosiła, co nie przeszkadzało jej głęboko współodczuwać wraz ze mną, gdy z Majką wszystko się posypało. Mama była bezkonkurencyjna. Rozumiała, co się ze mną dzieje lepiej, niż ja sam. Od tego są mamy.

– Proszę, nie – powiedziałem teraz. – Nie chcę, żeby się martwiła.

- A trzeba się martwić?
- Nie trzeba.
- Idioto, nie rozmawiasz z mamą, tylko ze mną. Trzeba?
- Trzeba – przyznałem.
- No to jedź do niej, rycerzu. Konia nie zapomnij.
- Bez konia – powiedziałem stanowczo, przypomniawszy sobie Maklerka.

U Ani okazało się, że trzeba naładować akumulator, bez tego ani rusz. Właściwie mogłem siedzieć i prowadzić konwersację, ale zdobyłem się na bohaterski wysiłek, wypilem kawę i przełożyłem spotkanie na następny dzień. Klienci byli jednak klientami, forszą nie rzygałem, poza tym nie chciałem wkurwiać Piotrka bardziej, niż trzeba. Wróciłem jak niepyszny, wziąłem połowę zleceń i cały dzień zajęło mi jeżdżenie od naprawy do naprawy.

Ania wyglądała dziś ślicznie i wzruszyła mnie bez granic, gdy zaczęła przypinać przewody prostownika, chcąc mi jakoś pomóc. W jej rękach te przewody wyglądały słodko i zabawnie, i naprawdę nie musiała mi pomagać, to znaczy tak, mogła mi pomóc wyprowadzić jakoś moje życie na prostą, moje życie, moje serce, moją miłość... Przez chwilę staliśmy koło siebie, schyleni nad akumulatorem i o mało jej nie pocałowałem, jej usta były tuż...

Potem, zupełnie nagle, zrozumiałem, że to nie jest dziewczyna taka jak inne i nasza relacja też jest szczególna, że nie wolno mi postępować tak jak dotąd, jak przy zwykłych dziewczynach. Gdybym ją pocałował, jak mógłbym to wytłumaczyć? Przecież to była Ania – osiemnastolatka, sierota, moja uczennica. A ja byłem jej profesorem. Nie kumplem, nie kolegą, nie przyjacielem, nie kochankiem. Byłem profesorem. Nie mogłem jej tak po prostu całować.

Zawsze byłem szybki z dziewczynami. Szybki i stanowczy, bo wiedziałem, że kobiety nie lubią bohaterów. Lubią zwycięzców. Lubilem kobiety, kochałem je, umiałem zdobyć. Teraz raptem – dorosły facet – zostałem z plikiem błotek w rękach.

Ania. Czego mnie nauczysz, dokąd mnie zaprowadzi? Jakich rzeczy dowiem się o sobie samym? Co będę musiał znieść? Czy kiedykolwiek spotka mnie nagroda?

Ania. Raptem, ni stąd, ni z owąd. Przeznaczenie? Karma? Dobry los? Dobry Bóg?

Nie wiedziałem.

20 października

Następnego dnia rano miałem jeszcze jedną klientkę, młodą dziewczynę, kompletnie zdesperowaną, płaczącą mi w słuchawkę, że jej się system zawiesił, że musi oddać projekt, że, że, że. Podjechałem do niej z samego rana. Mogłem ją mieć – nie wziąłem. Jasne oczy Ani patrzyły na mnie z uśmiechem i lekką kpina. Wyszedłem od dziewczyny bez słowa. Pojechałem do Ani.

– Kawa czy herbata? – spytała.

Przede wszystkim byłem wściekle głodny, wyleciałem rano bez śniadania, bo desperacja dziewczyny poruszyła mi serce.

– Najpierw obowiązek, potem przyjemność – powiedziałem dzielnie i pomyślałem, że i tak pewnie trzeba będzie podjechać na stację, to kupię sobie jakiegoś hot-doga. Koło Ani był Orlen, hot-dogi mieli tam naprawdę niezłe. Na myśl o jedzeniu zaśliniłem się cały, prawie jak pies Pawłowa. Samochód był w całkiem dobrym stanie, było widać, że jej tata o niego dbał. Potem pomyślałem, że jeździć wartburgiem to jednak trochę obciach i czy Ania jest na ten obciach gotowa. Potem pomyślałem, że jestem idiotą i głupim snobem, obciach, nie obciach, jaki obciach, skoro samochód jest na chodzie, przynajmniej nie będzie się szarpała autobusami. A potem wytarłem ręce w jakąś szmatę i poszedłem do Ani do domu.

Drzwi były uchylone.

– Nie mogę ci dać ryby – mówiła Ania szeptem do Zadymy. – Zmiłuj się, jak to sobie wyobrażasz?

Zadyma najwyraźniej nie wyobrażała sobie nic. Ja też nie.

– Dam mu herbatę, tak? Szarlotkę. I co, twoja ryba będzie śmierdziała na całą kuchnię? Myślisz, że to tak przyjemnie jeść szarlotkę w smrodzie ryby?

Zadyma uważała, że bardzo przyjemnie.

Stałem w progu i patrzyłem na nie obie. Delikatny profil Ani na tle światła, padającego z okna... To będzie moja żona – pomyślałem.

Ania odwróciła się i puszka z kocim żarciem wypadła jej z ręki.

Taka była prawda. Taka była cholerna prawda o nas.

– Ptaszku mój – pomyślałem. – Kocham cię. Nie musisz się mnie bać.

Resztę tego dnia pamiętam jak przez mgłę. Wiem, że pojechaliśmy na stację benzynową, gdzie Ania powstrzymała mnie przed kupieniem hot-doga i zaprosiła na obiad. Wiem, że jedliśmy ten obiad u niej w kuchni i naprawdę było to coś przepysznego. Niech Bóg błogosławi wszystkim dobrym kucharzom...

Majka pod tym względem była beznadziejna, wreszcie w rozpaczy sam zacząłem gotować i myślę, że wyszło mi to na dobre. Przynajmniej umiałem zrobić parę podstawowych dań, nie to, co Majka, która każdorazowo paliła czajnik, gdy trzeba było zrobić herbatę, i umiała podgrzać serdelki, których zresztą nie jadła, bo dbała o linię...

Ania swobodnie poruszała się po kuchni i z przyjemnością na nią patrzyłem. Nie udało mi się pohamować ciekawości i spytałem, czy mogłaby mi pokazać jakieś swoje obrazy. Przez jej twarz przeleciał jakiś dziwny wyraz. Speszyłem się, może to była zbyt intymna prośba, ale nie zdążyłem nic powiedzieć, bo już poszła do drugiego pokoju.

Andrzejewski mówił, że Ania jest chlubą szkoły, panowała powszechna opinia, że jest niezwykle zdolna, ale nic nie było w stanie przygotować mnie na widok obrazów, które po chwili przyniosła. Po prostu zabrakło mi tchu.

Było tam kilka pejzaży prawie na pograniczu abstrakcji, pełnych koloru, mgieł, powietrza, oddechu i smutku. Była niesamowita twarz białej marmurowej rzeźby, w której żyły tylko oczy, magnetyzujące oglądającego niepokojącym spojrzeniem, rzuconym spod półprzymkniętych powiek. I był przepyszny, czarny koń ze skrywanym błyskiem w oku, z rozdętymi prześwieconymi chrapami, nieruchomy, ale tętniący życiem, powstrzymanym pędem, niedokończonym skokiem. Rany boskie, czysty Maklerek... Ciekawe, co Leszek powiedziałby o tym portrecie.

– Ten koń... – powiedziałem z trudem. – ...ten koń jest genialny.

Ania rzuciła mi krótkie, jakby sprawdzające spojrzenie i odwróciła głowę.

– To Morfeusz – powiedziała cicho. – Koń, na którym jeździłam w dawnym świecie. Moja miłość.

Nie byłem w stanie nic powiedzieć. Tak lekko, tak naturalnie powiedziała – moja miłość. Miłość. Miłość. Moja miłość.

– Morfeusz – wykrztusiłem. – Więc jeździsz konno?

– Jeździłam.

– Tęsknisz? – spytałem odruchowo i uderzyła mnie obcesowość tego pytania. Jak mogłem...

– Tak – odpowiedziała po prostu Ania. – Skąd pan wie?

Bo widzę, jaki masz wyraz twarzy – pomyślałem. Czy kiedykolwiek zmieni ci się tak twarz na mój widok? Czy zobaczę na niej taką tęsknotę, marzenie, zadumę, czy kiedykolwiek zobaczę miłość do mnie? Nie do konia. Do mnie.

– Wystarczy popatrzeć, jaki masz wyraz twarzy – powiedziałem, choć nie chciałem tego powiedzieć. – Co się stało z Morfeuszem?

– Został.

– W dawnym świecie?

– Tak. W tamtym dawnym, utraconym świecie.

Zamilkłem. Czy wpuścisz mnie kiedyś do tego świata? Do świata, w którym Morfeusz jest jakimś symbolem, którego nie potrafię odczytać, bo nie było mnie wtedy przy tobie. Czy teraz pozwolisz mi z sobą być? Przecież... mogę dać ci konie.

Zamarłem. Lodowaty dreszcz przeniknął mnie na wskroś.

Raptem zrozumiałem, że nie zawiozę Ani do Leszka. Jeszcze nie. Teraz zbyt się boję. Leszek jest przystojny jak jasna cholera, zna się na koniach, jest uroczy, dowcipny, piekielnie inteligentny i cudownie prosty. Łatwo z nim przebywać, Leszek roztacza atmosferę pełnego zaopiekowania, takiego bezpieczeństwa, w którym mieszczą się ludzie, psy, koty, konie, cholerna Petronela, nawet dziki. Gdybym był kobietą, kochałbym się w Leszku na zabój. Nie zawiozę Ani do niego. Boję się.

– Więc tak mu nie ufasz? – spytało coś we mnie. – Leszkowi? Najbliższemu kumplowi, przyjacielowi? Czy sądzisz, że mógłby ci to zrobić?

– Nie – odpowiedziałem, roztrzęsiony. – Tak. Nie wiem.

Leszek, przepraszam. Przepraszam cię, Aniu. Jestem głupim, egoistycznym gnojkiem i nie wart jestem ani jego, ani jej.

Ania siedziała po drugiej stronie stołu i patrzyła na mnie.

– Ten obraz jest jak poezja – powiedziałem.

I wtedy nastąpiła pierwsza z naszych ważnych rozmów. Ania otworzyła się delikatnie i już nie było w niej lęku, nie było wstydu, niepewności, zabrała mnie w swoje światy.

Nie umiem opisać, o czym rozmawialiśmy. Rozmawialiśmy o malarstwie. O Mondrianie.

Dumne zwierzę we mnie ugięło kolana i uklękło. Klęczało, patrzyło na Anię, lekką, poruszającą się bez problemów w tym świecie, Anię, która mówiła o malarzach, jak o znajomych, sąsiadach, kumplach, z którymi łączy ją wszystko – zwierzę patrzyło, klęczało i pochylało głowę.

Gdy wychodziłem od niej późnym popołudniem, ciągle jeszcze byłem niezwykle pokorny i widziałem wokół siebie bardzo dużo prostych, czarnych linii i kwadratów w różnych kolorach.

A potem – zrozumiałem, że to wszystko już za daleko zabrnęło i sytuacja dojrzała...

23 października

...do poważnej rozmowy z jej wychowawczynią.

Wiedziałem, że pani Barska została opiekunem prawnym Ani – czyżby Ania naprawdę nie miała nikogo bliskiego? – i sprawowała tę funkcję przez cały ubiegły rok. Chciałem z nią szczerze porozmawiać, w ostateczności wyznać jej wszystko, o ile okazałaby się sympatyczną kobietą, bo rzecz do wyjaśnienia była raczej ciężkawa. Chciałem też ją prosić o sędowanie na mnie funkcji opiekuna, naturalnie nie prawnego, ale chociaż z ramienia szkoły.

Prawie nie znałem pani Barskiej, wydawała się wyciszoną, nieco zmęczoną kobietą, chyba dość oschłą lub może po prostu skrytą. Bałem się tej rozmowy, ale jednocześnie wiedziałem, że muszę ją przeprowadzić. Ku mojej dużej uldze pani Barska natychmiast zgodziła się porozmawiać ze mną i nie była zdaje się bardzo zaskoczona.

– Zapraszam panią do kawiarni – zaproponowałem.

– Wie pan, może lepiej chodźmy do mnie do domu. – Uśmiechnęła się. – Mieszkam tuż przy szkole. Proszę bardzo, napijemy się kawy i powie mi pan, co panu leży na sercu.

Szlag by to trafił, chyba już wyraźnie widać, co mi leży...

Tego dnia moją głowę drażył jakiś utajony ból, ale mężnie rozpocząłem. Opowiedziałem o tym, jak odwiozłem Anię do domu, jak zacząłem ją bliżej poznawać i rozumieć, jak narodziła się we mnie chęć pomocy, dalej zaczęło się robić coraz ciężiej, tym bardziej że pani Barska milczała.

– Proszę pana – powiedziała wreszcie. – Ania jest samotną młodą dziewczyną, nad wiek inteligentną i bardzo dumną. Bardzo dumną... – urwała.

– Czy mówi to pani, aby mnie zniechęcić?

– Wręcz przeciwnie. Mówię to, aby pan się nie zniechęcił. Jest niezwykle dumna i dużo czasu mija, zanim zdecyduje się obdarzyć kogoś zaufaniem. Nie wiem nawet, czy ma to zaufanie do mnie. Pan jest młodym człowiekiem, może z panem łatwiej będzie jej być szczerą... A z drugiej strony jest pan młodym mężczyzną...

Milczałem. Czemu jak czemu, ale temu nie mogłem zaprzeczyć.

– Czy nie sądzi pan, że mogłoby to być dla Ani niebezpieczne?

– W jakim... w jakim sensie niebezpieczne? – wyjąkałem.

Pani Barska pochyliła się do przodu.

– Nic nie wiem o jej sercu. Ale wiem na pewno, że przeżyła wielką tragedię. Myślę, że należałoby oszczędzić jej zawodów i rozczarowań...

– Dlaczego pani mówi o rozczarowaniu?

– Ponieważ jest pan, proszę mi wybaczyć szczerą, szalenie atrakcyjnym, młodym mężczyzną, i obawiam się, że bliższa znajomość z panem mogłaby nadwątlić jej spokój, co byłoby szczególnie przykre, gdyby pan nie zechciał tych uczuć odwzajemnić.

Nabrałem w płuca powietrza.

– A gdybym zechciał? – spytałem cicho.

Pani Barska patrzyła na mnie bardzo uważnie znad dymiącej filiżanki.

– A czy jest pan tego pewien?

– Proszę pani – powiedziałem, zaciskając rozpaczliwie ręce. – Kocham Anię. Rozumiem, że może mieć pani wątpliwości, czy jestem przyzwoitym człowiekiem – dodałem ze skruchą. – Zwłaszcza po tym wszystkim, co wyprawiałem na początku w szkole.

– Istotnie, nieco się pan wygłupiał – przerwała mi z żartobliwymi błyskami w oczach. – Ale – błyski zniknęły – jeśli chodzi o pana przyzwoitość, nie mam żadnych, absolutnie żadnych wątpliwości.

– Skąd pani może o tym wiedzieć?

– Drogi chłopcze, czy inaczej przychodziłby pan do mnie?

Nie wiedziałem, gdzie podziać oczy, czułem, że jestem cały czerwony, a jednocześnie ulga o mało mnie nie zabiła. Po długiej chwili udało mi się zerknąć na panią Barską. Siedziała wygodnie oparta w fotelu i przyglądała mi się spod przymkniętych powiek.

– Cenię szczerą, cenię zaufanie, jakim zdecydował się pan mnie obdarzyć, ale... Nawet jeśli nie ma pan wątpliwości, co do swoich uczuć, to czeka pana trudna droga.

– Zacząłem już sobie z tego zdawać sprawę.

– Tym lepiej. Sytuacja jest specyficzna, Ania jest uczennicą, pan jej profesorem, szkoła niewątpliwie nie życzyłaby sobie skandalu.

– Nie ma mowy o żadnym skandalu. Umiem czekać.

– Tylko czy Ania...

– Tego nie wiem. – Spuściłem głowę.

– Proszę pana. Ja za to wiem jedno. Na początku roku Ania bała się pana bardziej niż upiora. W tej chwili mówi o panu z sympatią. Nie kończyłam matematyki, ale umiem wyciągać wnioski. Wiem, że przydałby się jej mądry, doświadczony, porządny przyjaciel, a jednocześnie ktoś młody, kto swą obecnością rozproszyłby jej smutek... Tylko musi to być człowiek godny zaufania, ktoś, kto by jej nie skrzywdził.

– Przysięgam pani...

– Tak, ja wiem, panie Pawle. Jak już powiedziałam, nie wątpię w pana uczciwość. Jest pan ostatnią osobą, która chciałaby ją skrzywdzić. A jednak... Dusza kobiety jest zagadką. A Ania to dusza niepokorna i bardzo, bardzo dumna. Ostrzegam pana przed tym.

Poczułem, że rozmowa zaczyna mi się wymykać. Wydawało mi się, że przerabialiśmy już ten temat.

– Ja... – zacząłem – ...myślę, że będę umiał docenić tę dumę. Wiem, że czeka mnie długi i powolny proces zdobywania jej zaufania, nawiązywania z nią przyjaźni, która usprawiedliwiłaby korzystanie z mojej pomocy – urwałem.

Pani Barska wpatrywała się we mnie przymrużonymi oczami, czułem, że zaczynamy się leciutko mijać. W pewnym momencie jakby zdecydowała się, przechyliła głowę i powiedziała:

– Tak, to jeszcze długi proces... Może zakończy się szczęśliwie. Cóż, a wracając do rzeczy. Ja jestem samotną, starszą panią – urwała na chwilę, gdyż wykonałem gwałtowny, przeczący gest – starszą panią – podjęła – i często nie mogę sobie poradzić z pewnymi problemami natury technicznej. Wie pan, że Ania mieszka sama w domu, który jak każdy dom wymaga napraw, remontów i ogólnie tego, co nazywamy męską ręką. Mam nadzieję, że się pan tym zajmie.

– Oczywiście. Nie chciałbym odbierać lub uszczuplać pani funkcji...

– Tak, tak. – Machnęła ręką. – Ale wiadomą jest rzeczą, że tak się stanie. Ja też przy zapchanym zlewie szukałabym pomocy raczej u młodego mężczyzny, niż u pani takiej, jak ja. Z ulgą przeto zrzucę na pana część obowiązków, dla pana niewątpliwie miłych.

Skinąłem głową.

– Nie znaczy to, że z równą ulgą zrzekam się opieki nad Anią. Jest to fascynująca, przemiła dziewczyna, której dobro leży mi głęboko na sercu. Ania jest obecna w naszej rodzinie i traktuję ją jak swoją wnuczkę. Tak więc umówmy się, że pan w pewnym zakresie przyjmie na siebie rolę opiekuna z ramienia szkoły, ja natomiast, jeśli pan pozwoli, pozostanę opiekunem prawnym Ani. Nie sądzę, aby był sens zmieniać ten stan rzeczy w obecnej chwili, tym bardziej że wiąże się z nim wiele prawnych ustaleń, a poza tym... Cóż, jest pan osobą wciąż nową w szkole, ja po naszej rozmowie czuję, że jest pan człowiekiem bezwzględnie uczciwym, ale proszę przyznać, że dziwne mogłoby się wydawać natychmiastowe scedowanie funkcji opiekuna prawnego na pana.

Skinąłem głową. Miała absolutną rację. W ogóle w zasadzie o tym nie myślałem, wiadomą było rzeczą, że to ona jest i pozostanie nadal jej oficjalnym opiekunem.

– Tym bardziej że w razie nagłego wypadku, zawsze możemy zebrać się wspólnie jako konsylium i razem postanowić, jaką obrać linię postępowania.

Znów skinąłem głową. Przyjrzała mi się.

– No tak – powiedziała powoli. – To wszystko. Jeśli o mnie chodzi, ma pan moje błogosławieństwo. A czy Ania zechce przystać na tę zamianę, o to już pan będzie się musiał zatroszczyć.

Wygramoliłem się z fotela, schyliłem nad panią Barską i pocałowałem ją w rękę. Byłem zmieszany, wzruszony, a jednocześnie trochę zażenowany okliwnością sytuacji, wprost jak z romansidła. Pani Barska musiała mieć wrodzone poczucie humoru, gdyż podniosła się prędyutko, odprowadziła mnie, gnącego się w ukłonach, do przedpokoju i już w samych drzwiach powiedziała, kładąc mi rękę na ramieniu:

– Panie Pawle, byłabym zapomniała, jeszcze jedna prośba.

Spojrzałem na nią z zaciekawieniem.

– Niech pan nie dręczy tak strasznie tych biednych dzieci – powiedziała z okropnie poważną miną i potem, chichocząc cichutko, zamknęła za mną drzwi.

25 października

Jak się okazało, naiwnością z mej strony było przypuszczać, że sprawa przejęcia opieki nad Anią jest rzeczą załatwioną, bądź, jak kto woli, omówioną. Pani Barska uprzedziła mnie, że musi poruszyć ten problem na radzie w obecności dyrektora i jeszcze przed zebraniem, natychmiast następnego dnia, pan dyrektor zapragnął się ze mną zobaczyć. Ze spotkania z panią Barską wyszedłem mokry jak koń po ostrym biegu, a teraz nie miałem wątpliwości, że rozmowa będzie znacznie cięższa.

Gabinet już się wreszcie pomalował. Dyrektor podał mi rękę i zaprosił do zajęcia miejsca w fotelu naprzeciwko swego biurka. Spojrzałem na ten fotel. Był to jeden z tych pieprzonych pomysłów współczesnych designerów, bydlę, w które się wpadało po uszy i z którego wydobyć się o własnych siłach było rzeczą praktycznie niemożliwą, niezbędna była pomoc bliźniego. Dodatkowy problem wprowadzał fakt, że siedziało się na nim bardzo nisko i w zasadzie wszelkie rozmowy prowadziło się spomiędzy własnych kolan. Innym wyjściem było złożenie nóg do kupy i skierowanie ich na bok w jedną stronę, przez co każdy facet zaczynał natychmiast przybierać wygląd... osobnika o odmiennej orientacji, żeby być w zgodzie z poprawnością polityczną i obyczajową, lub też wyprostowanie nóg i wyciągnięcie ich na środek pokoju, co z kolei nadawało całemu ciału pozycję wprost uprzejmą, na pewno niezbyt uprzejmą w stosunku do rozmówcy. Wybrałem wariant pośredni, to znaczy pierwszy, starając się, by kąt rozchylenia kolan nie był zbyt duży i nie nasuwał przez swe niedbalstwo myśli o lekceważeniu partnera, i ogólnie biorąc walka z nogami zajęła mi bez reszty pierwszą minutę w gabinecie. Potem zaś dyrektor się odezwał.

– Panie kolego, poprosiłem tu pana, gdyż muszę przyznać, że jestem bardzo zaniepokojony.

Poniechałem wiercenią i spomiędzy własnych kolan przyjrzałem mu się uważnie.

– Zaniepokoiło mnie zainteresowanie, jakim pan od pewnego czasu obdarza naszą uczennicę, Anię Kielanowicz, czemu dał pan wyraz, prosząc o przyznanie panu funkcji jej opiekuna z ramienia szkoły. – Zdjął okulary i przecierał je, pochłonięty tą czynnością bez reszty.

Na nosie miał dużą brodawkę i generalnie nie wzbudzał mojego zachwytu.

– Czy można spytać, czemu mam przypisać pana zaniepokojenie?

Założył okulary na nos i popatrzył na mnie. Za szklami jego oczy były wielkie i beznamiętne.

– Proszę pana. Jestem dyrektorem szkoły nie od dziś i proszę mi wierzyć, że na tym stanowisku zdobyłem niemałe doświadczenie. I to doświadczenie mi mówi, że doprawdy nic dobrego nie wynika z tego, gdy nauczyciel spoufala się z uczennicą. Szczególnie wtedy, gdy nauczycielem jest młody mężczyzna, a uczennicą samotna, atrakcyjna dziewczyna.

– Rozumiem pana obiekcje – powiedziałem powoli. – Ale w tym przypadku, jak pan pewnie świetnie wie, spoufalenie jest nie do uniknięcia. Myślę, że właśnie tym mianem można nazwać kontakty Ani z panią Barską, ich wspólne spotkania na kawie, wycieczki do muzeum czy obiady.

– Pani Barska jest uroczą, starszą panią...

– A ja niesympatycznym, młodym potworem – przerwałem mu, bo zdążył już mnie wkurzyć. – Czy naprawdę uważa pan, że jestem wampirem, który udusi ją, korzystając z okazji, że jest sama w domu?

Dyrektor w dalszym ciągu miał nieprzeniknione spojrzenie i z twarzy na pewno nie buchała mu życzliwość. Mnie zresztą pewnie też nie. Siedzieliśmy, patrząc na siebie, on dostojnie za biurkiem, ja prawie na podłodze u jego nóg i sytuacja zaczynała mi się coraz bardziej nie podobać.

– Proszę pana – odezwał się wreszcie. – Nie bawmy się w ciuciubabkę. Obaj wiemy, jakiego typu mam obiekcje. Nie chciałbym, aby temu dziecku coś się stało.

– W takim razie nie musi pan mieć żadnych obiekcji. Ja również nie zniósłbym tej myśli.

Pierwsze starcie było za nami, właściwie była to runda na rozpoznanie przeciwnika. Do niego należał znów pierwszy ruch i nie miałem najmniejszej ochoty mu w tym pomagać.

– Proszę pana – powiedział. – Nie twierdzę, że jest pan człowiekiem nieuczciwym, pani Barska obdarza pana ogromnym zaufaniem – przerwał na chwilę, więc udało mi się wejść gładko:

– A więc pewnie zdaje pan sobie sprawę, że jak każdy przyzwoity człowiek zrobię wszystko, by tego zaufania nie zawieść.

– Proszę mi wierzyć, nie leży w mych intencjach obrażanie pana, ale znamy się stosunkowo krótko...

– Właśnie, panie dyrektorze – powiedziałem. – Niewiele pan o mnie wie, a jednak bez najmniejszych skrępułów zdecydował pan, że niechybnie jestem łajdakiem, który dybie na dobre imię, cnotę i może jeszcze majątek

tej dziewczyny. Proszę pana... – Podniosłem rękę, bo chciał mi przerwać. – Od samego początku naszej rozmowy próbuje mi pan imputować coś, czego nie chcę rozumieć, gdyż w przeciwnym wypadku jedynym wyjściem byłoby natychmiastowe złożenie przeze mnie wymówienia. Jak powiedziałem, nie robię tego, gdyż mam nadzieję, że uda nam się porozumieć. Ale do tego potrzeba dobrej woli obu stron.

Kolana znów mi się rozjechały i postanowiłem przestać zwracać na to uwagę. Dyrektor siedział za biurkiem jak wielka nadmuchana dętka o marsowym obliczu.

– Młody człowieku – powiedział. – Jest pan dość niepoohamowany w reakcjach. Co niewątpliwie utrudnia naszą rozmowę.

– Proszę mi wybaczyć, lecz pan, z całym szacunkiem, panie dyrektorze, jest nieco zbyt pochopny w swych opiniach, co również tej rozmowy nie ułatwia.

Bam. Skończyła się druga runda. W pokoju panowała taka cisza, że wyraźnie słychać było odgłos piłeczek pingpongowych, gdzieś daleko, chyba w auli. Popatrzyliśmy na siebie i byłem pewien, że obaj z chęcią zapalilibyśmy papierosa. Dyrektor musiał czuć dokładnie to samo, gdyż pogrzebał po kieszeniach, wyjął paczkę marlboro i podsunął mi. W odpowiedzi wyjąłem paczkę cameli i wykonałem ten sam gest.

Jeszcze przez sekundę mierzyliśmy się wzrokiem, potem pomyślałem o Ani, uznałem, że struna została już wystarczająco naciągnięta, reszta byłaby szczeniacką demonstracją, więc wziąłem papierosa z podsuniętej paczki, poza tym ciekawiło mnie, co zrobi dyrektor. Po twarzy przeleciał mu cień uśmiechu i wziął mojego camela.

Topory wojenne zostały na chwilę zakopane, szklane paciorki wręczone i przyjęte. Zaciągnęliśmy się dymem.

– Proszę pana – zaczął dyrektor trzecią rundę i niemal fizycznie poczułem zmianę nastroju. – Przyznaję, że jestem mile zaskoczony pana umiejętnością bronięcia swoich praw, ale proszę, nie traktujmy tej rozmowy jak poligonu wojskowego, powinniśmy raczej dążyć do porozumienia.

Nie wierzyłem mu za grosz, znałem starą jak świat metodę kija i marchwi i już dawno przestałem się dawać łapać na lep czułych słówek.

– Z miłą chęcią – odparłem. – Tym bardziej że łączy nas niewątpliwie wspólny cel – troska o Anię.

Wiedziałem doskonale, że może i chodzi mu o nią, ale z pewnością w dalszym rzędzie. Przede wszystkim nie chce dopuścić do ewentualnego

skandalu w czcigodnych murach kierowanej przez siebie placówki, boi się jakiegoś jawnego obnoszenia się z niemoralnym romanssem, szeptania po kątach i plotek.

– Istotnie, chodzi o Anię – powiedział. – Nie wiem, jakie są pana zamiary względem niej... – I na pewno nie mam zamiaru cię o tym informować, koleś. – ...ale chciałbym, aby pan pamiętał, że to młoda, kompletnie samotna dziewczyna i naszym obowiązkiem jest okazać jej jak najdalej idącą pomoc. Zaś na pewno niekorzystne byłoby wikłanie jej w jakiegokolwiek sytuację, dające pożywkę sensacjom i plotkom.

– Absolutnie się z panem zgadzam, panie dyrektorze – odparłem. – Zdaję sobie sprawę, że spoufalenie, o którym mówił pan na początku, nie może przekroczyć pewnego progu i mogę pana zapewnić, że nie przekroczy. Chciałbym po prostu nieść jej pomoc, być może z czasem stać się jej przyjacielem – przyjacielem w najczystszej formie tego słowa, nie zaś aluzyjnym.

Dyrektor wpatrywał się we mnie z napięciem.

– Proszę pana – powiedział powoli. – Nie mam prawa żądać odpowiedzi na pytanie, jakie są pana uczucia względem Ani... – znów przerwał.

– Istotnie – odparłem spokojnie. – Natomiast ma pan prawo żądać ode mnie złożenia pewnej deklaracji, dotyczącej zasad, na jakich ma się opierać moja znajomość z Anią, i chciałbym, aby pan wiedział, że jestem gotów taką deklarację złożyć. Zanim to jednak nastąpi, chciałbym wysłuchać pana sugestii.

– Jakich sugestii?

– Dotyczących moich kontaktów z Anią. Wzywając mnie tutaj, miał pan niewątpliwie jakąś koncepcję i przyznaję, że z chęcią jej wysłucham.

– Proszę pana. Moją koncepcją było nakłonienie pana do ograniczenia tych kontaktów do minimum, o ile to możliwe, w każdym razie do murów szkoły.

– Przykro mi, ale w moich zamiarach nie mieści się aż takie ograniczenie.

– Cóż, w takim razie słucham pana. Jak pan sobie te kontakty wyobraża?

– Jestem jej profesorem i nim pozostanę. Ania nie będzie mi mówiła po imieniu i nawet jeśli nawiąże się między nami nic towarzyska, to nie będzie ona miała posmaku nadmiernego spoufalenia, ani też na pewno romansu, którego pan tak się boi. Myślę, że mógłbym jej wiele pomóc, ale tylko w charakterze starszego przyjaciela lub kogoś, powiedzmy, w randze wujka.

To znaczy, aby wyrazić się jasno – ktoś taki może zmienić oponę lub naprawić kontakt, pomagać w lekcjach, dyskutować o wszystkich problemach, lecz jest jednak przypisany do świata dorosłych, więc nie mówi mu się po imieniu i nie poklepuje się go poufale po plecach.

– Hmm... to brzmi rozsądnie. Czy mógłby mi pan to oficjalnie przyrzec?

– Przepraszam, ale cóż innego cały czas robię? Owszem. Przyrzekam panu, panie dyrektorze, że nie dopuszczę do nadmiernego spoufalenia, do żadnego skandalu, do żadnych plotek i że nie skrzywdzę tej dziewczyny. Przyrzekam także, że będę starał się nieść jej pomoc i być dla niej oparciem, o ile pojawią się sytuacje wymagające pomocy czy udzielenia wsparcia. Czy takie przyrzeczenie pana satysfakcjonuje?

Patrzył na mnie tymi swoimi wielkimi, wylupiastymi oczami, lekko ukrytymi pod ciężkimi powiekami, jakby z innego świata, z wielkiej odległości własnego zamyślenia i ważenia się spraw. Ciężki, nadmuchany, pozornie dobroduszny i familiarny, w istocie przenikliwy, cyniczny, elastyczny, cholernie niebezpieczny cwaniak. Powiedział:

– Owszem. Jeżeli jest pan w stanie tego przyrzeczenia dotrzymać.

– Owszem – powtórzyłem za nim i uśmiechnąłem się leciutko. – Po cóż inaczej bym je składał?

Zdawało mi się, że już słyszę gong na zakończenie meczu, ale on jeszcze tkwił nieruchomo za stołem, więc ja także siedziałem bez ruchu, zawieszony w fotelu jak w hamaku, zawieszony wzrokiem na jego twarzy, z papierosem, którego nie miałem za bardzo gdzie zgasić.

– Proszę, niech mi pan jeszcze powie, co spowodowało, że zapragnął pan nieść jej pomoc? – zapytał nagle.

Spojrzałem na niego z zaskoczeniem.

– Sytuacja, w której się znalazła – odparłem.

– Przypomina pan sobie naszą rozmowę sprzed paru tygodni i własną nieprzejednaną postawę, dotyczącą stosowania taryfy ulgowej?

– Tak. I mogę pana zapewnić, że w dalszym ciągu nie zamierzam tej taryfy stosować. Ale przez ten czas poznałem Anię, miałem sposobność zauważyć jej dzielność, dojrzałość życiową i inteligencję, i muszę przyznać, że wzbudziła mój szacunek i sympatię. Ona przeszła przez piekło. I przez samotność. Chciałbym jej pomóc.

– Wierzę panu. Proszę mi wybaczyć szorstki ton na początku naszej rozmowy. Cieszę się, że Ania zyska takiego przyjaciela.

– Nie wiem, czy zechce przyjąć tę przyjaźń. W każdym razie będę się starał – urwałem na chwilę. – Ja również przepraszam za nieco bezczelny ton.

Dyrektor podniósł się, więc zacząłem wydobywać się z fotela. W trakcie końcowych partii rozmowy udało mi się przesunąć nieco do przodu, więc teraz poszło łatwiej niż sądziłem. Dyrektor podał mi rękę. Odwzajemniłem jego uścisk, zgasilem wreszcie cholernego peta, który zdążył tymczasem wszystko naokoło obsypać popiołem, i skierowałem się do drzwi.

– Aha, panie dyrektorze, jeszcze jedno. – Nie mogłem odmówić sobie drobnej przyjemności. – Gdybym mógł coś panu doradzić, to niech pan wyrzuci stąd ten straszny fotel. Nie sposób w nim siedzieć. Chyba że jest to przemyślane działanie w celu wykończenia przeciwnika jeszcze przed startem, a jeśli tak, to działa rzeczywiście bezbłędnie.

Dyrektor roześmiał się tubalnym śmiechem.

– Istotnie, jest to mebel dość wynaturzony. W każdym razie pan jakoś dał sobie z nim radę. Powiedziałbym nawet, że wcale nieźle.

– Och, to tylko dlatego, że mam wrodzoną zdolność koncentracji. Inaczej zginąłbym marnie pod pana ciosami. Do widzenia, panie dyrektorze.

Stał na środku gabinetu i patrzył na mnie, gdy zamykałem drzwi.

28 października

Dziś są skrócone lekcje, bo zaraz odbędzie się rada pedagogiczna – pierwsza w mojej karierze.

Wszedłem dziś rano do pokoju nauczycielskiego i zobaczyłem Zbyszka Radtke, jak pospiesznie i zachłannie wyjadał kanapkę z pogniecionego papierka.

– A co ty tak jesz z samego rana? – spytałem. – Wiesz, co to jest kula w pełny brzuch?

Zbyszek spojrzał na mnie tak zbaraniałymi oczami, że się zupełnie załamałem. Boże, czy ten facet naprawdę nie kuma żadnego żartu? Żal mi go było, że taki pokręcony, chciałem nawiązać z nim jakiś bardziej kumpłowski kontakt, ale najwyraźniej się nie dało.

– Jem, bo zaraz będzie rada – odpowiedział poważnie.

No właśnie. Czy nie o tym mówiłem? Przyjrzałem mu się uważnie, a potem szybko odwróciłem wzrok. Nie chciałem, by zobaczył jawną kpinę w moich oczach. Biedny Zbyszek, z twarzą zaszczutego zwierzęcia...

Rada okazała się czymś zupełnie nie z tego świata.

Byłem już w życiu uczestnikiem różnych zebrań i słuchałem rozmaitego pieprzenia, ale – z ręką na sercu – takiego, jakie zaprezentował dyrektor Andrzejewski, nie słyszałem jeszcze nigdy. Total bałałajka show. Jedno tylko zdanie warte było usłyszenia.

– Pragnę też ogłosić, że od dzisiaj w funkcji opiekuna szkolnego Ani Kielanowicz, panią Barską będzie wspierał pan Paweł Jeż.

Koledzy popatrzyli na mnie zgodnie, z nieukrywaną ciekawością. Tylko Zbyszek miał taką minę, jakby nagle, nieoczekiwanie dostał kulę prosto w brzuch.

No, a mówiłem mu przecież, żeby nie żarł tak zachłannie...

1 listopada

Wszystkich Świętych. Nie lubię tego dnia. Tłok na cmentarzu, nie ma ani jak dojechać, ani gdzie postawić samochodu. Ta cała akcja „Znicz” przejawia dużą pomysłowość w przysparzaniu kłopotów spokojnym obywatelom, którzy, zostawieni sami sobie, jakoś by sobie z powodzeniem dali radę. Te blokady zwyczajnie wszystko utrudniają, zamiast jakiegokolwiek organizacji ruchu panuje wściekły chaos. Na domiar złego trzeba potem lecieć na piechotę kawał drogi z tymi wszystkimi wiązkami, luźnymi kwiatami i zniczami w reklamówkach, objających się o kolana. Mama i tak ma problemy z dojściem taki kawał.

W tym roku oczywiście tradycyjnie już całą rodziną poszliśmy na Powązki, na grób ojca.

Nie lubię odwiedzać ojca w takie dni. Najbardziej lubię chodzić sam w środku tygodnia, gdy cmentarz jest pusty i mogę z ojcem porozmawiać. Zapalam wtedy jedną lampkę, kładę kwiaty, albo nie, mówię mu o wszystkim. Przy grobie ojca jest wygodna ławka, nie muszę się spieszyć.

Ojciec był lekarzem, kardiologiem, genialnym chirurgiem, sławą. Zmarł na dyżurze w szpitalu, nagle, na zawał serca. Oto prawdziwy żarcik Wielkiego Prześmiewcy. Miałem wtedy dwanaście lat. Piątek piętnaście. Nie wiem, czy kiedykolwiek pogodzę się z tą śmiercią.

Pamiętam, jak się śmiał i woził nas na barana, bardziej mnie, bo Piątek był już duży. Jak włączył nas po Tatrach, gdzie przechodziliśmy pod jego okiem najtrudniejsze trasy. Orlą Perć razem ze wszystkimi klamrami i łańcuchami zaliczyłem w wieku dziesięciu lat, tylko musiałem przedtem obiecać ojcu, że będę bezwzględnie posłuszny. Gdy miałem siedem lat, zabrał mnie, żebym zjechał na nartach z Kasprowego. Pamiętam, że wyjeżdżaliśmy kolejką linową na szczyt, był straszny tłok i nie mogłem się dopchnąć do okna, a wtedy jakaś pani powiedziała:

– Nie martw się, chłopczyku, ci narciarze zaraz na górze wysiądą i jak będziemy jechali na dół, to wszystko zobaczysz.

Na co odpowiedziałem, bardzo dumny:

– Ja też będę zjeżdżał na nartach, proszę pani.

Na co pani zaczęła na całą kolejkę krzyczeć: „Mordercy! gdzie są rodzice tego chłopca?”, a ojciec odwrócił się tyłem, udał, że mnie w ogóle nie zna i tylko ramiona trzęsły mu się ze śmiechu. Ja też się śmiałem. Zjeżdżaliśmy

potem z Hali Goryczkowej prawie cały dzień, a na dole, już na nartostradzie do Kuźnic tata zatrzymał się i powiedział:

– Jesteś superfacet. Bardzo jestem z ciebie dumny.

To on był supefacetem. Wychowywał nas twardo i po męsku, a jednak w poczuciu, że jesteśmy kimś ważnym, wyjątkowym. Zadania, które nam stawiał, nie przekraczały naszych możliwości, ale były na granicy – trzeba się było bardzo spiąć, żeby je wykonać.

On sam miał w sobie szacunek dla kobiet i starszych ludzi, miłość do zwierząt i przyrody, miał wiarę, przyzwoitość i sumienie. Miał też niepokorność, sztywny kark, niezginający się przed byle kim i umiejętność ukłęknięcia przed tym, kto był tego wart. Był w nim głęboki patriotyzm i szacunek dla tradycji, bezwzględna wierność ideałom. Nie przechodził na zielonym świetle, zdarzało mu się kłąć i wpadać w furję, nie liczył się specjalnie ze zdaniem ludzi, potrafił powiedzieć w oczy, co myśli, giął się tylko przed mamą.

Mama ma w żyłach krew polsko-francuską – jej panięńskie nazwisko brzmi Roqueplaix – ma francuski wdzięk, styl i dobrą klasę, tylko daleki jej jest francuski racjonalny kartezjanizm, pod tym względem ma duszę słowiańską. Zawsze była i nadal jest jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie znałem. To po niej i ja, i Piotrek odziedziczyliśmy urodę, skryty romantyzm i ucho do języków. Mama zna perfekty francuski, niemiecki, angielski i polski, całe życie prowadziła lektoraty z francuskiego na wyższych uczelniach, poza tym jest tłumaczem przysięgłym, a teraz, na emeryturze, udziela korepetycji z francuskiego i niemieckiego. To dzięki jej pracy udało nam się po śmierci ojca żyć na prawie niezmiennym poziomie, w ogromnym, niemal dwustumetrowym mieszkaniu przy Mokotowskiej.

Dopiero dwa lata temu, gdy Piotrek miał się żenić, mama sprzedała to mieszkanie i kupiliśmy trzy mniejsze – dla mnie i dla Piotrka dwa lokale po pięćdziesiąt metrów kwadratowych, dla mamy kawalerkę, wszystko na Ursynowie.

Mama w dalszym ciągu udziela lekcji, ale już nie w takim wymiarze. Teraz ma sześćdziesiąt trzy lata i zdrowie jej się trochę posypało. Mówi, że jest szczęśliwa, że Piotrek znalazł taką żonę jak Ula, w głębi serca liczy, że ze mną też może jakoś się ułożyć, choć jeśli o mnie chodzi, to raczej ma same zgryzoty.

Po ojcu odziedziczyłem przesadną hardość, on miał ku niej podstawy, ja – nie bardzo. On był naprawdę genialnym kardiochirurgiem, lekarzem z

powołania, uwielbianym przez pacjentów, walczącym i niepoddającym się nigdy. Takiego go pamiętam.

Po wizycie na cmentarzu poszliśmy wszyscy do mamy na obiad, potem Ula z Piotrkim pojechali na groby jej bliskich, a ja zostałem. Zostałem i nie wiem, jak to się stało, że powiedziałem mamie to wszystko. O Garlickim i szkole wiedziała, bo tego nie dało się ukryć, ale teraz opowiedziałem jej o Ani.

Myślałem, że nie powiem jej tego nigdy, albo może kiedyś, o zmroku, by ukryć oczy i twarz, tymczasem był wciąż jasny dzień i moja twarz oświetlona była światłem padającym z okna, a ja po prostu mówiłem. O tym, co wiedziałem – o śmierci jej rodziców, o tym, że mieszka zupełnie sama w starym dworze na odludziu, o tym, że ma osiemnaście lat, pracuje, maluje, pisze wiersze, o jej oczach, uśmiechach z goryczą na dnie, o słodkich piankach jej śmiechu, o jej samotności, niepoddawaniu się nieszczęściu, samotności, samotności, samotności, mówiłem o tym, że ją kocham. Że nie wiem, jak to się mogło stać, ale się stało, gdy zobaczyłem jej oczy, gdy ją podniosłem z podłogi, gdy podała mi rękę w gabinecie lekarskim, gdy umykała ze spojrzeniem, gdy tak odruchowo powiedziała „Jest pan strasznie miły”. Nie byłem miły, byłem aroganckim chamem, bezceremonialnym gburem, ośmieszającym, złośliwym, popędliwym, pozbawionym litości. A ona spojrzała na mnie – chyba przeze mnie, prześwieciła mnie rentgenem spojrzenia, oddzieliła od ciemności światło i powiedziała: „Proszę wybaczyć mi śmiałość...”.

Mama siedziała bez ruchu i nie patrzyła na mnie, byłem jej za to wdzięczny.

Mówiłem o rozmowie z jej wychowawczynią, o przysiędze, którą musiałem złożyć dyrektorowi, o tym, że mu się w sumie nie dziwię, sam bym pewnie tak zareagował, przecież Ania to w sumie dziecko.

– Nie – powiedziała mama, raptem na mnie spoglądając. – Ania to nie dziecko. To dojrzała kobieta, mądra i dumna, o potężnym sercu. To cud, który się wydarzył w twoim życiu, stanął na twojej drodze. Kochaj ją, nie zawieź, bądź jej godzien. Nie skrzywdź jej. Bądź cierpliwy. Czekaj.

A gdy wreszcie podniosłem na nią oczy, zrozumiałem, dlaczego mówi krótkie, urywane słowa.

Zobaczyłem po prostu, że płacze.

wieczorem

Byłem zupełnie rozdygotany, więc wsiadłem w samochód, żeby pojeździć po mieście. Zataczałem coraz szersze kręgi, aż wreszcie przejechałem się prawie pod bramą Ani. Zawróciłem, wjechałem w uliczkę obok. Wsiadłem.

Nie chciałem do niej wchodzić, dziś był taki dzień, że każdy potrzebował być sam, ale nosiło mnie ewidentnie, chciałem chociaż zobaczyć, czy jest w domu. Dom stał czarny i głuchy, Ania mogła jeszcze nie wrócić z cmentarza. Uprzytomniłem sobie, że w ogóle nie wiem, gdzie są groby jej rodziców. Zaczął już zapadać zmrok, zerknąłem na zegarek. Potem zatoczyłem koło i podszedłem do jej ogrodu od tyłu. Od tej strony była łąka pełna jakichś wysokich krzaczorów, kompletnie nasiąknięta wodą. W eleganckim ubraniu, w którym byłem na cmentarzu i rodzinnym obiedzie, zacząłem przedzierać się przez mokre chęchy, chciałem zobaczyć, czy będzie coś widać. W mgiełce mżawki przeblyskiwały tu i tam przymglone światełka. U Ani było czarno. Latarnie się nie świeciły, bo ich w ogóle nie było. Pomyślałem, że to nie jest łatwe miejsce do mieszkania. Zatoczyłem drugi krąg i znów ostrożnie wyjrzałem na drogę.

Zaczął już zapadać konkretny mrok, a właściwie to było ciemno jak w dupie. Czaiłem się w tych chaszczach jak jakiś pieprzony Winnetou, chyba mnie dokumentnie pogięło... Nie było jej i nie było.

Teraz już zapadła noc i spokojnie mogłem wyjść z krzaków, bo i tak nikt by mnie nie zobaczył na tej zakazanej ulicy, nawet gdyby się pojawił.

Niestety Winnetou nie rezygnował i zacząłem pomaleńku tracić do niego cierpliwość. Kompletnie nie dało mu się przetłumaczyć, żeby odpuścił i zostawił blade twarze samym sobie, o nie, takie rozwiązanie w ogóle nie wchodziło w grę.

Przedzieraliśmy się przez krzaki już drugą godzinę, gdy raptem na drogę padł najpierw daleki, potem coraz bliższy snop reflektorów. Jakiś samochód wjechał w tę ulicę i dążył do jej kresu, to znaczy do domu Ani i do mnie, ukrytego, jak ostatni palant, w krzakach. Sytuacja była idiotyczna, przywarowałem na poboczu, żeby mnie nikt nie zobaczył. Samochód zatrzymał się przed bramą, usłyszałem odgłos odblokowywania drzwi, wszystko w tej ciszy brzmiało jak wystrzał. Ania wysiadła i powiedziała:

– Dziękuję.

Jakiś facet wysiadł od strony kierowcy i podprowadził ją do furki. Zamarłem w krzakach. Winnetou składał mi pospieszne gratulacje, że się nie ujawniłem, ale nie zwracałem na niego uwagi.

Wysoki facet, zdołałem go sobie obejrzeć, gdy wszedł w światła reflektorów. Po pięćdziesiątce, elegancko ubrany, z grzywą szpakowatych włosów, wyglądał dość ekscentrycznie. Jak człowiek wolnego zawodu, artysta, ktoś z kupą szmalu. Gdy ma się odpowiednio dużo kasy, zaczyna się tak wyglądać, bez większych właściwie starań. Kto to jest, do cholery?

– Bardzo się cieszę, że mogliśmy się spotkać – powiedział do Ani.

Ja też bym się cieszył na jego miejscu. Głos miał miły, niski, z ledwie wyczuwalnym obcym akcentem.

Siedziałem w kucki w zaroślach, zastanawiałem się, czy jechać za nim, czy zapukać do Ani, czy pójść kupić flaszkę.

– Ja też się cieszę. Bardzo. Kiedy będzie pan znów w Polsce?

– Trudno powiedzieć. Może na wiosnę? W każdym razie już po świętach. Będę za tobą tęsknił.

Zacisnąłem w pięści ręce ukryte w kieszeniach. Tęsknił będzie, proszę, proszę.

– Ja też będę za panem tęsknić – powiedziała Ania i poczułem, jak paznokieć przecina mi skórę wewnątrz dłoni.

– Pisz, Aniu – powiedział facet. – Do widzenia.

Schylił się i pocałował ją w policzek. Ania oddała pocałunek. Była już prawie jedenasta w nocy.

– Do widzenia – powiedziała i otworzyła swoją furtkę.

Facet cofnął się do samochodu, wykręcił, omiatając światłami chaszcze, w których siedziałem. Przepięknie. Niech mnie tu znajdzie, to czuję, że skończy się na mordobiciu. Dlaczego Ania ma do niego pisać? Dlaczego ma za nim tęsknić? Kto to jest, do kurwy nędzy? Wujek? Przyjaciel? Jaki, kurwa, przyjaciel?

Poczekalem, aż Ania wejdzie do domu i cofnąłem się do samochodu. Wieczór się jeszcze nie skończył, pomyślałem, że bez flaszki jednak się nie obejdzie.

Wiele znam na Ursynowie nocnych sklepów, ale pojechałem na róg Ciszewskiego i Pileckiego, do sklepu z alkoholami czynnego całą dobę. Właściwie ten sklep to taka większa blaszana buda, ale pracowała tam Dosia, a Dosia była cenniejsza niż wszystko.

Dosia naprawdę ma na imię Donata, jest wysoką brunetką o ognistych oczach i bierze zawsze nocki. Pogoniła męża, bo ją lał, ma pełnoletniego syna, wchodzącego już w pewne kolizje z prawem, skończyła jakąś tam

szkołę ogrodniczą, pracowała w Centrali Telefonicznej Hallo Taxi, miasto zna na pamięć.

Dosia ma głos lektorski i zwraca się do dżentelmenów, napierdolonych jak taboret, z prawdziwą kurtuazją: „Słucham, czym mogę panu służyć?”. Nie ma i nigdy nie miała najmniejszych kłopotów z pijanymi klientami, nawet nie zamyka za sobą dla bezpieczeństwa kraty, każdy facet na jej widok pionizuje się odruchowo, wypina klatkę piersiową i dokonuje gwałtownej próby zderzenia kulek w mózgu. Z wieloma klientami zresztą Dosia jest po imieniu, tak jak ze mną i pyta po prostu: „Co dzisiaj?”. Kiedyś nie mogłem dokonać wyboru i Dosia bez wahań podała mi wódkę.

– Skąd wiesz? – spytałem wtedy, wódka była idealnie dobrana do stanu mojego ducha.

– Bo cię znam – westchnęła Dosia. – Whisky kupujesz, bo po prostu lubisz whisky. Wódkę, jak masz jakiś problem. Gin, gdy chcesz o czymś zapomnieć. Piwo bez powodu. Wino, kiedy musisz pójść z wizytą.

Zatkało mnie.

– A psychologii to ty przypadkiem nie kończyłaś? – spytałem.

– Nie, skończyłam WSTG.

– Co to jest WSTG, do diabła?

– Wyższa Szkoła Tańca Góralskiego – powiedziała Dosia, pakując mi wódkę w kawałek papieru.

Z Dosią można pogadać o wszystkim. Jest szybka, energiczna, kobieca, mówi: „Będzie dobrze. Musi być”.

To z jej ust usłyszałem raz prawdę ludową, urzekającą w swej prostocie – „Po co bąka trzymać w dupie, niech se lata po chałupie”. Równocześnie to ona powiedziała o jakimś kliencie „Ten nomen omen Piwowarczyk”.

Dosia zaskakuje mnie po prostu całe życie i cholernie ją lubię. W wolnych chwilach czyta książki, jakieś tam babskie powieści, ale niby dlaczego miałyby czytać Schopenhauera? Zresztą w zderzeniu z jej wrodzonym optymizmem Schopenhauer wyszedłby pobity i zostawiony na deskach.

Gdy wszedłem dzisiaj do sklepu, Dosia akurat obsługiwała dwóch klientów. Jeden giął się jak podcięty kwiat, drugi tkwił w głębokim zamyśleniu, nie zwracając kompletnie uwagi na otoczenie.

– Słucham panów? – powiedziała z bezbłędną dykcją Dosia i uśmiechnęła się do dżentelmenów ujmująco.

Podcięty kwiat nie zareagował, drugi wypłynął ze swojego zamyślenia i powiedział niepewnie:

– Wino poproszę.

– Jakie? – spytała cierpliwie Dusia. – Białe? Czerwone? Różowe?

Na twarzy dżentelmena ujawniła się męka i to była jedyna reakcja. Przerzuciliśmy się spojrzeniem i Dusia spróbowała jeszcze raz:

– A do czego ma być to wino?

Z pytania wywnioskowałem, że próbuje dopasować trunek do potrawy, z którą będzie spożywany.

Faceta zatkało na dłuższą chwilę.

– Więc do czego? – powtórzyła Dusia.

Wtedy ten drugi, ten nawalony jak szpadel, przecknął się na moment, mocniej uchwycił lady, potoczył wkoło dumnym spojrzeniem i powiedział basem:

– Do parku.

Musiałem wyjść na chwilę ze sklepu, gdy wróciłem Dusia była już sama, ale ciągle się śmiała.

– Co dziś dla ciebie? – spytała.

– Wódka – poprosiłem.

Przestała się śmiać, obrzuciła mnie spojrzeniem.

– Wiesz, że będzie dobrze? – spytała. – Musi być.

Schowałem butelkę do kieszeni, uśmiechnąłem się do Dosi i wyszedłem.

nocą

Położyłem się do łóżka trochę przed trzecią. I nagle – jakbym przekreślił zoom – wybiegła ku mnie z ciemności twarz Majki, a w oczach miała ten wyraz, jak wtedy, gdy się kochaliśmy i było już po wszystkim, a Majka szeptała: – „Zostań, chcę żebyś znów wstał we mnie”. Patrzyłem jej w oczy i za chwilę już znów byłem na baczność, gotów do spełnienia jej każdego rozkazu.

– Odejdź ode mnie – powiedziałem Majce. – Idź, nie kocham cię już.

– Ale wciąż mnie pragniesz – powiedziała Majka.

– Pragnę, ale nie ciebie. Wynoś się. Idź precz z mojej pamięci. – I twarz Majki zniknęła.

2 listopada

Pomyślałem sobie, że może poszedłbym do kina, bo strasznie dawno niczego nowego nie oglądałem. Już byłem na miejscu, gdy nagle z wielkiego billboardu spojrzała na mnie Ewa i zawróciłem bez słowa spod drzwi, w ogóle nie wchodząc do środka.

Ewa była jeszcze przed Majką i chyba jeszcze mniej mam ochotę o niej pisać.

W każdym razie wtedy, gdy zacząłem być z Majką, nagle wszystko stało się cudownie proste – żadnych castingów i hysterii przed nimi, żadnych koszmarnych imprez, na których koniecznie trzeba się było pokazać i na których musiałem Ewie towarzyszyć, ubrany w najmodniejsze ciuchy, jak ostatni dupek. Nienawidziłem tego pozowania na ściankach, umizgów do ludzi, od których mogło coś zależeć, nieustannych pretensji: „Bo ty nigdy nie rozumiesz, ty nigdy mnie nie wspierasz...”. Wspierałem ile mogłem i jak mogłem, ale gdy okazało się, że wspieranie oznacza również przymykanie oczu na załatwianie sobie ról przez cudze łóżka – no nie, tego już było trochę za dużo.

Jak się jednak po czasie okazało – pewnie miała rację, bo jej twarz zaczęła pojawiać się regularnie w prasie, na plakatach i billboardach, reklamująca najnowszą produkcję, serię kosmetyków czy program telewizyjny.

Pojawił się ktoś inny, kto ją bardziej wspierał wtedy, gdy po ciężkiej awanturze usunąłem ją ze swego życia. Od tamtego zajścia zostały u mnie w mieszkaniu kompletnie zdemolowane drzwi do kuchni i nawet za bardzo nie winię o to Ewy, drzwi były z gównianej sklejki, mogło je załatwić byle co, a nie taka rzetelna furia, jaka wtedy szalała między nami.

Teraz w kuchni w ogóle nie miałem drzwi, co czasem bywało niewygodne i na fali przeprowadzonego remontu postanowiłem, że coś muszę z tym fantem zrobić. Problem polegał na tym, że metalowa futryna została w ścianie, nowe drzwi można było kupić wyłącznie z futryną, czyli tę starą należałoby wyszarpać, co powodowało znów spory koszt i przede wszystkim nowy syf.

Na wszelki wypadek podjechałem do marketu budowlanego, żeby sobie pooglądać ofertę. Drzwi było bez liku, od potwornie drogich do takich całkiem przystępnych, przyważyłem jedno, które mi się podobały i rozejrzałem się za sprzedawcą. Byłem tak zaaferowany i myślami tak gdzie indziej, że gdy go wreszcie dopadłem, powiedziałem głupio:

– Proszę pana, jestem zainteresowany tymi drzwiami.

Sprzedawca, młody chłopak walnął bez namysłu:

– Ma pan naprawdę zajebiste zainteresowania...

Spojrzeliliśmy na siebie i obaj wybuchnęliśmy śmiechem.

– Przepraszam – powiedział chłopak. – Wypsnęło mi się. Jestem Przemek.

– Paweł.

– Więc jak z tymi drzwiami?

Wyłuszczyłem mu sprawę.

– Nie ma problemu – powiedział. – Mogę ci polecić ekipę montującą, wyjmą jedno, wstawią drugie, parę godzin i po krzyku.

Bardzo się ucieszyłem, że wreszcie tę sprawę załatwię. Wszystkie ślady po Ewie też chciałem usunąć do końca z mojego życia. Wziąłem od Przemka numer telefonu do ekipy i kupiłem drzwi. Zwykłe, proste, bez żadnych wydziwiań, za to drewniane i dające możliwość pomalowania ich na dowolny kolor, względnie zabejcowania, zawoskowania, zaolejowania i co mi się tam zamarzy.

Potem wróciłem do domu i pomyślałem, że naprawdę będę uwolniony od Ewy, gdy bez problemów pójdę na film z jej udziałem, a nie ucieknę spod kina, jak dzisiaj. Że naprawdę będę uwolniony od Majki, gdy spotkam się z nią jak ze zwykłą starą znajomą i będę mógł miło porozmawiać o wszystkim i o niczym, a potem pożegnają się i więcej o niej nie pomyślę.

Na czym polega ten problem? Przecież już pozamykałem te sprawy, rozstałem się z jedną i drugą, dlaczego wciąż zdarza im się atakować moją pamięć? Dlatego, że za bardzo jeszcze mnie wszystko boli. Dlaczego boli? Dlaczego nie potrafię z tym skończyć? Skończyć, otrzepać się i pójść dalej? Dlaczego się umartwiam i ciągle rozdrapuję stare rany? Owszem, nie było łatwo, po obu omal się nie zachlałem na śmierć, a po Majce omal nie skończyłem na OIOM-ie (właściwie to skończyłem...), ale ciągnięcie tego za sobą jak kuli jest zupełnie pozbawione sensu. Chociażby ze względu na Anię muszę to zrobić. Po co jej facet z takimi obciążeniami, niezalatwionymi do końca sprawami, po co jej taki mięczak?

Wypaliłem paczkę papierosów i poszedłem na film z Ewą. I musiałem uczciwie przyznać, że była świetna.

Następnego dnia przyjechała silna ekipa złożona z trzech facetów i zamontowała mi drzwi do kuchni.

5 listopada

Dziś pani Barska dopadła mnie na przerwie, bardzo zaaferowana.

– Panie Pawle! Czy mógłby pan po lekcjach podjechać do Ani, bo będą jej zakładać telefon? Boję się, czy sobie sama poradzi z tymi fachowcami, czy potraktują ją poważnie...

– Naturalnie – odparłem z uśmiechem, próbując wyłowić z pamięci napięty plan dzisiejszego popołudnia.

Miałem mnóstwo umówionych spotkań naprawczo-awaryjnych, praktycznie od skończenia lekcji do późnej nocy. W zaistniałej sytuacji miałem też to naturalnie w dupie. Odszukałem Anię w czasie przerwy i podszedłem do niej na korytarzu.

– Zrobimy tak: ty jedź do domu i czekaj na faceta, a ja mam jeszcze jedną lekcję i zaraz potem do ciebie dojadę, OK?

Ania obrzuciła mnie przepłoszonym spojrzeniem.

– Ale może... nie ma potrzeby... może...

Zignorowałem to.

– Wiesz, z fachowcami jest różnie. Czasem trzeba ich przypilnować.

– Dobrze, dziękuję.

Tak, jakby się wstydziła. Jakby wstydziła się kontaktu ze mną, rozmowy na korytarzu. Zwykłej rozmowy, kilku zaledwie zdań... Odwróciłem się i dostrzegłem wlepione we mnie podniecone spojrzenia. Zachłanną, niczym niemaskowaną ciekawość. I to nie tylko dziewczyny. Dziewczyny, faceci, cały krąg rozgorączkowanych twarzy. Aha. No to w sumie, dlaczego się dziwię? Jeśli o mnie chodzi, to mogę być przedmiotem plotek czy skandalu, bywałem już, jestem uodporniony. Ale Ania? Nie, nie wolno jej w to wikłać. Skandal nie jest jej do niczego potrzebny. A ludzie bywają straszni. Szczególnie nieudacznicy i frustraci. Wiadomo – szczęśliwy człowiek krzywdy ci nie zrobi...

Poprzestawiałem plan popołudniowy, na ile mi się udało. Większość zleceń przesunąłem na bardzo późny wieczór, trudno, najwyżej będę jeździł całą noc. Zjadłem jeszcze szybko stołówkowy obiad, żeby nie rzucać się znowu jak głodny pies na żarcie u Ani, i zaraz po lekcjach pojechałem do niej.

Ekipy jeszcze nie było, Ania była piękna i wściekła.

Była tak piękna, piękniejsza niż mógłbym sobie wyobrazić, w tej złości piękna, jak burzowa chmura.

– Dlaczego masz taką wściekłą minę? – zapytałem cicho. – Nie cieszysz się, że będziesz miała telefon?

– Bardzo się cieszę – odpowiedziała, nie zmieniając nawet na moment wyrazu twarzy.

Podejść do niej – to byłyby dwa kroki. Jeden ruch – wziąć ją w ramiona. A potem już tylko całować – całować jej oczy, wysokie kości policzkowe, jej mały nosek, jej nadąsane usta... Całować jej usta i zetrzeć z nich gniew, przegonić złość, całować jej słodkie usta, po kolei jedną i drugą wargę, dumną górną, uległą dolną, poczuć jej uległość i jej płomień, poczuć jej dreszcz i jej pragnienie, wziąć ją na ręce, jak wtedy, i czuć przy piersi całe jej drobne ciało, tuż przy sercu, tłukącym się desperacko, walącym obuchem krwi w skroniach, tak jak teraz...

Zamknąłem oczy. Wszystko mi się w środku trzęsło szybciotkim, dygoczącym rytmem. Nie dotkniesz jej. Uspokój się, ty zwierzaku. Za łatwo ci wszystko przychodziło do tej pory...

– Coś się facet spóźnia – powiedziałem ze skrajnej przepaści.

– Naprawdę nie musi pan tracić tyle czasu – zaczęła Ania.

Wciąż jeszcze nie mogłem na nią patrzeć, machnąłem ręką, udając sam przed sobą, że robię to w sposób naturalny, że nie jest to jakiś neurotyczny tik. Dobrze, że nie ma tego faceta, dobrze, że go jeszcze nie ma... Niech trwa to jak najdłużej. Chwilo, nie mijaj...

– No dobra – powiedziałem wreszcie, gdy uznałem, że struny głosowe będą mi posłuszne. – Mamy chwilę. Może pogadamy sobie... – O czym mógłbym z tobą pogadać? Nie chcę z tobą o niczym gadać, chcę cię rozbierać i kochać się z tobą, powoli, słodko, czule, kochać się z tobą, a potem zasnąć w twoich ramionach. – ...O matematyce?

Chyba mam jakąś chorobę mózgu, co ja do niej powiedziałem? Chciałem powiedzieć – o miłości.

Muszę stąd wyjść. Wyjść jak najprędzej. Tracę rozum w jej obecności. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Uspokój się, idioto, chcesz ją na śmierć przerazić? Przecież to tak, jakby ci nagle wyrosły wilcze zęby. Miły profesor od matematyki raptem zamieniony w wilkołaka. Sam urok. Każdy by się zakochał.

Spojrzałem na jej zmieszaną twarz i powiedziałem miękko:

– Czego się boisz?

Przecież wiem, że nie umiesz matematyki. Nie bój się. Nie zrobię ci nic złego. Nie dotknę cię, choćbym miał paść trupem u twych stóp. Nie dotknę cię, dopóki nie zapragniesz sama.

Coś mówiliśmy, toczyła się między nami jakaś rozmowa, jakbyśmy odbijali do siebie wielki, kolorowy balonik, balonik fruwał między nami, ciągnąc za sobą wstążeczki słów.

– Matematyka jest taka... nieludzka – powiedziała Ania.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Matematyka była mną, była we mnie, w moim mózgu, w mojej pamięci, w moich odruchach i wyborach, w każdej części mnie samego.

– „Liczba jest zasadą i przewodnikiem życia” – wykrztusiłem. Jeśli nie wesprze mnie Pitagoras, to kto. – „To jej świat zawdzięcza swój kształt i ład. Liczba jest istotą wszechrzeczy”.

Cóż mogę jej o tym powiedzieć? Tak jakby ona usiłowała mi tłumaczyć, jak tworzy się obraz. Ma się do dyspozycji ileś tub farb w określonych kolorach i raptem – niebo przed burzą, zakręt rzeki we mgle, dziwne oczy kamiennej rzeźby, jak obsesja maniackalna, jak nagłe osunięcie się umysłu w ciemną wiedzę magii i dawnych obrzędów, czerń konia i błysk światła w tęczęwce jego niespokojnego oka, burza krwi w jego prześwieconych chrapach... Jak to się dzieje? Jak ona to robi? Tak odruchowo, jak ja pojmuję matematyczne problemy. Tak bez namysłu, jak ja przeprowadzam dowodzenie... Tylko to, co się kocha, można robić tak bez wysiłku, z dreszczem szczęścia lecącym wzdłuż kręgosłupa, z dygotaniem umysłu na chwilę przed rozwiązaniem. Ona opowiedziała mi o malarstwie. Teraz na mnie kolej.

– Aniu – powiedziałem, uśmiechając się do niej z czułością. – Matematyka jest ładna. Może ci to pokażę, jeśli zechcesz się na tę wiedzę otworzyć.

– A... czym pan się właściwie zajmuje? – spytała nagle. – To znaczy prócz uczenia w szkole? Jaka... dziedziną?

– Teorią liczb – odpowiedziałem odruchowo, jak tyle już razy w życiu.

Tylko teraz to nie była prawda. Nie zajmowałem się już teorią liczb, bo po prostu niczym naukowo się nie zajmowałem. Zostałem odstrzelony i pochowany głęboko, byłem nauczycielem w liceum plastycznym.

– Czym jest teoria liczb? – spytała po dziecinnemu.

Jak miałem jej to wytłumaczyć? Jak trudno cały ogrom wiedzy nazwać jednym słowem. Zrozumiałym słowem, które wyjaśni cokolwiek.

– Teoria liczb zajmuje się niepotrzebnymi zadaniami – odpowiedziałem wreszcie.

– A więc po co się nimi zajmować? – spytała.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– Głównym powodem jest to, że mnie to interesuje.

– Czyli zajmuje się pan czymś niepotrzebnym? – W oczach miała nieufność i pytanie.

Teraz to zajmuję się uczeniem was matematyki – pomyślałem. Masz rację, to zupełnie niepotrzebne. I zajmuję się też miłością do ciebie. A to jest akurat najpotrzebniejsze na świecie. Jedyna ważna rzecz w moim życiu. Coś jej odpowiedziałem. Nie wiem co. I tak umysł mi się rozjeżdżał, jakbym był kompletnie zjarany.

– A gdyby pan wyjaśniał nieprzystępnie? – spytała Ania i jej oko błysnęło uśmiechem. – To co by pan powiedział?

Poddałem się.

– Powiedziałbym, że badam istnienie drugiego wyrazu asymptotyki rozkładu liczb pierwszych w ciągu liczb naturalnych – powiedziałem, nie starając się już nic tłumaczyć.

Spojrzeliliśmy na siebie i w tym samym momencie wybuchliśmy śmiechem.

Potem przyjechał ten facet od, pożal się Boże, montażu i zaprezentował taki pokaz dziadostwa, że po prostu trudno mi było w to uwierzyć, potem cała grupa facetów latała jak wściekła po domu i ogrodzie, podpinając przewody, wspinając się na słupy i próbując zdemolować dom – jak stado rozszalałych małąp, niebezpiecznych, bo z wiertarkami w rękach, a potem wreszcie zabrali się wszyscy i poszli, szaleni perforatorzy, a Ania z wahaniem podniosła słuchawkę.

– Czy podasz mi oficjalnie numer twojego telefonu? – spytałem.

Będę mógł do niej zadzwonić. Usłyszeć jej głos, jej szepty, zawahania, jej śmiech, jej słowa i ciszę między słowami.

wieczorem

Właśnie przeczytałem to, co dziś zapisałem i ogarnęło mnie uczucie prawdziwego przerażenia.

Nigdy w życiu nie powiedziałbym nikomu na głos żadnego z tych słów. Jakie to szczęście, że nikt nigdy nie będzie tego czytał... Przecież każdym zdaniem można by było szantażować mnie do końca życia. Po co to robię? Po co z maniackalnym uporem zapisuję wciąż nowe i nowe strony?

Nie, nie po to, by coś zanotować.

Piszę, jakbym puszczał sobie krew – aby zeszyły ze mnie złogi, skrzepy i toksyny, by zeszyła czarna krew obłędu.

6 listopada

Następnego dnia późnym popołudniem usiadłem w fotelu i zapaliłem papierosa. Za oknem było już ciemno, nie włączałem światła, siedziałem w półmroku. I – myślałem.

Zdałem sobie zupełnie jasno sprawę, że muszę bardziej nad sobą panować, przecież w czasie ostatniego spotkania z Anią była taka chwila, że omal... Muszę trzymać się w większych ryzach, dałem słowo dyrektorowi, mało – złożyłem przysięgę. Nie mogę narażać jej na skandal, nie mogę jej nawet dać odczuć, że mi się podoba. Do tej pory raczej nie miałem problemów ze zdobyciem kobiet, teraz nie wolno mi było stosować żadnych męskich sztuczek, nie wolno mi było jej w sobie rozkochać. Bo przecież na jakikolwiek znak z jej strony musiałbym odpowiedzieć. Musiałbym, inaczej byłbym skończonym gnojkiem. No i wtedy cała przysięga poszłaby się... no. Nie po to składa się przysięgę, żeby potem zrobić wszystko, by ją złamać, by ją unieważnić. Co z tego, że umiem zdobywać kobiety. Nie może mi to być do niczego potrzebne.

Po jeszcze kolejnym papierosie zacząłem rozumieć, że dałem się uwikłać w ewidentny koszmar, w sytuację patową, wiążącą mi ręce. No tak. Ale co można w obecnym układzie zrobić innego? Nie miałbym dostępu do Ani, gdybym nie przyrzekł. Powiedzieć jej wszystko? Skąd wiem, jak zareaguje? Przecież jestem dla niej obcym człowiekiem, nie darzy mnie nawet przyjaźnią... sympatią? Nie wiem. Jeśli teraz padnę na kolana i wyznam jej miłość, przestraszy się, uzna, że ją molestuję, poczyta za zboczeńca, oślizłego typa, dybiącego na nastolatki i śliniącego się na sam ich widok. Nie mogę mówić o miłości, dopóki nie zdobędę jej zaufania i przyjaźni. Nie zdobędę przyjaźni, gdy teraz usunę się ze szkoły. Po prostu stracę z Anią kontakt.

Więc – muszę zostać, zyskać przyjaźń, ukryć miłość. Zbliżyć się, ale nie zdobyć. Zdobyć, ale po skończeniu szkoły. W sumie – zero problemu. Pikuś. Miki.

Od dzisiaj ten pętał Werter będzie mi mógł buty czyścić. Mnich buddyjski ze swym opanowaniem to będzie przy mnie szczeniak. Jak uda mi się wszystko opanować, zgrać i wykonać, to będę naprawdę wielki.

Ale coś we mnie podniosło z niepokojem głowę i w ciszy ciemnego pokoju gapiło się na mnie z ogromnym politowaniem.

– Dam radę – powiedziałem temu czemuś.

Coś uśmiechnęło się kpiąco, cud, że nie pokazało mi środkowego palca...

– Spadaj – rozzłościłem się.

– Ty to chyba jesteś nienormalny – powiedziało coś, wzruszyło ramionami i spadło.

9 listopada

Zdałem sobie sprawę, że nie przeżyję w szkole, jeśli będę się tak alienował, jak dotychczas, więc gdy przy najbliższej okazji Darek zaprosił mnie na piwo – zgodziłem się.

Młodych facetów jest w szkole kilku. Jest Darek Krauz od historii, Wojtek Szymański od technologii, Andrzej Skibiński od projektowania – ta trójka jest mniej więcej w moim wieku. No i jest także Zbyszek Radtke, ale nie sądzę, by komuś udało się wyciągnąć go kiedykolwiek na piwo. Tym razem poszliśmy w czwórkę – Darek, Wojtek, Andrzej i ja.

– Zostaw samochód pod szkołą – powiedział Darek – bo to się tak szybko nie skończy. Zawsze tak robimy – bryczka na parking, wracamy metrem.

Nie ma bata, wpadnę w alkoholizm...

Poszliśmy do knajpy blisko szkoły, nazywała się U mamusi i była to typowa mordownia, z całym pięknym folklorem, słowiańską duszą i ciepłą wódką.

Rozpoczęliśmy bardzo porządnie, od piwa. Piwo na szczęście było zimne.

– A ty, Paweł, to jak tu do nas trafiłeś? – spytał Wojtek.

No to pięknie się zaczyna...

– Z powodu niefortunnnych układów – powiedziałem wymijająco.

– Chcesz gadać? – spytał po prostu Darek i odetchnąłem.

– Może nie dziś. – Uśmiechnąłem się z wdzięcznością.

– Ja tu pracuję już trzeci rok – powiedział Andrzej.

– Ja dwa lata.

– Ja też dwa.

Skończyliśmy piwo i zaproponowałem przejście na cięższe paliwo.

– I jak tu jest? – spytałem po pierwszej pięćdziesiątce.

– No... jak by ci powiedzieć...

– Ludzie są fajni. W większości.

– Na dyra uważaj – powiedział Darek. – I na tego wała, Krawczyka od PO.

– Krawczyk to trep – przyświadczył Wojtek. – Nic ciekawego. I do dziewczyn się klei. To znaczy do uczennic.

Trochę mi się zrobiło zimno. To jak mnie można zakwalifikować? Ja to bym najchętniej się z uczennicą ożenił... Odruchowo zwiększyłem tempo, reszta poszła za ciosem. Silniki zagrzmiały większą mocą.

– A ten Krawczyk, prócz tego, że trep, to ma iloraz inteligencji zbliżony do kury – powiedział Darek, lekko już zmieszany – ale dosłownie dwa zwoje więcej, w związku z czym nie sra po podwórku.

Porównanie bardzo mi się spodobało. Trąciłem się z Darkiem.

– No i jest Zbyszek – powiedział dość rozwlekłe Andrzej. – To znaczy Zbyszek jest...

Wypowiedź wydała mi się nieco enigmatyczna.

– Co z nim? – spytałem.

– No wiesz, urodził się głupi, a potem tylko rósł.

– Nie przesadzaj. – Wojtek się zaśmiał. – Parę szarych komórek ma.

– Tylko że się z sobą nie stykają.

– Daj spokój, przecież fizykę jakoś skończył.

– Jak on skończył, to i mój pies by skończył – oświadczył lekko pijany Darek i połapałem się, że jednak trening czyni mistrza. Wciąż jeszcze umysł miałem niezmacony, mimo gorączkowych starań w tym kierunku.

– Poza tym Zbyszek jest frustrat – dokończył Wojtek.

– Dlaczego frustrat? – zdziwił się Andrzej. – Przecież ma żonę, teraz im się dziecko urodziło...

– No właśnie temu to się trochę dziwię. W takich wypadkach zazwyczaj na wschodzie ukazuje się jasna gwiazda i przybywa trzech króli – powiedział Darek.

Ponownie się z nim trąciłem.

– A... koleżanki? – spytałem dla kamuflażu.

– Koleżanki są spoko – zawyrokował Andrzej. – Prócz Bożenki. Na Bożenkę uważaj.

– Bożenka to ta od chemii?

– Taaa... od chemii – mruknął Wojtek. – Więc jakbyś był w potrzebie, to Bożenka zawsze. Tylko potem trochę trudno wymiksować się z tego

układu.

Zanotowałem sobie, że Wojtek po paru głębszych ma niewielkie problemy z dyskrecją.

Potem musieliśmy przerwać na moment, bo dwóch panów koło nas zaczęło dyskutować o gnębiących ich problemach przy pomocy kufli, więc tylko mocniej przytrzymaliśmy stolik, a potem przytrzymaliśmy Wojtkę, ponieważ koniecznie chciał się włączyć w toczącą się dyskusję.

– Proszę cię – powiedział Darek. – Mam na sobie nowe ubranie.

– Ubranie - sranie – odparł Wojtek, więc zwiększyliśmy nacisk.

Panowie już zaczęli popatrywać w naszym kierunku.

– Jakby co, to i tak mamy przewagę. – Pokazałem flaszkę na stole. – Zawsze można zrobić tulipanka.

– Tulipanka - sranka – powiedział Wojtek.

– Wojtek, daj spokój. – Próbował mitygować Darek. – Nie wtrącaj się, przecież to dżicz mało komunikatywna.

Dżentelmeni usłyszeli, ale nie zrozumieli. Pomyślałem, że zaraz trzeba będzie zmienić lokal, gdy zza bufetu wyszła wiośniana dziewczyna prawie mojego wzrostu, ale podwójnej wagi i bez najmniejszych wahań wkroczyła w sam środek generowanej przez panów akcji.

– Rany boskie... – Poderwałem się w obronie, ponieważ, jak się okazało, etos rycerza bez zmazy zwyciężał u mnie w zetknięciu z goryczą doświadczeń, ale Andrzej przytrzymał mnie za rękaw.

– Siedz. To Jadwisia. Na Jadwisię nie ma mocnych. Zaraz zobaczysz.

Jadwisia uchwyciła każdego pana za ubranie na wysokości piersi, uniosła lekko w górę, a potem potrząsnęła. Potrząśnięci panowie potoczyli wkoło raptem rozbudzonym spojrzeniem.

– Spokój – powiedziała Jadwisia, jak do nieposłusznych psów – ma być.

Postawiła panów na ziemi i spokojnie wróciła za ladę. Panowie bez najmniejszego sprzeciwu zgodnie skierowali się do wyjścia.

– Na czym skończyliśmy? – spytałem.

Jako rozmówca został mi tylko Andrzej, Darek już odkrywał nowe światy, a Wojtkę musiała zrazić nieudana próba interwencji, gdyż wyraźnie skłął w sobie i przestał się odzywać.

– Nie pamiętam – powiedział Andrzej.

– Często urządzać sobie takie sesje? – spytałem.

– Od czasu do czasu – zamyślił się na chwilę – czasu. Czasem z nami chodzi Kubuś Piechnicki od wufu, a czasem pan Stefański od francuskiego.

Stefański ma tak z dychę więcej, myślę, że jest po czterdziestce, ale jest spoko. Spoko koleś. Tylko po pijaku przechodzi na francuski, więc staje się trochę mniej zrozumiała.

Zauważyłem, że Andrzej trzyma się bardzo dobrze.

– A, mówiliśmy o koleżankach – przypomniał sobie. – Więc tak: jest Beata Grabowska od angielskiego, ale ona jest trochę starsza, ma męża i dwoje dzieci. Jest Ela Mietkowska od wufu dziewczyn, ona z kolei jest młodsza, zaraz po AWF-ie, nie wiem, ile ma lat, pewnie dwadzieścia pięć-sześć. Pani Czechowska i pan Czapla są od malarstwa, oboje po ASP, bardzo fajni ludzie...

– A ty po czym jesteś? – spytałem.

– Po architekturze wewnątrz na ASP.

– I co, nie chcesz być architektem?

– Właśnie już zaraz będę architektem, teraz robię fuchy po godzinach, ale mam kupę zleceń, więc od przyszłego roku przechodzę na swoje. Edytka Bartłomiejczyk też jest po ASP, uczy projektowania graficznego, też bardzo fajna babeczka. A poza tym...

– Panowie, zamykamy – usłyszałem i na wysokości wzroku wyrósł mi niespodziewanie biust Jadwisi, a nie było to byle co, każda pierś miała gabaryty piłki do kosza.

Trudno było od nich oczy oderwać.

– Panowie sobie zabiorą kolegów – zdecydowała Jadwisia. – A pan się przestanie gapić.

– Najmocniej panią przepraszam – powiedziałem i uniosłem się odrobinę z krzesła. – Naprawdę nic nie mam na swoje usprawiedliwienie.

– Proszę, jaki grzeczny – zdziwiła się Jadwisia. – Jak to pan nie ma? Moje cycki – dokończyła spokojnie.

nad ranem

Jakich słów użyć do opisania szarego miasta o świcie, gdy z ziemi podnosi się mgła, która za chwilę wszystko pochłonie? Jak opisać burą rzekę, przesuającą się szybko pod mostami i same mosty, łączące dwa czarne brzegi?

Urodziłem się w tym mieście i gdy rankiem w sobotę idę zupełnie wyciszonymi ulicami, niosę w sobie tę samą ciszę, ciszę mojego miasta.

Jak opisać strukturę Saskiej Kępy i Pragi, której muszę się domyślać, mimo że mam ją przed oczami, i kolorowe makiety kamieniczek Starego Miasta, których też domyślam się za plecami? Gdzieś tam, utopiona we mgle, jest Archikatedra św. Jana Chrzciciela i kościół św. Marcina... Iść dalej? Wsiąść w autobus? Przysiąść na ławce, obok śpiącego pijaka? Iść dalej, by wyparował ze mnie alkohol, by móc wsiąść do samochodu w stanie nieco bardziej przytomnym, niż teraz...

Jakich słów użyję, by opowiedzieć o tej wędrowce budzącym się miastem, gdy słysząc tylko krzyki nadrzecznych ptaków, gdy bezgłośnie przesuwiają się koło mnie autobusy i samochody, gdy niosę w sobie kaca, zmęczenie, słowa, których nie mam do kogo skierować, gdy niosę w sobie słowa, które powinny umieć opisać to wszystko, a wymykają mi się wciąż i wciąż od nowa.

Może nie ma takich słów, albo po prostu ja ich nie znam.

14 listopada

Dziś Ani nie było na lekcji, więc zaniepokoiłem się, czy nie zachorowała. Ale w przerwie obiadowej odetchnąłem, bo zobaczyłem ją w stołówce. W naszej szkole nie ma podziałów na stoły nauczycielskie i uczniowskie, każdy siada tam, gdzie jest wolne miejsce. To znaczy raczej kadra siedzi z kadrami, ale nie jest to żaden nakaz.

Ania była sama przy stoliku, uśmiechnęła się zapraszająco, gdy spytałem, czy mogę jej towarzyszyć.

– Nie dotarłaś dziś na lekcję? – zapytałem oględnie, jakoś głupio mi było dociekać, co się stało.

– Przepraszam – powiedziała Ania, siłując się z kawałkiem mięsa na talerzu. – Mam potworny kłopot z szambem.

Nastawiłem uszu. Kłopot. Proszę bardzo. Kłopoty to moja specjalność.

– Zapomniałam o tym – mówiła Ania, jakby z lekkim zdziwieniem. – Dopiero teraz jakoś tak wyszło w rozmowie z sąsiadami, że jeszcze od początku nie wybierałam szamba. No i musiałam na gwałt zamawiać szambiarkę.

Wolałbym, żeby zamawiała na coś innego...

– I facet przyjął zgłoszenie, powiedział, że szambiarka będzie dzisiaj. A tymczasem wczoraj – proszę zobaczyć, co mi wetknęli w bramę...

Sięgnęła do plecaka, podała mi pogniecioną wystrzępioną kartkę. Drukowanymi literami na całą szerokość ktoś nagryzmolił: „BYLIM, CZEKALIM, SZAMBO”. Chyba nie udało mi się stłumić śmiechu.

– *Veni, vidi, vici* – powiedziałem odruchowo. – I co, udało ci się wezwać tych Cezarów?

Pokręciła głową. Skończyłem zupę i zabrałem się za drugie danie. Wyglądało dziwnie. Był to duży plaskaty kawałek jakiegoś mięsa w burym sosie z ziemniakami, pływały w tym dwa plasterki pomidora. Kiedy kucharz tworzył to arcydzieło, z pewnością taki detal jak estetyka nie wpadł mu do głowy. Noże stołówkowe oczywiście były tępe i zacząłem dydolić mięso, żeby przysposobić je choć trochę do spożycia.

Ania patrzyła z powątpiewaniem.

Pierwszy kęs sprawił, że się zdumiałem. Tak jakbym próbował gryźć kawałek opony.

– Rany boskie, co to jest? – spytałem. – Co ten facet ugotował? Jak ci się udało to zjeść?

Ania przerzuciła wzrok na swój talerz, gdzie pływał taki sam, ledwie zaczęty kawałek mięsa.

– Wcale mi się nie udało.

– To jest niejadalne – powiedziałem. – Chodź, pójdziemy na jakąś pizzę.

Powiedziałem to odruchowo, bez głębszej myśli. Spojrzałem na Anię. Siedziała nad swoim talerzem cała czerwona, nie patrząc mi w oczy. Dopiero teraz udało mi się przełknąć mięso, właściwie bez gryzienia.

– Skończyłaś już lekcje? Ja też. Nie ma co tu siedzieć. – Brnąłem dalej w ten ryzykowny temat.

Wiedziałem, że to zaproszenie jest dla Ani szokiem. Nie chodzi się, ot tak, z profesorami do knajpy. Nauczyciele też tego raczej nie proponują. Lecz ja wciąż nie mogłem traktować jej jak uczennicy. Traktowałem ją, jak... koleżankę, przyjaciółkę... moją kobietę. Czyli – zacieśniałem kontakt, na ile się da. Wbrew wszystkiemu, co przyrzekłem dyrektorowi.

Ale – pomyślałem – do cholery, przecież pójść razem na pizzę, to nie przestępstwo. Nie żyjemy w średniowieczu. Nie mieszkamy w klasztorze. No, ja to już szczególnie nie...

– Aha – przypomniało mi się. – Daj numer telefonu do tego szamba, zadzwonię do nich z pokoju nauczycielskiego. – Wyciągnąłem rękę.

Ania podała mi kartkę. Zawróciłem do pokoju, szykując się na grubą awanturę.

– Proszę pana – powiedziałem twardo do gostka, który zgłosił się pod podanym numerem. – Szambiarka, która była zamówiona na dzisiaj, przyjechała wczoraj. Co za burdel wy tam macie?

– Chwileczkę... – zaczął facet, ale nie dałem mu dokończyć.

– Przyjęliście zgłoszenie, podaliście termin. Co wam się wydaje, że ludzie nie mają nic innego do roboty, tylko czekać, aż się łaskawie ktoś od was pojawi? W kule pan leci, czy co?

Zbombardowany facet przestał się odzywać. Nie popuściłem.

– Terminy są po to, by obowiązywać. Chyba że ma pan inne zdanie na ten temat. Słucham.

– Przepraszam, istotnie – zaczął facet – ale...

– Co ale? – spytałem cierpko.

– Pani, która złożyła zamówienie, bardzo prosiła o pośpiech.

– Tak, bo jej się szambo wylewało. I jaki jest efekt pana działań? W dalszym ciągu jej się wylewa.

– Ja przysłałem ekipę najszybciej, jak...

– Panie – powiedziałem twardo. – Pan przysłał ekipę nie wtedy, kiedy była umówiona. Więc de facto pan nie przysłał ekipy. Słucham, kiedy mogę spodziewać się szambiarki?

– Dzisiaj – wyszemrał facet. – Dziś o piątej. Przyjadą po godzinach...

– Mnie nie interesują wasze godziny. Jadę teraz do domu i czekam na szambiarke. Jak nie przyjedzie, to porozmawiam sobie z pana szefem. Do widzenia. – Odłożyłem słuchawkę.

Trochę mi zszedł dym z uszu, wróciłem do Ani.

– Będą dziś o piątej. To co, idziemy?

Ania podniosła się odruchowo i zamarła. Spojrzałem na jej zmieszana twarz.

– Panie profesorze – powiedziała wahająco. – Może lepiej nie...

– Dlaczego nie? – spytałem.

– Widział pan Igora?

Owszem, widziałem Igora. To musiało być jakieś ciężkie mordobicie, facet wyglądał, jakby miał złamany nos.

– Za co Igor dostał? – spytałem Anię.

– Skomentował moją... – zawahała się – znajomość z panem.

– A kto był rycerzem?

– Michał.

Jakby mi dała prosto w pysk. Więc tak się sprawa przedstawia... Byliśmy dopiero na wstępie znajomości, a już poszły plotki, już ludzie podnieśli gadzie głowy, już ruszyła maszyna pomówień, domysłów, oskarżeń. Więc dyrektor miał rację. Skandal jest nie do uniknięcia. Chyba że wkroczy w to ktoś taki, jak... Michał. Michał, mój rywal, który załatwił za mnie tę sprawę. Michał, dla którego muszę być gwoździem w dupie, który nie może mnie kochać. Poczulem nagle prawdziwy szacunek dla Michała. Wbrew temu wszystkiemu, co do niego czulem, a raczej ponad tym. Michał był superfacetem. I cholernie nie umiałem się z tym pogodzić.

Patrzyłem na Anię, a Ania patrzyła na mnie. Śliczna, długonoga, błękitnooka – moja miłość, moje marzenie i pragnienie, moja udręka.

Nie oddam cię nikomu. Ani Michałowi, ani nikomu innemu. Nikomu.

– Aniu – powiedziałem wolno. – Przecież to jakaś bzdura. Mamy udawać, że się nie znamy? Dlaczego liczysz się z opinią Igora? Czy jest dla ciebie kimś ważnym? – Nagłe podejrzenie ścisnęło mnie mokrą ręką za gardło. Igor. Wysoki, ciemnowłosy, cholernie przystojny Igor. Męski. Dorosły. W każdym razie wyglądający dorośle. Z niegolonym zarostem, z ciemnymi oczami, kwadratową szczęką, ze... złamanym nosem. Dlaczego dotąd nigdy nie pomyślałem o Igorze?

– Nie jest nikim ważnym – powiedziała niedbale Ania. – Jest nikim.

Przytrzymałem się krzeselka. Jeszcze parę takich uderzeń paniki i połapie się we wszystkim. Przecież wystarczy na mnie spojrzeć...

– Więc dlaczego liczysz się z opinią nikogo? – spytałem słabo. – Chyba że ty sama nie chcesz – przełknąłem ślinę – znajomości ze mną...

Krzeselko było bardzo przydatne. Teraz już trzymałem się go jak szalupy ratunkowej na wzburzonym morzu.

– Chcę – powiedziała szybko Ania i jeszcze szybciej spuściła oczy.

Chyba... usiądę. Było mi słabo i słodko. Jakbym miał przez moment uszy zatkałe watą. Tylko serce tłukło mi się w tych uszach i w gardle. Powiedziała, że chce, bez namysłu, odruchowo. Nie, nie wymusiłem tego

na niej. Anię trudno do czegoś zmusić. Robi to, co chce i mówi to, co chce, a ja jestem ostatnim, który mógłby ją do czegoś nakłonić.

– Zawsze rób to, na co masz ochotę – powiedziałem najbardziej niepedagogicznie na świecie. W dupie miałem jakąkolwiek pedagogikę. – Nie oglądaj się na ludzi, nie kieruj się ich sądami. A jak cię ktoś obrazi... pamiętaj, ja też umiem dać w mordę.

W wielkich oczach Ani mignął błysk nagłego zainteresowania. Przyjrzała mi się... Jeśli cię to kręci, mogę się łać o ciebie nawet codziennie – pomyślałem. Z całym światem, z każdym, kto stanie mi na drodze. Jeśli tylko chcesz...

– Nigdy nie przejmuj się gnojkami – powiedziałem, patrząc jej prosto w oczy. – Bo jak się będziesz przejmowała, to nie zrobisz nic fajnego w życiu. Ani ciekawego. Ani szalonego.

W oczach jej zaczynał migotać uśmiech... leciutko kpiący.

– Oczywiście nie twierdę, że pójście ze mną na pizzę jest właśnie tym szaleństwem – dokończyłem samokrytycznie i uśmiechnąłem się do niej. – To co, mamy w dupie i idziemy?

– Mamy w dupie i idziemy – powiedziała po prostu.

– Przyjechałaś samochodem? – spytałem, gdy wyszliśmy przed szkołę.

– Nie...

– Musisz jeździć. Jeździć cały czas. Nie ma innej metody. Musisz się oswoić z ruchem, z innymi samochodami, z topografią miasta. Samochód musi chodzić. Do tego jest przeznaczony.

– Wiem, ale... – spieszyła się nagle.

– Co?

– Nie mam orientacji w terenie. Gubię się.

– Im więcej będziesz jeździła po mieście, tym będziesz się czuła pewniej.

Mówię ci.

– OK.

– Będziesz jeździć?

– Będę.

– To wysiadamy – powiedziałem, bo byliśmy już pod pizzerią.

O tej porze nie było jeszcze ścisku, dostaliśmy stolik i kartę.

– Duża? Mała?

– Nie wiem, czy dam radę...

– Duża na spółkę?

– Będzie pan głodny.

– Nie będę.

– Wiesz – powiedziałem, gdy już złożyliśmy zamówienie. – Po tej naszej rozmowie o malarstwie tak sobie pomyślałem... – Podniosła na mnie oczy.

– ...że w sumie to, co robimy, jest do siebie podobne. Ty też masz na początku tylko farby.

– A pan?

– Liczby. W matematyce liczby należą do pojęć pierwotnych. A u ciebie co? Barwy?

– Barwy podstawowe. Czerwona, żółta, niebieska. Cała reszta to kombinacja tych trzech kolorów, a ich z kolei nie można uzyskać drogą żadnych połączeń. Trzeba je mieć. A w matematyce?

– Matematyka, naprawdę cała, zbudowana jest na czterech pojęciach pierwotnych, są to: punkt, liczba, zbiór i ciąg, a właściwie granica czy przejście graniczne. Według Marka Kordosa matematyka to tak naprawdę nauka o liczbach, przestrzeni i granicy. Reszta jest tylko ich sprytną kombinacją.

– To zupełnie tak samo, jak w malarstwie. – Ania się uśmiechnęła.

Siedzieliśmy po przeciwnych stronach stołu, Ania odruchowo zajęła miejsce tyłem do okna, więc na wprost miała moją dokładnie oświetloną twarz. Musiałem uważać. Na szczęście kelnerka przyniosła pizzę i zajęliśmy się jedzeniem.

– W malarstwie jest podobnie – powiedziała Ania na początku drugiego kawałka. – Tylko jest chyba więcej...

– Czego?

– Więcej przestrzeni na rzeczy nieformalne. Na... jak by to powiedzieć?...

– Na sztuczki?

– Trochę tak. – Skinęła głową.

– No to cię zaskoczę. W matematyce co prawda nic nie bierze się z powietrza, tylko z założeń i twierdzeń, ale także ze sztuczek.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się. – Lubi pan sztuczki?

– Włączam je w proces myślenia.

Ania zamyśliła się na chwilę.

– Z tego, co zrozumiałam, to dziedzina, którą pan się zajmuje, jest czystej postaci, nie ma żadnych zastosowań.

– Niezupełnie – powiedziałem. – Teoria liczb była może sztuką czystą, gdy zajmował się nią Banach i jego koledzy, w kawiarni Szkocka we

Lwowie, przed drugą wojną światową. Nie wiem zresztą, czy wiesz, że ci goście pisali ołówkiem na marmurowym blacie stolika i kiedyś przez przypadek kelner wytarł im cały przeprowadzony dowód, niestety byli wtedy trochę na gazie, a jak wytrzeźwiali, nie mogli sobie przypomnieć, co zapisali i nikt już potem nie był w stanie powtórzyć tego dowodzenia...

– Naprawdę? – Zaśmiała się.

Pokiwałem głową.

– No więc wtedy, w latach trzydziestych może i była to dziedzina zupełnie czysta. Ale też właśnie w tym czasie straciła swą dziewiczość, a lata czterdzieste to był początek walki wywiadów, potem w czasie wojny powstała z tego Enigma. Słyszałaś o tym?

Skinęła głową.

– Ale co ma wspólnego teoria liczb...

– Z teorii liczb powstała cała kryptografia...

– Serio?

– Serio. Tworzy się algorytmy szyfrujące...

– I pan umie to zrobić? – przerwała.

Patrzyła na mnie takimi wielkimi oczami, że musiałem sobie przypominać, że siedzę na wprost okna i padające przez nie światło jak agent bezpieczeństwa wyciągnie na moją twarz to wszystko, co chciałbym głęboko ukryć.

– Umie – powiedziałem cicho. – Ale nie powiem ci teraz, jak to się robi, bo to jest jednak trochę wyższa matematyka i wymaga pewnego przygotowania. Właściwie to tak tylko chciałem ci powiedzieć, że wychodzimy w naszej pracy z podobnego punktu. Ty masz tylko kilka barw, ja mam kilka pojęć, a co z tym zrobimy, zależy już od nas.

– Tak – powiedziała Ania. – To prawda, co pan mówi. Zawsze na początku jest coś – liczba, kolor, nuta, słowo...

– Brzmi trochę biblijnie. – Uśmiechnąłem się. – Na początku było Słowo... a Duch Boży unosił się nad wodami.

– Ma pan dobrą pamięć.

– Niestety.

– Dobra pamięć panu przeszkadza?

– Czasem cholernie przeszkadza – przyznałem. – No, ale dobre samopoczucie wynika najczęściej ze złej pamięci...

Roześmiała się.

– Odeszliśmy od matematyki...

– Niezupełnie. Wiesz, chciałbym cię do niej przekonać. Matematyka jest ładna. Nie ma w niej lenistwa myślowego. I tak jak sztuka – uśmiechnąłem się – posługuje się notacją wspólną dla całego świata. Chciałbym ci pokazać, że na pewnym poziomie jest także aktem twórczym... Tak jak obraz, wiersz, muzyka.

– Tak, ale ma inne cele. Nauka uspokaja. Sztuka jest, by denerwować. A matematyka... Ja matematykę podziwiam – powiedziała cicho. – Ale jej nie rozumiem.

– Ja też nie rozumiem, jak powstaje obraz. Co nie przeszkadza mi się nim zachwycać.

Była taka słodka, z kawałkiem pizzy w palcach, z burzą jasnych włosów, z pytaniem w oczach, z gęstymi rzęsami, rzucającymi cień na policzki.

– Czemu nie jesz? – spytałem.

– Przekonuję się do matematyki. – Uśmiechnęła się lekko. – A tak naprawdę, to już nie mogę...

– Nie, proszę cię, nie dam rady sam tego zjeść... – powiedziałem ze zgrozą.

– Da pan radę. – Roześmiała się.

Dałem radę...

20 listopada

W samym środku tygodnia, gdzieś w okolicach czwartej po południu, zadzwonił do mnie Leszek i powiedział tylko jedno słowo:

– Przyjedź.

– Leszek! Co się stało? Leszek! – Próbowałem się czegoś dowiedzieć, ale telefon był już głuchy.

Wyprysnąłem z domu. Leszek nie robiłby sobie jaj, nie dzwoniłby bez powodu. To musiała być jakaś gruba sprawa. Jechałem jak do pożaru, byłem u niego po piętnastu minutach.

Na ganku paliła się jedna lampa, poza tym dom był ciemny. Furtka i brama zamknięte. Już zacząłem się przysposabiać do przejścia górą, gdy drzwi uchyliły się i Leszek niepewnie wyszedł na zewnątrz. Na dworze robiło się ciemno, więc grzebał kluczem, jakby nie mógł trafić do zamka.

– Co się stało? – spytałem ledwo żywy ze zdenerwowania. – Gadaj.

Przełożyłem dłonie przez sztachety, wyjąłem mu z ręki klucze, otworzyłem od swojej strony.

– Leszek!

Leszek zawrócił, zrobił dwa kroki i usiadł na środku ścieżki. Przeraziłem się, czy nie jest ranny.

– Na rany Boga, Leszek, gadaj co się stało! – Zacząłem go gwałtownie obmacywać.

– Patrycja – powiedział Leszek i zrozumiałem, że jest kompletnie pijany. Zacząłem go podnosić z ziemi. Leszek był ciężki i zupełnie bezwładny.

– Co: Patrycja? – spytałem z wysiłkiem, próbując wlec go pod pachy.

– Przyjechała dzisiaj, żeby zabrać resztę rzeczy. Wychodzi za mąż...

– O kurwa – powiedziałem bezradnie. – Znasz go?

– Znam – powiedział niewyraźnie Leszek. – Pojechałem do tego chuja i go zabiłem.

Puściłem Leszka i usiadłem koło niego na ścieżce.

– O Matko Boska – powiedziałem z trudem. – Jak to go zabiłeś? Leszek! Co ty mówisz?!

– Zastrzeliłem go. Dziś po południu – powiedział Leszek i stracił przytomność.

Zrobiło mi się zupełnie słabo. Chryste Panie, co robić? Pozbierałem się z ziemi i próbowałem dźwignąć Leszka i przerzucić go sobie jakoś na plecy, tak jak to robią dzielni żołnierze ze swymi rannymi kumplami. Dobrze, że nie było wojny, bo wróg niewątpliwie wykończyłby nas przy tej próbie. Nie jestem słabym facetem, ale Leszek był tak przerażająco ciężki, że nawet adrenalina nie dawała mu rady. Zacząłem go wlec po ścieżce, potem po schodkach na ganek. Obaj byliśmy cali mokrzy i ubłoceni, ale dobrnęliśmy jakoś do domu.

Zacząłem go tarmosić, żeby się czegoś więcej dowiedzieć, ale był na innej planecie, nieodwołalnie. W kuchni na stole stały dwie półlitrowki, obie puste. Opadłem na krzesło i patrzyłem z przerażeniem na Leszka, czy się aby nie wykańcza. Leżał na boku, tak jak go zostawiłem, schyliłem się i zacząłem go układać w pozycji bezpiecznej, żeby się przypadkiem nie udusił swoimi rzygami. Gdyby się porzygał. Ręce mi się trzęsły, poszedłem sprawdzić broń.

Strzelba była nietknięta, ale pistoletu nie mogłem znaleźć. Zrobiło mi się lodowato.

– Leszek, gdzie, kurwa, masz pistolet? – spytałem, tarmosząc go za ramię.

Pozycja bezpieczna trochę się rozlatywała, ale nie zwracałem na to uwagi.

– Leszek, do kurwy nędzy, powiedz coś!

Równie dobrze mogłem rozmawiać z psem. Kwitek, Bila i Kalka kręciły się nerwowo, próbowały lizać Leszka po twarzy.

Pomyślałem z przerażeniem, że muszę pojechać do Patrycji, sprawdzić, co się stało. Może będę musiał zatuszować jakieś ślady. Może czegoś się dowiem. Ale trzeba to było zrobić szybko. Nie mogłem zostawić Leszka samego w takim stanie, z rozpaczą zadzwoniłem do Piotrka. Odebrała Ula.

– Możesz dać Piotrka? – spytałem, ściskając słuchawkę tak, że zbieleły mi palce.

– Nie ma go. Wróci późno, bo...

– A ty możesz mi pomóc?

Chyba wyczuła coś w moim głosie, bo zamilkła, a potem powiedziała poważnie:

– Mogę. Co mam zrobić?

– Możesz przyjechać do Leszka? Teraz.

– Jadę – powiedziała i rozłączyła się.

Nie znam takich dziewczyn jak Ula. Każda inna musiałaby się dowiedzieć, co się stało, zadać milion pytań, wydać tysiąc okrzyków, a na koniec powiedzieć, że nie ma benzyny, nie ma samochodu, ma złamany paznokieć i musi jechać do kosmetyczki. Ula po prostu wsiadła w samochód bez żadnych pytań. Pomyślałem, że wiem, dlaczego Piotrek się z nią ożenił.

Przyjechała dość szybko, zaprowadziłem ją do kuchni.

– O Matko Boska – powiedziała, klękając przy Leszku. – W trupa pijany?

Skinąłem głową.

– Nie mogę go samego zostawić. Muszę wyjechać na jakąś... godzinę. Posiedzisz przy nim?

Skinęła głową.

– Ale – spytała – co się stało? Przecież Leszek nie doprowadza się do takiego stanu...

– Patrycja – powiedziałem krótko.

Ula podniosła głowę, popatrzyła na mnie. Znała Leszka, znała Patrycję, wiedziała o wszystkim. Wszyscy wiedzieliśmy.

– A ty gdzie musisz jechać?

– Muszę sprawdzić, czy Leszek nie zrobił czegoś głupiego – powiedziałem po chwili.

Popatrzyłem jej w oczy i Ula zrozumiała.

– Dobrze, powiesz mi wtedy, gdy uznasz, że możesz. Jedź. Posiedzę z nim.

Pocałowałem ją w policzek, w rękę i wyszedłem. Dobry Boże, dzięki, że jest Ula.

Patrycja mieszkała w Piasecznie, w wysokim bloku przy ulicy Szkolnej, tuż koło bazarku. Nigdy nie można tam było znaleźć miejsca na zaparkowanie samochodu. Okrążyłem cały kwartał bloków, podjechałem od tyłu. Popatrzyłem po oknach – u Patrycji świeciło się światło. Żadnej policji, żadnego zbiegowiska, zero dramatu. Zacisnąłem mocno ręce w kieszeniach i wsiałem do windy.

Patrycja otworzyła po trzecim dzwonku. Spojrzałem jej w oczy. Panika mieszała się w nich z atakiem furii.

– Tylko nie próbuj go tłumaczyć! – krzyknęła.

Szybko chwyciłem ją za ramię, wciągnąłem do mieszkania, choć się opierała.

– Nie dotykaj mnie! – krzyknęła znowu.

Zamknąłem drzwi. Niepotrzebna mi była sensacja na klatce schodowej.

– Patrycja – powiedziałem. – Proszę. Uspokój się. Co się stało?

– Kurwa – powiedziała Patrycja i rozplakała się. – Kurwa, on go omal nie zabił, rozumiesz?

Gwałtowna ulga prawie mnie przewróciła.

– Opowiedz, co się stało.

– Wynoś się stąd! – krzyknęła.

– Patrycja, proszę cię. Muszę wiedzieć, co się stało. Co Leszek zrobił twojemu facetowi?

– Przyszedł tutaj – powiedziała Patrycja roztrzęsiona. – W przedpokoju wyjął rewolwer.

– Pistolet.

– Wszystko jedno! – krzyknęła.

– Oczywiście. Oczywiście, że wszystko jedno – powiedziałem uspokajająco. – Nie denerwuj się. I co zrobił z tym pistoletem?

– Powiedział do Łukasza, że go zabije – wyszłochala. – I strzelił do niego!

– Strzelił? – spytałem słabo. Leszek jak już strzelał, to trafiał. – I coś mu zrobił? Trafił go? Zranił?

– Strzelił mu pod nogi i wyszedł – powiedziała Patrycja trzęsącym się głosem.

Przedpokój był mały i zupełnie pusty, wszedłem do pokoju i usiadłem na krześle. Nogi mi się trzęsły. Serce skakało w piersi jak na trampolinie.

– Gdzie to się stało? – spytałem cicho.

– Tu, w korytarzu. Tu stał i strzelił w stronę pokoju, tutaj...

Schyliłem się. Pocisk zrobił w parkiecie długą, jasną rysę i utkwiał w listwie przyściennej. Kucnąłem obok, wyjąłem z kieszeni scyzoryk i wydłubałem go, a potem zniekształciłem dziurę... Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że specjaliści z wydziału kryminalistyki będą w stanie wyciągnąć z dziury miniaturowe fragmenty płaszcza i pocisku, liczyłem tylko na to, że Patrycja nie ma o tym pojęcia. I że nie wezwie policji... Podniosłem się i schowałem pocisk do kieszeni. Uważnie zlustrowałem podłogę, bo wiedziałem, że muszę znaleźć też łuskę.

– Wzywałaś policję? – spytałem.

Chwilę patrzyła na mnie bez słowa, potem potrząsnęła głową.

Łuska, do cholery. Drugi najważniejszy dowód w badaniach balistycznych... Sprzedawcy broni byli zobowiązani do przestrzelania broni i przekazania dwóch sztuk łusek i naboju do komendy wojewódzkiej policji... Ślady zostawione na pocisku przez gwint lufy i na łusce przez pazur wyrzutnika, dawały praktycznie stuprocentową pewność przypisania do konkretnego pistoletu. No, ale jeśli nie wezwała...

– A Łukasz?

– Łukasz... – Znów się rozplakała.

– Co Łukasz? – spytałem twardo.

– Oskarżył mnie, że zadaję się z przestępcą. Z mordercą. Powiedział...

– Leszek nie jest mordercą – przerwałem stanowczo. Gównu mnie obchodziło, co miał do zakomunikowania ten cały Łukasz.

Zobaczyłem błysk łuski w szparze przy drzwiach. Schyliłem się od niechcienia, podniosłem ją i też schowałem do kieszeni.

– Więc dlaczego strzelał? – spytała Patrycja.

– Bo cię kocha. Potrafisz to kiedykolwiek zrozumieć?

– Przecież...

– Ale kocha cię nadal. I mózg mu się lasuje, gdy przyjeżdżasz do niego i opowiadasz, że wychodzisz za męża. Zostaw tę informację dla siebie.

– Nie wychodzę za męża – powiedziała cicho. – Jestem z Łukaszem, ale nie ma mowy o ślubie.

– To po co Leszkowi o tym powiedziałaś? Bawisz się nim? Chcesz go zabić?

– Nie wiedziałam, że on mnie jeszcze...

– Kocha cię. Nie igraj z nim. Jeśli nie możesz go kochać, to zniknij z jego życia. Nie dzwoń, nie spotykaj się, nie przyjeżdżaj do Konstancina.

– Czy myślisz... że mógłby mi wybaczyć? – spytała szeptem.

Spojrzałem na nią uważnie. Wysoka, zgrabna, platynowa blondynka, teraz czerwona od płaczu i z rozmazanym makijażem. Pierwszy raz chyba wyglądała normalnie, a nie jak wypacykowany manekin. I pierwszy raz miała w oczach coś więcej niż pustkę.

– Leszek – powiedziałem powoli – wybaczy ci wszystko. Ale się dobrze zastanów. Zastanów się, czy chcesz znowu wchodzić w jego życie. Bo następnego twojego odejścia on nie przeżyje.

Skinęła głową.

– Pomyśl o tym. To nie zabawka. To żywy człowiek, na którym przeprowadzasz eksperymenty, operacje bez narkozy. Ma w domu broń. Tak naprawdę to wystarczy moment... Przecież nie chciałyś tego.

Potrząsnęła bez słowa głową.

– Więc się dobrze zastanów.

– Dobrze – powiedziała. – Idź już.

– Nie powiadomisz policji?

– Nie.

– A Łukasz?

– Nie wiem.

– Więc poproś go może, żeby nic nie robił. Bo Leszek następnym razem nie opuści broni.

– Jak Łukasz powiadomi policję, to nie będzie następnego razu...

– Masz jakiś dowód? – spytałem cicho, pokazując jej puste miejsce po pocisku.

– Mogłam się domyślić – powiedziała.

– Mogłaś. – Skinąłem głową.

Wiedziałem doskonale, że to wszystko i tak o chuj rozbić, wystarczyłoby zrobić Leszkowi badania dłoni na obecność azotanów. Produkty spalania prochu wydostają się nie tylko przez lufę, ale też przez otwór wyrzutnika, osiadają na dłoni i ubraniu. można je wykryć jeszcze przez kilka dni. Liczyłem, że Patrycja nie zna się na tym kompletnie i nic nie rozumie.

Wróciłem do Konstancina. Ula siedziała tam, gdzie ją zostawiłem, Leszek leżał na podłodze.

– Budził się?

– Nie.

– Jedź, Uleńko, do domu. Już po wszystkim. Dziękuję ci.

– Powiesz, co się stało?

– Tak. Leszek powiedział mi, że zabił faceta Patrycji. Tak naprawdę strzelił mu pod nogi. Ale musiałem sprawdzić.

Ula zrobiła się biała.

– A... gdyby go zabił?

– To trupa miałbym już w bagażniku i teraz zastanawiałbym się, w którym miejscu w lesie wykopać grób.

– Nie żartuj.

– Nie żartuję. Nie myśl już o tym. Jedź do domu, bo Piotrek pewnie się niepokoi.

– A ty?

– Posiedzę tutaj. Chcę być przy nim, jak się obudzi.

– Idziesz jutro do pracy?

– Idę.

– Jakby nie oprzytomniał do rana, to zadzwoń. Przyjadę.

– Dzięki. Mam nadzieję, że wyjdzie z tego wcześniej.

– Mówię na wszelki wypadek.

– Co ja bym zrobił bez ciebie, Ula? – westchnąłem. – Co my wszyscy byśmy zrobili? Jesteś jedyną prawdziwą ostoją na tym świecie.

– Dzięki – powiedziała. – Nie mam wyjścia. Przecież was znałam. Wszystkich, zanim wyszłam za Piotrka. I wiesz? Nie żałuję ani chwili. Jeśli jest jeszcze w tym zaszranym, zniewieściałym, hipsterskim świecie grupa prawdziwych facetów, to właśnie tu. – Zrobiła nieznaczny ruch ręką. – Kobiety potrafią to docenić.

– Nie wszystkie.

– Czy powiedziałam: głupie cipy? Czy powiedziałam: dziwki bez serca? Czy powiedziałam: puste lale? Nie. Powiedziałam: kobiety.

Podszedłem do niej, przytuliłem ją bardzo mocno, a potem pocałowałem w czubek głowy.

– Kocham cię – powiedziałem. – Tylko nic nie mów Piotrkowi, bo zrobi ze mnie marmoladę.

Ula wyszła, wróciłem do kuchni. Leszek cały czas leżał bez ruchu, ale oddychał. Poszedłem do piwniczki, przyniosłem sobie wódkę. Wypiłem szybko jeden po drugim dwa kieliszki i zakręciłem butelkę. Na wszelki wypadek nakarmiłem psy, a potem puściłem je na dwór, żeby ostrzegły w razie czego. Zrobiłem sobie kanapkę i ją zjadłem. Pusty i zdenerwowany żołądek trochę protestował, ale nie zwracałem na niego uwagi. Pochyliłem się i zacząłem bardzo starannie obmacywać Leszka, gdzieś przecież, do cholery, musiał mieć ten pistolet... Pochylenie ciała musiało się bardzo nie spodobać zlekceważonemu żołądkowi, bo w następnej chwili wymiotowałem na podłogę. Posprzątałem, potem usiadłem na krześle i starałem się pomyśleć. Psów nie było słyhać, Leszek leżał na podłodze, a ja przysnąłem.

Obudziłem się po dwudziestu minutach, wstałem i poszedłem do szopy, gdzie Leszek parkował samochody. Przegrzebałem jeepa, potem przejrzałem starannie saaba Leszka. Pistolet wepchnięty był pod siedzenie kierowcy. Wyjąłem go, powąchałem. Tak, to z niego Leszek strzelał. Zabrałem pistolet do domu i wyczyściłem, choć wiedziałem, że zapach kordytu będzie wyczuwalny nawet po czyszczeniu. Owinąłem ręce kuchenną ścierką, wyjąłem magazynek, wyłuskałem naboje i schowałem je do pudełka. Następnie zacząłem się zastanawiać, czy nie zarejestrować Leszka na lipne strzelanie, Marek pracował od wieków jako instruktor na strzelnicy i był moim dobrym kumplem... Widzieliśmy się nie dalej jak kilka dni temu, gdy zaliczałem hurtem wszystkie obowiązujące mnie zawody strzeleckie, niezbędne do utrzymania patentu. Marek dałby się namówić, a my mielibyśmy alibi, dlaczego pistolet śmierdzi prochem. Zdawałem sobie sprawę, że zachowuję się idiotycznie, ale z drugiej strony pamiętałem, że porządna paranoja niejednemu już uratowała życie. Poszedłem schować broń, gdy wróciłem, Leszek wymiotował na podłogę. Powycierałem znów wszystko, pomyślałem, że dziś już taki dzień...

Jeszcze nie dało się z nim gadać, znów zapadł w niebyt. Przykryłem go kocem, sam położyłem się na wąskiej kuchennej kozetce.

Gdy obudziłem się, było w okolicach trzeciej w nocy, a Leszek siedział na podłodze i patrzył tępo w ścianę. Zwlokłem się, kucnąłem koło niego.

– Hej! – powiedziałem. – Hej, Leszek.

– Co tu robisz? – spytał po dłuższej chwili.

– A tak sobie wpadłem – powiedziałem z westchnieniem. – Pamiętasz coś?

– Wszystko pamiętam – powiedział spokojnie Leszek i zaczął się podnosić. Pomogłem mu.

– Pamiętasz, że pojechałeś do Patrycji i chciałeś zabić jej faceta?

Odwrócił głowę i spojrzał na mnie.

– Zabiłem go?

– Strzeliłeś mu pod nogi.

– Żyje?

Skinałem głową.

– Pamiętam – powiedział tak samo spokojnie.

Nic nie powiedziałem.

– Patrycja wychodzi za męża, prawda? – spytał.

– Nie wiem, to ty tak mówisz.

– To ona tak mówi.

– Nie możesz zabijać jej faceta.

– Przecież go nie zabiłem.

– Nie możesz nawet grozić ludziom bronią. Chcesz spędzić resztę życia w więzieniu?

Leszek stał oparty o blat stołu i nie odpowiadał.

– Słyszysz? – spytałem.

– Patrycja wychodzi za męża – powiedział i osunął się znów na podłogę tak szybko, że nie zdążyłem go złapać.

– Dzwonić po pogotowie? – spytałem.

– Spierdalaj.

– Mówię serio.

– Patrycja wychodzi...

– Leszek! Przestań, kurwa. Jeszcze nie wyszła. Uspokój się.

– Ale wyjdzie.

– Zostaw ją. Przestań o niej myśleć.

– Rozmawiałeś z nią?...

– Tak – przyznałem się.

Leszek przekręcił się na bok, oparł czoło o deski podłogi.

– Wstawaj, stary – powiedziałem. – Chodź, pomogę ci dojść do łóżka. No, chodź.

Leszek w ogóle nie reagował.

– Stary, musisz o niej zapomnieć. To się skończyło, rozumiesz? Musisz pozwolić jej odejść. Ona ma swoje życie, nie możesz jej straszyć ani napastować jej facetów. Nie możesz strzelać do ludzi. Proszę cię.

Leszek podniósł głowę i powiedział:

– Jak Marysia odeszła, to nie byłeś taki mądry.

Zamilkłem. To prawda. Jak Majka odeszła, to gdyby nie Leszek, już bym nie żył. To on wezwał pogotowie.

– Nie byłem mądry – powiedziałem cicho. – Nikt nie jest mądry w takich sytuacjach. Ale trzeba się trzymać. No chodź, nie będziesz mi tu kity odwalał. Chodź, połóżysz się.

Zrobiła się piąta. Za parę godzin musiałem iść do szkoły, byłem brudny, sponiewierany i przerażony. Dobrze, że chociaż przespałem się ze dwie godziny na kozetce.

Udało mi się dowlec Leszka do sypialni, porozbierałem go z wierzchnich warstw ubrań, zdjąłem mu buty i położyłem do łóżka. Wyglądał tak, jakby znów miał tracić przytomność. O wpół do szóstej zadzwoniłem do Uli.

– Przyjadę – powiedziała. – Zrobię mu jakiś obiad czy coś. Posiedzę z nim. Może uda mi się pogadać.

– Może ci się uda. Nie dawaj mu wódki. Przyjadę po południu.

– OK.

– Dzięki.

Po namyśle poszedłem jeszcze po broń, bo uznałem, że jednak nie mogę jej tu zostawić. Obładowany wróciłem do sypialni zobaczyć, czy Leszek żyje. Żył, a nawet miał otwarte oczy.

– Po co to bierzesz? – spytał, wskazując głową ciężący mi arsenał.

– Żebyś nie miał głupich pomysłów.

– To zabierz jeszcze wszystkie noże, siekierę, kamienie z podwórka... sznur.

– Kurwa, Leszek – powiedziałem – nie można tak żyć.

– Nie można – przyznał mi rację.

– Mnie na twoim życiu bardzo zależy.

– A mnie już nie bardzo zależy.

– A mógłbyś być trochę mniej melodramatyczny?

– Jakoś nie.

– Leszek... – Odłożyłem całą broń i usiadłem przy nim.

Wiedziałem, że o wahaniu Patrycji nie mogę mu powiedzieć ani słowa. Pacia... to była Pacia. Ochłonie, uspokoi się i wszystko wróci do normy. Patrycja po prostu nie nadawała się dla Leszka i wszyscy o tym wiedzieli, tylko nie on. Nie mogłem rozbudzać w nim jakiegokolwiek nadziei, w jego obecnym stanie równałoby się to morderstwu z zimną krwią.

– Musisz ochłonać i się uspokoić – powiedziałem. – Wytrzeźwieć. Wypać się. Nie pić już więcej. Ja nakarmiłem psy, ale na koniach się nie znam. Wracaj do życia. Ula zaraz tu przyjedzie i pomoże ci się ogarnąć.

– Ula? – spytał Leszek zdziwiony.

– Chciałem prosić Piotrka, ale Ula się zaoferowała, ma dziś wolny dzień. Ja zaraz muszę jechać do pracy.

– Paweł...

– Co?

– Dzięki. Pomóż mi się umyć. Nie będę leżał taki zarzygany.

W łazience trochę otrzeźwiało i gdy pojawiła się Ula, mogłem go już zostawić.

Gdy przyjechałem zaraz po lekcjach, Leszek siedział w kuchni ogolony i jadł obiad. Ula siedziała po drugiej stronie stołu.

– Lepiej? – spytałem.

– Lepiej.

– Nie jesteś sobą, kiedy jesteś głodny...

Leszek nie roześmiał się, ale brew skoczyła mu do góry.

– Przepraszam – odezwał się poważnie. – Odwaliło mi zupełnie. Bardzo was przepraszam.

– Spoko, stary – powiedziałem cicho. – Zdarza się każdemu. Jak wiesz...

– Ty nie chciałeś nikogo zabić...

– Ty też nie.

Leszek odłożył sztućce i wstał od stołu. Był strasznie blady, ale w oczach już nie miał nalotu szaleństwa. Podszedł do okna i stanął tyłem do nas.

– Ja byłem blisko zastrzelenia go – powiedział po chwili. – Wpadłem tam z myślą, że go zabiję. A wiesz, co ten kutas zrobił, gdy wyjąłem broń? Zasłonił się Patrycją. Rozumiesz?

Odwrócił się i spojrzał mi w oczy.

– Nie wierzę – powiedziałem.

– Ja też nie chciałem wierzyć. I co, miałem strzelać do Patrycji? Jak ona jest z takim facetem, to... – Pomyślałem, że dobrali się idealnie. – To mnie w tym układzie już nie ma. Jeśli mogła wybrać takiego gnojka... sorry. Przynależało mi, że nie będę o nim mówił ani słowa. To poniżej mojej godności.

– I tak trzymaj – powiedziałem krzepiąco.

Leszek był w zupełnie dobrym stanie. Popatrzyłem na Ulę. Miała nieprzenikniony wyraz twarzy. Mądra Ula, współczująca, ale twarda jak

stal. Wybacząca, przyzwoita, empatyczna, a jednocześnie wymagająca. Co powiedziała Leszkowi? Myślę, że ważniejsze rzeczy, niż ja kiedykolwiek mógłbym mu powiedzieć. Niż umiałbym sformułować.

– Broń mi oddaj – powiedział spokojnie Leszek. – Nie zrobię już nic głupiego.

– Słowo?

– Słowo. Już mi nic nie odpierdoli. Dziękuję wam. Tobie, Uleńko. I tobie, Paweł. – Spojrzał na mnie. – Co ci Patrycja wczoraj powiedziała? Tylko prawdę poproszę.

– Że nie wychodzi za mąż.

– I bardzo dobrze. To znaczy, że ma jeszcze trochę rozumu. Facet nadaje się do odstrzału, ale to już nie ja będę strzelał.

– Możemy cię zostawić? – spytała Ula.

Pokiwał głową, przytulił ją, a mnie podał rękę.

– Dzięki za wszystko.

– Nie zapomnij – powiedziała Ula, spojrzała na niego i oboje wyszliśmy.

24 listopada

Telefon zadzwonił późno, o wpół do jedenastej w nocy. Po tej całej akcji z Leszkiem na telefony byłem jakoś uczulony, więc zmartwiałem. Co stało się tym razem? I komu?

– Słucham – powiedziałem do słuchawki.

– Dobry wieczór, panie profesorze – odpowiedziała słuchawka. – Tu Ania.

Zamarłem. Ania. Ania, która nigdy do mnie nie dzwoniła, nigdy, nigdy. W dodatku ta godzina...

Chwyciłem ze stołu kluczyki i kartę wozu.

– Coś się stało? – spytałem, zrywając się z krzesła.

– Och nie, przepraszam bardzo, nie chciałam pana zaniepokoić i w ogóle proszę mi wybaczyć, że dzwonię tak późno, ale za cholerę nie mogę rozwiązać tego zadania, które pan zadał na jutro... – powiedziała Ania na jednym oddechu i zatrzymała się.

Wypuściłem z palców kluczyki, o mało nie wypuściłem słuchawki. Znow opadłem na krzesło. Skurcz paniki ustąpił mi z piersi i zacząłem się śmiać.

Moja maleńka... Ile musiało ją to kosztować. Pretekst był idiotyczny, widocznie po prostu chciała do mnie zadzwonić. Pierwszy raz... Tak, jakbyśmy przekroczyli jakiś niewidzialny próg. Za tym progiem będzie... Będzie, co ma być. Ania. Moja słodka, maleńka, dzielna Ania, która zdecydowała się na to o wpół do jedenastej w nocy... W czasie, gdy już nie dzwoni się do ludzi, no chyba że bliskich. Czy to chciała mi dać do zrozumienia?

– No nie, dawno się tak nie uśmiełem – powiedziałem, żeby ją ośmielić, przecież może do mnie dzwonić, kiedy tylko będzie chciała, w środku nocy, nad ranem, kiedy tylko przyjdzie jej ochota. – A które to zadanie?

– Dwieście siedemdziesiąte ósme.

Sięgnąłem na półkę po zbiór zadań dla czwartej klasy.

– Masz coś do pisania? – spytałem. – To pisz.

Zadanie było trywialne, nawet nie potrzebowałem kartki ani długopisu, po prostu mówiłem na głos kolejne działania. Ania zapisywała, a potem z jej strony zapadła cisza.

– Hej, jesteś tam? – spytałem.

Absolutna cisza, jakby już przerwała połączenie, jakby jej nie było. Czyżby chodziło jej tylko o rozwiązanie zadania? Osiągnęła cel i rozłączyła

się? Nie, to nie Ania...

– Hej? – spróbowałem jeszcze raz, pytająco.

I wtedy usłyszałem jej oddech.

Tuż przy moim uchu, tuż przy mojej twarzy, aż zatrzęsło mi się wszystko w środku.

– Tak, jestem – powiedziała tak cicho, że prawie szeptem. – Czy naprawdę odrobił pan za mnie to zadanie?

Czy ona myślała, że będę ją katował matematyką w środku nocy? Że będę domagał się jakiegoś myślenia, działania, rozwiązywania czegoś, czego nie rozumiała? Wystarczy, że jest, że nic jej się nie stało, że szepcze mi do ucha, że doprowadza mnie do ataku serca... Że kocham ją nad życie... Po cholere miałbym katować ją zadaniami? Noc nie jest do rozwiązywania zadań, noc jest do kochania.

– No, chyba tak – odpowiedziałem tak samo cicho, jak ona.

– I czy muszę się teraz spróbować domyślić, jak panu to wyszło?

Nic nie musisz. Nic nie musisz, maleńka. Byłbym ostatnim gnojkiem, gdybym zmuszał cię do czegokolwiek.

– Nie – odpowiedziałem z zapartym tchem. – Możesz po prostu położyć się spać.

A ja po prostu muszę odłączyć wyobraźnię. Odłączyć ją bardzo starannie, bo inaczej wsiądę w samochód i pojedę do niej. I w dupie będę miał wszystkie przysięgi...

– A pan mnie jutro nie odpyta z tego przy tablicy? – spytała przekornie.

– Nie. Przyrzekam – powiedziałem.

– Dziękuję. Pan jest...

Wsiądę w samochód. Wsiądę, pojedę do niej, upadnę i tak będę leżał. Niech mi powie... Niech mi tylko powie, jaki jestem? Jakiego może użyć przymiotnika, na miłość boską? Fajny, miły? Normalny? Nienormalny? A może to nie będzie przymiotnik? Może powie: „Pan jest najważniejszą osobą w moim życiu?”. Pan jest kretynem.

– Aha – powiedziałem, bo z długości ciszy nie wynikało, aby Ania miała w jakikolwiek sposób zakończyć wypowiedź. – To fajnie. Czy teraz już będziesz mogła zasnąć?

Doprowadziłaś mnie prawie do ataku serca... kilkoma słowami. Jak ty to robisz? Jak to zrobiłaś, maleńka? Zaśniesz teraz spokojnie, a ja...

– Tak – powiedziała cichutko Ania i odłożyła słuchawkę.

w nocy

Po tym telefonie dziś w nocy przyśniło mi się, że przyszła do mnie.

Leżałem w łóżku na wznak, z ramionami pod głową, a Ania usiadła koło mnie, pochyliła się, przytrzymując ręką włosy, odgarnięte na bok głowy i pocałowała mnie. Nasze usta dotknęły się delikatnie i wtedy Ania wypuściła z dłoni włosy, które błyskotliwą, mieniącą się kaskadą runęły mi na twarz i ukryły mnie w swym namiocie. W tym samym momencie runął też nasz pocałunek, przywarliśmy do siebie bez pamięci, paląc się w bezwstydnym, słodkim i czułym ogniu, jakbyśmy chcieli zdążyć przed końcem świata, który lada chwila miał nastąpić.

Nie było żadnych następstw tej sceny, skończyła się zupełnie niespodziewanie w trakcie pocałunku. Tak jak to już bywa ze snami, które nie mają obowiązku kierować się żadną logiką, ani czymś, co nazwać można przewidywanym następstwem wypadków, w tym przypadku miłosnych.

Jednakowoż, jak się okazało, nic więcej nie było potrzebne, sam pocałunek załatwił sprawę.

Obudziłem się z uczuciem pewnego dyskomfortu, okazało się bowiem, że leżę w mokrej plamie, która, zahaczając o brzuch, zdołała umiejscowić się definitywnie na krzyżu, dokładnie mówiąc – wszystko spłynęło po bokach.

Obejrzałem to sobie z niemałym zdziwieniem i pokiwałem nad sobą głową.

Ostatni raz nocne polucje udało mi się przeżyć w wieku szesnastu czy siedemnastu lat, potem już ani razu... Nigdy, Aniu. Już nigdy.

Kiepsko się ze mną dzieje, a będzie jeszcze gorzej, nie wiem, czy uda mi się doczołgać do końca roku i w jakim stanie tam dotrę. Tym bardziej że koniec roku wcale nie musi rozstrzygnąć sprawy, a raczej może, ale niekoniecznie po mojej myśli. Nie mogę się nad tym zastanawiać, bo zwariuję...

Jej delikatny profil, blask światła na kościach policzkowych, jej kruchutkie przeguby i kostki u nóg, te cholerne perfumy, odgarnięcia włosów, jej dwa, cztery, a może pięć piegów na nosie, spojrzenie jakby z odległego kontynentu, pierzchliwe uśmiechy, niech szlag to trafi, ten jej zalotny wdzięk, od którego mnie skreca, to wszystko, Aniu, wariackie i czułe chce mnie zabić i pewnie zabije.

Nigdy nie przeżywałem takiej męki... Męki, Aniu...

25 listopada

Hmm... No trudno, zapisałem...

26 listopada

Sprawdziłem klasówki, które zrobiłem w czwartych klasach i załamałem się kompletnie. W klasie Ani dwie prace trzymały jakikolwiek poziom – Piotra Komosy i Agnieszki Wilczarskiej. Piotrek jest jedyną osobą pojmującą matematykę, Agnieszka natomiast ma inteligencję skokową i akurat ten dział jej pasował.

Ania oddała prawie pustą kartkę, a Michała i Igora w ogóle na klasówce nie było.

Zrobiłem rachunek sumienia, nie wypadł najlepiej. Prawda jest taka, że mam bardzo krótki nerw na ludzi nierozumiejących matematyki. A że temperament mam wybuchowy, więc niestety... No, niestety. To są, jak powiedział Andrzejewski, przyszli artyści. Oni by pewnie patrzyli na mnie takim samym wzrokiem, gdybym spróbował pomieszać farby. Nie mogę ich traktować jak debili, albo jak ludzi, którzy na złość mnie postanowili, że nie będą rozumieli ani jednego słowa, które do nich mówię. Oni po prostu nie rozumieją ani jednego słowa, które do nich mówię. Muszę zacząć mówić innym językiem, inaczej grozi nam katastrofa. A więc – spokój, dystans, cierpliwość. Dosyć to żmudna droga i nie będzie spektakularnego efektu, ale, do cholery, muszę ich jakoś przepchnąć przez tę maturę, a potem – potem to ich może nawet szlag trafić. Niech sobie robią, co chcą.

Ania w tym wszystkim stanowiła problem. W stosunku do reszty klasy mogłem zastosować metodę kija i marchewki, i tylko bardzo się pilnować, żeby nie zacząć tłuc ich tą marchewką po głowie. Ale jeśli chodzi o Anię – wyłącznie metodę marchewki i marchewki. Ona nie była osobą, którą można poddawać jakimkolwiek naciskom, zresztą nie zrobiłbym tego... Za nic, nawet gdybym mógł. Wprowadzenie do matematyki starałem się już przeprowadzić kilkakrotnie, zanęcić, zaciekawić, pobudzić wyobraźnię przez skojarzenia... Teraz trzeba było przystąpić do meritum, czyli po prostu do ciężkiej pracy. Ania miała gigantyczne zaległości, zresztą sama była ich świadoma, nie było wyjścia, trzeba było zacząć tę walkę o ogień.

Jak przekonać Anię, dumną Anię, by zgodziła się na te lekcje?

Była mądra, wiedziała, że pewne bariery po prostu musi pokonać, zauważyłem, że po moich namowach zaczęła jeździć samochodem, więc to nie tak, że zaczynała się w uporze... Ale podejrzewałem, że nie zgodzi się, ot tak, na darmowe lekcje i tutaj musiałem się przygotować na ciężką walkę.

Czas leciał, nie było wyjścia, musiałem rozpocząć temat.

Z doświadczenia wiedziałem, że istnieją dwie drogi do osiągnięcia pożądanego celu. Pierwsza polegała na długiej argumentacji, dlaczego właściwie ma przyjąć moją pomoc, a druga, na oznajmieniu, że ma przyjąć moją pomoc. Druga była bardzo kusząca, przez zaskoczenie. Czasem – wbrew wszystkiemu – takie działanie się udawało, bo było tak beczelnie proste, tak nieoczekiwane, było genialnym blefem, a potem... Potem już było za późno. Ale Anię trudno było brać z zaskoczenia, ona nie była łatwym partnerem, raczej to mnie było trudno coś jej narzucać.

Dość długo nie mogłem podjąć decyzji, wreszcie pomógł mi przypadek. Słowo daję, że przypadek, tym razem nie maczałem w tym palców... Przypadek sprawił, że wyrząłem w czasie przerwy lekcyjnej przez okno, wychodzące na parking. Zobaczyłem wartburga z kapciem zamiast opony i wymiotło mnie na zewnątrz. Gdy doleciałem do parkingu, Ania była właśnie w trakcie wyciągania lewarka z bagażnika, a minę miała wściekłą jak rzadko, wściekłą i bezradną jednocześnie. Stała z lewarkiem koło samochodu i obrzuciła oponę ponurym spojrzeniem.

– Ty skurwysynu, w dupę kopany! – wyrwało jej się nagle na głos.

Nie udało mi się utrzymać powagi. Chyba nikomu na moim miejscu by się nie udało. Była tak urocza, tak słodka w tej bezradności, w tym ciężkim przekleństwie, tak niespodziewanym w jej ustach...

– Teraz już wiem – powiedziałem na głos – co kulturalna, dobrze wychowana panienska mówi na osobności do swojego samochodu.

Poderwała głowę i spojrzała na mnie z przerażeniem, a potem oblała się czerwienią.

– Daj spokój – powiedziałem uspokajająco. – Czego się wstydzisz? Każdy by się wkurzył. Masz klucz do kół?

– W dupie mam... – zaczęła i raptownie urwała.

Śmiać mi się już chciało tak, że ledwie się mogłem powstrzymać.

– No nie, klucz jest potrzebny – powiedziałem, desperacko starając się zachować powagę. – Nie należy go mieć w dupie, bo inaczej nie zmienimy koła.

– Przepraszam, to „w dupie” dotyczyło czegoś innego...

– Czego?

– Zainteresowania.

Teraz to już mnie naprawdę rozczuliła. To znaczyło, że jednak to, co mówię, trafia do niej. To ja jej radziłem, żeby miała w dupie gnojków.

– Brawo – powiedziałem do Ani. – Właśnie zmienimy koło na samym środku parkingu i niech się gapią.

Rozejrzałem się dyskretnie. Żadnego zainteresowania, ludzie siedzieli w szkole, albo poszli już sobie do domu. No i gitara. Wyjąłem koło z bagażnika wartburga i zabrałem się do zmieniania. Zapiękle śruby siedziały na mur, wymagało to użycia trochę siły.

– Jakby ci się to przydarzyło gdzieś na mieście – powiedziałem zdyszany – to bez wahania zatrzymuj jakiegoś faceta, każdy ci pomoże.

Nie zliczę, ile razy pomagałem samotnym kobietom na środku jezdni. W dodatku uważałem to za zupełnie naturalne. Faceci z reguły mają wiedzę o samochodach i trochę więcej siły. Kobieta nie musi się na tym znać, a już, broń Boże, nie powinna sobie hodować w tym celu mięśni. To znaczy o tyle, o ile. Zawsze uważałem, że nie ma nic gorszego niż zajadła feministka, taka, co to na każdym kroku próbuje udowodnić facetowi, że jest skończonym debilem – postawiona w sytuacji, gdy musi zmienić koło... Frustracja i wściekłość takiej damy jest naprawdę godna pożałowania.

Normalne kobiety podchodziły do tematu normalnie, to znaczy dawały sobie pomoc. Niektóre patrzyły nawet z podziwem, choć jeśli o mnie chodzi, to nie musiałem sobie niczego udowadniać. Zerknąłem na Anię. Wyraz twarzy miała nieszczerólny, być może krępowała ją myśl proszenia obcego faceta o pomoc. Być może też nie wiedziała, że faceci naprawdę to lubią.

– Gdybym miał siostrę, tobym jej tak poradził – powiedziałem, uśmiechając się do Ani.

– A nie ma pan siostry? – spytała odruchowo.

– Nie. Brata.

– Młodszeo?

– Starszeo – odparłem też odruchowo. – Ma trzydzieści dwa lata.

– A pan?

W jej oczach była tak wielka, niczym niemaskowana ciekawość, takie autentyczne zainteresowanie, którego nie potrafiła, czy może nie chciała ukryć, że znów zachciało mi się śmiać.

– Dwadzieścia dziewięć – odpowiedziałem.

No, to teraz ma jasność. Stary pryk. Nic ciekawego dla takiej dziewczyny jak ona. A może... Może ciekawe? Przez swoją inność? Przez zderzenie z doroślejszym światem? Jakim doroślejszym? Jeśli chodzi o to, co wydarzyło się w życiu każdego z nas, to do pięć jej nie dorastam. Jak to jest – być w wieku siedemnastu lat postawionym przed nieuchronną dorosłością i samotnością w tej dorosłości? Bez nikogo, kto stanowiłby wsparcie, siłę, kto uosabiałby stabilizację. Jak to jest zostać samemu na świecie i zachować w sobie to miękkie ciepło, umiejętność cieszenia się życiem i czerpania z niego, umiejętność pogodzenia się z nieuniknionym, emanowanie pięknem, pasją, energią – niezwykłą, kobiecą, zmysłową energią... Przecież ona jest cała światłem, czystą skondensowaną miłością, odwieczną mocą, której nie sposób przeniknąć, którą można tylko przyjmować, ochraniać, klęczeć przed nią... Przed siłą jej kobiecości, siłą która stwarza światy...

Osiemnaście lat... Więc właściwie ile nas dzieli?

– Jedenaście lat – powiedziałem cicho.

W jej oczach było coś takiego, że odwróciłem spojrzenie. Patrzyłem na koło, które jej właśnie zmieniałem, na lewarek, który trzymałem w dłoni, na asfalt, chodnik i nasze buty. Na swoje pobrudzone ręce.

– Wiesz... – zacząłem i powstrzymałem się.

Jeszcze nie. Jeszcze nie mogę jej tego wszystkiego powiedzieć. Gdybym teraz ukląkł, poczytałaby to za kpinę. Muszę... zacieśnić ten kontakt, zaprosić ją do przyjaźni, bliskości, tylko tak można to zrobić... I nie pójść w tym wszystkim za daleko. Czy jeśli przyjdę do szkoły ze spluwą i zabiję Andrzejewskiego, to przysięga będzie unieważniona?

– Sprawdziłem wasze klasówki – powiedziałem wreszcie, bo było to jedyne, co mogłem na głos powiedzieć. – Nie wypadło to najlepiej. Twój telefon uświadomił mi to samo.

Jestem brzydkim kłamczuchem. Twój telefon uświadomił mi zupełnie inne rzeczy, uświadomił mi, jak tęsknię za twoim ściszym głosem, szepczącym mi do ucha, jak tęsknię za twoim oddechem, raptem nabranym tuż przy mojej twarzy... jak tęsknię do ciebie każdego wieczoru, gdy już kończy się codzienny młyn i gdy już wiem, że na pewno cię nie zobaczę, gdy leżę sam w ciemnej sypialni i oglądam na suficie światła miasta i nie mogę zasnąć bez ciebie.

– Trzeba coś z tym zrobić – powiedziałem znów, nie kontrolując już, czy do swoich myśli, czy do niej. – To co, raz w tygodniu? Dwa razy w tygodniu?

Podniosłem na nią wreszcie oczy. Stała naprzeciwko zmieszana, zaczerwieniona, unikając mojego wzroku.

– Dziękuję, ale...

– Chyba nie ma „ale” – powiedziałem cicho.

I to wreszcie ją ruszyło. Widziałem, jak coś w niej wyprostowało się dumnie i odrzuciło głowę.

– Owszem – odrzekła spokojnie. – „Ale” brzmi tak: nie będzie pan odwalał tej pracy w ramach czynów społecznych. Co to, to nie.

Musiałem zamknąć na chwilę oczy i musiałem się zachwiać. To, co powiedziała, było tak naprawdę zgodą. Więc zgodziła się, chwycimy wreszcie stały kontakt, na którym będzie można budować wszystko. Koleżeństwo, przyjaźń, bliskość, miłość, związek... potem. Teraz wreszcie mam nadzieję. Tylko muszę jasno postawić kwestię pieniędzy.

– Wykluczone – powiedziałem stanowczo i ścierpła mi skóra. Zaraz się dowiem... Zaraz dostanę tak, że się nie pozbieram.

– Wykluczone – odpowiedziała po prostu Ania, dokładnie tym samym słowem.

Patrzyliśmy na siebie na tym szarym wyasfaltowanym parkingu koło szkoły, patrzyliśmy sobie w oczy i widziałem, że walka będzie ciężka. Siła jej determinacji i gniewu powaliła mnie prawie na ziemię. Wiedziałem, że zaraz będzie dzwonek, może akurat dobrze, że nam przerwie.

– Wrócimy do tej rozmowy, dobrze? – spytałem cicho, ale Ania się właśnie rozpędzała.

– Nie – powiedziała stanowczo. – Równie dobrze możemy porozmawiać teraz.

Uwielbiałem kłócić się z kobietami. Uwielbiałem doprowadzać je do ostateczności, a potem błagać o wybaczenie. Te chwile, przez wcześniejszą dziką kłótnię, zawsze były najbardziej namiętne... Uwielbiałem godzić się w łóżku i przeproszać w łóżku, i oddawać wszystko, cofać się za ostatnie pozycje i pozwalać wygrywać na wszystkich frontach, uwielbiałem dawać kobietom do ręki tę siłę.

No więc, jak by to podsumować? Zupełnie nie umiałem pokłócić się z Anią. Chyba tak można to najprecyzyjniej ująć.

– Teraz nie mogę – powiedziałem, patrząc na płomień w jej oczach.

Płomienie i błyskawice, czysta Amazonka, można się naprawdę przerazić.

– Mam jeszcze dwie lekcje... Czy naprawdę przejawiasz niezdolną tendencję do robienia scen? – spytałem, zupełnie tak, jakby czekało na nas łóżko i słodki smak godzenia się i ustępowania na całej linii. – Nie znałem cię od tej strony.

– Nie przejawiam żadnej tendencji – powiedziała, tak wściekła, jak podejrzewałem. – Proszę, by nie traktował mnie pan jak małego dziecka.

Zaraz jej udowodnię, że nie traktuję jej jak dziecka. Zaraz tu, na parkingu jej to udowodnię i niech się potem dzieje, co chce.

Drgnąłem i zatrzymałem to drgnięcie w połowie ruchu.

– Nie traktuję cię jak dziecka – powiedziałem, naprawdę ledwo żywy. – Z całą pewnością nie traktuję cię jak dziecka. Możesz mi wierzyć.

I wtedy zabrzmiał ten pieprzony, zbawczy dzwonek i mogłem odwrócić się, żeby już nie widziała mojej twarzy.

wieczorem

Nie skończyliśmy rozmowy, więc późnym wieczorem, po załatwieniu wszystkich zaplanowanych na dzisiaj zleceń, pojechałem do niej. Byłem zmęczony jak pies i kłótnia z Anią nie miała już takiego uroku, jak na parkingu przed szkołą.

– Na moment – zastrzegłem się, widząc, która godzina. – Tylko skończymy rozmowę.

– Uda nam się przez moment?

– Tak, jeśli nie będziesz się ze mną kłócić – powiedziałem po prostu. – Proszę.

Czasem taka prośba działała lepiej, niż wszystkie argumenty. Czasem po prostu wzruszała i na to liczyłem w tej chwili.

– Aniu, posłuchaj – przypuściłem atak. – Nie umiesz matematyki. W tym roku masz maturę. Nie ma rady, trzeba to wszystko nadrobić.

– Ale... – zaczęła.

– Proszę, nie zaczynajmy od nowa. Bardzo, bardzo cię proszę.

– Niech mnie pan do tego nie zmusza – powiedziała szeptem. – To mnie obraża. Nie jestem żebrakiem.

– Kocham cię i nigdy nie zrobię nic, co mogłoby cię obrazić. Kocham cię i nie ważyłbym się zrobić nic przeciwko tobie. Kocham cię i przyjmij, do

cholery, moją pomoc, moją miłość, mnie. Kocham cię – chciałem powiedzieć.

Nabrałem pełne płuca powietrza i zatrzymałem się znowu. Jak mogę jej to powiedzieć, jeśli ominę słowa „Kocham cię”? Czy uda mi się w ogóle coś powiedzieć?

– Ujmę to tak – powiedziałem, starając się skoordynować myśli. – Gdy przyjeżdżam do ciebie i dajesz mi obiad, czy płacę za niego? Nie. Podajesz mi obiad... tak po prostu. Bo jestem głodny, bo widzisz, że ze zmęczenia się przewracam. Więc ja tak samo, zupełnie po prostu, będę cię uczył matematyki. Przepraszam, nigdy nie chciałem cię obrazić, ale i ty nie obrażaj mnie. Nie jestem na sprzedaż.

Ania podniosła głowę i przez mroczną przestrzeń kuchni robiła we mnie spojrzenie.

– Robię to, co uważam za stosowne – kontynuowałem cicho. – I robię to dlatego, że tak chcę. Nic mnie do tego nie zmusza.

Przyjrzałem jej się.

– Ale i nie kupisz tego za żadną cenę. Nie kupisz. Przyjmiesz.

Moją pomoc... moją miłość... mnie. Przyjmij mnie, na miłość boską. Pozwól mi być przy tobie. Moje życie jest udręką, ale stanie się koszmarem bez ciebie... Kocham cię tak, jak tylko można kochać. Klęczę teraz przed tobą, leżę u twoich stóp, nie wiem, jak jeszcze bardziej patetycznie można to nazwać i nie wiem, co w tym jest, że dzięki miłości patos podnosi się do n-tej potęgi, *vide* cały nasz polski romantyzm w literaturze...

– Błagam – zacząłem i znów się powstrzymałem.

Buty. Wszyscy mi mogą buty czyścić. Proszę bardzo.

– Miałem dziś cholernie ciężki dzień i jestem wykończony. Czy byłabyś tak miła i nie próbowała dochodzić swoich racji? Wiem, że masz swoje racje. To nie tak, że ich nie dostrzegam. Po prostu myślę, że... – przerwałem znów bezwiednie.

– Że co? – spytała.

To jest ten moment. Jeśli teraz tego nie zrobię, to kiedy?

– Nie wiem, czym dla ciebie jest ta znajomość – powiedziałem zupełnie desperacko, bohatersko i beznadziejnie. – Czy jakimś wysiłkiem, czy czymś narzuconym, czy... – Nabrałem trochę oddechu, bo już groziło mi uduszenie. – Czy czymś miłym. Ja ze swej strony ofiarowuję ci przyjaźń. Taka jest moja propozycja. Czy przyjmiesz ją, czy nie, to zależy od ciebie.

– Ze wzruszenia i niepewności trząłem się tak, że chyba musiała wszystko widzieć. Mimo tego błogosławionego mroku, na wskroś.

– Ale jeśli przyjmiesz moją przyjaźń – zacząłem znowu, trzymając się krzeselka – to proszę, żebyś przyjęła również moją pomoc. Jestem nauczycielem matematyki i proponuję ci, że cię jej nauczę. Czy to coś niestosownego? Od tego jestem. A teraz, proszę, przestań się już wygłupiać. Bo inaczej będę ci płacił za każdy obiad i za każdą kawę. A propos. Zrobisz mi kawę?

Ania nawet nie drgnęła i przeraziłem się, że wystartowałem za wcześnie. Siedziała bez ruchu, nic kompletnie nie mówiąc. Zerknąłem na nią przez mrok i zobaczyłem, że broda jej lata.

– Bardzo... panu... dziękuję... za przyjaźń – zaczęła i nie mogła już nic więcej powiedzieć.

Poderwało mnie od stołu.

– Proszę, nie płacz – powiedziałem roztrzęsiony. – Proszę. Przepraszam cię. Nie płacz.

Ania podniosła się, więc z wahaniem usiadłem.

– Przepraszam – powiedziała, odwrócona do mnie tyłem. – Wzruszył mnie pan.

Serce latało mi zupełnie luźno po całej klatce piersiowej i po raz pierwszy pomyślałem, że przecież ojciec zmarł na zawał... Na zawał, byłem w grupie ryzyka.

– Ty też mnie wzruszyłaś – przyznałem się. – To ta magia, o której kiedyś mówiliśmy?

Tak, kiedyś, wtedy gdy mówiliśmy o malarstwie, o braniu w posiadanie czułych obszarów w okolicach serca, o pozwalaniu oglądania swojego wzruszenia, o otwarciu się do swego kresu... Gdzie ten kres jest we mnie? Gdzie w niej?

– Magia – powiedziała i odwróciła się do mnie.

Wszystko na patelni. W mojej twarzy, w oczach, widać chyba wszystko. Czy jest jeszcze jakiś sens to ukrywać?...

– Tak, to chyba magia. Odkrywanie kawałka puszczy, dotąd niedotkniętego ludzką stopą...

Powiedziała to, jakby mówiła moimi słowami. O pilnie strzeżonym obszarze, „przestrzeni serca, której strzegłem jak oka w głowie dla niej jednej”... Przyjdź, przyjdź już do mnie przez bezmiar czasu, snu, marzenia, przez moją i twoją samotność, mrok tej kuchni, twój cichy dom, podejdź do

mnie na uderzenie serca, bez wahania, bez oporu, z ufnością, miłością, pragnieniem... Kocham cię.

– W człowieku są takie miejsca, gdzie kończą się już czytanki dla grzecznych dzieci – powiedziała znowu.

I znowu wstrzymałem rozdygotany oddech.

– To właśnie ta dżungla, o której mówimy.

Nie, mówimy o różnych rzeczach... nie mogę pokazać ci mojej dżungli z czytanki dla bardzo niegrzecznych chłopców, naprawdę nie mogę...

– Święta i okrutna. Strzegąca samej siebie w sposób bezwzględny. Ale całe szczęście, że istnieje w nas. Bez niej nic by nie było...

– Dlaczego... – wykrztusiłem – dlaczego mówisz mi o tym wszystkim?

– Ponieważ zaczęliśmy rozmawiać o przyjaźni. – Przyjrzała mi się. – Musi pan wiedzieć, w co pan wchodzi.

– W dżunglę pilnie strzeżoną? – spytałem bez głosu.

– W samotność. Mrok. *Mare tenebrarum*.²

– *Mare tenebrarum* – powiedziałem.

Skąd ona to wie?

– Skąd wiesz o tym wszystkim? – spytałem nieopatrznie.

Popatrzyła na mnie.

– A jak pan myśli?

Idiota. Skończony idiota. Bałwan.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Nie szkodzi. Przyzwyczaiałam się.

– Można się do tego przyzwycząić?

– Nie, skąd. Nie można.

– Dżungla?

– Dżungla pilnie strzeżona. – Uśmiechnęła się cieniem uśmiechu. – Ale możemy odkrywać kawałeczek... w panu, we mnie. To jest dla mnie przyjaźń. W dalszym ciągu jest pan na to gotów?

Jakby mnie sprawdzała. No i miała rację. Nie każdego można dopuścić do swojej przestrzeni serca...

– Jestem gotów – powiedziałem poważnie. – Nic nie będzie łatwe, wiem. Ale im trudniejsze, tym bardziej warte większych starań. Jeśli pozwolisz mi odkryć choć niewielki kawałek twojej dżungli, to będzie to dla mnie czymś... – zawahałem się na moment – ...bezcennym.

– Dziękuję. I wzajemnie.

– Dziękuję. Nie rób mi już tej kawy – szepnąłem.

– Dlaczego?

A trudno się domyślić?

Przecież po tej rozmowie i w dodatku po kawie, to już na bank dostanę zawału...

– Podniosłem sobie ciśnienie – powiedziałem z trudem.

– Liczą się tylko takie chwile. – Uśmiechnęła się.

Jeszcze kilka takich chwil i nie wiem, czy to przetrzymam...

2 łac. morze ciemności, morze mroków

27 listopada

Gdy zmieniałem koło w samochodzie Ani, przypomniało mi się, że powinienem wymienić amortyzatory w moim. Były już w kiepskim stanie, a doprawiłem je dodatkowo w czasie ostatniego pobytu u Leszka, gdy grzałem po wertepach jak za dobrych, dawnych czasów, tylko nie miałem już mojego dawnego samochodu...

Coltom jestem wierny od lat, a do KJS-ów, gdy jeszcze jeździliśmy z Piotrkim, miałem pięknie podszykowany samochód – ze stuningowanym silnikiem, skrzynią o krótszych przełożeniach i z usztywnionym zawieszeniem. Nie jeździliśmy już w rajdach, trochę tęskniłem i za tym, i za moim ukochanym samochodem, który wreszcie nie wytrzymał tych wszystkich zmagania... Teraz miałem nowego, dwuletniego colta z normalnym zawieszeniem, standardowym, nieprzelotowym wydechem i z padniętymi amortyzatorami.

Pomyślałem sobie, że może wymienię je u Leszka, bo jego sąsiad i czasowy współpracownik, pan Stanisław, tak zwany człowiek od wszystkiego, miał kanał. Pan Stanisław był prawdziwym błogosławieństwem, jeśli chodzi o wszelkie prace z wyłączeniem koni, których bał się panicznie, ale jeśli chodzi o resztę, to Leszek pewnie nie przeżyłby, gdyby nie pan Stanisław, oczywiście w czasie, gdy nie był akurat w ciągu, co zdarzało się mniej więcej raz na dwa miesiące i co trzeba było przetrzymać z zaciśniętymi zębami. Pan Stanisław był około sześćdziesiątki, niewysoki, silny jak żyła, pomysłowy, robotny, z utajonym poczuciem humoru. Miał zwyczaj podkreślania gestem niemal każdego słowa, jego ręce były w ciągłym ruchu, a właściwie żyły własnym, zupełnie oddzielnym życiem. Myślę, że gdyby włożyć mu w dłoń batutę, mógłby bez problemów poprowadzić Wielką Orkiestrę Symfoniczną.

Niestety, gdy zadzwoniłem do Leszka, okazało się, że pan Stanisław akurat zalicza ciąg, więc upewniłem się tylko, czy Leszek mu w tym przypadku nie pomaga, ale nie. Jakoś się trzymał. Z panem Stanisławem w jego obecnym stanie niezbyt dało się dogadać, pomyślałem, że trudno, zrobię to po prostu na parkingu. Piotrek się zainteresował i zaoferował mi swoją pomoc.

- Dobrze się składa – powiedział. – I tak chciałem z tobą pogadać.
- O czym? – zaciekałem się.
- A... tak. Daj siedemnastkę.

Zorientowałem się, że sprawa jest poważna i nie da się tego załatwić, ot tak.

Odkręciliśmy koło i Piotrek zaczął zakładać ściągnacz na sprężynę.

– Wiesz... – powiedział niepewnie. – Muszę ci coś powiedzieć.

Postanowiłem to przeczekać, wiedziałem z doświadczenia, że wstępów będzie kilka, bo Piotrek w ważnych sprawach miał problem z przejściem do meritum. Patrzyłem bez słowa, jak ściska korbą sprężynę.

– Ula jest w ciąży – powiedział nagle.

– Nie żartuj? O rany, gratulacje – zacząłem, ale mi przerwał.

– Ula jest w zagrożonej ciąży. To znaczy, że ma problem z donoszeniem, wcześniej już dwa razy poroniła.

Patrzyłem na niego wielkimi oczami i nie wiedziałem zupełnie, co powiedzieć. Informacja była jak obuch.

– Jak tylko się pobraliśmy, zaczęliśmy starać się o dziecko – powiedział znów Piotrek, kucając koło koła.

– Zostaw – powiedziałem – ja to odkręcę. Idź do maski.

– Spadaj. Sam idź do maski.

Zawsze tak było. Gdy robiliśmy coś razem, Piotrek zawsze brał na siebie trudniejszą część roboty. Natychmiast, odruchowo.

– No i za każdym razem... No, nie udawało się. Ula jest kompletnie załamana. Teraz jest trzeci raz i...

Popatrzyliśmy na siebie. Przełknąłem ślinę.

– Proszę cię. Trzeba jej oszczędzać stresów – powiedział Piotrek, patrząc na mnie poważnie. – Staram się ją chronić jak mogę i ciebie proszę o to samo. Ta cała akcja z Leszkiem była zupełnie niepotrzebna.

– Przepraszam, stary. Strasznie was przepraszam, nie miałem pojęcia...

– Tak, wiem. I tylko dlatego ci teraz o tym powiedziałem, bo Ula nie chce, żeby ktoś wiedział. Musisz mi przyrzec...

– Przyrzekam.

– Myślałem, że mnie szlag trafi, gdy dowiedziałem się, że tam pojechała. Nie może w obecnym stanie szarpać się z wielkim, kompletnie pijanym chłopem.

– Nie, nie szarpała się. Słowo.

– Denerwować się też nie może.

– OK. Będę pamiętał.

Odkręciliśmy śruby prawie jednocześnie i od strony maski, i od koła.

– Dawaj – powiedział Piotrek i podałem mu amortyzator.

Kupiłem twardsze i lepsze, olejowo-gazowe i Piotrek uśmiechnął się, gdy to zobaczył.

– Co, powrót do starych czasów?

– Nie – bąknąłem – ale wóz lepiej się trzyma drogi...

– Pojeździłbyś jeszcze? – spytał.

– Pewnie.

Właściwie przestaliśmy jeździć, gdy Piotrek się ożenił. Na szczęście tak lubiłem Ulę, że nie obarczałem jej za to winą, a raczej wiedziałem dobrze, że to była decyzja Piotrka. Gdyby on chciał jeździć dalej, Ula na pewno by nie oponowała.

– Może jeszcze kiedyś pojeździsz – powiedział cicho. – Bo ja już chyba nie... Nie będę stresował Uli. Ani teraz, ani potem, jak się dziecko urodzi. Poza tym wiesz, jak wyglądają rajdy. Moje dziecko nie może być sierotą.

Znów popatrzyliśmy na siebie i pomyśleliśmy o tym samym.

– Ja pewnie już też nie pojeżdżę – powiedziałem, bo raptem, zupełnie niespodziewanie poczułem odpowiedzialność za drugą osobę, za kobietę, która nawet nie miała pojęcia, że będzie kiedyś ze mną... na zawsze.

– Miałeś coś o niej powiedzieć. – Piotrek się uśmiechnął.

Nie chciałem, nie umiałem mówić o Ani, ale raptem zdałem sobie sprawę, że on mi się zwierzył.

– Zakochałem się w uczennicy – powiedziałem, nie patrząc na Piotrka.

Dokręcał amortyzator i też nie patrzył na mnie.

– Jej rodzice zginęli w wypadku w zeszłym roku. Jest sama. Przyrzekłem dyrektorowi, że nie będzie skandalu.

– Kocha cię?

– Nic nie wie.

– Nie rozmawiałeś z nią nawet?

– Powiedziałem ci. Przyrzekłem staremu. Aż do matury.

– Nie dziwię ci się, że w ogóle pary na ten temat nie puszczasz – powiedział Piotrek, podnosząc głowę znad koła. Ręce aż po łokcie miał wewnątrz samochodu. Ja dokręcałem równolegle, od strony maski.

– Ale wiesz, że musisz z nią porozmawiać?

– Porozmawiam.

– Ale teraz. Potem będzie za późno.

– Teraz jest za wcześnie.

– Proszę cię. Myślałem, że masz więcej rozumu – westchnął.

– Ja też cię proszę.

– OK.

Spojrzałem znów na niego. Piotrek. Piotrek będzie ojcem. Nie mogłem w to uwierzyć. Przede wszystkim w to, że tak tego chciał. Ja na przykład nigdy dotąd nie myślałem o tym, że chciałbym mieć dzieci. I nagle zdałem sobie sprawę, że mogę. Proszę bardzo, z Anią? Z Anią mogę mieć nawet szóstkę dzieci. Więcej – chcę tego.

– Oby tym razem się udało – powiedziałem cicho do Piotrka.

– Ula... – zaczął i przerwał. – Nie mów mamie, dobra? – odezwał się po chwili. – Mama by się tylko zdenerwowała niepotrzebnie, Ula nie chce jej martwić.

– A jej rodzice wiedzą?

– Nie. Tylko my wiemy. I ty. Proszę, zachowaj to dla siebie. I pamiętaj. Ja Leszka naprawdę bardzo lubię, serio. Ale Ula nie może być wciągnięta w żadne jego jazdy po pijaku. Dopilnuj tego.

– Oczywiście.

– No więc to tyle. Dawaj drugie koło.

28 listopada

Jak zawsze, gdy już nie mogłem się pomieścić z myślami w głowie, poszedłem położyć nocą po mieście.

*

Dialog, który zapisał Mika Waltari:

– *Mistrzu, dlaczego pomalowałeś konia na niebiesko?*

– *Bo on był niebieski, kiedy go widziałem.*

– *Ale przecież nigdy jeszcze nie widziałem niebieskiego konia.*

– *W takim razie bardzo mi ciebie żal, mój przyjacielu.*

*

Wypowiedź Dosi do klienta kupującego pół litra: „Ogol się, bo taki jesteś zaniechany”.

*

Rzut rozjarzonego fioletowego światła przy zbiegu KEN-u i Indiry Gandhi, gdzie postawiono czynne całą dobę lodowisko. Jest koniec listopada, ani stopnia mrozu. Namiot wygląda jak startujące UFO.

*

Muszę powstrzymać się przed stosowaniem kombinatoryki w stosunku do tablic rejestracyjnych, które wpadną w moje pole widzenia. A przynajmniej nie podnosić tych wszystkich cyfr do potęgi i nie wyciągać z nich pierwiastków... A właściwie kogo obchodzi, co z nimi robię?

*

Cohen: „Kochałem cię dziś rano, ust naszych ciepła słodycz, jak senna złota burza nade mną twoje włosy”, a właściwie Zembaty – ukłony dla was obu... Dla Cohena ukłon za to minimalne zawieszenie głosu, za miejsce na poezję.

Przerywam na chwilę rozmyślenia, bo dwóch funkcjonariuszy bez wielkich ceregieli poprosiło mnie o okazanie dowodu tożsamości. Zrobiłem to bez słowa, nauczony przez Kelusa, że dżentelmen z policją pod żadnym pozorem nie konferuje, dla własnego dobra.

*

Zastanawiające, że w ogóle tu, na Ursynowie, nie widać dziewczyn pracujących na ulicach. Gdy mieszkaliśmy na Mokotowskiej, wieczorami było ich pełno – na całej długości ulicy, od placu Trzech Krzyży do placu Zbawiciela. Były stałym elementem pejzażu, znaliśmy je z widzenia i one nas znały. Lubiły mnie, bo nigdy nie przeszkadzała mi profesja, której się oddawały, traktowałem to w sposób naturalny, bez sensacji. Raz nawet pomogłem Myszcze, gdy miała kłopoty ze swoim aktualnym chłopakiem – nie skończyło się to dla mnie dobrze, ale Myszka umiała docenić mój bohaterski zryw. To były w większości bardzo fajne, zupełnie naturalne dziewczyny i miło je wspominam.

*

Nagle zrozumienie, że łacina, której miałem niewątpliwy zaszczyt uczyć się w szkole, przez swą harmonię, uporządkowanie, celność i precyzję, przez niezgłębioną logikę i wyrazistość zbudowała mój sposób myślenia i pojmowania świata, a jednocześnie greka, której nie poznałem nigdy, ale która jest również moim duchowym dziedzictwem, ze swą opisowością, rozlewnością i bogactwem – dopełniła jakoś we mnie to, co nienazwane, trudno definiowalne, mój próg poezji... Dlaczego w ogóle o tym pomyślałem?

*

Jak dobrze, że w moim życiu jest Piotrek, wrażliwy, naturalny, opiekuńczy, odruchowo przyjmujący rolę ojca, gdy jego zabrakło, rozumiejący każdą moją walkę, podnoszący mnie za każdym razem, jak wtedy, gdy miałem naście lat i wylatywałem ze szkoły, jak teraz, gdy mam lat trzydzieści i wylatuję z pracy i z życia – kim byłbym bez Piotrka? Czy w ogóle udałoby mi się być kimś?

*

Mocna wódka, której nadużywam, a która jednak przenosi mnie na Drogę Mleczną i nie jestem już wędrującym światłem, lecz światłem wśród światła – i jest dla mnie wybawieniem, cudem, modlitwą, której na trzeźwo nie potrafię wypowiedzieć... Pochwalona bądź, mocna wódko, krystaliczna, przejrzysta, biorąca we władanie.

*

Doniosło mnie aż do torów wyścigów konnych – długi mur, którym są otoczone, to pole zmagania z materia grafficiarzy amatorów. Przechodzę wzdłuż niego, jest tu kompletnie pusto i ciemno – to jedno z najbardziej opustoszałych miejsc o zmroku.

Jedno przeszło muru zajęte przez duży napis: „Mówisz do Boga – modlisz się. Bóg mówi do ciebie – masz schizofrenię”. Jak w takim razie nazwać to, co odbywa się w moim mózgu?

Wracam w kierunku światła miasta. Obok mnie przechodzi jakaś spóźniona para, obcasy kobiety głośno stukają po chodniku. Dolatuje mnie strzęp wypowiedzi:

– Proszę bardzo, w takim razie rób, jak chcesz...

Gdybym był na miejscu tego faceta, to z pewnością zrobiłbym, jak bym chciał, ale on idzie ze stulonymi uszami, pokonany i nieszczęśliwy, co pewien czas tylko rzucając głową. Raptem wzrusza mnie ta zmitygowana ekspresja.

*

Myślę o Uli, dzielnej Uli, mówiącej do Leszka: „Nie zapomnij”. Co mu powiedziała? Jakie słowa? Nie dowiem się nigdy, bo ani jej, ani jego nie spytam.

*

Swoje wielkie dzieło *Disquisitiones Arithmeticae* poświęcone teorii liczb Gauss napisał, mając dwadzieścia jeden lat. Mam prawie trzydziestkę. Co dotąd osiągnąłem i co będę mógł osiągnąć w najbliższej przyszłości? Ile lat jeszcze mój umysł będzie zdolny do wielkich rzeczy? Dokąd się cofnę, nie robiąc nic?

*

Stoję w mroku, przede mną, na skrzyżowaniu Puławskiej i Płaskowickiej, przechodzi przez jezdnię młody chłopak – ma jasne, długie do ramion włosy, długi czarny płaszcz, rozpięty, o powiewających za nim połach. Patrzę na niego przez chwilę i uderza mnie nagła myśl – tak wygląda mag. Nocarz. Wampir. A może oni naprawdę istnieją? Chłopak ginie w mroku i nie myślę już o tym więcej.

*

Nie pójde w stronę jej domu.

Zamiast tego idę do sklepu. Dosi uśmiecha się i mówi:

– Dam ci jednak tę wódkę, co się będziesz męczył.

I rozumiem, że „sprzedałem duszę diabłu, który jak każdy diabeł jest wymagający i małostkowy”. Kiedy ostatnio czytałem *Pogardę Moravii*?

To przecież nie dotyczy Dosi, uśmiecham się do niej i wychodzę, niczego nie kupując.

*

Kruchość przed świtem, gdy wszystko trwa w szklanej ciszy, gdy trzeba było sześciu godzin, by wreszcie wyciszyć mój umysł i uspokoić serce.

Jej kruchość wymykająca się wszelkim opisom...

Poranek.

30 listopada

Tym razem wylądowałem U mamusi w pomniejszonym składzie, razem z Darkiem i panem Stefańskim.

– Ja będę z tobą pił co drugi kieliszek – zastrzegł Darek. – I panu też radzę. Facet ma łeb niespożyty...

Pan Stefański uśmiechnął się do mnie. Był starszy, niż mówił Andrzej, chyba raczej w okolicach pięćdziesiątki, o miłej powierzchowności, gładko ogolony, tylko brwi miał takie krzaczaste, że można było na nich wieszać obrazki.

Póki Darek był przytomny, porozmawialiśmy sobie trochę o historii. Darek miał gigantyczną wiedzę i chętnie się nią dzielił.

– Tylko o polityce, panowie, proponuję nie mówić – poprosił na początku pan Stefański. – Przy wódce lepiej unikać pewnych tematów.

Byliśmy tego samego zdania, więc nie wyszliśmy poza Bolesława Chrobrego i Ottona III Wielkiego.

– Jeśli już o Niemcach mowa, to pan ma wygląd szalenie nordycki – stwierdził pan Stefański. – Ma pan może niemieckie korzenie?

– Nie. – Uśmiechnąłem się. – Raczej francuskie.

– Oh, bien! – Uśmiechnął się również.

Pamiętałem, że pan Stefański po kilku głębszych przechodzi na francuski, ale to nie był jeszcze ten moment.

– A wyobraźcie sobie, że Zbyszek głośno rozpowiada po szkole, że przychodzimy tu się upijać – powiedział nagle Darek, płynnie powracając z chrztu polskiego.

– Żartujesz? – zdziwiłem się.

– Nie wiem, może nam zazdrości, palant jeden...

– A prosiliście go kiedyś?

– W zeszłym roku – powiedział ponuro Darek. – Powiedział, że nie pije.

– No to już wiemy, w czym problem – ucieszył się pan Stefański. – Typowy frustrat.

– To samo mówię – stwierdził Darek. – Ale żeby chodzić po szkole i rozpowiadać... trzeba go będzie zabić.

Wszyscy byliśmy już trochę wcięci i ta myśl szalenie nam się spodobała.

– Dobrze, tylko nie nóż – zastrzegł pan Stefański. – Po nożu jest bardzo dużo krwi i dużo sprzątanania...

– Nie, lepiej zastrzelić – powiedziałem, czując jak alkohol miękko rozplywa mi się w żyłach. – Jeden krótki strzał w łeb...

– No, to ja mogę wziąć na siebie sprzątanie jego mózgu – ucieszył się Darek. – Bo to mało roboty będzie.

– A potem wykopie my dołek, gdzieś z tyłu boiska...

– Nie – powiedziałem stanowczo – jego się wypcha. Wypcha i postawi koło wejścia, i będzie tak stał ku przestrodze.

– Coś jeszcze panom podać? – spytała Jadwisia, pojawiając się przy stoliku. – O, to pan – uśmiechnęła się na mój widok. – Porządny klient. Pije dużo, a awantur nie robi.

– Ależ skądże znowu, szanowna pani – powiedział z kurtuazją pan Stefański – my nie będziemy robić żadnych awantur, znając pani hmm... stosunek do takich zajęć.

– Pan mi tu nie mówi o stosunkach – powiedziała Jadwisia cała czerwona, rzuciła na mnie ukradkowe spojrzenie i odeszła.

– *Elle est marrante, cette p'tite!*³ – powiedział pan Stefański, na którego najwidoczniej nadszedł jego czas.

– *Oh... je n'le dirais pas, qu'elle est si p'tite que ça!*⁴ – odparłem odruchowo, zanim zdążyłem pomyśleć.

W dzieciństwie i ja, i Piotrek kategorycznie oznajmiliśmy, że nie będziemy uczyć się francuskiego, bo to taki mało męski język. Mama nawet nie próbowała nas przekonywać, uśmiechnęła się tylko i więcej nie było mowy o żadnej nauce. W pewnym momencie, nie wiem skąd, okazało się, że i ja, i Piotrek nie tylko wszystko rozumiemy, ale posługujemy się płynnie tym językiem. Chyba w takim domu, jak nasz, było to nieuniknione...

Pan Stefański przez chwilę wyglądał na lekko zaskoczonego, potem uśmiechnął się porozumiewawczo i uniosł kieliszek. Zerknął na Jadwisię, kręcącą się między stolikami i powiedział głośno:

– *Je pense que vous lui avez tapé dans l'oeil, mon ami.*

– *Vous savez...*

– *Tu sais. Tutoie-moi, s'il te plaît.*⁵

Uniosłem też kieliszek i wypiliśmy skrócony bruderszaft.

– *D'accord* – powiedziałem. – *Tu sais, une fois, je l'ai vue soulever deux hommes en tirant par leurs chemises sur la poitrine, chaque'un d'une main. Elle les a soulevés et secoués. Ce souvenir me poursuit sans cesse. Si c'est moi, qu'elle aurait soulevé et secoué, oh... Je pense qu'elle ne profiterait plus de moi.*⁶

– *Ces hommes devaient être souûls...*⁷

– *Moi aussi j'aurais été souûl probablement. Sinon, je ne m'imagine aucune relation avec cette dame.*⁸

– *Quelle honte, messieurs!* – odezwał się nieoczekiwanie siedzący przy stoliku obok facet o prezencji menela. – *Comment pouvez-vous dire à voix haute des choses pareilles sur une femme?*⁹

Popatrzyliśmy ze Stefańskim na siebie. To był stary dobry Żoliborz, więc nie było czemu się dziwić. I była to klasa ludzi, którzy nawet degenerują się w przyzwoity sposób...

– Ma pan rację, przyjacielu – powiedział Stefański, kłaniając się lekko. – Już sobie nie pozwolimy więcej na takie uwagi.

– Wiecie co... – odezwał się nagle Darek, który wyglądał, jakby był w trupa pijany. – Ja to sobie już pójdę, póki jeszcze mogę. I tak za cholerę nie rozumiem, o czym mówicie.

– Już nie będziemy – przyrzekłem.

– OK, OK, ale pójdę. Potem Dominika mi robi awantury, że przychodzę taki napier... eep... pijany...

– Trafisz? – Odezwało się moje poczucie przyzwoitości.

– Jasne. Taksóweczkę, tego... tak, wezmę – powiedział Darek i chwiejnie podążył do wyjścia.

– Miły chłopak – powiedział Stefański.

Uprzytomniłem sobie, że mam mu mówić po imieniu, a zapomniałem jak ma na imię i ta sytuacja trochę mnie rozśmieszyła.

– Miły – powtórzył Stefański. – Tylko marnuje się tutaj.

Spojrzelśmy na siebie. Stefański podniósł kieliszek, przyjrzał mu się pod światło i odstawił na blat.

– A ty co? – spytał. – Kleisz na strychu połamane skrzydła?

Przyjrzałem mu się z ciekawością. Wiedział? Nie wiedział? Skąd wiedział? Przecież nikt nie wie...

– Nie wiem, co cię tu przygnało – powiedział, jakby usłyszał moje myśli.

– Ale to nie miejsce dla ciebie.

Skinałem głową.

– Przeczekaj tę chwilę. Zaraz dmuchnie zdrowo i będziesz mógł znowu pofrunąć. – Uśmiechnął się.

– Co pan... co wiesz o mnie? – spytałem.

– Nic o tobie nie wiem. Za to znam Młynarskiego. Rób swoje. Po prostu.

– A ty?

– Ja jestem stary. Nikogo tu niczego nie nauczyłem i nie nauczę. Nawet sobie z nikim nie mogę po francusku pogadać – zamyślił się.

Byłem już strasznie nastukany, widziałem, że on też.

– Jest tu tylko jedna dziewczynka, z którą mogę porozmawiać – powiedział po chwili. – Ania Kielanowicz z czwartej. Moja ulubienica. Twoja zdaje się też.

Patrzyłem na niego przez falujący stolik.

– Miłe dziecko. Znałem jej rodziców, ludzie bardzo na poziomie. Ojciec był architektem, matka lekarką. Kulturalni, uroczy... Nie mieliby nic

przeciwno temu.

– O czym ty mówisz?

– Co mówię? – zdziwił się. – Przecież nic nie mówię.

Nie sądziłem, że jestem taki narąbany.

– Ania zna język – powiedział. – Nie pozwól, żeby ktoś ci ją sprzątnął.

– Słucham? – powiedziałem.

– Mówiłem, że zaraz będą sprzątać.

– Nie to powiedziałaś.

– *D'accord.*¹⁰ Napijemy się jeszcze jednego?

Spojrzałem na niego i przez sekundę wydawało mi się, że siedzi koło mnie diabeł. Otrząsnąłem się.

– Nie wiem, jaka awantura się za tobą ciągnie – powiedział Stefański, obracając niespiesznie pusty kieliszek na blacie. – Ale Andrzejewski nie pozwoliłby nikomu, kto nie miałby nieskazitelnej przeszłości, zbliżyć się do uczniów.

– Być może nie zna mojej przeszłości.

– *C'est génial!*¹¹ Nie zatrudniłby nikogo, o kim by nic nie wiedział.

– Skąd wie?

– A tego to już nie wiem. Ale musi mieć do ciebie zaufanie, jeśli pozwolił, żebyś się zbliżył do Ani.

Przeszedł mnie nagły dreszcz i odstawiłem kieliszek. Wydało mi się, że prawe oko Stefańskiego uciekło w górę, pod krzak brwi.

– Kim ty jesteś? – spytałem, czując ciarki na plecach.

– Hej, chłopie – powiedział Stefański. – Skułeś się nieco.

– Ty też.

– Ja też. *Bien sûr. A ty? Alors qu'arrivera-t-il avec ton amour?*

– *La... laisse-moi.*¹² Nie wyciągniesz mnie już więcej na wódkę.

– Też myślę, że to miło tak od czasu do czasu pójść na wódkę – powiedział. – Zawołam ci taksówkę.

– Sam sobie...

– Obawiam się, że nie wykręcisz numeru.

– Nie, nie wykręcę żadnego numeru...

– *Parfaitement.*¹³ O to właśnie chodzi, przyjacielu.

1 grudnia

Ani kropli alkoholu więcej. Zero. Nul. Jeśli nie chcę skończyć na odwyku albo na pół roku na Sobieskiego, gdzie mili panowie w fartuchach

przeniosą mnie w piąty wymiar, twierdząc w dodatku, że to dla mojego dobra. Nie, nie, nie. Koniec.

2 grudnia

W poniedziałek podszedłem w szkole do pana Stefańskiego i powiedziałem:

– Bardzo pana przepraszam. Byłem w piątek potwornie pijany.

– Ja również – odparł z uśmiechem. – Chyba zapomniałeś, że przeszliśmy na ty?

– Tak, istotnie – przyznałem.

Pamiętałem jak przez mgłę, że piliśmy bruderszaft, ale bardziej pamiętałem mój irracjonalny niepokój, niespodziewane kleszcze lęku.

– Ale dziękuję. Twoje dobre wychowanie jest ujmujące – powiedział Stefański, po czym wyciągnął do mnie dłoń. Uścisnąłem ją.

– Waldemar.

– Paweł.

Na szczęście był zupełnie normalny, w niczym nie przypominał wszechwiedzącego diabła z piątku, to ja po prostu miałem ostrą jazdę.

Był początek przerwy, wszyscy kręciliśmy się jeszcze w pokoju nauczycielskim, gdy wszedł nagle dyrektor.

– Pan Krauz, pan Szymański, pan Skibiński, pan Jeż... a, i pan Stefański. Bardzo panów proszę na chwilę do mojego gabinetu.

Zerknęliśmy po sobie ze skrywanym uśmiechem i posłusznie poszliśmy za Andrzejewskim. W gabinecie ustawiliśmy się w rzędzie, a dyro stanął naprzeciw nas. Sytuacja była naprawdę komiczna.

– Proszę panów – powiedział Andrzejewski, puchnąc nieco w karku. – Doszły mnie słuchy, że urządzacie sobie panowie libacje...

Zerknęliśmy po sobie, a potem na niego. Byliśmy wszyscy dorośli, niektórzy nawet całkiem dorośli i tego typu wypad mógł budzić co najwyżej uśmiech.

– Czy mógłbym mieć do panów prośbę? Jeśli już musicie się panowie upijać do nieprzytomności, to moglibyście to robić gdzieś indziej, a nie w najbliższym sąsiedztwie szkoły? To jest ostatecznie duże miasto...

– Ale tutaj najwygodniej – wyrwał się Wojtek i wszyscy parsknęliśmy śmiechem.

– Wolałbym jednakowoż, aby panowie nie dawali złego przykładu...

– Komu, panie dyrektorze? – spytałem. – Tym pijaczkom, którzy okupują zazwyczaj bar U mamusi? Myślę, że jeśli o to chodzi, to niejednego mogliśmy się od nich nauczyć.

– Panie Pawle, dziwię się panu. Panom również się dziwię. – Spojrzał po pozostałych.

– Musi się pan dyrektor wybrać kiedyś z nami – powiedziałem uprzejmie. – Może wtedy przestanie się pan dziwić. Zapraszamy.

– Hm... Tak, dziękuję. Raczej nie skorzystam z tak miłego zaproszenia. Nie chciałbym po prostu, żeby cała szkoła huczała od plotek...

– Może należałoby raczej wezwać tu plotkarza – zaproponował pan Stefański poważnie. – Zresztą my również z chęcią z nim porozmawiamy. Paweł, skoczysz po pana Radtke?

Dyrektor skamieniał i wpił się w nas wzrokiem ropuchy, której wydawało się, że jest bazyliszkiem. Staliśmy grzecznie w kółku, pięciu facetów, z których każdy naprawdę zupełnie nieźle znał się na tym, co robił i patrzyliśmy na niego z lekkim pobłażaniem.

– Dziękuję, to nie będzie potrzebne – powiedział wreszcie Andrzejewski. – Bardzo proszę, abyście wzięli sobie panowie do serca moje słowa. Dziękuję.

Wyszliśmy gęsiego, starając się zachować powagę.

– Coś mu się trochę pomyliło – parsknął śmiechem Wojtek.

– Tak, z Panem Bogiem w niebiesiach...

Pomyślałem, że to naprawdę zabawne, ta uzurpacja przez dyra boskich prerogatyw...

Potem pomyślałem, że picie po knajpach nie kończy się dla mnie dobrze, cud boski, że tym razem nie przydarzyła się jakaś bójka, bo i następne miejsce miałbym prawo z powodzeniem wykreślić ze swojego *curriculum vitae*...

– *Oui, c'est drôle*¹⁴ – powiedział do mnie z uśmiechem pan Stefański i rzuciłem na niego szybkie spojrzenie.

– Idziemy po Zbyszka i spuścimy mu łomot – zaproponował Wojtek. – Jak go kopnę w dupę, to w locie zgłodnieje...

– Daj spokój, to wyjątkowej konstrukcji dżentelmen. Łomot nic nie da. Trzeba będzie dla niego wymyślić coś specjalnego.

– Coś specjalnego dla szpicla. – Andrzej się uśmiechnął. – Pomyślimy.

Każdy z nas już brał dziennik, by pójść do swojej klasy, gdy nieoczekiwanie pan Stefański, którego jakoś nie umiałem nawet w myślach

nazywać Waldemarem, nachylił się ku mnie i powiedział:

– *Fais attention. Ce bavardage peut vous faire beaucoup de mal...*¹⁵ – Po czym podniósł wysoko jedną z krzaczastych brwi, odwrócił się i wyszedł.

Zostałem z dziennikiem w rękach, bez ruchu i czułem, jak cała krew ucieka mi z twarzy.

3 franc. – Ona jest taka zabawna, ta mała!

4 franc. – Och... nie wiem, czy taka mała.

5 franc. – Myślę, że wpadł jej pan w oko, przyjacielu.

– Wie pan...

– Wiesz. Mów mi po imieniu.

6 franc. – Dobrze. Wiesz, widziałem raz, jak podniosła dwóch facetów, każdego jedną ręką, za ubranie na piersi i potrząsnęła. Prześladowuje mnie to wspomnienie. Gdyby tak mnie podniosła i potrząsnęła, to... myślę, że nie miałyby ze mnie wiele pożytku.

7 franc. – Ci panowie byli prawdopodobnie pijani...

8 franc. – Ja też prawdopodobnie byłbym pijany. Inaczej niezbyt sobie wyobrażam jakąkolwiek bliskość z tą damą.

9 franc. – Wstyd, panowie! Jak można mówić głośno takie rzeczy o kobiecie!

10 franc. – Zgoda

11 franc. – To jest świetne!

12 franc. – Oczywiście. Więc co będzie z twoją miłością?

– Zo... zostaw mnie.

13 franc. – Wyśmienicie.

14 franc. – Tak, to śmieszne.

15 franc. – Uważaj. Ten plotkarz może ci narobić sporo kłopotów...

w nocy

I nagle – na wprost oczu, jak nagły błysk w ciemnościach stanęła mi ta długo odpychana, zupełnie niezrozumiała afera. Chyba już czas, by się z nią zmierzyć... Wreszcie stanąć z nią twarzą w twarz.

*

Jak to się właściwie zaczęło? Zaczęło się od prostej prośby profesora Garlickiego, wtedy, na uczelni.

– Panie Pawle, czy mógłby pan wpaść do mojego gabinetu po zajęciach? Chciałbym zamienić z panem dwa słowa.

Nie były to dwa słowa, a około pół godziny pełnej słów. Garlicki powiedział:

– Poprosiłem tu pana, ponieważ chciałbym złożyć panu pewną propozycję. Był pan jednym z moich najlepszych studentów, a obecnie jest pan również jednym z najlepszych doktorantów. Bardzo cenię pana wiedzę, pana umysł i zaangażowanie, cieszy mnie, że podchodzi pan do problemów naukowych z pasją. Otóż chciałbym panu zaproponować udział w pewnym przedsięwzięciu.

Siedziałem czerwony z zażenowania, połechtany miło wszędzie, gdzie się dało i nie mogłem się doczekać, jaką to cudowną propozycję chce mi przedstawić mój ulubiony pan profesor. Garlicki poczęstował mnie papierosem, sam zapalił, wydmuchnął srebrzystą smugę dymu i powiedział:

– To propozycja prywatna. Powstała spółka, zajmująca się oprogramowaniem. – Uśmiechnął się. – A teraz rozpoczną się prace nad nowym uniwersalnym komunikatorem na komputery z nowatorskim algorytmem szyfrującym, czyli jest to coś, co, mam wrażenie, mogłoby pana bardzo zainteresować. Tak się składa, że jestem współzałożycielem i współwłaścicielem tej spółki. Propozycja tyczy angażu w mojej firmie. Nie ukrywam, że staram się ściągnąć do niej z uczelni najbardziej utalentowanych studentów i pracowników naukowych... Nie ukrywam również, że z pracą tą będzie się wiązał bardzo duży wysiłek, ale i wielki prestiż, sława i duże pieniądze. Co pan myśli, panie Pawle, o tej propozycji?

– Jestem... zaszczycony, panie profesorze – powiedziałem z trudem, bo oddech mi zupełnie stanął z przejęcia. – Bardzo, bardzo dziękuję za zaufanie i umożliwienie mi... Poświęcę wszystkie siły.

Garlicki uśmiechnął się i zgasił papierosa.

– A zatem cieszę się, że mój zespół zyska tak obiecującego współpracownika – powiedział. – Jak mówię, praca jest ciężka, liczę też na pełną dyskrecję, gdyż będziemy stosowali najnowsze technologie, a zlecenia, którymi się zajmiemy, w dużej części będą poufne.

Uszy zaczęły mi płonąć i byłem już ugotowany na miękko. Gdyby mi Garlicki zaproponował, abym dla udokumentowania swej szczerzej chęci wypruł sobie flaki, bez wahania zacząłbym się rozglądać za odpowiednio ostrym nożem.

– Zespół, który tworzę, będzie składał się głównie z pana kolegów z naszego wydziału, jestem po rozmowach z panem Marcinem Ziazickim i panem Mikołajem Koniecznym z pana roku.

Ucieszyłem się. Marcina słabo znałem, ale Miki był naprawdę spoko ziomkiem, może nie przyjaźniliśmy się, ale na pewno kumplowaliśmy i łapaliśmy bez problemów wspólny język.

Tak więc ta wstępna rozmowa zostawiła mnie w kompletnym oszołomieniu, zakręceniu i prawdziwej gotowości do wyprucia z siebie żył i flaków, o ile zajdzie taka potrzeba.

Potrzeba czekała już za rogiem i zacierała ręce na mój widok...

*

Wszystko, co mówił Garlicki, okazało się szczerą prawdą. Jego współnikiem był Zdzisław Kostecki, wschodząca gwiazda biznesu, podobno stary znajomy sprzed lat. Firma wystartowała spektakularnie, Garlicki wniósł do spółki aportem know-how, doświadczenie i dostęp do najnowszych technologii, pan Kostecki nie skąpił szmalu ani na biuro, ani na sprzęt, ani na pensje. Pracowaliśmy w najnowocześniejszym biurze na dwudziestym ósmym piętrze szklanego wieżowca, w samym centrum Warszawy, na sprzęcie, o którym dotąd mogłem tylko marzyć w przedsennych majakach.

Zespół uformował się z około piętnastu osób i jak im się przyjrzałem – były to rzeczywiście mózgi najlepsze z najlepszych. Przynależność do takiej drużyny dawała poczucie dumy, wyjątkowości i prawdziwego intelektualnego szczęścia obcowania z najwyższą klasą, jak również stałe podnoszenie sobie poprzeczki.

Pracowaliśmy w najnowszych technologiach, na najlepszym sprzęcie, nad projektem rządowym...

*

Nie było wolnych sobót, czasem też niedziel, nie było chorób, losowych wypadków, nie było absolutnie niczego, co mogłoby zakłócić tę wspaniałą naoliwioną maszynę. Był za to wyścig z czasem, zwariowane deadline'y, absolutna tajemnica i cholernie dobra kasa. Byliśmy panami świata...

*

Gdy pierwszy etap prac został ukończony o czasie i z sukcesem, znajdowaliśmy się wszyscy w takim stanie, że nawet wielkie premie nie zdołały nas w żaden sposób poruszyć. Pamiętam, że siedzieliśmy z Mikim ledwie żywi, zarośnięci, z przekrwionymi oczami, jeszcze nieogarniający sukcesu, bo przeważało nieludzkie zmęczenie, i wtedy Miki powiedział:

– No dobra. Udało się, chyba cudem. Nie wiem, jak ty, ale ja zdecydowanie potrzebuję pełnego resetu.

Skinałem głową.

– OK. – Dźwignął się ciężko z obrotowego wypasionego fotela. – W takim razie zwołuję wszystkich na sobotę i idziemy w długą...

*

Poszliśmy istotnie. Może nie cały zespół, ale około dziesięciu osób, sami faceci. Na maksa upierdoleni, czuliśmy, że bez tego się nie da. Trudno.

Byłem wtedy z Majką już ponad dwa lata... Tak, ostatni rok mojej pracy na uczelni i rok pracy u Garlickiego, razem dwa lata. Majka skończyła biologię na UW, była w trakcie pisania doktoratu i generalnie miała zrozumienie i dla pracy naukowej, i dla ciężkiej pracy w ogóle, a nawet dla takich chwil resetu, choć, prawdę mówiąc, wołała mnie resetować samodzielnie... i raczej nie w knajpie.

*

Knajp było kilka. Miki wpadł w jakiś trans i zaczął przemieszczać nas w coraz dziwniejsze miejsca i to zdecydowanie pozbawione jakichkolwiek gwiazdek na kulturalnej mapie stolicy.

Byliśmy grupą facetów zaprawionych w alkoholowych bojach, ale i potwornie wykończonych stresem, tempem, wysiłkiem umysłowym i zwykłym ludzkim zmęczeniem. Przyszliśmy w jasno określonym celu – nawalić się dokumentnie, napierdolić jak szpadel, zamknąć w sobie cały poprzedni okres, by móc rozpocząć nowy.

Generalnie zawsze słyłem z mocnej głowy i wtedy też trzymałem się dzielnie, przeczekując kolegów, padających po kolei jak muchy w krowi placek, ale umówmy się – drinki, shoty, piwo, cydr, tequila i różne inne rzeczy, których nazw nawet na trzeźwo nie da się wymówić, zdecydowanie zrobiły swoje. Siedzieliśmy w bardzo już podejrzanym klubie, z bardzo podejrzanym striptizem, który prawdopodobnie mógł mieć jakieś finały w wyższych partiach lokalu, gdzie znajdowały się pokoje „służbowe”, innymi słowy zdaje się, że był to po prostu *eine kleine* burdelik, z czerwonym światłem, powietrzem, które dało się kroić nożem i rytmiczną muzyką, uniemożliwiającą jakąkolwiek konwersację. W obecnym naszym stanie konwersacja była na ostatnim miejscu na liście aktualnych i przyszłych potrzeb, ja osobiście byłem już wyłącznie zajęty pilnowaniem, żeby nie odkręcił mi się czubek głowy, bo zdradzał takie zamiary. Kula właśnie puścił w krąg jointa, amatorów zostało niewiele, z silnej ekipy trzymałem się ja, Kula, Adaś i Miki, joint był wściekle mocny i wtedy w dryfującą świadomość wpadł mi nagle niezbyt fajny obrazek.

Jakaś panienkę przy stoliku obok zaczęło szarpać w sposób jednoznaczny dwóch kompletnie naprutyh typków, odszarpnęła się i wtedy jeden z nich ją uderzył.

Na nieszczęście zostałem wychowany na całej masie rycerskich wzorców i rzymskich aforyzmów, co oczywiście w znakomity sposób utrudniało mi zawsze życie. Trzeźwa ocena sytuacji przestała być dostępna dla mojego umysłu, wstałem od stolika i ruszyłem z gołą ręką na dwóch pijanych, zbuntowanych i napalonych na jakąkolwiek rozróbę typów.

– Zostaw dziewczynę – powiedziałem do jednego z nich, ale popatrzyli na mnie obaj.

Dziewczyna też popatrzyła, najwyraźniej bardzo zdziwiona moją nieoczekiwaną interwencją. W oczach mignął jej jakby szybki żal. Nie zwróciłem na nią uwagi, zwróciłem uwagę na dwóch drabów, których zamiary względem mnie nie pozostawiały żadnych wątpliwości, ale akurat włączyła mi się już nieśmiertelność i podjąłem czelendź.

Podjąłem samotnie, koledzy zaliczali od dawna krowi placek, z wyjątkiem Mikiego, który bohatercko próbował udzielić mi czynnej pomocy, lecz niestety od razu na początku wywrócił się razem ze stolikiem. Ochrona lokalu runęła unieszkodliwić sytuację, ale też się chyba musiała ociągać, bo w chwili unieszkodliwienia rozkład był następujący: jeden z gości leżał zakrwawiony i w ogóle się nie ruszał, drugi miał wybite dwa

zęby z przodu i miazgę zamiast nosa, mnie krew leciała z czoła, wargi i kostek dłoni, ale poza tym byłem w nie najgorszym stanie. Prócz tego, że trzeba było siłą oddzielać mnie od przeciwników, bo postanowiłem sobie *do or die* i to nieodwołalnie.

*

Ochrona przetrzymała mnie do przyjazdu pogotowia i policji.

Kolegów już w pobliżu od dawna nie było, reanimacja z krowiego placka nastąpiła natychmiast, wylogowanie z lokalu również. Ludziom jakoś szybko uruchamia się procedura „Albert! Wychodzimy!”, gdy w powietrzu zaczynają latać butelki, a na ulicy słyszeć syreny. W każdym razie, gdy przyszło do spisywania zeznań świadków, pozostał mi do pomocy tylko Miki i dziewczyna, o którą poszła cała awantura... Trochę za mało w obliczu tego, co się stało. Ja zresztą byłem trzymany na zapleczu, lokal został zamknięty, goście usunięci, wezwany patrol zrobił mi test alkomatem. Wpadł całkowicie zadowolająco, miałem dwa i pół promila w wydychanym powietrzu, a w kieszeni – nie wiem skąd – skręta.

Sytuacja przestała mieć jakiegokolwiek wyjście – po spisaniu zeznań trafiłem na dołek, gdzie zamknięto mnie w jednej celi z jakimś bełkocącym menelem. Wyglądem za bardzo się od niego nie różniłem, ale przynajmniej powstrzymałem się od bełkotu.

Resztę nocy zajęło mi trzeźwienie. Kompletnie wymęczony organizm miał z tym niejaki problem...

*

Przerwać? Pisać dalej? Próbować ogarnąć to wszystko, co się stało, choć wciąż i wciąż od nowa mi się to nie udaje? I tak nikt nie ma dostępu do tych stron... Opisać.

*

Przetrzeźwiałem koło południa na tyle, że wpadłem w totalną panikę. Rany boskie, w co ja się wpackowałem, dla dziewczyny, której kompletnie nie znałem i nie miałem poznać, i która w dodatku doskonale potrafiła sobie poradzić w zaistniałej sytuacji, bo to dla niej nie pierwszyczna, o ile była etatową pracownicą rzeczonoego lokalu... Mój rycerski zryw doprowadził mnie na dołek, a konsekwencje będą doprawdy nie do pozazdroszczenia. Z tego, co wiem, to udział w bójce jest przestępstwem zagrożonym karą pozbawienia wolności plus do tego burdel, alkohol i narkotyki... Za

posiadanie skręta z automatu dostaje się w naszym kraju „sanki”, czyli sankcję prokuratorską, co oznacza trzy miesiące w areszcie, zanim prokurator postawi mi zarzuty... W kontekście pracy naukowej na uczelni i pracy w firmie nad rządowym projektem, kariery i sławy – pięknie, kurwa, po prostu pięknie.

Co może mi powiedzieć profesor Garlicki, do którego zadzwonię, by oznajmić, że przez najbliższe trzy miesiące będę miał niejaki problem z przychodzeniem do pracy z racji tego, że będę siedział w areszcie? Jakie błogosławione słowa może mi powiedzieć i on, i moja rodzina, i Majka...?

A i tak byłoby to najlepsze wyjście z sytuacji; nie wiem, w jakim stanie są moje ofiary i czy w ogóle jeszcze żyją, bo widok, który zapamiętałem z knajpy, nie napawał jakoś specjalnie otuchą. Jeden z nich w ogóle się nie ruszał.

Rany boskie, pójdę siedzieć za morderstwo!

W ciągu kilku samotnych godzin zdołałem się tak nakręcić, że właściwie gotów byłem popełnić samobójstwo, tylko nie miałem pomysłu jak, bo zabrali mi wszystko z kieszeni, a dodatkowo też pasek i sznurowadła... Menel, z którym siedziałem, wytrzeźwiał, obejrzał mnie dokładnie i wychrypiał:

– A ty za co?

– Za bójkę – powiedziałem ponuro.

Burdel, alkohol i dragi już pominąłem, bo nie chciało mi się gadać.

– Trzy lata – zawyrokował menel. – Ka ka sto pięćdziesiąt osiem.

Popatrzyłem na niego. Wiedział, co mówi.

– Masz przejebane – stwierdził i również przyznałem mu rację.

Wszedł pierwszy, zaraz po hejnale z wieży mariackiej, ja zostałem, nie niepokoiony przez nikogo, pomijając oczywiście własne nakręcenie, które rozwinęło się swobodnie do stanu pełnej paranoi. Nie wiedziałem, co się dzieje na zewnątrz, gdzie się podzieli kumple, nie wiedziałem, czy wytrzeźwieć zdążył Miki, na którego najbardziej liczyłem, nie miałem pojęcia, czy została powiadomiona moja rodzina, mój pracodawca, moja komenda... Nie wiedziałem, czy ofiara żyje, sam już prawie nie żyłem...

*

Późnym popołudniem, gdy już dwukrotnie się wyrzygałem – i z przyjętego alkoholu, i ze stresu – usłyszałem otwieranie drzwi aresztu. Siedziałem na jednej z dwóch prycz, przykrytej cienkim kocem, obok stało

krzesło, wiadro, poza tym w celi nie było nic więcej. Policjant wprowadził do mnie jakiegoś niepozornego faceta o wyglądzie księgowego, w niepozornym garniturze i z niepozornymi oczami. Facet wszedł do środka i usiadł naprzeciw mnie na krześle.

Serce mi się trzęsło, siedziałem i patrzyłem na niego bez słowa.

Facet patrzył na mnie w odpowiedzi.

Powietrze stało.

Śmierdziałem rzygami, krwią, potem i stresem.

Facet nie śmierdział niczym.

Powiedział:

– Panie Pawle, zdaje się, że wplątał się pan w bardzo nieprzyjemną sytuację. Czy mógłby mi pan pokrótce opowiedzieć, co się właściwie wczoraj stało?

Mogłem mu opowiedzieć, naturalnie. Zacząłem spowiedź, unikając starannie tego wszystkiego, o czym mówić nie mogłem. Facet słuchał mnie bardzo uważnie, a potem wyjął papierosa.

Przełknąłem ślinę. W ustach miałem suchy popiół, rozcięta warga paliła i pulsowała. Pomyślałem, że zaraz zerwę się i wyszarpnę mu te szlugi siłą, tak mi się chciało palić, że w obliczu tego, co już się stało, czynna napaść i rabunek chyba nie mogły mi więcej zaszkodzić. Facet spojrzał na mnie i bez słowa podsunął paczkę, a potem zapaloną zapałkę. Palił jakieś gówniane fajki, ale była to taka sytuacja, że zapaliłbym z rozkoszą nawet krowie łajno bez bibułki. Parę uderzeń dymu o gardło przywróciło mnie do czegoś w rodzaju pionu.

– Proszę bardzo – powiedział, uśmiechając się niepozornie jedną stroną ust. – Tak myślałem, że pan z chęcią zapali.

Dobrze myślał, kurwa. Wypaliłem pod rząd dwa papierosa, a potem facet powiedział:

– To bardzo przykra sprawa, rozumiem, że wystąpił pan w obronie honoru kobiety. Jeden z pana przeciwników ma złamany nos i dwa wybite zęby, drugi, niestety, wstrząs mózgu, obaj są teraz na obserwacji w szpitalu. W chwili zatrzymania był pan kompletnie pijany, agresywny i miał pan przy sobie marihuanę.

Przyjrzał mi się.

– Skończył pan Wydział MIM na Uniwersytecie Warszawskim, rozpoczął pan pracę nad doktoratem pod kierunkiem profesora Garlickiego, jest pan również zatrudniony w firmie, której współwłaścicielem jest pana

profesor i promotor. Jak pan widzi, wiem już o panu co nieco. Być może uda mi się zatuszować jakoś tę godną ubolewania sprawę, przecież szkoda, by jedna bójka zniszczyła panu tak pięknie zapowiadającą się karierę...

– Czy pan... – Zorientowałem się, że w ogóle mi się nie przedstawił. – Czy zna pan profesora Garlickiego?

– Owszem, słyszałem o nim – powiedział. – Słyszałem również o jego firmie, mam ogromny szacunek dla poziomu prac, które państwo podejmujecie, w obecnej dobie stosowanie tak nowatorskich algorytmów szyfrujących, nie do złamania współcześnie stosowanymi i znanymi metodami, to naprawdę rzecz godna podziwu. Myślę, że z szacunku dla pana wiedzy i dokonań naukowych, postaramy się puścić w niepamięć ten niechlubny incydent.

Zapaliłem trzeciego papierosa, bo zrobiło mi się zupełnie słabo. Kim był ten facet? Kimś z agencji rządowej, która zleciła nam obecną pracę?

– Widzi pan, panie Pawle... – powiedział. – Ja mam zrozumienie dla grzechów młodości. Szanuję pana niezwykły umysł i chciałbym panu pomóc. Możemy załatwić to od ręki, zostanie pan zwolniony w trybie natychmiastowym z aresztu, postaramy się wymazać raport patrolu i wpis w książce służbowej.

Możemy? Kim on jest, do diabła? I kto za nim stoi?

– A można wiedzieć, jaką organizację pan reprezentuje? – odważyłem się zapytać.

Facet znów uśmiechnął się niepozornie bokiem ust, oczy zostały bez wyrazu.

– Wystarczająco wpływową, by wymazać ten... hm, incydent z pana życiorysu – powiedział spokojnie.

Zamarłem. Jak to? Bez konsekwencji? Bez kary? Może agencja rządowa w ten właśnie sposób dba o swoich pracowników? Lub współpracowników, a nawet ludzi, którzy tylko pośrednio dla niej pracują?

– A w zamian? – spytałem.

Znów się uśmiechnął.

– Nic. To znaczy tyle, co nic. Chciałbym pana prosić o jeszcze jedną niezobowiązującą rozmowę. Kiedyś. Jeśli pan na to przystaje – załatwimy sprawę i za piętnaście minut będzie pan wolny.

– Serio? – spytałem roztrzęsiony.

– Serio – potwierdził. – Rozumiem, że się pan zgadza?

Powiniem napisać: wyszedłem z komisariatu zaraz po tej rozmowie, prosto w zimny i mokry poranek. Ale tak naprawdę była piękna pogoda, słońce świeciło jak gdyby nigdy nic, było późne popołudnie, na ulicy pachniały spaliny i kurz. Sobota. Dowlokłem się do domu, wyszorowałem, opatrzyłem, położyłem na łóżku. Majki nie było.

Pomyślałem, że muszę ochłonać i się przespać, muszę na nowo włączyć przycisk ON w mózgu, bo na razie jest na pozycji PAUZA i to zatrzymanie jest tak definitywne, że właściwie w ogóle nie ogarniam, co się dzieje i co się stało.

Na odchodnym facet podał mi rękę i powiedział:

– A więc, panie Pawle, cieszę się, że się porozumieliśmy. Nazywam się Adrian Kurski i zadzwonię do pana w przeciągu kilku najbliższych dni. Tak jak mówiłem, chodzi mi wyłącznie o jedną rozmowę.

*

Zadzwonił istotnie, gdzieś tak w połowie tygodnia. Przez ten czas byłem ledwo żywy, nieufny, badający wciąż sytuację. Czy ktoś coś wiedział? Co wiedzieli koledzy, którzy tam ze mną byli? Miki? Profesor? Najwyraźniej nic.

Miki zadzwonił do mnie jeszcze w sobotę, zaniepokojony, bo widział przecież finał akcji w knajpie, co prawda wyprowadzenia mnie w kajdankach już nie widział, bo usunięto go, tak jak innych.

– I jak się skończyło? – spytał. – Przesłuchiwali mnie tam w knajpie, mało byłem przytomny, ale zeznałem, że stanąłeś w obronie tej laski, że ich było dwóch, ty jeden i właściwie chciałeś, żeby ją zostawili w spokoju, a to oni na ciebie ruszyli...

– Dzięki – powiedziałem. – Dzięki, stary. Na szczęście skończyło się na mandacie, no i przetrzymali mnie do wytrzeźwienia... A ty coś mówiłeś policji o naszej pracy?

– No co ty? – zdziwił się. – Tyle tylko, że podałem nazwę firmy. Wiesz, wylegitymowali mnie, spytali, gdzie jestem zatrudniony, ale nic więcej. A co?

– A nic. Wiedzieli, gdzie pracuję, to pewnie dlatego.

– Kurwa, mam nadzieję, że sprawa nie dotrze do profesora – zaniepokoił się Miki. – Bo ładnie wszyscy będziemy wyglądali... Pracownicy naukowci!

– A ty skąd wytrzasnąłeś ten lokal? – spytałem z ciekawością.

– Jaki lokal? – zainteresował się.

- Taki byłeś nawalony, że nie wiesz, gdzie byliśmy?
- No pewnie, że byłem nawalony – powiedział rozbrajająco Miki. – Połowy imprezy w ogóle nie pamiętam. Cud boski, że się tak skończyło, mandat to właściwie miki... Dziękuj opatrznosci.
- Dziękuję – powiedziałem.

*

Opatrzność pod postacią niewyraźnego pana Kurskiego zadzwoniła, gdy już udało mi się udobruchać Majkę, gdy zorientowałem się, że w pracy nie grożą mi żadne reperkusje, gdy nie pojawił się u mnie nikt z komendy dzielnicowej, ani gdy nie dostałem żadnego wezwania do natychmiastowego stawienia się... gdziekolwiek.

Pan Kurski zadzwonił wieczorem do mnie do domu i zaproponował spotkanie.

Do tego czasu zdążyłem się już pogubić w domysłach czyim był przedstawicielem. Kto to mógł być, na Boga? Pracownik policji? Wysokich struktur wywiadu? ABW? Służby kontrwywiadu wojskowego? W co ze mną grał? Co tak naprawdę będę musiał zrobić w zamian, bo że nic – jakoś trudno mi było uwierzyć... Po co chciał się ze mną spotykać?

*

Umówiliśmy się w knajpie, która jeszcze kilka miesięcy temu była dla mnie kompletnie niedostępna, z racji cen oferowanych tam usług i produktów. Teraz już była dostępna, aczkolwiek w dalszym ciągu nie lubiłem takich lokali. Powiedziałem o tym panu Kurskiemu otwarcie.

– Ja też za tym nie przepadam – przyznał. – Ale doceniam korzyści, jakie wiążą się z pobytem w takim miejscu. Na przykład to, że nikt nie będzie nam w trakcie rozmowy przeszkadzał...

Siedzieliśmy w prywatnym boksie, istotnie zapewniającym intymność, choć muszę przyznać, że mnie na tej intymności szczególnie nie zależało. Pan Kurski wyglądał zupełnie tak samo, jak przy naszym poprzednim spotkaniu, miał na sobie równie niepozorny garnitur i taką samą, nieprzeniknioną twarz. Takie właśnie odniosłem wrażenie – jakby zakładał tę twarz na swoje prawdziwe oblicze, na swoją mimikę i cokolwiek, co byłoby przynależne do niego, do jego wnętrza. Potem pomyślałem, że może lepiej tam nie zaglądać, lepiej nie, jeśli chcę dalej sypiać spokojnie...

*

Rozmowa, za przeproszeniem, nic nie wniosła. Rozmawialiśmy o wszystkim i niczym, popychając konwersację wyszukanymi daniami. Wypiliśmy przy tym po kieliszku wina.

Siedziałem w ekskluzywnej knajpie z tym dziwnym facetem, tak jak wyszedłem z pracy – w sportowej marynarce, w dżinsach, z plecakiem, w którym nosiłem najpotrzebniejsze rzeczy, całym sobą czując, że nie pasuję do tej sytuacji, właściwie nie wiadomo jakiej. Czego chce ode mnie ten dziwny człowiek, który tak znenacka pojawił się w moim życiu i któremu, mimo najszczerzych chęci, nie mogłem zaproponować, żeby się bujał?

Rozmowa na moment zahaczyła o pracę, powiedziałem bardzo poważnie, że wolałbym o sprawach zawodowych nie rozmawiać, gdyż obowiązuje mnie pełna dyskrecja w kwestii treści i zadań, jakimi się zajmuję, pan Kurski uśmiechnął się pobłaźliwie i zmienił natychmiast temat. Po chwili uśmiechnął się uprzejmie i powiedział:

– Widzę, że jest pan zmęczony, nie będę pana przetrzymywał, może dokończymy rozmowę kiedy indziej.

Wyjąłem portfel.

– Ależ, panie Pawle – zaprotestował. – Zaprosiłem pana i naturalnie pokrywam wszystkie koszty.

Wolałem się nie domyślać, jakiego rzędu były to koszty. Pożegnałem się i wyszedłem.

*

Od tego momentu zaczął się okres kompletnej niepewności. Sama świadomość, że znów zadzwoni i znów będziemy przez parę godzin bili pianę uprzejmej konwersacji, kładła mnie na łopatki. Czego ten facet ode mnie chciał, do kurwy nędzy?

Wszystko to utrzymywałem w najgłębszej tajemnicy, nawet Leszkowi ani Piotrkowi nie pisałem ani słowa. Nie mówiąc o Majce, Mikim, kolegach z pracy...

Prześladowało mnie wspomnienie filmu *Amadeusz*. Niepokojąca, zakapturzona postać, nękająca głównego bohatera, aż za bardzo przypominała mi zaistniałą sytuację. Pan Kurski zamiast kaptura miał nałożoną niepozorną twarz, a ja byłem niemal pewny, że naprawdę nazywa się zupełnie inaczej i coraz bardziej dręczyła mnie pewność, że nie ma balu, jakiegoś *requiem* będę zmuszony dla niego napisać...

Jak bardzo było to *requiem*, nie mogłem się nawet domyślać...

*

Jestem zmęczony. Zmęczony samym opisywaniem tego wszystkiego. Przechodzeniem jeszcze raz tej drogi... Niestety, każdy mój kolejny krok wypalony jest też w mojej pamięci, jestem oznakowany jak bydło, to piętno zostanie już na zawsze w moim mózgu, w sercu, w ciele. W tym, co było. W tym, co mnie jeszcze czeka.

*

W trakcie trzeciej rozmowy pan Kurski, nie tracąc ani na chwilę swego niepozornego wyrazu twarzy, powiedział:

– Przejdźmy, panie Pawle, do meritum. Zastrzegł pan, że nie będzie mówił o swej pracy, to zupełnie zrozumiałe, obowiązuje pana dyskrekcja. Tak się jednak składa, że jestem wprowadzony w temat pana pracy bardzo głęboko, cały czas monitoruję pana postępy i doprawdy możemy o tym szczerze porozmawiać.

– Nie sądzę, aby... – zacząłem.

– Panie Pawle – powiedział ze znużeniem. – Nie bawmy się. Ja wiem wszystko i bez najmniejszego problemu mogę to panu udowodnić.

Ściszym głosem, bez zmieniania wyrazu twarzy i oczu opowiedział mi wszystko o algorytmach szyfrujących, nad którymi obecnie pracowałem, tak jakby był co najmniej członkiem naszego zespołu. Gapiłem się na niego bez słowa. Nie było sensu zaprzeczać, facet mi to udowodnił. Skąd wiedział? Przecież wszystko objęte było najgłębszą tajemnicą...

*

Patryk Vega wdrukował w naszą świadomość pewien modus operandi służb bezpieczeństwa, to samo Pasikowski, pomijając już naturalnie całą naszą zbiorową pamięć historyczną. Wydawało mi się zatem, że nie można przeprowadzić takiej rozmowy bez latających kurw i pogróżek, bezpardonowych nacisków i ordynarnego szantażu.

Tymczasem pan Kurski, oparty o barierkę niewielkiego mostka w Łazienkach, patrząc w ciemną wodę i pływające po niej kaczki, powiedział ściszym głosem:

– Interesuje mnie mała furtka w programie, który pan pisze. Jak pan wie, wszelkie próby łamania zostawiają po sobie ślady. Mnie nie interesuje brute force. Mnie interesuje backdoor. Mała rzecz, o której będziemy wiedzieli tylko pan i ja.

Trzymałem się barierki mostu i patrzyłem na pływające niemrawo kaczki.

Pan Kurski skończył i zaległa cisza.

Zaproponował mi właśnie, abym stworzył lukę bezpieczeństwa w zleceniu, nad którym pracowałem, dzięki której będzie można wejść do programu bez potrzeby łamania zabezpieczeń, a te były nie do przejścia dla żadnego hakera. Stworzyłem moduł szyfrowania bezbłędny w działaniu, nie do złamania, o ile nie znało się klucza szyfrującego. To ja byłem w naszym zespole odpowiedzialny za szyfrowanie, ani Miki, ani nikt inny nie potrafił tego zrobić tak dobrze, oni byli po prostu świetnymi programistami.

Spojrzałem na Kurskiego. Nie padła ani jedna groźba. Naprawdę przypominał Wolanda z *Mistrza i Małgorzaty*: wyciszony, spokojny, empatyczny – na swój potłuczony sposób – skurwysyn.

W głowie czułem zbliżającą się eksplozję, wiedziałem, że jak już ruszę, to nie będzie co zbierać.

Nie odwracając oczu od kaczek, powiedziałem:

– Nie zrobię tego.

– Na pana miejscu jeszcze raz bym się zastanowił – powiedział pan Kurski.

– Myślę, że to zbędne.

– Proszę przemyśleć moją propozycję.

– Kurwa, nie zrobię tego – powiedziałem przez zęby.

– Panie Pawle. Dziwię się, że pan jako kulturalny, dobrze wychowany młody człowiek może mówić takie rzeczy...

Odpowiedziałem tekstem Słonimskiego:

– Ja, proszę pana, jestem człowiek kulturalny, ale jeszcze tylko przez chwilę.

– Ja natomiast myślę, że jest pan kulturalnym człowiekiem, który wpłatał się w bardzo nieprzyjemną sprawę – przerwał mi Kurski. – Ta sprawa została przeze mnie zatuszowana, ale liczę na pana współpracę w kwestii tego retuszu, o którym mówimy. Przykro mi, lecz gdy będzie pan dalej nieprzejednany, będę zmuszony udzielić wszystkich informacji o pana wybryku profesorowi Garlickiemu, a nie sądzę, by te dokonania wzbudziły jego zachwyty. Pracuje pan naukowo, ponadto pracuje pan nad rządowym zleceniem, a wdaje się pan w kryminalne afery? Proszę mi wybaczyć, ale zwolnienie dyscyplinarne z uczelni i z pracy może być najłagodniejszą

formą odpowiedzi na zaistniałą sytuację. Liczę, że pan ochłonie, przemyśli to jeszcze raz i przy najbliższym spotkaniu oznajmi mi swoją decyzję.

Eksplozja doszła właśnie do środka mojej głowy.

Zacisnąłem mocno ręce w kieszeniach i powiedziałem uprzejmie:

– Może mnie pan pocałować w dupę.

Po czym odwróciłem się i spróbowałem odejść. Kurski niespodziewanie mocnym chwytem przytrzymał mnie za ramię.

– A jak spróbuje pan powiedzieć Garlickiemu o mojej propozycji, to dodatkowo powrócimy do paragrafu sto pięćdziesiątego ósmego kodeksu karnego. Myślę, że trzy lata w celi, co ja mówię, plus dodatkowo jeszcze parę za posiadanie narkotyków, nie będzie dla pana żadną niespodzianką. Czy w dalszym ciągu proponuje mi pan, żebym pana pocałował w dupę?

Spojrzałem na niego. Wyrwałem ramię. Powiedziałem jedno słowo:

– Spierdalaj.

Niezatrzymywany odszedłem.

*

Garlicki wezwał mnie następnego dnia. Wiedziałem, że to nastąpi, a z drugiej strony nie mogłem w to uwierzyć. Uwielbiałem mojego profesora, był moim ideałem, absolutnym naukowym guru, był moim mentorem, bohaterem i Panem Bogiem. Stosunki między nami zawsze były pełne uprzejmości, szacunku, prawdziwej rewerencji. Profesor nigdy nie podnosił głosu, był kulturalnym, świetnie wychowanym starszym panem, o racjonalnym, precyzyjnym, genialnym umyśle, rozpatrującym wszystko na chłodno. Przyzwyczaiałem się do jego pełnego rezerwy zachowania, więc teraz stałem jak rażony piorunem, a Garlicki, bliski apopleksji, czerwony jak proletariacka szturmówka, ryczał w swoim gabinecie, plując przy tym obficie:

– Jest pan niepoważny! Jak pan śmiał wdawać się w coś takiego? Jak pan śmiał szargać imię uczelni i dobre imię mojej firmy? Jak panu nie wstyd? Kompletnie pijany wdaje się pan w bójkę i to gdzie? W domu publicznym? Nauczyciel akademicki? Pracownik naukowy? Żebym ja musiał świecić oczami przed policją? Przed moim zleceniodawcą? Przed klientem? Ja pana dyscyplinarnie zwalniam! Nie ma pan od dziś wstępu do mojej firmy, może się pan pożegnać z pracą na uczelni! Pana zachowanie nie licuje z postawą moralną pracownika naukowego i nauczyciela akademickiego!

Stałem na środku jego gabinetu i słuchałem jak krzyczy, cały czas myśląc, że przecież właśnie uratowałem mu dupę, że dzięki mojej niezłomności projekt, który wyjdzie z jego firmy, nie zostanie skalany niczym, co naprawdę jest nielicujące z postawą moralnego człowieka... i nie mogłem mu o tym powiedzieć.

Stałem, słuchałem, patrzyłem po raz ostatni na profesora i bezbrzeżny smutek zaczynał wsączać mi się w żyły, w tętnice, w mózg. Przegrałem właśnie wszystko, co mogłem przegrać, z własnej woli, na własne żądanie. Nic już nie było do zrobienia, więc nie zrobiłem nic.

– Może się pan spodziewać, że skutecznie uniemożliwię panu jakąkolwiek pracę naukową w tym kraju – wypluł na koniec Garlicki i pokazał mi ręką drzwi.

Wyszedłem.

nad ranem

Co wreszcie ruszyło we mnie tę odkładaną wciąż za siebie, nieoprzebraną, niewyjaśnioną sprawę? Chyba ten kolejny popaprzany diabeł, który pojawił się znienacka w moim życiu... Czy wie? Co wie? Skąd wie? Kolejny zjebany mózg, który będzie chciał zabawiać się mną, tak jak tamten... O ile mu na to pozwolę.

7 grudnia

Zima w tym roku sypnęła porządnie śniegiem już w drugim tygodniu grudnia i gdy wszystko zaczęło wyglądać jak bajka, zadzwonił do mnie Leszek.

– Wsiadaj w samochód i przyjeżdżaj – powiedział.

– Stało się coś? – Zmartwiałem.

– Co się niby miało stać? – spytał i zaśmiał się cicho. – Zima. Chcę cię wyciągnąć trochę z nory. Tu na wsi jest pięknie.

– Serio nic się nie stało? – Nie pozbyłem się jeszcze do końca nieufności.

– Odwaliło ci? – spytał uprzejmie, jakby nigdy nie wydarzyła się tamta akcja. – Przyjeżdż, trzeba się trochę przelecieć.

W sobotę wsiadłem w samochód i pojechałem do niego. Gdy wysiadałem pod bramą, Leszek akurat podchodził z jakąś dziewczyną do furtki, otworzył ją przed nią.

– To pa – powiedziała, pocałowała go przelotnie w usta, skinęła mi głową i wsiadła do swojego wozu.

Była bardzo ładna, długonoga, w rozpiętym płaszczu, narzuconym niedbale na ramiona. Spojrzałem na Leszka i uniosłem pytająco brew.

– Pszczółka. – Uśmiechnął się.

Skinałem głową. Pszczółka w naszym języku to była dziewczyna do bzykania, miła, budząca sympatię, ale nic poruszającego serce. Pszczółki stanowiły ratunek w awaryjnych sytuacjach, korzystaliśmy z ich usług, one z naszych, lubiliśmy się, mogliśmy nawet przyjaźnić, a w łóżku bywało ognienie i czule, ale obie strony jasno wiedziały, na czym stoją, że ta bliskość nigdy nie przerodzi się w nic poważnego, bo nie ma tam po prostu miłości.

Ja zresztą byłem wściekle monogamiczny, więc korzystałem z usług pszczółek wyłącznie w przerwach między trwałymi związkami – jak mówię, były to fajne, normalne, sympatyczne dziewczyny i to, co mieliśmy sobie nawzajem do zaoferowania również było wytchnieniem i ulgą.

Raz tylko, po Majce, poszedłem do łóżka z dziewczyną kompletnie mi obojętną i zrobiłem to, prawie nie patrząc na jej twarz – pustka i przerażający smutek tego aktu długo pozostały w mej pamięci.

– Ładna – powiedziałem do Leszka. – Może byś zacieśnił kontakt?

– Ładna, ale niezbyt mądra – westchnął. – Poza tym za młoda.

– Co? – spytałem naprawdę zdumiony. – Jeszcze nie słyszałem, żeby jakiś facet na to narzekał.

– A jednak. Daj spokój. – Roześmiał się. – Pogadać nie ma o czym, więc prawie nie wychodzimy z łóżka, ona może na okrągło, a wiesz... ja już mam nie to zdrowie.

– Biedaku. – Pokiwałem głową. – Stara pierdoło. Bierz, nie marudź. Jeszcze ci trochę brakuje do wieku, w którym nie pamiętałbyś własnych twierdzeń i nie pamiętałbyś, by zapiąć rozporek.

– I by go rozpiąć, przede wszystkim...

– I po co go rozpiąć...

– A ty?

– Co ja?

– Jak sobie radzisz?

– Nijak – odpowiedziałem po dłuższej chwili.

– Jak to? Nic?

– No, nic.

– Stary, tak się nie da. Wyluzuj, odpuść, przecież ta miłość cię zniszczy...

Jakbym przez sekundę słyszał Stefańskiego... Potrząsnąłem głową.

– Sublimuję ją, stary, sublimuję...

Leszek popatrzył na mnie przeciągle.

– Gówno tam wysublimujesz – powiedział ze zmęczeniem, otworzył furtkę i gwizdnął na psy.

Cała sfera rzuciła się mnie witać. Leszek przeczekał ten rozszalały atak, potem gestem zaprosił mnie na przechadzkę. Ruszyliśmy drogą wzdłuż lasu, psy uszczęśliwione biegły przed nami z nosami przy ziemi.

– Dzwon do Agnieszki – powiedział Leszek.

Agnieszka była moją odwieczną, ulubioną pszczołką, to chyba o niej śpiewał Mirek Czyżykiewicz: „Co za szczęście, bezpieczna miłość z panienką, zawsze gotową, pod ręką, po prostu płacisz i masz, w wykwinnym rynsztunku, w najlepszym gatunku pośladki, piersi, twarz...” – tyle że ja nigdy nie płaciłem Agnieszce, ani ona mnie, załatwialiśmy to po przyjacielsku, gdy nasza nas potrzeba...

Agnieszka była naszą dawną koleżanką ze Staszica, z klasy mat-fiz, z tego co wiedziałem, ostatnio pracowała w PAN-ie. Była w długim i burzliwym związku z innym naszym kolegą, Tymonem, którego imię nieodmiennie kojarzyło mi się z kotem i który chyba miał równie koci charakter, bo Agnieszka przeżywała w tym związku nieustanne wzloty i upadki, przy czym z upadków najczęściej to ja pomagałem jej się podnosić. Pomyślałem teraz, że w ogóle nie ma mowy o jakimkolwiek kontakcie z Agnieszką, Ania wyparła z mojego mózgu i serca wszystkie inne...

– To nic nie da – powiedziałem do Leszka. – Ania króluje niepodzielnie. Serce jest jej.

Leszek przyjrzał mi się z uwagą. Skręciliśmy w środek lasu, w nieprzetartą ścieżkę. Śniegu było powyżej kolan.

– Jak zaczynasz mówić takie patetyczne brednie i to całkiem na serio, to znaczy, że naprawdę źle z tobą – powiedział. – Kto mówi o sercu, do cholery?

– No dobrze, o mózgu.

– A kto mówi o mózgu? Oszalałeś?

– No, ja tak mam.

– Popatrz, z tej strony cię nie znałem – zdziwił się Leszek. – Następnym razem kupię ci kwiatki do sukni...

Ulepiłem dużą, bardzo twardą kulę śniegową i rzuciłem w niego. Po pół godzinie, gdy byliśmy obaj kompletnie mokrzy i zziębnięci, zawróciliśmy w

stronę domu.

– Bo wiesz, widziałem się ostatnio z Agą na mieście – powiedział Leszek. – Pytała co u ciebie. Powiedziała, że to bez sensu, żebyś pracował w szkole i spróbuje cię wciągnąć do PAN-u, do Zakładu Teorii Liczb. Ma tam jakieś wejście. Jeśli będziesz chciał. Zadzwoń do niej.

– Wiesz – powiedziałem wahająco – może... lepiej nie.

– O. A to dlaczego?

– Agnieszka jest...

– Agnieszka jest bardzo równą dziewczyną.

– Wiem. Tylko... no, lepiej nie.

– Paweł? O co chodzi?

– Jak ostatnio byliśmy, no... wiesz... zauważyłem, że ma już Tymona po kokardę i chętnie by się wymiksowała z tego układu. To znaczy... chętnie weszłaby w inny stały związek...

– Z tobą, biedaku?

– No... – powiedziałem niezdecydowanie. – Tego się trochę obawiam. Więc wiesz, tym bardziej nie są mi potrzebne jakiegokolwiek zobowiązania...

– Proszę, wchodź – powiedział Leszek, otwierając przede mną drzwi domu. – Wysuszmy się, zjemy obiad... Czyli co, tracisz pszczołkę?

– Na to wychodzi.

Leszek zapalił gaz pod patelnią i rzucił na nią wielkie kotlety.

– Wyłącz piekarnik – powiedział do mnie.

– Włącz, czy wyłącz?

– Wyłącz. Przed wyjściem wstawiłem ziemniaki. Chyba się już upiekły. A co do tego, o czym rozmawialiśmy... to uważaj.

– Na co? – spytałem zaciekawiony.

– Na siebie. Żaden normalny facet nie wytrzyma takiego celibatu. To jest wbrew naturze. A nawet jeśli wytrzyma, to potem spuszczone ze smyczy zerznie wszystko, co się rusza, w promieniu kilometra. Pracowałem trochę przy ogierach. Wierz mi, że tak naprawdę to nie ma specjalnej różnicy... Dawaj talerz.

12 grudnia

Rozmowa z Anią:

– Niech pan sobie wyobrazi, że dziś przez ponad godzinę obserwowałam jedną mysz – powiedziała.

Oderwany wprost od kolejnej awarii komputerowej, którą udało mi się ogarnąć w ramach zleceń tuż przed przyjazdem do niej, w pierwszej chwili w ogóle nie mogłem się połapać, o jakiej myszy mówi.

– Nie, nie – powiedziała, gdy już skończyliśmy się śmiać. – Myślę o takiej małej, szarej, prawdopodobnie mocno bezczelnej, choć z drugiej strony zdesperowanej. Niech pan to sobie wyobrazi: siedziałam w kuchni w zupełnej ciszy, bo czytałam książkę i raptem zza kredensu na sam środek kuchni wyskoczyła mysz. Zobaczyła mnie i wykonała coś absolutnie bezbłędnego, dokładnie takiego młynka nogami, jak te zwierzaki w filmach rysunkowych, po czym nabrała prędkości i uciekła. Nie wiem, czy pan zwrócił uwagę na to, że gdy mysz jest rozpedzona, to w ogóle nie sposób zauważyć jej łapek, tak szybko nimi przebiera, że wygląda jakby jechała na kółkach. Dlatego właśnie ten moment, gdy wyhamowała i nabrała prędkości w drugą stronę, był taki zabawny. Potem przez dłuższą chwilę nic się nie działo, aż wreszcie wykonała taki sam desperacki atak. Widzi pan, strasznie mnie to zdziwiło, bo przecież wiedziała, że ja tam siedzę...

– Może pomyślała, że już poszłaś?

– No tak, ale niech się pan postawi na miejscu tej myszy – powiedziała, co nieco mnie zdetonowało. – Przecież gdyby pan wiedział, że coś jest nie tak, to wyrzałby pan pewnie pomalutku, żeby rozpatrzyć się w sytuacji, prawda? Tymczasem ona wyleciała znowu całym pędem. Więc co, taka pewna siebie i bezczelna?

Zacząłem się przymierzać do tej myszy i wyszło mi, że w takim razie ja jestem taki sam pewny siebie i bezczelny... Wciąż podejmuję desperackie akcje, a potem uciekam... No nie, zdaje się, że cierpię na jakąś straszną chorobę, jak ten żołnierz z ruskiego dowcipu, któremu się wszystko kojarzyło...

– No bo jak pan myśli – drażyła dalej Ania. – Czy to możliwe, żeby ona mogła zapomnieć, że ja tam siedzę?

– Nie – powiedziałem bez wahania. – Nie wydaje mi się, żeby mogła zapomnieć.

– Więc co, celowo chciała zwrócić moją uwagę?

Pomyślałem sobie, że rozmowy z Anią potrafią być naprawdę niebezpieczne. Coś okropnego, żeby się człowiek przejmował jakąś cholerną myszą.

– Spostrzegła twój brak reakcji i pomyślała, że jest zupełnie bezpieczna – powiedziałem słabo.

– W takim razie czemu uciekła?

Milczeliśmy.

– Bała się twojej reakcji, bo nie mogła jej przewidzieć – powiedziałem.

– Więc po co wychodziła?

Pomyślałem sobie, że właśnie zbieram plony swej pracy nad jej logiką myślenia. Sam chciałem...

– Pewnie musiała wychodzić. Rozumiesz? Musiała. Nie miała innego wyjścia.

Ania patrzyła na mnie z leciutką zmarszczką między brwiami. Zaraz sobie dośpiewa... Diabli nadali tę mysz... No nie, już gonię w piętę.

– No więc jakiś cholernie silny imperatyw wewnętrzny kazał jej podejmować desperackie akcje, mimo niewiary w powodzenie, a jednocześnie z nadzieją na powodzenie i może nadzieja z niewiarą były właśnie tym imperatywem... – podsumowała Ania.

Nie mogłem nic powiedzieć, siedziałem i przełykałem ślinę.

– Przecież to zupełnie nie ma sensu – powiedziała po chwili.

– Istotnie. Ale czy musi mieć sens? Na tym czasem polega powodzenie pewnych brawurowych akcji. Na całkowitym braku sensu... – powiedziałem wreszcie, myśląc, że ja to bym w pierwszym rzędzie nastawił pułapkę.

– A może – powiedziała powoli Ania – może to właśnie ta logika i chemia, pamięta pan naszą rozmowę o malarstwie? Wysublimowany szczyt precyzji Mondriana, potykający się z nieprzewidywalną chemią procesów, na które nie mamy prawie żadnego wpływu, jak u Dubuffeta... No nie, z powodu jednej myszy... niech mi pan powie, żebym odpuściła. To już zakrawa na obłąd.

– Nie obłąd, ale... – szepnąłem – wiesz Aniu, myślę że masz tendencję do utrudniania sobie życia...

– Skąd pan wie? – spytała zaskoczona. – Mój tata mówił to samo...

Zrobiło mi się przykro i głupio.

– Ale wiesz, nawet jeśli, to jesteś w dobrym towarzystwie – dodałem. – Ja też utrudniam sobie życie, jak mogę.

– Pan? – zdziwiła się. – Zawsze wydawało mi się, że pan jest jednym z nielicznych, którzy wiedzą, czego chcą...

– Aha... – mruknąłem z goryczą. – Akurat.

– O! – powiedziała.

– O – dokończyłem. – A do myszy zaprosź Zadymę.

14 grudnia

Niecałe dziesięć dni do Gwiazdki.

Nie cierpię tej całej świątecznej komercji, kołęd granych w marketach, tych rozszalałych ludzi z wyładowanymi koszami... Pewnie im się wydaje, że umrą z głodu, jak nie wykupią całego sklepu. To szaleństwo zaczyna się praktycznie zaraz po dniu Wszystkich Świętych i trwa triumfująco aż do Wigilii. W sklepach na każdym kroku bombki i sztuczne choinki, alejkami chodzą nieszczęsne anioły, próbujące bezskutecznie namówić nieprzytomnych ludzi na zakup jakichś dóbr. Szkoda mi tych wymęczonych dziewczyn z tandetnymi skrzydłami. Kupiłem od jednej z nich paczkę opłatków. Spojrzała na mnie z udręką i uśmiechnęła się ładnym, nieobecnym uśmiechem. Mam wrażenie, że ludzie nie widzą w niej dziewczyny. Tylko kogo? Anioła? Też nie.

W osiedlowym sklepiku omal nie dostałem wczoraj zawału. Właściciel postawił przy drzwiach nadmuchanego mikołaja, mniej więcej metrowej wysokości. Każdy powiew powietrza wprawia go w ruch, więc gdy otworzyłem z impetem drzwi do sklepu, coś zniecka mnie zaatakowało, gwałtownie rzucając mi się na nogi. Jeszcze parę takich chwil, a zniekawidzę święta.

U nas w tym roku Wigilia będzie u Piotrka, mama pomoże Uli w przygotowaniu wszystkiego. Ja będę prawdopodobnie zaangażowany w zakupy, bo słabo sobie radzę z gotowaniem, już Piotrek jest w tym lepszy. Z prezentami oczywiście czekałem na ostatni moment i teraz w sklepach jest piekło...

Po tym załamaniu Leszka zadzwoniłem do Gośki, jego siostry. Gośka zadzwoniła do ich rodziców i wszyscy razem mają przyjechać na święta do niego. Rodzice mieszkają już od dłuższego czasu w Niemczech, jego tata jest inżynierem i pracuje w Berlinie w jakimś biurze projektowym. Gośka mieszka w Szczecinie, została tam, gdy jej mąż marynarz popłynął nie wiadomo dokąd, zostawiając ją z dwiema małymi córeczkami. Jedna ma chyba teraz dziewięć lat, a druga jedenaście. Leszek ma kompletnego fioła na punkcie swoich siostrzenic, przedtem woził je na barana, teraz sadza obie na konia, zabiera je na wycieczki do lasu, na rowery, na nocne podchody. Dziewczynki go uwielbiają. Gdy Gośka przyjeżdża z nimi, Leszek codziennie zrywa się o świcie i przygotowuje kopę naleśników z syropem klonowym na śniadanie.

Patrzę na niego i myślę z żalem, że całe jego wielkie, odruchowo dawane ciepło nie może znaleźć ujścia, nie może się spełnić w naturalny sposób, przecież on jest stworzony do tego, by mieć żonę i furę dzieci, tymczasem wciąż jest sam, z psami, kotami, końmi i kurą. Cieszę się, że poczuje trochę rodzinnego ciepła.

Dojrzałem już do tego, by zawieźć do niego Anię. Spytałem, kiedy przewalą się jego goście, powiedział, że wyjeżdżają drugiego dnia świąt i potem mogę z Anią przyjechać dowolnego dnia. Pomyślałem, że może zrobię Ani z tej jazdy konnej u Leszka prezent gwiazdkowy, o ile będzie chciała tam ze mną pojechać. Czy mam jej coś kupić w prezencie? Czy mam do niej pojechać w Wigilię? Jak ona będzie spędzała święta?

Nie umiem sobie wyobrazić większej samotności...

15 grudnia

No dobra, muszę sobie poprasować koszule, bo inaczej będę wyglądał jak ten menel z baru U mamusi, mimo że znam francuski. On też zna...

Przyniosłem sobie cały stos, rozstawiłem deskę i zacząłem prasować, wyglądając jednocześnie z nudów przez okno. Na uszach miałem słuchawki, a w słuchawkach Janerkę z płytą *Co lepsze kawałki*. Właśnie doszedłem do tego co lepszego kawałka, gdzie Janerka przekonywał jakąś damę, że zabawa nie jest dla dziewczynek, gdy na pustym placu na wprost mojego okna zobaczyłem samochód Ani.

Odłożyłem żelazko i odruchowo zrobiłem dwa kroki do okna. Słuchawki szarpnęły mnie za kabel, więc przy słowach: „Idź do domu, bo tu mogą strzelać”, zdjąłem je z głowy.

Przyjechała do mnie? Skąd wiedziała, gdzie mieszkam? Tego jej nigdy nie powiedziałem... Ostry swąd oderwał mnie na chwilę od okna, jednym ruchem wyłączyłem żelazko, koszulę i tak już będę mógł wyrzucić...

Nie. Ona wcale nie przyjechała do mnie. Ona przyjechała poślizgać się na tym pustym placu. Stałem zupełnie nieruchomo i gapiłem się przez okno. Widziałem, jak ruszała, jak skręcała kierownicę, jak samochód wpadał w poślizg... Nie umiała tego robić, jechała za wolno, widać było, że próbuje wyczuć tę całą sytuację.

Buty miałem już na nogach, nie wiem, kiedy je włożyłem. Porwałem z wieszaka kurtkę i z gołą głową wyskoczyłem z mieszkania. Prószył drobny śnieżek. Ten wielki plac był dawnym placem manewrowym szkoły jazdy, teraz szkoła się gdzieś przeniosła, a plac przygotowany był pod budowę. Jedno z ostatnich takich pustych miejsc na Ursynowie.

Ślizgała się na samym środku i zacząłem do niej podchodzić. Wciąż mnie nie widziała. Czy przyjechała tu specjalnie? Zatrzymała się i wtedy podszedłem bliżej. Przez chwilę nic się nie działo, potem opuściła szybę.

– Dzień dobry, panie profesorze. Może gdzieś pana podwieźć? – spytała i w jej oku zamigotał płomyk uśmiechu.

– Bo ja wiem? – powiedziałem w zadumie. – Jak tak patrzę na te twoje akrobacje, to... bo ja wiem?

– No więc niech pan zaryzykuje – przechyliła się i otworzyła mi drzwi od strony pasażera.

Wsiadłem. Pierwszy raz tak było – ona przy kierownicy, ja obok. Przez sekundę przypomniałem sobie te chwile, gdy jeździłem razem z Piotrkim,

jako pilot. Nagła tęsknota szarpnęła moim wnętrzem i uśmiechnąłem się do Ani.

– „Ta zabawa nie jest dla dziewczynek” – powiedziałem, bo jakoś nie mogłem się odczepić od Janerki, który prawdopodobnie wciąż jeszcze śpiewał swoje kawałki w pustym mieszkaniu.

Ania rozjaśniła się.

– O, to Janerkę też pan lubi? – spytała. – Cieszę się, to jeden z moich ulubieńców.

– Mój też. No więc, co prawda, zabawa nie jest dla dziewczynek, ale widzę, że masz się ochotę pobawić. Pokazać ci, jak to się robi?

Skinęła głową, nie spuszczając ze mnie wielkich oczu.

– To przesiadamy się.

Bez słowa odpięła się z pasa, otworzyła drzwi i wysiadła. W jej oczach było... oczekiwanie. Ciekawość. Lekki podziw. Żebym tylko nie zgłupiał, na miłość boską, żebym się tylko nie zaczął popisywać...

Usiadłem za kierownicą, odsunąłem fotel o dwa ząbki. Rączka zmiany biegów już normalna, nie przy kierownicy. Zerknąłem na deskę rozdzielczą. Przekręciłem kluczyk. To wcale nie był taki zły samochód. Silnik 1.3 litra, prosto od volkswagena, całkiem dynamiczny.

– Zrobiłaś bardzo dobry początek – powiedziałem do Ani. – Tylko musisz do tego wszystkiego, co już wiesz, dodać dwa elementy. W momencie, gdy kontrujesz kierownicą, powinnaś jednocześnie dodać gazu, po drugie musisz to zrobić na większej prędkości. Jedziemy?

– Proszę – powiedziała, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Tylko spokojnie. To nie chodzi o to, żebym pokazywał wszystko, co wiem i umiem. Przecież wyjdę na idiotę, rznąc mistrza rajdowego. Nie będę robił driftów na ręcznym, nie pogięło mnie jeszcze do końca...

Ruszyliśmy i zademonstrowałem jej klasyczny poślizg na niezbyt dużej prędkości i typowe wyjście z niego. Ania w ogóle nie patrzyła na drogę. Patrzyła na mnie. Naprawdę patrzyła na mnie, jak na jakiegoś pieprzonego superbohatera. Zgrzałem się cały. Zatrzymałem samochód.

– No dobra – powiedziałem, starając się o maksymalną swobodę wypowiedzi, mimo że w środku wszystko mi się trzęsło. – Fajnie się jedzie, ale spróbuj zaobserwować dokładnie, na czym to polega, innymi słowy – troszkę się skup.

Albo się nie skupiaj... albo rozprosz się tak, jak rozproszyłaś mnie... zaraz wyłączę silnik i powiem ci, że... że nie mogę już dłużej czekać, że

muszę powiedzieć ci to wszystko właśnie w tej chwili...

Zerknąłem na nią, kompletnie wytracony z równowagi. Ledwo sobie zdawałem sprawę z tego, że siedzę za kierownicą... Zaraz, miałem jej pokazać, jak to się robi...

– Widzisz, rozpędzasz się do tej prędkości – powiedziałem, ruszając.

Nie za dużej. Bo noga mi tak skacze na gazie, że zaraz będziemy leżeli.

– Teraz skręt. Mocno, nie ma się co bać. Czujesz, jak tył już jedzie? – spytałem. Jechał. – I teraz... odbijasz. I gaz. I to wszystko.

Zatrzymaliśmy się.

– Teraz ty.

Zamieniliśmy się miejscami, Ania przysunęła sobie fotel. Ja swój odsunąłem. Siedziała za kierownicą, wpatrując się w przednią szybę i drobny śnieżek, sypiący się w półkolach wycieraczek. Bałem się, że w ogóle nie ruszy.

– Tylko nie pęknij z emocji – powiedziałem i Ania rzuciła mi szybkie spojrzenie.

– Śmiało. Siedzę koło ciebie.

W jej oku drgnęła szklista przestrzeń... jakby wzbierająca łąza. Widziałem, jak zaciska zęby. Ruszyła.

Ruszyła ostro, zahamowała ostro, ostro weszliśmy w poślizg. Siedziałem nieruchomo, chciałem jej pokazać, że mam do niej zaufanie. Skontrowała kierownicą.

– Dobrze – powiedziałem. – Trochę mocniej. Dobrze.

Wyprowadziła samochód z poślizgu jak złoto, jakby całe życie jeździła w rajdach, drobna, szczuplutka, pasikonikowa dziewczynka na siedzeniu obok. Nie zatrzymując się i nie zwalniając tempa, weszła w kolejny poślizg, w drugą stronę. Tym razem nie musiałem mówić ani słowa. Wiedziałem, że załapała, zrozumiała, na czym cała zabawa polega... Zabawa nie dla dziewczynek. Patrzyłem na jej profil i na łzę, która wreszcie przelała się przez krawędź oka i cienką strużką poleciała przez twarz.

– No, Ania – powiedziałem bardzo cicho. – Możesz mi wierzyć albo nie, ale będzie z ciebie prawdziwy rajdowy kierowca.

Wciąż nie patrzyła na mnie. Patrzyła na śnieg przez przednią szybę, dłonie miała ciągle zaciśnięte na kierownicy. Nie potrafiłem odwrócić od niej oczu. Tak krótkie były te chwile, gdy mogłem napawać się bezkarnie jej urodą, widokiem jej twarzy, gdy wiedziałem, że nie patrzy, więc nie muszę kontrolować spojrzenia... Popatrzyła nagle na mnie i nic nie

zdążyłem. Nie zdążyłem cofnąć tego wszystkiego, co miałem w oczach, w twarzy... nie zdążyłem cofnąć ręki, którą miałem tuż koło jej kolana, nie zdążyłem cofnąć rozmarzenia, pragnienia, miłości, czułości, tego wszystkiego, co torturowało moje serce.

– Nie – powiedziała. – To nie o to chodzi.

Zamarłem, przyłapany na gorącym uczynku, nie mogąc spuścić wzroku.

– Dziękuję – powiedziała, ciągle patrząc mi w oczy.

Za co mi podziękowała? Za jazdę, za naukę, czy za miłość? Za to, co zobaczyła w mojej twarzy?

– Podwieźć pana do domu?

– No cóż. Ja tu mieszkam – wykrztusiłem.

– Gdzie? – spytała autentycznie zdumiona.

Nie, nie udawała. Ten plac to naprawdę był przypadek.

– Tu – powiedziałem z westchnieniem, pokazując gestem mój blok. – Zobaczyłem twój samochód przez okno.

– O rany, nie wiedziałam... – powiedziała jak mała dziewczynka.

– To już teraz wiesz.

Ostatnim wysiłkiem powstrzymałem się, by nie zaprosić jej na górę. Nie... Nie wolno mi było. To było to, co przyrzekłem Andrzejewskiemu: żadnych zbliżeń, żadnych spoufaleń, żadnego romansu... W dużym pokoju miałem wielki kłęb niewyprasowanych koszul i bałagan taki, że...

Co przeważało? Bałagan czy przysięga?

Zamknąłem oczy, policzyłem w myślach wszystkie możliwe kombinacje z cyfr jej rejestracji. Otworzyłem drzwi.

– Cześć, Aniu – powiedziałem i wyszedłem w samotność i w śnieg.

20 grudnia

Ostatniego dnia przed przerwą świąteczną odszukałem panią Barską i poprosiłem ją o chwilę rozmowy.

– Tak – powiedziała. – Ja też chciałam zamienić z panem dwa słowa.

Weszliśmy do pustej klasy od polskiego, pani Barska zamknęła za nami drzwi.

– Czy Ania...

– Panie Pawle. – Nałożyły się na siebie początki naszych wypowiedzi.

Gestem poprosiłem ją, by mówiła pierwsza.

– Rozumiem, że chcemy porozmawiać o tym samym. – Uśmiechnęła się. – Mój syn i synowa zaprosili Anię na Wigilię. Odmówiła. Tak samo,

jak w zeszłym roku, gdy spędziła Wigilię ze swoją ciotką, jedyną osobą z rodziny, która jej została...

– Ma dobry stosunek z ciotką? – spytałem z nadzieją.

– Tragiczny. Trudno to w ogóle nazwać stosunkiem. Myślę, że to wzajemne niezrozumienie i ze strony ciotki niczym nie umotywowana niechęć. Dla Ani to bardzo trudne doświadczenie.

– A jednak spędziła z nią zeszłe święta?

– Wigilię. Tak. Myślę, że musiało ją to dużo kosztować. Niech pan pamięta, że Ania jest dumna... dumna i niezależna, nie chce ludzi obciążać swym nieszczęściem i obarczać swoją obecnością... W zeszłym roku sytuacja w naszej rodzinie była skomplikowana i Ania odsunęła się odruchowo, czując, że będzie tam nie na miejscu. Ale przez ten czas wiele się zmieniło. Weszła w naszą rodzinę, zaprzyjaźniła się z moimi wnukami, z Jankiem i Sebastianem. Myślę nawet, że bardzo się lubią. Wie też doskonale, że jej obecność na Wigilii będzie dla nas miła i naturalna, a jednak... Jednak podziękowała i odmówiła. Myślę, panie Pawle, że... – Spojrzała na mnie i urwała.

– Powiedziała mi, że spróbuje pojednać się z ciotką, która sporo namieszała w naszym życiu, głównie w życiu mego syna. – Podjęła po chwili. – To dla mnie bolesne, pan pozwoli, że nie będę rozwijała tego tematu. Ania bardzo się przejęła, czuła się odpowiedzialna, biedactwo. Wiem, że jej stosunek do ciotki jest jak najgorszy, stanęła bezwzględnie po stronie mojej synowej i chłopców. Więc nie wiem, jak to teraz będzie z tym pojednaniem... Być może jest to tylko wymówka, żeby nie naciskać na nią zbyt mocno. Panie Pawle, podejrzewam, że ona postanowiła samotnie spędzić Wigilię i boję się, czy sobie z tą decyzją poradzi.

– Ja...

– No właśnie, myślę, że byłoby dobrze, gdyby pan spróbował ją odwiedzić wieczorem, ot tak, choć na chwilę. Jeśli nie będzie chciała, to panu nie otworzy. Ale może... Może będzie pragnęła czyjegoś towarzystwa. Pan się zorientuje na miejscu. Gdyby pana obecność miała być dla niej przykra czy trudna, to...

– Oczywiście, nie będę się narzucał – powiedziałem pospiesznie. – Jakby co, to złożę życzenia i się wyniosę.

– Tak, właśnie. O to chciałam pana prosić. Często w życiu podejmujemy desperackie decyzje, których potem nie potrafimy udźwignąć i z ulgą przyjmujemy czyjąś pomoc lub choćby obecność. Czasem jednak

podejmujemy decyzje świadomie i nie chcemy, by ktokolwiek je podważał, zakłócał nasz spokój. Musi pan się sam zorientować. Mam do pana pełne zaufanie. Do pana wrażliwości, znajomości życia i... natury ludzkiej.

– Bardzo dziękuję za zaufanie – powiedziałem cały czerwony. – Zrobiłbym dla niej wszystko...

– Czyli rozumiem, że w pana sercu nic się od czasów naszej pierwszej rozmowy nie zmieniło? – Uśmiechnęła się.

– Zmieniło. Myślę, że ugruntowało się i pogłębiło – odparłem cicho.

– Ania jest dumna. Proszę pamiętać – powiedziała pani Barska, patrząc na mnie uważnie.

– Tak, wiem. – Uśmiechnąłem się.

– Niech pan o tym pomyśli. Szkoda, że Ania zrezygnowała z Wigilii w naszej rodzinie, gdyż czeka na nią niespodzianka. Pola przyjedzie do Polski na święta i będzie mieszkała u mego syna. Pola jest w związku z moim starszym wnukiem, Jankiem – dodała, widząc zdziwienie na mojej twarzy.

– Ania przyjedzie do nas pierwszego dnia świąt, myślę, że się ucieszy z obecności Poleczki. Niech pan się nie zdradzi, chcemy to utrzymać w tajemnicy, żeby miała niespodziankę.

– Nie zdradzę się na pewno – przyrzekłem.

– No dobrze, więc tak, jak się umówiliśmy – powiedziała pani Barska. – Pan zajrzy do niej w Wigilię. Tylko proszę się nie zrażać, gdyby nie chciała otworzyć. Trzeba uszanować jej decyzje. Bo to nie są dziecinne kaprysy. To dorosłe decyzje, często bardzo dla niej trudne.

Skinąłem głową.

– Proszę pomyśleć o tym, o czym panu powiedziałam. – Pani Barska się uśmiechnęła. – I cóż, życzę panu dobrych, spokojnych, szczęśliwych świąt. I aby spełniły się pana marzenia.

Pocałowałem ją w rękę i gdy byłem pochylony, ona leciutko, prawie niezauważalnym gestem, położyła drugą dłoń na mojej głowie.

22 grudnia

Tuż przed samymi świętami nieoczekiwanie zadzwonił do mnie Miki Konieczny. Złożyliśmy sobie życzenia, a potem Miki powiedział:

– A ty co, ciągle w tej szkole?

Przytaknąłem.

– A nie chciałbyś może porobić czego innego? – spytał.

Martyna Jakubowska śpiewała kiedyś taką piosenkę:

*Od Koluszek aż do Wiednia
miejsca znaleźć nie mogę
kolejka do sedna jest jedna...*

– Wszędzie już mają załogę – powiedziałem głośno do słuchawki.

– Niezupełnie. Właśnie tworzy się ciekawa załoga, może byłbyś tym zainteresowany?

Poczułem w środku mocne, krótkie drgnięcie, jak elektryczny prąd.

– A co z Garlickim? Jesteś cały czas w jego zespole?

– Nie ma już zespołu. To znaczy starego zespołu. Z ludzi, których pamiętasz, to został tam tylko Marcin. Ziazio.

Ziazio miał na nazwisko Ziazicki, co skutecznie uniemożliwiało mu jakąkolwiek karierę w krajach anglosaskich. Poza tym Ziazio był czołowym oportunistą.

– A reszta? – spytałem.

– Reszcie się nie bardzo spodobało to, co z tobą zrobił Garlicki, więc po kolei ludzie się wykruszali. Teraz ma nowy zespół, takie młodziaki z ostatnich lat studiów, co to im się jeszcze zdaje, że złapali Pana Boga za nogi.

– A ty co robisz?

– No właśnie. Tworzy się nowa załoga ludzi, którzy będą pracować dla banku. To znaczy budować nową, scentralizowaną infrastrukturę informatyczną.

– Dobra – powiedziałem z zupełnie suchym gardłem. – Ale wiesz, co się za mną ciągnie.

– No właśnie o to chodzi. Pozwoliłem sobie zaproponować prezesowi banku twoją kandydaturę, wspominając pokrótce o tej historii. Powiedział, że dla niego liczy się to, co umiesz, a nie to, z kim się bijesz. Że on nie jest purystą, a jeśli masz naprawdę taki łeb, jak mówię, to on cię bierze w ciemno.

Słuchawka zaczęła mi się trząść przy uchu.

– Miki – powiedziałem z trudem, ale nie dał mi dokończyć.

– No co? Przecież wiem, jaki masz łeb. To zbrodnia, żeby się coś takiego marnowało. Przepraszam za tę akcję, trochę za twoimi plecami, ale tak akurat wyszło. Za to teraz właśnie dzwonię, żeby cię spytać, czy chcesz. Dobrze płacą.

– Miki... – powiedziałem, przełknąwszy kluczę w gardle. – Stary, nie wiem, co powiedzieć. Jak powiem dziękuję, to to nic nie będzie znaczyło...

– Ty, uspokój się. Czemu mam ci nie pomóc, jak mogę? Mnie też zależy, żeby w zespole byli fajni ludzie. I z głową. Bo roboty będzie, że niech ręka boska broni.

– Ale czekaj – opamiętałem się. – Ja pracuję w szkole, nie da rady tego pogodzić.

– A nie możesz rzucić w diabły tej szkoły?

– Przez ten rok nie mogę.

– Nie żartuj. Zawsze można rzucić robotę.

– Nie w tym wypadku. Długo by gadać. Nie mogę.

– No dobra, to na pół etatu? To nie jest praca biurowa od-do. Możesz sobie dopasować godziny. Wieczorkiem, część zdalnie, da się zrobić. Czyli co, wchodzisz?

– Jasne. Jak tylko uda się dopasować, to wchodzę z zamkniętymi oczami.

– To powiem prezesowi. Jak mówię, nieźle płacą.

– Wiesz... – zawahałem się – nawet gdyby słabo płacili, ale to tak tylko między nami, to i tak bym w to wszedł ze śpiewem na ustach. Człowieku, jestem już prawie zupełnie odmóżdżony...

– Biedaku... – Miki się roześmiał. – No to przynajmniej mam pewność, że rzucisz się na robotę, jak łysy na perukę.

– Żebyś wiedział. Miki... jesteś...

– Weź się zamknij. Nie mam ochoty słuchać twoich wyznań miłosnych.

– A na wódkę masz ochotę?

– Na wódkę zawsze.

– To po świętach się zderzymy.

– Po świętach to już będziemy razem pracować, jak myślę.

– Co, tak prędko? – zdumiałem się.

– Od nowego roku zespół ma wystartować. Na razie są trzy osoby, jak się dogadasz z prezesem, to będziesz czwarty. To znaczy będziesz musiał przejść tę całą piekielną procedurę weryfikacji, koszmar. Ja już przez to przechodziłem, inni też.

– To zapraszam was wszystkich na wódkę.

– Hm... ciężko będzie. Nie wiem, czy Emilka pije, ale reszta jak najbardziej, myślę.

– Macie dziewczynę w zespole?

– No. I jest niezła, muszę ci powiedzieć. Bardzo piękny umysł.

Uśmiechnąłem się.

– A prócz umysłu?

– Sam zobaczysz. – Roześmiał się i rozłączył.

24 grudnia. Wigilia.

Pan prezes Zdanowski zadzwonił wczoraj i jeszcze tego samego dnia spotkaliśmy się i podpisaliśmy umowę, uwzględniającą wszystkie moje dotychczasowe zobowiązania. Będę pracował w godzinach popołudniowych i w domu. Ruszamy pierwszego stycznia, jak tylko przejdę weryfikację i wszystkie szkolenia dotyczące poufności.

Czy są takie słowa, którymi mogę podziękować Mikiemu za tę genialną, bezinteresowną, wielkoduszną interwencję? Lubilem go zawsze i kumpłowaliśmy się zawsze, ale przecież teraz zrobił to, co robią tylko najbliżsi przyjaciele. Nie spodziewałem się takiego prezentu od niego, od życia... Nie wiem, czy będę kiedyś umiał dostatecznie mu podziękować...

Na moją prośbę zaczniemy kolację wigilijną trochę wcześniej. Ula też jest zadowolona, bo oni z Piotrkim jadą jeszcze na drugą Wigilię, do jej rodziców.

– Wiesz, mamó, podjadę do Ani – powiedziałem. – Nie wierzę w tę ciotkę. Ania jest dumna, jest odważna i jest tam zupełnie sama.

– Jedź, synku.

– Jeśli jej rzeczywiście nie będzie, to zaraz wrócę.

Mama patrzyła na mnie, wiedziałem, że rozumie wszystko, zawsze rozumiała, zawsze wiedziała.

– A ty... wolałbyś, żeby była w domu? – spytała.

– Nie wiem, mamó. Naprawdę nie wiem...

– Jedź.

w nocy

Zaczęliśmy Wigilię troszkę wcześniej, skończyliśmy troszkę szybciej i może nie równo z pierwszą gwiazdką, ale z morzem gwiazd nad głową zameldowałem się pod jej furtką.

Dwa świerki stały jak czarne widma, mały sumak o powykręcanych gałęziach migotał iskierkami światełek, cały oplątany mikroskopijnymi żarówkami, unoszącymi go prawie nad ziemię w nierealnej poświacie. U okien stonowany blask. Pokiwałem sobie w duchu głową i nacisnąłem dzwonek.

Długo nic, ciągle nic, czy nie zechce otworzyć?

Ścisnąłem pod pachą prezent dla niej. Wyszło wreszcie wznowienie, od lat wyczekiwane – *Wyspy bezludne* Łysiaka. Skrzypnęły i zapiszczały drzwi. Ania w grubych butach, z kurtką narzuconą na ramiona i z gołą głową podeszła do furtki.

– Tak się cieszę – powiedziała po prostu.

– Czy zaprosisz mnie do wigilijnego stołu?

– Tak się cieszę – powtórzyła. – Proszę.

Dróżka do domu była oblodzona, mróz chwycił sakramencki. Przed schodami paliło się światło.

– Zmarzniesz – powiedziałem. – Nie wyskakuj tak z gołą głową.

Uśmiechnęła się tym swoim uśmiechem, delikatnym jak kropla wody w pajęczynie i już byliśmy w domu.

W domu. Bo to był prawdziwy dom. Ciepły, przytulny dom dzieciństwa, pachnący igliwem i ciastem, zapastowaną podłogą, jabłkami, nikłą wonią palącego się drewna i jeszcze czymś nieuchwytnym. Czułością.

Na drzwiach wisiał wieniec upleciony z gałązek świerka. Słup i belka w kuchni też owinięte były girlandą z gałązek świerkowych, szyszek i czerwonej wstążki. Przez szeroko otwarte drzwi do głównego pokoju zobaczyłem stół, przykryty białym obrusem. Ania musiała już też być po wieczery wigilijnej, na stole ciągle stał jej talerz i jeszcze jeden, pusty, dla niespodziewanego gościa – dla mnie, i talerzyk z opłatkiem.

Spojrzałem w drugi kąt. Ania przed chwilą musiała rozpalić ogień w kominku, bo buzował mocnym płomieniem. Biurko zostało odsunięte, w kącie pyszniła się wielka, wspaniała, migotliwa choinka, ubrana w bombki, czerwone jabłuszka, złote orzechy i pierniczki, przystrojona w łańcuchy, origami i długie cukierki w błyszczących papierkach. Pod choinką leżały ślicznie zapakowane prezenty.

Gula w przełyku, która rosła mi cały czas, teraz osiągnęła wielkość piłki tenisowej, której za cholerę nie mogłem przełknąć i zrozumiałem wszystko do końca. Wydawało mi się, że już o niej wiem tak wiele, że potrafię ją zrozumieć, jej samotność i cierpienie, ale raptem okazało się, że wciąż tylko ślizgałem się po powierzchni. To nie było tak, jak myślałem, wszystko było o wiele głębiej. O wiele większa samotność, niż mogłem sobie wyobrazić, przerażająca wprost samotność, o wiele większa duma, by nie być dla nikogo ciężarem, udreką ani wyrzutem sumienia, o wiele trudniejsza walka o zachowanie ludzkiej godności i dbałość o to, aby życie

płyneło wciąż tym samym głębokim korytem, jak rzeka zmierzająca wytrwale, cierpliwie i nieuchronnie ku morzu.

Patrzyłem na to, z jakim pietyzmem przygotowała Wigilię na ruinach swego dawnego życia, jak pierniczkami, świeczkami i orzechami zbudowała klimat tej nocy jedynej w swoim rodzaju, niepowtarzalnej, tak okropnie trudnej, myślałem, jak bardzo jest odważna i dzielna, dorosła i mądra, samotna, samotna i samotna.

– Tak, kiedyś musiałam podjąć tę próbę. Od tego nie można uciec. W zeszłym roku nie byłam jeszcze dość silna, ale w tym roku chciałam spróbować. To... to okazało się jeszcze trudniejsze, niż sądziłam, ale wytrwałabym do końca, może pan być pewien, umiałabym to przeżyć... Jakie to szczęście jednak, że nie muszę. Tak bardzo się cieszę, że pan przyszedł. Robienie Wigilii dla samej siebie jest... chyba w pewnym stopniu niemoralne. To znaczy... chciałabym, żeby mnie pan dobrze zrozumiał...

– Rozumiem cię, Aniu – powiedziałem cicho. – Naprawdę bardzo dobrze cię rozumiem. I chcę ci jeszcze powiedzieć, że cię podziwiam. To, co tu stworzyłaś... Nie wiem, jak to wyrazić słowami.

Nagle zdałem sobie sprawę, że dla Ani nastąpił właśnie najtrudniejszy moment wieczoru. Zebrała wszystkie siły, by przeżyć Wigilię samotnie, by oprzeć się tragedii i przerażającej prawdzie, że jest zupełnie sama na świecie, aby na przekór wszystkiemu zachować dawny styl życia i tradycję, dawne ciepło i urodę tych świąt. Robiła to dla samej siebie, dla ratowania własnej duszy, nie na pokaz, a jednak pojawił się człowiek, który to zobaczył i docenił. I dwa uczucia: ulga, że już nie musi się zdobywać na największy wysiłek, ale jednocześnie zburzenie bastionu obronnego, w którym się schroniła, fortyfikacji, które wznosiła we własnym sercu przez długie godziny przygotowań.

Nie mogłem jej pomóc, byłem zajęty przetykaniem guli.

Gdy wreszcie spojrzeliśmy na siebie, jej oczy błyszczały, moje chyba też i zdałem sobie sprawę, że pokonaliśmy właśnie tę barierę w naszych stosunkach – wstyd przed okazaniem uczuć.

Tymczasem nastrój rósł, właściwie od momentu mojego przyjścia rósł w sposób nieprzerwany i jeszcze wcale nie osiągnął momentu kulminacyjnego. Czulem, że zachowujemy się jak osoby zaczarowane, pierwszy raz w naszych stosunkach dotykał nas tak dziwny klimat...

Ania wzięła ze stołu talerzyk z opłatkiem, ułamaliśmy po kawałku i złożyliśmy sobie życzenia. Nie wiem, czego jej życzyłem. W żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć własnych słów. Pamiętam tylko, że przełamaliśmy się tym opłatkiem, a potem pocałowaliśmy w policzek. Tak po prostu, jak przy składaniu życzeń, ale w naszym przypadku to nie było po prostu, gdyż w tym momencie w Ani coś drgnęło. Wyraźnie poczułem, jak przeszedł ją dreszcz i przez ułamek sekundy miałem wrażenie, że chce się do mnie przytulić, wtulić się w moje ramiona, ale trwało to, jak mówię, tylko ułamek sekundy. Spojrzałem na Anię, niepewny, jak uda nam się przeżyć tę chwilę i właśnie gdy uchwyciłem jej wzrok, minęła i chwila. Odczułem to niemalże fizycznie, jakby raptem puściło jakieś straszliwe napięcie, straszliwe, ale i słodkie zarazem, a to, co nastąpiło później, było dziwną mieszaniną ulgi i rozczarowania. Jeśli ona odczuła to tak samo, jak ja, to... wystarczy.

– Widzę, że trafiłem w samą porę – powiedziałem cicho. – Jeszcze nie rozpakowałaś prezentów. Proszę, to jeszcze jeden. – Pochyliłem się i wsunąłem książkę pod choinkę.

– O, dziękuję. Ale ja nie spodziewałam się... Ja nic dla pana... Zaraz. Zaraz. A właśnie, że nie, świetnie! Ja też mam dla pana prezent!

– Aniu, nie trzeba...

– Ale mam! I zaraz go panu dam. Musi pan tylko chwileczkę poczekać, bo jest w pracowni, wezmę latarkę i zaraz wracam.

Zakręciła się, błysnęła uśmiechem i już jej nie było.

Usiadłem w fotelu. Zadyma, która nazywała się dzisiaj Zadymka i miała zawiązaną ogromną, czerwoną kokardę, której okazywała cierpliwą wyrozumiałość, po raz pierwszy wdrapała mi się na kolana i, miarowo wbijając mi pazury w nogi, zaniósła się natchnionym mruczandem. Ania przesuwała coś z hałasem w pracowni, tuż przy uchu strzelały mi drwa w kominku, w dwóch wiklinowych koszach po jego obu stronach piętrzyły się jabłka i orzechy. Czarna skrzynia pianina lśniła w mroku.

– Jest – powiedziała Ania, niosąc coś wielkiego, owiniętego w kolorowy papier. Postawiła to koło choinki.

– To co, zaczynamy? – spytała. – Zadymka, chodź, dla ciebie też się coś znajdzie.

Dla Zadymy znalazła się nakręcana mysz, która najpierw wprawiła ją w osłupienie, potem radosne niedowierzanie, a na koniec została gdzieś wyniesiona w pysku.

– Tylko jej nie jedz! – zawołała Ania. – Jeszcze mam dla niej poduszkę i puszki z żarciem, ale chyba nie jest na razie zainteresowana. Ja za to owszem. Większości prezentów nie znam. To od... takiej mojej grupy przyjaciół z Domu Kultury... to od Michała, od sąsiadów... od siostry Michała...

Zaczęła rozpakowywać.

Siedziałem w fotelu, patrzyłem na nią. Patrzyłem i patrzyłem. W jej półgestach, półuśmiechach, w odgarnięciach włosów było ciepło, ciekawość, coś dziecięcego, myślałem: Jak dobrze – jak dobrze, że poczuła obecność życzliwych jej ludzi, ich starań, ich myśli o niej, nie jest zupełnie sama, otoczona jest ludzkimi gestami, patrzyłem na drobiazgi, które wyjmowała ze starannie opakowanych paczuszek, jakieś płyty, słuchawki z kabłąkiem, komplety farb, kredek, jakieś szaliczki, koraliki, jej twarz nad tym łagodna, wzruszona, miękka.

Na koniec sięgnęła po moją paczkę. Zerknęła na mnie z półukrytą ciekawością, leciutkim uśmiechem w kącie ust, zsunęła papier.

Włosy spadły jej na twarz. Tylko palce, szczupłe, wrażliwe palce przesunęły się po lśniącej obwolucie – gest jak pieszczota – przełknąłem ślinę. Potem na błyszczący papier z wysoka, spod chmury jej włosów, spadła jedna kropla.

– Tak chciałam to mieć... – szepnęła. – To o samotności.

– Najpiękniejsza książka o samotności, jaką znam – szepnąłem. – Nie płacz. Błagam.

Wciąż nie widziałem jej twarzy – zakrywała ją fala włosów. Ania bez słowa starła kroplę opuszką wskazującego palca.

– Nie płacz. Może nie powinienem był przynosić tej książki dzisiaj... Ale...

– Ciii, niech pan nic nie mówi...

Milczałem. Podniosła głowę. Coś w niej wyprostowało się, łagodnie podniosło.

– Przecież to nie ma znaczenia – powiedziała – kiedy. Nie ucieknę przed samotnością. Ja o tym wiem, pan też. To najpiękniejsza rzecz, jaka mogła mi się zdarzyć – ta książka. To, że pan mi ją przyniósł. Pan. Dziś.

– Czy pan... – powiedziała – czy pan rozumie... rozumie, że...

– Rozumiem – powiedziałem.

Przenikało mnie drżenie, jak spazmatyczny szloch. Jej twarz w mroku i pasmo włosów na oczach, na policzku, na kącie ust.

– Już nigdy – odezwała się po chwili, a we mnie narastał szept, szept płaczu, który jeszcze nigdy przed nikim... – Będzie, co ma być – powiedziała.

Strzelał ogień, pachniała choinka. W bezmiernej samotności, przechylona nad sobą, łagodna, wciąż powstrzymana, z najtrudniejszą odwagą powstrzymana przed rozpaczą, siedziała w mroku z kolanami pod brodą, z pasmem włosów wiszącym przez twarz aż na kolana, drobna, szczupła i już na zawsze niedziecinna.

– Rozumiem – powiedziałem.

– Dziękuję... – W oczach załśnienie, ale już w kącikach ciepło, zwrócone w siebie i zwrócone we mnie. Dla mnie.

– Dziękuję – powtórzyła. – Teraz pan – powiedziała.

Ująłem paczkę. Była duża, na obrzeżach twarda, płaska, niezbyt ciężka.

– Co to?

– Obraz. Malowałam z myślą o panu, nie sądząc, bym kiedykolwiek mogła go panu pokazać... Ale mogę. Wiemy już o sobie dużo, a ja przestałam się bać... pana...

– Mnie?

– Pewnie. Przecież pan o tym wiedział. Od początku. Bałam się pana, a jednocześnie mnie pan intrygował, chciałam zrozumieć... Nic nie rozumiałam, ale... Nie, trudno mi mówić. Niech pan obejrzy.

Dziękowałem Bogu, że jest ciemno. Zacząłem zdejmować papier.

– Zaraz. – Wyjęła mi paczkę z rąk. – Przepraszam. Ale to trzeba zobaczyć z odległości. O, tak.

Papier spłynął na ziemię. Obraz oparty o krzesło, w odległości kilku kroków, załśnił barwami... skoczył mi do oczu. Skoczył we mnie, gwałtowną kulą pod serce, pod gardło. Zasłoniłem twarz.

Skąd ona... to wszystko... o mnie wszystko... wie o mnie wszystko.

Patrzyłem w oczy sobie z portretu. We mnie drgał skurcz i w portrecie we mnie drgał skurcz. Moja dorosła twarz porażona czułością, naznaczona marzeniem, twarz z ledwie ukrytym pragnieniem, więc ona wie... Czy nie wie? Czyż nie powiedziała, że nic nie rozumiała? Ale nie sposób tego nie rozumieć... W oczach jest ta cała miłość do niej... Co ona wie?

– Skąd ty... Skąd to wszystko... – wyszeptałem. Krtań mnie bolała.

– Co? – Ledwie usłyszałem.

– Wiesz. O mnie.

– Nic – szepnęła. – Nie wiem. Tylko chciałam odkryć w panu... Boże. Odkryć w panu tego chłopca. Niech mi pan wybaczy.

Już jej nie było. Szczęknęły drzwi do jej sypialni.

Zostałem sam, porażony, nieprzytomny. Nie byłem w stanie się ruszyć. Gdy wróci, powiem jej wszystko. Przecież wie. Nie namalowałyby tak, gdyby nie wiedziała. Niemożliwa jest taka intuicja, gdyby nie wiedziała...

Portret pływał mi przed oczami, łagodnie falował w moich łzach. Dość udręki. Powiem.

Nie wracała. Przez wieczność siedziałem w fotelu, kryłem oczy, paliłem papierosa. Z obrazu chłopiec we mnie patrzył mi w oczy z gęstego cienia, z niepokoju, z samotności. Nie wracała. Podniosłem się, podszedłem pod te zamknięte drzwi. Zapukałem. Powiedziałem:

– Aniu.

– Niech pan wejdzie.

Stała pod oknem, cień na tle cienia, ręce miała bezwładnie opuszczone wzdłuż boków, na pasemku włosów lśnił blask. Odwróciła się do mnie. Oczy zupełnie czarne, wyszły ku mnie i przeszły na wskroś, bez bólu, bez natarczywości, ale przeniknęły mnie czernią spojrzenia.

– Aniu, chciałem ci powiedzieć...

– Nie. Ja najpierw – przerwała. – Ja muszę panu powiedzieć.

– Co? – wyszeptałem.

– Wszystko. Niech pan ze mną pójdzie, zrobię nam herbatę, weźmiemy sobie... Czy jest pan już po wieczery?

– Co? A, tak. – Byłem zupełnie nieprzytomny.

– To ciasto. Proszę. Niech mi pan pomoże. Musimy oswoić tę sytuację. Już się pozbierałam. Przepraszam.

Przeszła koło mnie, usunąłem się w drzwiach, była miła, była stanowcza, coś w niej dojrzało, nie pozwoliła mi mówić. Poszedłem za nią.

Załadowała pełną tacę, podniosłem ją, zaniósłem przed kominek. Usiedliśmy przed suchym trzaskiem i śpiewnym szumem drewna.

– Przepraszam, widzi pan, jak chwiejna jest moja równowaga – powiedziała. – Za skarby nie chciałabym sprawiać panu przykrości, szczególnie w takim dniu, jak dzisiejszy, ale... wzruszenie i wszystko we mnie puszcza. Pan to rozumie, prawda?

Skinałem głową.

– Chcę panu opowiedzieć o tym portrecie. I o panu. Proszę, niech pan zapali.

Zapaliłem.

– Bałam się pana – zaczęła. – Bałam się pana panicznie, pan o tym wie. Nie umiałam matmy, a pan był... co tu mówić – trudny. Szorstki. Szybki.

– Obcesowy – podpowiedziałem. – Czemu się szczypiesz? Ordynarny, arogancki i chamski. Wiem.

– Aż tak ostro może nie. – Uśmiechnęła się. – Ale wzbudzał pan strach. Respekt. I zaczęłam się panu przyglądać. Wtedy to wszystko znalazłam. Wie pan co?

– Nie...

– Pana nieprawdopodobną, monstrualną wręcz inteligencję. Pana poczucie humoru. Stanowczość, konsekwencję tak, ale nie despotyzm. Pana umiejętność odpuszczania. Niecierpliwość, zadziorność, ale i cholerną wrażliwość. To, w jaki sposób bywa pan miły i dlaczego. Niech mi pan jeszcze nie przerywa, błagam. Wiem, że czułabym się równie głupio, gdyby mi ktoś wyrąbywał prawdę o mnie w oczy. Nigdy wcześniej nie odważyłabym się i pewnie już nigdy się nie odważę. Ale chcę, aby pan zrozumiał, jak ze strachu, niepokoju i niechęci przeszłam do sympatii, do podziwu i szacunku. Chcę, żeby pan wiedział. Lubię pana. Lubię przebywać z panem, rozmawiać, nigdy jeszcze żaden człowiek nie działał na mnie tak inspirująco, jak pan. Nigdy nikt z moich znajomych nie miał tyle wiedzy, intuicji, przeczucia, humoru, charakteru. I nieprzejednania. I... smutku.

Podniosłem głowę.

– Malowałam i myślałam o tym wciąż. – Pokazała ręką. – Pan jest przeciwieństwami. Pan jest twardy i miękki, męski i chłopięcy, cyniczny i romantyczny, i jest w panu coś... nie wiem... niedomknięcie za, czy ledwie otwarcie na, nie wiem. I jest w panu smutek. To jest wyraźne. Dlatego jest tam. – Znów wskazała na obraz. – Chyba nie rozgoryczenie, ale smutek i zmęczenie. W połowie nadzieja na zmianę i niewiara w nią. Ale nadzieja. To jest mądrość.

Papieros skakał mi w dłoni, skaczący ognik podniosłem do ust. Zęby mi latały.

– Chcę to do końca wyjaśnić – mówiła Ania. Półmrok i gest, jej skupienie w sobie, nade mną. – Nie odważyłabym się wchodzić w pana intymność. W pana przeżycia. W prawdę. Nie, nigdy. Nie mam najmniejszego prawa. Mogę tylko obserwować, muszę, jeśli chcę dobrze malować. To wszystko. To nie jest wiedza, to są przeczucia. Wyłącznie

przemyslenia. Wciąż nie wiem nic o panu, nie muszę. Nie potrafiłabym wejść w kogoś tak obcesowo z butami dla jakiejś swojej potrzeby. Czułam się zaintrygowana czymś, poszukałam odpowiedzi na to coś, problem psychiczno-malarski. Zainteresowało mnie to dlatego, że pana bardzo lubię, jest pan w moim życiu ważną osobą. Nie odważałam się tak do pana mówić, wciąż trzymał mnie za ręce dystans, coś, co pan pewnie zna, prawie nie do przebycia, dystans profesor – uczennica, ja wiem, że między nami jest już inaczej, my się zaczynamy zaprzyjaźniać, my się lubimy. Proszę mi to wybaczyć, ale ja wiem. Ja czuję, że pan mnie lubi. I ja też. Tak samo. To wszystko. Proszę, niech mi teraz pan powie.

Wszystko wyjęła mi z rąk. Mówiła o przyjaźni, ja chciałem o miłości. Nie mogłem już nic powiedzieć

– Wszystko już powiedziałaś – szepnąłem. – Tak jest. Może tylko bez tych moich wyolbrzymionych zalet.

Parsknęła śmiechem.

– A ta skromność panu nie pasuje. Pan ma nie tylko te wszystkie przymioty, ale też ich świadomość. Tak samo, jak świadomość własnej urody... własnego ciała... w ogóle świadomość.

– Podobno mężczyzna mający świadomość własnej urody, jest głupcem...

– O, być może, prawie na pewno tak, ale pan nie pamięta o tym kurczowo. Pan sobie pozwala zapomnieć. To umiejętność. Cenię ją.

– A ja cenię ciebie. Całą. Jesteś nieprawdopodobnie wręcz wrażliwa, jesteś mądra i twórcza, masz w sobie cechę przynależną geniuszom – to, co zdefiniował John Foster – zdolność zapalania własnego ognia i zabierania w ten ogień. I masz niesłychany ładunek ciekawości życia i cieszenia się życiem. Podejmowania wyzwań i umiejętności sprostanania im. Inaczej: umiejętność otwierania nowych granic, przesuwania ich wciąż dalej, czyli rozwoju. To coś magicznego. Magnetyzm. Mówiliśmy już kiedyś o tym. Pamiętasz?

– Tak... Atmosfera jak po burzy. Tak czysto. Niech pan się jeszcze nie chowa... w głąb. Wyszliśmy sobie bardzo naprzeciw. Wykorzystajmy to. Zagram coś panu. Albo zaraz... nie. Jest taki jeden wiersz, idealnie na tę porę. Niech pan posłucha.

I zaczęła. Jej głos pociemniał i pogłębił się, stał się mroczny, stał się łagodny i niepokojący, gdzieś jakaś pęknięta nuta. „Kolędo czarujesz, a łowisz jak niewód”... Czechowicz. Na palcu kosmyk włosów, zwinięty w

pierścionek. Oczy zwrócone w ogień. Czarujesz. A łowisz. Ulubione pieścidełko samotności.

I cisza.

Szósty papieros od momentu przyjścia do niej. Niszczę się na wylot. Ale to nie pora na jakiegokolwiek postanowienia. Tylko to jedno – na więcej nie mam już siły.

– A czy pan... zna może jakiś wiersz? Zaskakiwał mnie pan już tyle razy, że może i teraz...

– Mam cię zaskoczyć? Spróbuję. Jest taki wiersz. Rzeczywiście. Znam go na pamięć od lat.

– Więc niech mi pan powie. Mówił go pan kiedyś głośno?

– Nie. Zawsze tylko sobie. Nie umiem mówić wierszy, ale powiem. To jest wiersz Kiplinga *Jeśli*. Znasz?

– Nie.

Siódmy papieros. Ale chowam się za jego dymną mgiełką, pierwszy raz mówię ten wiersz głośno do kogoś. Wiem, jak to trzeba powiedzieć. Ale pierwszy raz.

Ania słucha. Cała jest słuchaniem. Nie patrzy na mnie i jestem jej za to wdzięczny. Przedzieram się przez tekst, mądry, bolesny, tam na końcu jest najważniejsze. „Nie dać się zachwiać wrogom, ani przyjaciołom”... Ania podnosi na mnie oczy. Cisza. W tej ciszy wchodzę w następną zwrotkę.

*Jeśli potrafisz zebrać wszystko coś zgromadził,
na jednej naraz to położyć szali
i stracić wszystko, i zaczynać od początku,
i ani słowem się nikomu nie pożalić...*

Strzepuję popiół. Jeszcze ostatnia zwrotka. I kończę. Nigdy nie przypuszczałem, że zabrzmi to tak... że wejdę w ten klimat tak głęboko, aż powietrze stężeje. Albo to zasługa Ani. Jej słuchania. Przeżycia.

– To mądre – powiedziała. – Ale... – urwała. – Nie do końca. Niech pan nie wierzy w to do końca.

– Dlaczego? – spytałem.

– „I ani słowem się nikomu...”? To nie jest dla ludzi. Może dla Anglików. Ale chyba dla nikogo poza nimi. Na nas ciąży słowiańskość, bagaż zupełnie inny. Głębsza puszcza i czucie bardziej bolesne. Niech pan nie wierzy. Pan pracuje w ten sposób na zawał serca.

– Pracuję...

– Więc niech pan oddzieli mądrość od bohaterszczyzny. To wszystko, co warto i trzeba, żeby mówić o człowieczeństwie, od tego, co już przynależne automatom.

– Mężczyznom...

– Ludziom. To pana o nic nie zuboży. Mężczyźni często się boją... nie wiem po co. Nie wszystko można unieść samemu. Nie ma takiej potrzeby.

– Ale to trudne...

– O, tak. – Uśmiechnęła się lekko. – Wiem. I nie mówiłabym tego, gdybym nie wyczuwała w panu tej gotowości otwarcia, zawierzenia. Wcale niekoniecznie mnie...

– Tobie. Jeśli nie tobie, to komu? To ty wiesz tak strasznie dużo.

– Ja nie wiem nic. Nie. Niech się pan nie daje zmylić. Wiem o przeczuciach. To nie jest prawdziwa wiedza. Może to jest ważniejsze od wiedzy, ale czasem potrafi zawieść. W najtrudniejszym momencie. Dlatego nie ufam temu do końca. Jak wyobraźni. Jak instynktowi. To cenne dary, ale niepokorne. Jak konie. Nigdy nie ufam do końca koniom... nie ufałam. Tak... to wszystko, co wiem. Wiem, bo tyle przeze mnie przeszło... Pewnie kiedyś panu o tym opowiem. Ale jeszcze nie teraz. Nie dziś. Nie chcę mówić o bólu... Podobno każdy musi w sobie taki ból doświadczyć i wtedy dopiero osiąga prawdziwe człowieczeństwo... Nie. Nie wiem. Nie wiem nawet, czy ten ból zrodzi we mnie coś wielkiego. Ale mam początek. I tylko już ode mnie będzie zależało, co z tym zrobię. Pan zna słowa Camusa: „Jest czas życia i czas świadczenia o życiu”. Pora już zacząć świadczyć. Ale to też nie dziś. Dziś jest przecież dzień radości. Trudnej, ale radości. Czy pan nie ma też czasem takiego uczucia, że w każdą radość wpisany jest nieuchronny smutek? Wiedza o tym, co się stanie. Dziś Bóg się narodził, za kilka miesięcy umrze. Jak drzewa. I znów od nowa. Cały cykl od nowa.

– Ale jest całkowita pewność, że znów się narodzi.

– I całkowita pewność, że znów umrze. Dlatego jest radość i ciemna wiedza poza nią. W niej. Zagramy kolędę?

Ciemne wieko pianina otworzyło się bezgłośnie. Czerń i biel, i skaczący błysk ognia. Schyliłem się po gitarę.

– O, jak się cieszę – powiedziała Ania z rozjaśnioną twarzą. – Pan gra.

Palce miałem zupełnie drewniane. Od jej słów, od uderzeń nikotyny w żyłach. Ale tylko dopowiadałem. Doszeptywałem do pianina. W tle. Łagodnie w tle.

Potem już niewiele mówiliśmy. Gdy zegar wybił północ, powiedziałem cicho:

– Będę... będę już szedł.

– Dziękuję panu za ten wieczór. Za wszystko.

– Ja też ci dziękuję.

Nie myślałem o tym, by ją pocałować. W tę noc nie byliśmy mężczyzną i kobietą. Byliśmy ludźmi.

– Pomógł mi pan to przeżyć – powiedziała. – Teraz już mogę... wszystko. Skąd pan wiedział, że będę w domu?

– Wiedziałem.

– Nawet pani Barska, z jej przenikliwością... No nic.

– Przykro ci, że pani Barska do ciebie dziś nie zadzwoniła?

– Telefon był wyłączony. – Roześmiała się. – Przecież mnie nie ma w domu. Jestem u ciotki. Pan też by nie wiedział, gdyby pan nie przyjechał... Można powiedzieć, że mamy... tajemnicę.

– Mamy – szepnąłem, czując znów w środku dygot. Dygotał mi cały przelyk i żołądek, dygotało serce.

Ania patrzyła mi prosto w oczy. Przełknąłem ślinę.

– Czy będziesz gdzieś wyjeżdżać z Warszawy w czasie przerwy świątecznej? – spytałem słabo.

– Nie.

– A czy możesz sobie zarezerwować pół dnia, powiedzmy zaraz po drugim dniu świąt?

– Dlaczego?

– Ponieważ będę miał dla ciebie jeszcze jeden prezent gwiazdkowy, tylko że... będzie wymagał paru godzin.

– Prezent? – spytała zdziwiona. – Ależ naprawdę nie trzeba, przecież dał mi pan prezent...

– Nalegam.

– Ale co to...

– Nie powiem. Zobaczysz.

– Dobrze. Dziękuję. Czyli zaraz po świętach?

Skinałem głową.

– Idę. Muszę jeszcze wpaść na chwilę do mamy – wyrwało mi się, zanim zdążyłem pomyśleć, ale Ania uśmiechnęła się promiennie.

– Niech pan chwileczkę poczeka. – Wybiegła szybko, po chwili wróciła, podała mi coś, jakiś drobny biały przedmiot i gdy podawała mi go, nasze

ręce na moment się zetknęły.

– To dla pana mamy. Proszę jej złożyć ode mnie najlepsze życzenia – powiedziała. – Sama go zrobiłam na ceramice.

Spojrzałem. Był to mały świecznik – trochę surowy, stylizowany aniołek z rozłożonymi ażurowymi skrzydełkami i miejscem na wstawienie świeczki. Sama biel, tylko przy głowie aniołka, na jego włosach drgał ledwie zaznaczony, przetarty blask złota – maleńka aureola.

– Jest śliczny. Dziękuję. Przekażę mamie życzenia.

Dojechałem do mamy. Wiedziałem, że jeszcze mogę do niej zajrzeć, pewnie właśnie wróciła z pasterki. Chyba nie zdążyła się położyć.

– Więc Ania jednak została w domu? – spytała.

Nic nie odpowiedziałem, bez słowa zdjąłem papier i postawiłem przed nią obraz w niewielkiej klitce korytarza. Zapaliłem górne światło. Twarz mamy steżała. Skurcz objął jej mięśnie koło ust – najwrażliwszą część twarzy, którą po niej odziedziczyłem. Jedną rękę przytuliła do piersi, druga wędrowała do krtani i zatrzymała się na niej.

– Syneczku – szepnęła.

Objąłem ją szybko, przytuliła moją głowę.

– Nie skrzywdź nigdy tego dziecka – usłyszałem.

Spojrzałem jej w twarz i zobaczyłem, że znów, tak jak wtedy, bezgłośnie płacze.

– Przysięgam – powiedziałem przez zaciśnięte zęby.

Wiele jest rzeczy, które można znieść, lecz przychodzi taki moment, gdy nagle okazuje się, że już nic więcej znieść się nie da.

Łzy zasłoniły mi wzrok, odwróciłem się i wyszedłem.

26 grudnia

Niestety zaraz po Wigilii przyszło gwałtowne ocieplenie i pogoda zrobiła się spod psa.

Nawet przez chwilę się zastanawiałem, czy nie skoczyć na narty na Kasprowy, ale już gdzieś na południu szedł halny i dobra pogoda mogła się utrzymać wyłącznie pierwszego dnia świąt, więc odpuściłem tę akcję, tym bardziej że byłem upieprzony do kresu i miłe nicnierobienie w święta skusiło mnie swym nieprzepartym urokiem. Trudno, może i zdziaiałem doszczętnie... Rzeczywiście, Leszek ma rację, że mamy już nie te lata... Choć przecież właśnie rozprostowywałem skrzydła, więc może i nie było z tym tak najgorzej.

Przypomniałem sobie nagle Stefańskiego, przez te skrzydła pewnie. Co on powiedział, tam w knajpie? „Zaraz dmuchnie zdrowo i będziesz mógł znowu pofrunąć”... Po raz kolejny, gdy myślałem o nim, zrobiło mi się zimno. Facet był jakiś niesamowity, albo to ja jestem rozhisteryzowany, jak paniąka przed pierwszym razem...

Święta poświęciłem na byczenie się i odreagowanie wszystkiego.

Spałem ile wlezie, na zapas, obejrzałem parę filmów w telewizji, spędzałem czas przy stole z mamą, Piotrkim i Ulą. Ula nic jeszcze oficjalnie nie powiedziała, ja też w żaden sposób nie dawałem poznać, że wiem. Trochę miałem stracha przed oznajmieniem Piotrkowi, że podpisałem umowę z bankiem, więc nie wiem, jak to będzie z naszym wspólnym interesem, znowu wystawię go do wiatru... Ale Piotrek strasznie się ucieszył, powiedział, żebym się w ogóle nie przejmował, najważniejsze, że wypływam z impasu, mam szansę normalnie pracować i normalnie zarabiać. A jeśli mi zostanie trochę wolnego czasu, to mu najwyżej pomogę. Trzeba przyznać, że mi ulżyło, bałem się spięcia i nie chciałem go ze względu na Ulę, ale Piotrek to przecież jest Piotrek. Zna mnie jak nikt, może tylko jeszcze mama i Leszek tak o mnie wszystko wiedzą...

Praca w szkole ma te dobre momenty, że jest kilka dni wolnych przy okazji świąt, to jest naprawdę super. Mieszkanie miałem wysprzątane, pranie zrobione, koszule poprasowane, byłem nażarty do wypęku i wyspany jak suseł. Jutro razem z Anią pojedziemy do Leszka. Gdy się umawialiśmy przez telefon, powiedział mi:

– Na ogiera to jej może od razu nie posadzę, bo sam rozumiesz, opowieści opowieściami, a w praktyce to często wygląda zgoła inaczej, ale mam dwie sympatyczne kobyłki, to niech się przejedzie. Poza tym wiesz... wyczekałeś mnie trochę i przyznam, że płonę z niecierpliwości, żeby ją wreszcie poznać.

– Ty zbóju – powiedziałem. – Tylko spróbuj.

Diabli nadali tę koszmarną pogodę, leje dziś cały dzień...

27 grudnia

Gdy przyjechałem do niej z samego rana, była trochę wytrącona z równowagi prezentem, który dostała od przyjaciela swego ojca. Tenże przyjaciel przysłał jej ze Stanów ni mniej, ni więcej, tylko macintosha, najnowszy model. Aż miło było popatrzeć na tę petardę. Zainstalowałem go jej w sypialni, ustawiłem, naprawdę przyjemnie było obcować z taką fajną

maszyną. Ania nie zna się na komputerach i bardzo dobrze, zdaje się, że możemy złapać kolejny punkt styczny, mogę ją trochę poduczyć, jeśli będzie chciała, serwis i ewentualne naprawy też załatwię bez problemu.

Ten przyjaciel jej ojca to musi srać forsa, serio. Sam transport ze Stanów kosztował go majątek. Ciekawe, czy to ten facet, który odwiózł ją do domu w dniu Wszystkich Świętych, ten co to miał za nią tęsknić. Może on. Jeśli tak, to naprawdę był stęskniony. Komputer jak lalka.

– No dobrze – powiedziałem wreszcie, gdy nie było już nic więcej do zrobienia. – To teraz druga część mojego prezentu. Miała być tajemnica, ale z wielkim żalem muszę z niej zrezygnować, bo potrzebne będą akcesoria...

– Jakie akcesoria? – zdumiała się.

– Spodnie, buty do konnej jazdy i hełm na głowę, czy jak to się tam nazywa.

Ania zbladła straszliwie.

– Toczek.

– Boże, co ci się stało? Słabo ci? Usiądź! – Przeraziłem się.

– Nie, nie. Nic mi nie jest. Ten hełm nazywa się toczek.

– O rany, pies go trącał! Nic ci nie jest? Przepraszam, nie sądziłem, że wyrze to na tobie takie wrażenie. No, naprawdę nie chciałem...

– Ależ panie profesorze! Niechże pan przestanie mnie przepraszać... przecież ja umieram ze szczęścia...

Siadła obok mnie w samochodzie, zerknąłem na jej szczupłe, dziewczęce kolana w popielatych bryczesach. Na kolanach leżała zwinięta ręka, która drżała. Nie od wstrząsów samochodu.

Gdy przyjechaliśmy, Leszek czekał już na nas przed domem. Spojrzał na wysiadającą Anię, potem szybko na mnie i skoczyła mu w górę lewa brew. Zrobiło mi się przyjemnie.

Ania jest naprawdę śliczną dziewczyną. Uczesana była gładko do tyłu, włosy zaplotła w krótki, gruby warkoczek, ale z jednej strony nad uchem wysunął się jeden lok, który na załamaniach błyszczał białym złotem.

Przywitaliśmy się z Leszkiem, opowiedział Ani o swoim gospodarstwie i zaprowadził do stajni.

– Tu oto masz wspaniałą czwórkę. Każdy to indywidualność i każda większa od drugiej. Najpocziwszy z nich jest Bratek. Stary filozof i sceptyk, nie daje się wziąć na plewy. Zmusić go do wysiłku to jakbyś przerażała się własnoręcznie przez puszcę na dalekiej Syberii. Za to jak już uzna zwierzchnictwo, to nie ma od niego lepszego konia. Wlezie

wszędzie i zrobi wszystko, przy czym nie zawaha się ani na sekundę. Można mu ślepo zawierzyć. Bratka biorę zawsze do najniebezpieczniejszych ujęć w filmie, bo mam do niego pełne zaufanie. Ta druga to Córka. Głupawo się nazywa, ludzie zawsze mają dziwny wyraz twarzy, gdy mówię, że pojedę na Córce lub że Córka strychuje się na lewą zadnią, bo faktycznie się strychuje. No ale cóż, nie ja jej wybierałem imię. Córka jest właściwie pozbawiona nerwów, za to w dość dużym stopniu ma rozwiniętą cechę potocznie zwaną cwaniactwem. Potrafi wysadzić z siodła w przeciągu pół sekundy, gdy jej się coś znudzi lub stwierdzi, że kwalifikacje jeźdźca jej na to bezkarnie pozwolą. Wtedy nie ma skrupołów. Ale jak poczuje mocną rękę, jest posłuszna, nie robi numerów, a ponieważ, jeśli chodzi o nerwy, jest absolutną luzaczką, więc wybieram ją najczęściej do ujęć z dużą ilością armat i huku. Miałem nawet kiedyś komiczną przygodę na planie takiego batalistycznego filmu, wyobraźcie sobie: pole bitwy, kłębowisko koni, tuż koło mnie strzela armata. Wszystko zasnuwa się białym dymem, nic kompletnie nie widać. Siedzę na Córce, Córka stoi spokojnie i czekamy, aż dym opadnie. Wreszcie opada i co widzę? Krajobraz po bitwie, puste pole, gdzieś na horyzoncie kilka końskich ogonów, wszystko poniosło i rozpięchło się w cholere, tylko na środku pustego pola siedzę sobie ja na Córce koło armaty i jesteśmy bardzo zdziwieni.

Chichoczemy z Anią.

– Następną jest Ikona. Ikona jest młodziutka i ma zadatki na naprawdę dobrego konia. Jest bardzo skoczna, bardzo szybka, bardzo nerwowa i cholernie miła. Właściwie niczego w czasie jazdy na niej nie można przewidzieć, może spłoszyć się z każdego powodu i może się nie spłoszyć, może cię raptem ponieść albo nie i nie zdołałem w tym dotąd znaleźć absolutnie żadnej reguły. Lecz, jak mówię, jest sympatyczna. To wszystko nie są celowe złośliwości ani cwaniactwo czy leseranctwo, tylko jest młodziutka i jej jeszcze odbija. Ale jest silna, wytrzymała, bardzo dobrze postawiona i sędzę, że będę z niej miał pociechę... No i ostatni jest Makler. Ogier. Co tu dużo mówić – jak to ogier. Na razie nikomu go do ręki nie daję, bo to jest świetny, ale bardzo trudny koń, o ogromnej ambicji i łatwo go zmanierować. W związku z czym sam na nim jeżdżę, ale z pozostałej trójki możesz sobie wybrać, co chcesz. Randka w ciemno.

Ania nie wahała się ani chwili.

– Wybieram Ikonę.

– O – powiedział Leszek. – To słuchaj. Przeczyść ją trochę, zaraz ci wszystko dam, a tu masz jej siodło i resztę zabawek. Jak skończysz czyścić, to siodłaj. Dasz sobie radę z wytokiem, nachrapnikiem i tak dalej?

Przez twarz Ani przemknął wyraz lekkiego rozbawienia.

– Tak, naturalnie.

– No to świetnie. Ja wracam tu za jakieś dziesięć, piętnaście minut, tylko ulokuję Pawła w domu i dam mu tam jakieś zajęcie, żeby się nie nudził bez nas.

Wyszliśmy.

– No, stary – powiedział Leszek, gdy już zamknęliśmy za sobą drzwi od domu. – Ale laska!

– Nie nazywaj Ani laską! – warknąłem.

– Dobrze, rycerzu. Ale na poważnie – jak ci się udało znaleźć takie чудо?

– Nie było łatwo.

– Wierzę. Jak się jeszcze okaże, że umie jeździć, to padam jej do nóg i się oświadczam.

– Tylko spróbuj, bandyto. Ale słuchaj, mam do ciebie prośbę. To jest moja uczennica i zwraca się do mnie „proszę pana” lub „panie profesorze”. Chciałbym cię prosić, żebyś ty też z nią nie przechodził na ty, bo sytuacja się głupio skomplikuje.

Leszek patrzył na mnie z uwagą długą chwilę.

– Jesteś idiota.

– Zrozum, nie mogę inaczej. Po pierwsze, przyrzekłem dyrektorowi. Mało: przyrzekłem, przysiągłem. A poza tym, wiesz... To nie takie proste. Po maturze, kiedy przestanie być uczennicą tej szkoły, kiedy nie będę miał nad nią żadnej zwierzchności... Wtedy, rozumiesz...

– Tak, tak, rozumiem. Ja jestem bandyta, a ty idiota, dobrana z nas para. Fajnie popatrzeć jak się wijesz. Kto by to pomyślał, draniu. Pamiętam, co wyprawiałeś z dziewczynami, jak mi się Marysia wyszłochiwała w kamizelkę...

– Majka? – przerwałem. – Kiedy?

– Nieważne... Kiedyś tam. I ta Jola, co chciała sobie życie odbierać. I ta, jak jej tam było, Ewa... No, ale na każdego przychodzi kryska. A ona się nie domyśla?

– O Boże, nie wiem – mruknąłem zgnębiony. – Nie mam pojęcia. Wie oczywiście, że ją lubię, pomagam jej jak umiem, myślę, że traktuje mnie jak przyjaciela i ma do mnie zaufanie, a ja, rozumiesz, mam związane ręce.

Dopóki nie skończy szkoły. No bo wiesz, nie chcę, żeby sądziła, że wykorzystuję sytuację...

– Aleś się wklepał, misiu! Pamiętasz tę piosenkę Brasensa, tę taką fajną, którą zawsze śpiewaliśmy na zakończenie i wszystkie panienki potem były nasze? Jak to szło? „Nigdy w życiu mym nie umiałem zdjąć czapki przed nikim, a teraz na twarz, na kolana rymy przed jej bucikiem”.

– „Byłem wściekłym psem, ona uczy mnie, jak jeść z jej rączki. Miałem wilcze kły, zamieniłem je na mleczne ząbki”. – Uśmiechnąłem się.

– I refren: „Jestem mały miś, własność lali tej, co palec ssie, kiedy zasypia, jestem mały miś, własność lali tej, co mamy chce, gdy jej dotykam”.

Zrobiło się kompletnie cicho. Spojrzeliśmy na siebie z okropnym zmieszaniem.

– No więc widzisz – mruknąłem.

– Dobra – westchnął Leszek. – Poczekaj chwilę, zobaczę jak sobie daje radę.

Wrócił prawie natychmiast, zakłopotany i niepewny.

– Słuchaj. Wsadziłem tylko głowę do środka i zaraz się cofnąłem, bo ona strasznie ryczy.

– Co się stało? Może słyszała naszą rozmowę?

– Nie, nie to. Trzyma za łeb Ikonę, przytuliła się do jej grzywy i płacze, aż się serce kraje. Nie włącz tam, zostaw ją. Poczekaj, zrobię nam drinki. Ja mam za czułe serce na takie historie. Chyba się naprawdę w niej zakocham.

– Leszek, czy mam cię strzelić? Cholera ciężka, zrobiłem błąd, że z nią tu przyjechałem. Ona ci się autentycznie podoba.

– Czyś ty ocipiał, ty debilu skończony? To znaczy, oczywiście, że mi się podoba, ale czy naprawdę sądzisz, że mógłbym ci wyciąć taki numer? Co ty myślisz, że ja nie widzę, co się z tobą dzieje? I myślisz, że ona tego nie widzi?

– A to widać? – jęknąłem kompletnie zdruzgotany.

– A co? Myślisz, że nie?

Jednym łykiem wypięłem pół szklanki.

– No, nie przejmuj się tak – mruknął po chwili Leszek. – Może ona nie zna cię tak dobrze, jak ja.

– Przepraszam, wybacz mi, stary.

– O rany, w porządku, przecież widzę, że ci na mózg padło.

Dokończyliśmy drinki.

– Tu masz *National Geographic*, tu, na drugiej półce od dołu, a jakbyś chciał jakiś film...

– Czy jakąś płytę, to wiem, gdzie wszystko jest – przerwałem mu. – Idź już, bo muszę zebrać myśli.

– Cześć, misiu.

Rzuciłem za nim prawidłem od buta.

Siedziałem, oglądając jakiś film i kompletnie nie rozumiejąc, na co patrzę, gdy po półtorej godzinie usłyszałem odgłos kopyt i wyskoczyłem z domu. Konie były całe mokre, a warkoczyk Ani poddał się całkowicie i spod jej toczka wypływała kaskada złotych, niesamowicie potarganych włosów. I Ania, i Leszek mieli wyraz twarzy świętych, którzy właśnie doznali objawienia, że nic, tylko patrzeć, czy pojawiły im się stygmaty na rękach i nogach. Zaprowadzili konie do stajni, słyszałem jak przerzucają się krótkimi uwagami w trakcie wycierania ich kłębami słomy, a potem Leszek powiedział:

– Słuchaj, Aniu, proszę cię, wytrzymaj ją bardzo dokładnie, bo to taka wrażliwa panienska, ja tu zaraz przyjdę. – Wyleciał ze stajni prawie biegiem, otrzepując się po drodze ze słomy, i zaciągnął mnie bez słowa do domu.

– Słuchaj! To jest coś po prostu nieprawdopodobnego, ta twoja Ania. Jeździ konno rewelacyjnie! Mam zamiar jej zaproponować, żeby jeździła u mnie za darmo raz, dwa razy w tygodniu i pomogła mi popracować nad Maklerem. Chcę cię uprzedzić o tej propozycji, bo za chwilę ją oficjalnie złożę.

– Nie.

– Co: nie?

– Leszek, ja to przemyślałem. Nie mogę. Ty masz za dużo wdzięku.

– Proszę cię, przestań się wygłupiać. Naprawdę mi nie ufasz?

– Nie. Jeśli chodzi o Anię, to nie wierzę nikomu i niczemu. Żadnym zapewnieniom.

– Jezus, totalna szajba ci odbiła! Wiesz, co to jest paranoja? Obłąd z systemem.

– Wszystko jedno, mogę sobie być paranoik, schizofrenik, oszołom, co tam chcesz, ale...

– Ale myślisz tylko o sobie. O niej wcale.

– Leszek, błagam cię.

– Paweł, posłuchaj. Mówimy teraz bardzo poważnie. I szybko, bo ona zaraz przyjdzie. Przysięgam ci na wszystko, na co tylko chcesz, że nie

jestem łajdakiem. Przysięgam, że nigdy jej palcem nie dotknę i nigdy nie doprowadzę do sytuacji, w której ona chciałaby mnie dotknąć. Nigdy nie przekroczę tej granicy, znanej nam skądinąd, nazwijmy to granicą pierwszego dreszczu, po której już wszystko idzie jak lawina. Będzie mi mówiła na „pan” i będę ją traktował jak młodszą siostrę. Nie wiem, czy ukryję to, że mi się podoba, ale będę się bardzo starał. Czy mi wierzysz?

Wiedziałem, że muszę mu uwierzyć. Wierzyłem.

– Dobrze – westchnąłem z rezygnacją. – Składaj swoją propozycję.

– No. Uff, co za koszmar z tobą ostatnio rozmawiać. Ładna mi męska rozmowa! Jak dwie rozhisteryzowane pensjonarki. Naprawdę wydaje ci się, że tak faceci rozmawiają o dziewczynach?

– Nie wiem. Nigdy nie rozmawiam o dziewczynach. O wódce, o samochodach, o polityce proszę bardzo, ale...

– Dobra. Zaraz o tym porozmawiamy. Lecę po nią.

Przygotowałem im coś do picia. Weszli ubłoceni jak nieboskie stworzenia, niosąc ze sobą zapach końskiego potu, wiatru i mokrej ziemi. Podałem szklanekę whisky Leszkowi. Taką samą Ani. Pamiętałem, co Łysiak pisał o kabotyństwie. Są takie lekcje, które się odbiera raz na całe życie. Ania przyjęła drinka, umoczyła usta i zerknęła na mnie. W jej oczach znów mignęło leciutkie rozbawienie.

– Siadajcie – wkroczył Leszek. – Aniu, chciałem z tobą porozmawiać.

Podniosła na niego spojrzenie.

– Słuchaj, powiedz mi, gdzie ty wcześniej jeździłaś?

– Na Służewcu, gdy jeszcze tam była stajnia sportowa, w Podkowie Leśnej, w Podborowie... Wakacje najczęściej w Stadzie Ogierów w Sierakowie.

– Ach, no tak. Sieraków to pod Poznaniem, prawda? Co oni tam mają, zdaje się, że konie rasy wielkopolskiej?

– Zgadza się. Metr osiemdziesiąt do dwóch metrów w kłębie. Jest co trzymać.

– Ale egzaminu na instruktora nie robiłaś?

– Nie, nigdy nie było takiej potrzeby. Poza tym nigdzie, gdzie jeździłam, nie prowadzono takich kursów.

– No jak to, a w Podborowie?

– W Podborowie owszem, ale tam jeździłam na trochę innych warunkach, na studiach to się nazywa tok indywidualny. Tam jeździłam prawie wyłącznie na jednym koniu. Na Morfeuszu.

Leszek gwałtownie odstawił szklanę.

– Ty jeździłaś na Morfeuszu? No więc nie ma się co dłużej zastanawiać. Aniu, chciałem ci złożyć propozycję. Nie niemoralną, broń Boże. – Roześmiał się. – Chodzi o to, że, jak widzisz, mam tu cztery konie. Każdy koń, jak również wiesz doskonale, powinien codziennie chodzić minimum półtorej – dwie godziny, żeby zachować formę. Mnie na tej formie zależy, bo te konie dobrze zarabiają na mnie w filmie, a poza tym od nich zależy moje bezpieczeństwo. Cztery konie objeździć codziennie jest bardzo trudno, mam jednego chłopaka do pomocy, ze spokojniejszymi, Bratkiem i Córka, prowadzę jazdy dla dzieci, głównie na lonży, a na Maklerze i Ikonie sam jeżdżę, przede wszystkim na Maklerze, bo boję się go byle komu powierzyć. Ale ty, Aniu, wybac mi to określenie, masz zwierzęcą intuicję, jeśli chodzi o jazdę konną i chciałem cię prosić, żebyś przyjeżdżała tu do mnie tak ze dwa razy w tygodniu i pomagała mi te konie objeździć. Co ty na to?

Ania siedziała jak zamurowana.

– No proszę, powiedz coś. Co o tym myślisz?

– Myślę – powiedziała wolniutko – myślę, że nie mogę przyjąć tej propozycji.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie mam dość pieniędzy.

– A kto mówi o pieniądzach?

– A poza tym sądzę, że pan, znając moją sytuację, robi ukłon w moją stronę. A raczej w stronę mojego profesora, a pana przyjaciela...

– Nie. Doceniam twoją dumę. Jak z Sienkiewicza. Naprawdę, mówię poważnie, to coś fantastycznego. Ale nie o to chodzi. Dobry Boże, ale mam dzionek. Jak nie jego przekonywać, to ją...

– Co, mojego profesora też pan przekonywał?

– A takie tam... Nieważne. Aniu, wracając do tematu. Nie chodzi o żadne ukłony. Nie wyświadczam ci bynajmniej żadnej przysługi, wręcz przeciwnie, ubijam interes. Nie wyrabiam się i prędzej czy później musiałbym znaleźć kogoś, kogo bym zatrudnił, innymi słowy płaciłbym mu pieniądze za fachowe objeżdżanie koni. Interes polega na tym, że w tym przypadku oboje zyskujemy. Ty nie płacisz za jazdy, ja nie płacę fachowcowi, koło się zamyka, obopólna przyjemność, radość szczerza i wiaty. No?

Ania patrzyła na mnie.

– A co pan o tym sądzi, profesorze? Pan zna swojego przyjaciela lepiej i dłużej, niż ja. Czy... powinienam? Czy mogę przyjąć tę propozycję?

Zaciągnąłem się camelem i wypuściłem cztery regularne kółka dymu. Potem dodałem do nich piąte, olimpijskie, przez chwilę patrzyłem, jak stoją równo w nieruchomym powietrzu, po czym spojrzałem na Anię i uśmiechnąłem się do niej.

– Myślę, że spokojnie możesz przyjąć tę propozycję. Przecież chcesz?

– Chcę – przyznała cicho ze schyloną głową.

Gdy ją podniosła, zobaczyłem, jak na jej twarz powolutku wstępuje promienny blask. Leszek zerwał się i podał jej rękę.

– Witam współnika – powiedział i najpierw potrzęsął jej dłonią, a potem ją w nią pocałował.

– W takim razie my się napijemy, ty nie – machnął na mnie – bo prowadzisz i porozmawiamy sobie na spokojnie, bo już nam tu powietrze zaczynało tężeć z napięcia.

– Słuchajcie – spytałem – zdradźcie mi tajemnicę, co to takiego jest ten Morfeusz? Ania o nim bąka jednym słówkiem, ty o nim mówisz jak o symbolu, o co tu chodzi?

– No cóż – zaczął Leszek. – Morfeusz to pięcioletni ogier, półkrewek, zakupiony przez klub w Podborowie i najogólniej można go nazwać dziką bestią. Przeżyli tam z nim krzyż pański zanim pozwolił komukolwiek wejść do swojego boksu. Wiesz, ja tak sobie wyobrażam konie bojowe husarstwa polskiego – rosły, kary, piekielnie silny fizycznie i straszliwy dla nieprzyjaciół. Taki koń, który w walce kąsa, kopie i tratuje przeciwnika. Morfeusz jest wspaniale ujeżdżony, ale zawsze miałem wrażenie, że siedzi w nim siła nieczysta. Znam w Podborowie większość koni, pracuje tam jako instruktorka Basia, moja dobra znajoma, i mówię ci, takiego konia jak Morfeusz nie spotyka się często. Baśka mi go pokazała jako kuriozum.

– A ty na nim jeździłaś? – zwróciłem się do Ani.

– Tak, jeździłam na nim. To wszystko prawda, co pan o nim mówił, ale ja pamiętam także inną historię. Pojechałam wtedy sama do lasu na Morfeusza, nie było to może najzupełniej zgodne z przepisami, ale darzono mnie pewnym zaufaniem. W lesie zobaczyłam sarnę. Sarna się zupełnie nie bała, podeszła do nas bardzo blisko i byłam w nią cała wpatrzona, gdy nagle Morfeusz się spłoszył i zrobił taką lewadę, że byłam załatwiona odmownie w pół sekundy, poleciałam na łeb i straciłam przytomność. Pierwszy raz wtedy z niego spadłam. Gdy się ocknęłam, Morfeusz stał nade

mną, dmuchał i chrapał, i wydawał się zupełnie zdezorientowany. Ledwo doszłam do siebie, wlałam na niego, żeby prędko wrócić do stajni, ale byłam trochę zamroczona, no i, szczerze mówiąc, wiedziałam, że Morfeusz będzie mógł ze mną zrobić, co będzie chciał. – Ania umilkła na chwilę.

– I co, wykorzystał sytuację? – spytał Leszek.

– Niósł mnie jak jajko. Jakbym była z porcelany. Równiutkim truchcikiem i sam z siebie przystawał, żebym się nie zmęczyła. Wtedy już wiedziałam o nim wszystko. Wróciłam zabezpieczona ze wzruszenia.

Odwróciła się do mnie.

– Myślę że się pan nie dziwi, że go kochałam?

Bałem się na nią spojrzeć, bałem się, że wszystko jest w moich oczach. Patrzyłem w podłogę, drapiąc psa za uchem.

– No więc wiesz już o Morfeuszu – podsumował Leszek. – Dobrze, ale potem, wiesz... jak to się już wszystko stało... nie wracałaś do Podborowa?

– Najpierw nie miałam głowy, potem nigdy nie miałam pieniędzy.

– Przecież byłaś tam w świetnych układach, myślę, że na pewno poszliby ci na rękę, jeździłabyś z jakąś zniżką...

– Widzi pan, układy wcale nie były takie świetne – powiedziała poważnie. Część osób bardzo mnie lubiła, właśnie między innymi Basia, pana znajoma, ale dla wielu byłam solą w oku. Bezsprzecznie Morfeusz był tam najlepszym koniem i występował typowy kompleks psa ogrodnika. Niewielu odważyło się na niego wsiąść, ale nie mogli pogodzić się z sytuacją, że ktoś jest bardziej uprzywilejowany. A co do pieniędzy... No cóż, pan chyba wie, że jeśli idzie o pieniądze, to nie ma sentymentów. Mogłam liczyć na pomoc finansową, gdy chodziło o podstawy egzystencji, ale nie w przypadku fanaberii, innymi słowy luksusu. Tęskniłam za końmi, tęskniłam za Morfeuszem, ale wiem, że już go nigdy nie zobaczę.

– Przecież mogłabyś... – zaczął Leszek.

– Och, uspokój się – przerwałem. – Nie rozumiesz tego? To już nie będzie to, jakieś tam sporadyczne spotkania od czasu do czasu, a jak ma nie być to... to lepiej, żeby nic nie było.

Ania znów patrzyła na mnie z uwagą.

– Dokładnie tak. Kochałam Morfeusza, Kocham go nadal, ale jak koniec – to koniec. To też trzeba umieć zrobić. Trzeba umieć... utracić. Mam w tym wprawę.

Teraz milczeliśmy wszyscy troje. Ja też już wiedziałem wszystko. Że jeśli ją kiedyś stracę, to już jej nie odzyskam.

Sytuację uratował Kwitek, który raptem usiadł, podrapał się energicznie po karku, stukając tylną łapą w podłogę, po czym wstał, zakręcił w kółko i zwałił na ziemię, aż jęknęło. Wszyscy parsknęliśmy śmiechem.

Leszek puścił muzykę, wyszedł na chwilę do kuchni i krzyknął stamtąd, że odgrzewa bigos. Nasze próby protestu zbył całkowicie słowami: „Przestańcie się wygłupiać”. Gdy już siedzieliśmy przy stole przy kopiastych porcjach, nalał znów sobie i Ani, twierdząc, że bigos to lubi, i nie zwracając kompletnie uwagi na moje kopanie pod stołem. Bałem się, że mi Anię kompletnie ubzdryngoli.

– A wracając do zwariowanych koni – zaczął – to znałem kiedyś takiego jednego, o którym chyba trzeba będzie książkę napisać. To było w stadninie w Szczawnie, tego lata akurat tam pracowałem i przyszedł transport koni z byłego Związku Radzieckiego. W tym transporcie był właśnie Kagan. Zobaczyłem go po raz pierwszy, gdy stał w boksie, a do boksu zbliżał się taki jeden z siodłem. Bardzo mnie zdziwiło, dlaczego masztalerze zaczynają skrzętnie i szybciotko uprzętać wiadra i tak jakoś dziwnie się zwijać. No i zaraz przestałem się dziwić. Facet wszedł do boksu, przez sekundę była cisza, a potem nastąpił taki łomot, że wyglądało to na trzęsienie ziemi. Najpierw wyleciał facet, potem drzwi od boksu, a po chwili deski z bocznej ściany. W ten właśnie sposób poznałem Kagana, a masztalerze znali go już od kilku dni, wiadro z żarciem podawali mu na drągu. Tak to trwało, czyniliśmy oczywiście próby wejścia, zawsze kończone wstawianiem kolejnych desek, aż pewnego razu kumpel wszedł do niego przez przypadek z butelką piwa. Kagan postawił uszy. Kumpel się długo nie namyślał, wlał mu to piwo do pojnika. No i się wydało. Ten koń był po prostu nałogowym alkoholikiem. Zrobić coś takiego zwierzęciu to dla mnie jest bestialstwo, dno poniżej dna, strzelałbym do takich gnojów bez litości, ale fakt był już faktem. Jediną drogą do tego konia była łapówka alkoholowa i to nie bynajmniej w ilościach detalicznych, a takich bardziej hurtowych. Kagan preferował wódki zbożowe, tolerował kolorowe, ze szczególnym uwzględnieniem śliwowicy, odrzucało go tylko od anyżówki, no bo staraliśmy się zmieniać mu repertuar. Wiem, nie patrzcie tak na mnie, w życiu bym czegoś podobnego nie robił, gdyby nie to, że w tym przypadku to było jedyne wyjście. Alternatywą było strzelenie mu w łeb. Ale za to po alkoholu, co to był za koń! Robił się taki rozmarzony, pysk ci tak układał, tu... na ramieniu, no do rany przyłoż. Wsiąść na niego też można było tylko wtedy, jak był narąbany. Raz się tak

na nim przejechałem i powiem wam, że nigdy więcej, bo mnie mało nie zabił, ale przeżycie było niezapomniane. Wyszliśmy ze stajni tak jakoś dziwnie, w każdym razie on szedł wyłącznie na dwóch nogach. Nie powiem, wprowadzał nawet pewne urozmaicenie. Albo na przednich, albo tylko na tylnych, albo jakoś tak po przekątnych, ale dojechaliśmy na maneż. Tam się trochę pozataczał i nagle poczułem, że robi się z nim coś dziwnego. Jakoś tak zaczął puchnąć w karku, raptem się cały zebrał w sobie i wykonał z miejsca taką zupełnie wstrząsającą akrobatyczną kapriole...

– Co wykonał? – udało mi się wtrącić.

– Kapriola to taki skok z miejsca, jakby koń skakał przez przeszkodę, tyle że bez przeszkody, na sucho. To jedna z figur wiedeńskiej szkoły ujeżdżenia. Wiesz, no czegoś podobnego zupełnie się nie spodziewałem. Potem naturalnie poleciał na pysk i ledwo się pozbierał do kupy, ja zresztą też, bo z trudnością ten popis wysiedziałem, ale zacząłem się zastanawiać, o co mu mogło chodzić. No i się domyśliłem. Zgadnicie, co to było? Otóż tak trochę z przodu, ale bardziej z boku stała przeszkoda. I Kaganowi w pijackim widzie wszystko się pomyliło, myślał, że ma ją pod nogami i próbował ją przeskoczyć. Wyobrażacie sobie coś podobnego?

– Boże drogi, biedne stworzenie...

– A pewnie, że był biedny, najbiedniejszy był jak miał kaca. Wody i wody, cały czas się awanturował, ale jak mu się podstawiło pod pysk butelkę piwa, radząc ze szczerego serca, żeby sobie strzelił klina, to nie! Łeb odwracał, uszy tulił, aż go odrzucało. No i wreszcie takiego w dym pijanego sprzedali go do Niemiec. Wiecie, nie było innej rady, na trzeźwo by nie wlaźł do przyczepy. A co tam już z nim Niemcy zrobili, tego nie wiem, w każdym razie instrukcji obsługi nie załączyliśmy, chyba że mu z pyska wywączali.

Przerzucamy się z Anią rozbawionym spojrzeniem, ale wiem, że musimy wreszcie się podnieść i wracać do domu, gdyż inaczej Leszek będzie gadał w nieskończoność. Bardzo go lubię, jego poczucie humoru i gawędziarski styl, ale wiem także, że jeśli nie umie się podjąć w pewnym momencie kategorycznej decyzji, to można od niego nie wyjść nigdy.

Podjęmuję tę kategoryczną decyzję, choć mi żal. Żal mi uśmiechów Ani, jej odprężenia, rozmów o koniach, które muszą jej sprawiać przyjemność. Tym bardziej że odtąd nie będę tu z nią przyjeżdżał. W czasie drogi powrotnej pokazuję jej dokładnie, którądy ma jechać, starając się wbić jej do głowy punkty orientacyjne. Uważa, lub raczej stara się uważać, ale

przed samą furtką swojego domu odwraca się nagle do mnie, broda znów jej lata i pyta:

– Dlaczego pan jest dla mnie taki dobry?

Potem stoi i patrzy za mną, gdy odjeżdżam.

wieczorem

Więc zrobiłem to. Zupełnie świadomie oddałem Anię w ręce Leszkowi. Wiem, że Leszek mnie nie zawiedzie, ale czy nie zawróci Ani w głowie? Skąd mam wiedzieć, co tak naprawdę w niej siedzi? Może mnie lubić, OK, ale teraz zobaczy Leszka, jego konie, jego ciepło, jego humor, jego brawurę, ten cholerny męski wdzięk... i co z tego, że Leszek mi przyrzekł? Ania mi nic nie przyrzekała... Jak się w nim zakocha, to nic nie będę mógł poradzić.

Dobry Boże, co ja zrobiłem? Sam, własnymi rękami?
Gdzie, kurwa, mam tę jeszcze jedną, niezaczętą flaszkę?

później wieczorem

Nie da się tak żyć.

około czwartej nad ranem

Dzwonek zabrzmiał krótko. I bardzo głośno w nocnej ciszy. Podniosłem się z fotela, mimo że nogi nie do końca zameldowały się na służbę. W przedpokoju oparłem się o ścianę i z determinacją otworzyłem drzwi.

Stała w nędznym świetle korytarzowej żarówki, kurtka, grube buty, goła głowa. Odebrało mi oddech.

– Mogę wejść? – spytała cicho.

Bez słowa usunąłem się w progu. Weszła, powiesiła kurtkę na wieszaku, ruszyła do pokoju. Szedłem za nią jak zahipnotyzowany. Odwróciła się do mnie, włosy przeleciały jej przez ramię.

– Dlaczego pijesz? – spytała, patrząc mi prosto w oczy.

Nie powiedziała – „Dlaczego pan pije, panie profesorze?”. Powiedziała – „Dlaczego pijesz?”.

– Bo szaleję z zazdrości – powiedziałem z chrypą w głosie.

– O kogo jesteś zazdrosny? O Leszka? Zwariowałeś.

Patrzyłem na nią i czułem, że zaczyna mi latać mięsień pod okiem, a potem mięsień koło ust.

– Aniu... – szepnąłem.

Podeszła do mnie, obie dłonie położyła mi płasko na piersi.

– Przestań szaleć – powiedziała. – Kocham cię.

Nogi się pode mną ugięły i upadłem przed nią na kolana. Objąłem ją w pasie, a Ania przytuliła moją głowę.

– Kocham cię – powiedziałem roztrzęsiony. – Pokochałem cię w momencie, gdy podniosłem cię z podłogi na korytarzu. I wszystko, co robiłem potem, podporządkowane było tej miłości. Kocham cię nad życie, kocham cię, kocham...

Leciutko pociągnęła mnie w górę.

– Chodź – powiedziała.

Wstałem z klęczek i wziąłem ją na ręce. Zaniósłem do sypialni, delikatnie położyłem na łóżku. Nie spuszczać ze mnie wzroku zaczęła rozpinąć guziki bluzki. Ściągnąłem przez głowę sweter, razem z T-shirtem. Ledwie mogłem złapać oddech. Patrzyłem na nią, jak rozpina do końca bluzkę, zdejmując ją, zsuwa ramiączko cienkiej koszulki. Ręce zaczęły mi się trząść, zacząłem rozpinąć spodnie, potem je zdjąłem.

Stałem przed nią kompletnie nagi i dreszcz przelatywał przeze mnie z góry na dół, na wskroś.

Rozpięła spodnie, uniosła się na moment, zsunęła je.

Zamknąłem oczy. Naga. Naga Ania.

Cudowna, obła, długa. Smukłe uda, wcięcie w talii, idealne krągłe piersi o małych sutkach. Podchodzę do łóżka i pochylam się nad nią. Burza włosów na poduszce, ogromne oczy z leniwym uśmiechem i usta. Klękam na samym brzegu. Ania wyciąga rękę i dotyka mojej piersi. A potem pomalutku, przeciągając ten ruch w nieskończoność unosi się, obejmuje mnie za szyję i nasze usta spotykają się. Kładę ją z powrotem na poduszce, nie przerywając pocałunku. Czuję pod sobą jej ciało i wdycham jego zapach, całuję jej usta, oczy, brwi i skronie, delikatnie chwytam płatek ucha, potem całuję jej szyję. Ania zanurza dłonie w moich włosach, przeczesuje je, aż przechodzą mnie dreszcze. Całuję jej ramiona i obojczyki, potem piersi. Jestem już podniecony do obłędu, boję się, że za chwilę będzie po wszystkim, przerywam na chwilę, podnoszę głowę i patrzę jej w oczy.

Pragnienie, zamglone oczekiwanie, pragnienie, pragnienie, pragnienie. Chrapki nosa ma rozdęte, delikatny rumieniec barwi jej policzki, zahaczając ulotnym różem aż na czoło i szyję. Znów się całujemy, przekręcam się na plecy, a Ania zawisa nade mną. Patrzę jej w oczy od dołu, są prześwieczone i czarne, prawie nie widać tęczy. Nagarniam sobie jej włosy na twarz, chłodne, łaskoczące, pachnące cierpko aromatem egzotycznych kwiatów.

Czy długo uda mi się jeszcze wytrzymać?

Jej ciało jest leciutkie i sprężyste, dłonie cudownie pieszczotliwe, usta głodne i śmiałe. Znow się przewracamy, zagarniam Anię pod siebie. Przed oczami latają mi tęczowe łatki i słyszę nasze szybkie oddechy.

Wchodzę w nią łagodnie, najdelikatniej jak umiem, cudownie, bez najmniejszego oporu, czuję, jak ciało Ani obejmuje mnie od środka. Leżę w absolutnym bezruchu, jeszcze nie chcę, by wszystko się skończyło.

Wciąż nic nie mówimy, zatapiamy się w sobie spojrzeniem. Nadal jestem na samej granicy, wszystko zostało doprowadzone do ostateczności i Ania o tym wie. Ona też się nie rusza.

I nagle czuję, że przenieśliśmy się gdzieś ponad seks, ten seks przestaje być ważny, nawet nie chodzi już o to, by się spełnił. Po raz pierwszy jestem z kimś tak blisko, że stanowimy jedność. Jestem w niej bardzo głęboko i wydaje mi się, że sięgam myślą w głąb jej umysłu, że przeżywamy cud jednoczenia się, jakbyśmy raptem wypłynęli ze swych ciał. Teraz już wszystko może trwać w nieskończoność. Dotykam opuszkami palców jej skroni i włosów, wyczuwam maleńką, pulsującą żyłkę z boku szyi, wszystko jest płynne i pozbawione czasu. A raczej gdzieś ponad czasem. Jakbyśmy się oderwali w zupełnie inny wymiar.

Od samego początku nie robię ani jednego ruchu. Leżę zatopiony w niej, wtulam się w magiczną, łaskawą głębię jej ciała, jakbym jej dotykał od wewnątrz i cień tego dotyku widział w jej oczach. Nie wiem, czy ta chwila kiedyś się skończy.

A potem, wciąż bez jednego poruszenia, czuję, że w Ani zaczyna coś łagodnie pulsować i to pulsowanie obejmuje mnie na wskroś, fale skurczów zaciskają się na moim ciele, wciągają w głąb i rozpętują powolne, dygoczące trzęsienie ziemi, porywający, bezgłośny huragan.

Wstrząs ogarnia całe moje ciało. Czuję każdy nerw, czuję mrowienie w mózgu, przeszywająca ekstaza zabiera mnie gdzieś poza moje krawędzie.

Chcę spojrzeć w twarz Ani, lecz nie mogę jej zobaczyć. Wiem, że wciąż jestem w Ani, a jednocześnie jej nie widzę. Nie chcę tak kończyć, lecz wszystko się kończy poza mną, nie mam już nad tym kontroli.

Nie wiem, jak długo trwa ta chwila, lecz jeszcze w trakcie tego trwania zaczynam rozumieć, że to nie jest spełnienie. Wiem o tym.

Gdybym mógł pohamować wszystko w ostatniej chwili, wtedy gdy przestałem widzieć twarz Ani, na pewno bym to zrobił.

Bo przecież chciałem to przeżywać z nią.

Nie z pustką.

Tylko z nią.

Leżę bezgranicznie upokorzony, oszukany przez własne ciało. Pościel jest wilgotna i lepka. W głowie i przed oczami zaczyna się łagodne pulsowanie, jakbym włączył radar i echosondę, zapalają się i cykają szklane, podświetlone monitory – zamykam oczy.

Jestem zupełnie sam.

Wydobyłem się już do końca ze snu.

Leżę w lepkiej pościeli.

Zupełnie sam.

28 grudnia

Pewnie to by się nie stało, gdybym znów nie skuł się wczoraj bez pamięci...

Przecież sobie przyrzekałem. Nie mogę tyle pić, bo mi wreszcie siądzie umysł i co wtedy zrobię? Dlaczego szaleję?

„Nie szalej. Kocham cię”.

Gdyby powiedziała te cztery słowa, cztery proste słowa ratujące moją duszę, podnoszące mnie z przepaści... Nie można tak żyć. Zadręczanie się zazdrością nic nie da. Oddaję diabłu co jego, a nie dostaję nic w zamian...

Gdyby tak podeszła do mnie, zsunęła to cholerne ramięczko koszulki, gdyby powiedziała: „Chodź”...

Oddałbym diabłu...

Chyba bredzę, drogi dzienniczku.

31 grudnia. Sylwester

Siedzę sam w domu. Nie mam ochoty nigdzie wychodzić. Właściwie to chciałem się spotkać z Leszkiem, ale umówił się z którąś swoją pszczołką, no i to by było na tyle. Pukać panienkę doskonale potrafi sam, moja pomoc nie jest mu do niczego potrzebna.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio siedziałem sam w sylwestra. W sumie jest całkiem OK. Włączyłem sobie muzykę, telewizji nie tykam, bo mi się zbiera na wymioty.

Pojutrze rozpoczynam szkolenie i pracę w banku. Może to mnie trochę postawi do pionu – cholernie dużo pracy, zajęcie czymś mózgu. Mózg jest generalnie fajną rzeczą, o ile nie da mu się za bardzo pobrykać.

Dzisiaj bardzo skromnie i elegancko, gin z tonikiem, lodem i cytrynką.

Wódka odbiera mi rozum, whisky za bardzo lubię, tequila jest dla samobójców. Spokojnie, na luzie. Alkohol pity z umiarem nie szkodzi w żadnych ilościach.

Do północy wszystko było dobrze, słuchałem niekłopotliwej zakręconej muzyczki, o dwunastej złożyłem sobie życzenia, potem zacząłem się upierać, że wsiądę w samochód i pojadę do niej. Po dłuższych pertraktacjach poprzestałem na wykręceniu jej numeru. Odłożyłem słuchawkę po dziesiątym sygnale. Spała? Nie chciała odebrać? Nie było jej w domu?

Pomyślałem, że gdyby do mnie teraz ktoś zadzwonił, to też bym nie odebrał. Gówno prawda. Odebrałbym. Przecież mogła zadzwonić... Tylko że ona do mnie nie dzwoni. Tylko raz – raz był ten oddech i szept, zamieranie głosu, długa pauza. Jakie słowa się w niej nie wypowiedziały? Otworzyła mi sferę słodkiego domysłu i nie zadzwoniła już więcej.

Siedziałem w fotelu, patrzyłem na czerń, poprzecinaną kolorowymi pęknięciami rac i osleplą od huków. Było to dość efektowne widowisko, w którym za cholere nie miałem ochoty uczestniczyć. Przeczekałem spektakl, wróciłem do muzyki.

Tym razem podwinał mi się pod rękę Mirek Czyżykiewicz, bo był dobry do słuchania nocą. W połączeniu z ginem dał mieszankę piorunującą, bezgłośnie race tęsknoty zaczęły wybuchać w moich naczyniach krwionośnych. Siedziałem, piłem kulturalnie gin z tonikiem i z pieprzoną cytrynką, jak ostatni palant, „zanosiłem moje diabły do ciemnego kresu” i nikt na szczęście nie widział moich oczu.

Skończyłem o świcie, macając się nerwowo po nadgarstkach. Nie domacałem się co prawda pulsu, ale to mógł być ten jeden drink za dużo.

Następnie odstawiłem szklanekę, spróbowałem się podnieść, upadłem koło fotela i stwierdziłem, że mam już dosyć.

2 stycznia

Tuż po Nowym Roku spotkaliśmy się w siedzibie banku, wysokim wieżowcu przy Marszałkowskiej. Ja, Miki, jakiś koleś i drobniutka dziewczyna.

Spojrzałem na nią z uwagą. Szczupła blondyneczka, ostrzyżona na krótkiego jeża, metaliczne oczy, tak szare, że aż srebrzyste, mały nosek, usta jak rozgnieciona poziomka... śliczne, śliczne dziecko. Miała na sobie skórzaną kurtkę i wysokie buty z cholewkami, obcisłe spodnie ze skóry.

Wykwintne, eleganckie cacko w dość niegrzecznym opakowaniu. Ania nie miała żadnych konkurentek, więc przypatrywałem się małej z przyjemnością, bo tego typu uroda zawsze budziła we mnie miłe drgnięcie w środku.

Dziewczyna spojrzała na mnie zaczepnie i nie odezwała się.

Miki pospieszył z dokonaniem prezentacji:

– Poznajcie się, proszę. Emilko, to jest Paweł.

Podaliśmy sobie dłonie. Miała chłodną rękę i zaskakująco silny uścisk.

– Paweł – powiedziałem, uśmiechając się do niej.

Nie odwzajemniła uśmiechu, w ogóle nie odpowiedziała.

– Emilka nie jest zbyt wylewna – powiedział Miki. – Prawda?

Znowu nic nie powiedziała. Zacząłem się zastanawiać, jak będzie wyglądała nasza współpraca, ale ostatecznie nie każdy musi być rozmowny.

– A to Maurycy – powiedział Miki i odwróciłem się w stronę gościa w okularach, z przodu prawie pozbawionego włosów, za to z długim warkoczem z tyłu.

Mógł mieć koło trzydziestu pięciu lat, ubrany był nonszalancko w militarne bojówki i czarny T-shirt. Był wysoki, choć niższy ode mnie i dość misiowaty w budowie, to znaczy nie był gruby ani potężny, ale miał w sobie pewnego rodzaju dobroduszość, coś takiego, co podoba się niektórym kobietom. Ja takich kobiet akurat nie lubiłem.

– Moryc – powiedział Maurycy niespodziewanie niskim głosem.

Przyjrzałem się im wszystkim.

Miki miał półdługie włosy, tak gdzieś do połowy szyi, zaczesane do tyłu i zawsze potargane, zielone oczy, zarost, który wyglądał jak podjęta spontanicznie decyzja o chwilowej przerwie w goleniu, był ubrany w pomarańczowe spodnie, czarną koszulkę i czarną kurtkę. Wszyscy razem wyglądali, jakby się umówili gdzieś na imprezę, a nie przyszli pierwszego dnia do nowej pracy.

Ja wśród nich zdecydowanie wyglądałem najnormalniej, byłem ogolony, krótko ostrzyżony, prócz jednego fanaberyjnego kosmyka, który mi moja ulubiona fryzjerka Edytka cieniowała brzytwą i miałem na sobie zwykłe dżinsy i sportową marynarkę.

– Bardzo państwa proszę – powiedział jakiś facet, wychodząc z pomieszczenia, przed którym staliśmy.

Pokój był duży, miał cztery stanowiska, cztery nowe wypasione komputery i zdawał się miejscem przygotowanym dla nas do pracy.

– Państwo się poznaliście, jak sądzę – powiedział facet. – Ja się nazywam Rafał Trzeciak i będę waszym koordynatorem. Wybierzcie sobie państwo miejsca, komputery są nowki sztuki nieśmigane z dokładnie tym samym oprogramowaniem. Dziś spotykamy się wszyscy o jednej godzinie, od jutra będziecie pracować w systemie dwuzmianowym, rano od dziewiątej do szesnastej pan Mikołaj Konieczny z panem Maurycem Hubnerem, a od piętnastej do dwudziestej drugiej pani Emilia Duczmal z panem Pawłem Jeżem. Poproszę teraz państwa, żebyście zeszli piętro niżej i zrobili sobie zdjęcia potrzebne do kart identyfikacyjnych.

Poszliśmy posłusznie wypełnić jego polecenie.

Na stronie spytałem Mikię, skąd zna Emilkę i Maurycego, i czy Maurycy jest naszym starszym bratem w wierze, ale odpowiedział tylko z uśmiechem:

– Chciałby!

– A Emilka?

– Emilkę poznałem tak z miesiąc temu – powiedział Miki i urwał raptownie, bo Emilka akurat wyszła z pokoju, gdzie urzędował fotograf.

Więcej się nie dowiedziałem.

Wybraliśmy sobie stanowiska i zapoznaliśmy się ze sprzętem. Emilka siedziała koło mnie i patrzyłem, jak sprawnie i bez najmniejszych wahań przeglądała i ustawiała swój komputer. Odruchowo zrobiłem to samo. Wszystko jak dotąd było w najlepszym porządku.

– Teraz co do zadań – powiedział Trzeciak. – Jesteście państwo proszeni o...

– A do pana to można zwracać się po imieniu? – spytała nagle Emilka, podnosząc znad komputera chłodne metaliczne oczy.

Facet zamarł, obrzucił ją szybkim, wahającym spojrzeniem, po czym powiedział grzecznie:

– Naturalnie. Proszę bardzo.

– Spoko – powiedziała Emilka. – Mów jak człowiek, bo jak zaczynasz od: „jesteście państwo proszeni”, to mi się słabo robi.

– Dobrze, będę mówił, jak człowiek – powiedział Rafał z kamienną twarzą. – Jest do zrobienia system integrujący regionalne centra danych. Wprowadzenie techniczne i specyfikację architektury znajdziecie na dysku. Jest tam też katalog, w którym są wszystkie wytyczne. Macie stworzyć prototyp tego systemu, czyli architekturę szyny integracyjnej ESB według stworzonego wcześniej RFI. Następnie pójdzie to do sprawdzenia do

departamentu bezpieczeństwa. Wasze komputery są w tej chwili w monitorowanym intranecie. Naturalnie nie muszę wspominać o pełnej dyskrecji, wszyscy prócz... Pawła Jeża, przeszliście szkolenie, a Paweł rozpocznie to szkolenie od jutra. Proszę nie zapominać, że to kluczowa sprawa, absolutna podstawa. Wszystko, co będzie potrzebne do pracy, znajdziecie w szafie z manualami, na biurkach macie segregatory i jest tam około trzystu stron dokumentacji analitycznej i wytwórczej. Tu w pokoju macie czajnik elektryczny i podstawowe wyposażenie typu kubki, talerze i sztućce, na dole czynny jest do dwudziestej drugiej barek, ubikacje są na końcu korytarza. Proszę, tu są dla was służbowe komórki, a tu macie ich numery. Macie tam już wpisany mój numer, w razie jakichkolwiek pytań możecie dzwonić. Dress code w waszym przypadku nie obowiązuje. Gdyby zaszła potrzeba zostania do późna, to mamy tu całodobową ochronę. Karty magnetyczne, które dostajecie, otwierają ten pokój i uruchamiają windę. Przy otwarciu drzwi zewnętrznych poza godzinami pracy należy wezwać ochronę. To chyba wszystko. Czy są pytania?

– Tak. Ile mamy czasu? – spytała znów Emilka.

Pomyślałem, że może nie jest wylewna i rozmowna, ale konkretności nie można jej odmówić.

– Trzy miesiące – powiedział chłodno Rafał.

– W kule lecisiz – powiedziała twierdząco Emilka i spojrzałem na nią z rozbawieniem.

To naprawdę było śliczne, śliczne, bezczelne dziecko.

– Emilce prawdopodobnie chodzi o to – powiedziałem do Rafała wyjaśniająco – że zintegrowanie regionalnych systemów o dramatycznie rozbieżnej strukturze jest problemem bardzo trudnym pod względem organizacyjnym i architektonicznym...

Śliczne dziecko powiedziało elegancko: „Nie pierdol”, więc czym prędzej się zamknąłem. Miki parsknął śmiechem.

– Niestety taki został ustalony termin – powiedział bez emocji Rafał. – Jeśli chodzi o parlamentarne wypowiedzi, to dogadacie się, myślę, między sobą, ja nie będę w to wnikał. Zatem witam was w zespole banku. Jakby zaszła potrzeba, to mój pokój ma numer dwieście sześć, jest piętro niżej. Do zobaczenia.

Gdy zamknąłem za sobą drzwi, spojrzeliśmy we trzech na Emilkę. Emilka z uwagą patrzyła w monitor i nie zwracała na nas uwagi.

– Czasu jest jakby trochę mało – powiedział Moryc, a my z Mikim przerzuciliśmy się spojrzeniem.

Pamiętaliśmy obaj zapieprz w firmie Garlickiego, gdy jeszcze wszystko było w porządku – pracujące soboty, niedziele, zarwane nocki, wariackie deadline'y, bunt, wściekłość, zmaganie się z oporną materią, ale i naprawdę bardzo przyzwoitą kapustę, jaką tam zarabialiśmy. Wtedy rzucaliśmy się na robotę jak dziki na żołędzie, wydawało nam się, że jesteśmy mistrzami świata, którym ścielą się do nóg kasa i sława, prestiż i piękne laski, szybkie samochody i drogie sery. Potem się nauczyliśmy, że wszystkie zwłoki na Mount Evereście to też byli kiedyś bardzo zmotywowani, pewni siebie ludzie... A potem... Potem zostałem usunięty z zespołu. Zapieprz, kapusta, Everest, afera – w takiej właśnie kolejności pojawiły się w naszych oczach i uśmiechnęliśmy się do siebie.

– No dobra – powiedziałem. – Ta forsa, którą nam tu proponują, nie jest za nic. Trudno. Trzeba przysiąc i zrobić.

– Tego się nie da zrobić w tym czasie – powiedział spokojnie Moryc.

– Parasola w dupie to się nie da otworzyć, zgoda – powiedziała równie spokojnie Emilka. – Poza tym wszystko inne się da. Masz zamiar siać dalej ten defetyzm czy wziąć się wreszcie do roboty?

Pomyślałem sobie, że zapowiada się nieźle. A potem pomyślałem, że jeśli Emilka ma taki ostry umysł jak język, to nawet nie trafiłem tak najgorzej.

6 stycznia

Zaczęliśmy od burzy mózgów i od razu wyłonił się naturalny podział w naszej grupie – ja i Emilka wzięliśmy na siebie obsługę tuneli i silnik komunikatów, mieliśmy po prostu znaleźć pomysł i stworzyć algorytm działania oprogramowania, potem mieliśmy podzielić się modułami, a Miki i Moryc odpowiedzialni zostali za panel i monitorowanie.

Godzina, w której nasze podzespoły zazębiały się, była czasem karygodnie krótkim jeśli chodzi o wszystkie ustalenia, zlecenia zadań, reklamacje, dodatkowe omówienie tworzących się części, na wszystkie wyjaśnienia i pytania. Właściwie powinniśmy pracować cały czas razem, ale ja miałem nieszczęsną szkołę, a Emilka nie wiadomo co, w każdym razie coś ważnego, co uniemożliwiało jej pracę razem z całym zespołem od rana. Musieliśmy się zatem sprężyć i wykorzystać zazębienie czasowe na maksa. Musieliśmy też złapać między sobą zwykły ludzki kontakt, lepiej

się poznać. My z Mikim znaliśmy nasze możliwości, ale Emilka i Moryc byli dla nas wielką niewiadomą.

Charakterami też różniliśmy się mocno, choć wszyscy mieliśmy cięte języki i, na szczęście, duże poczucie humoru. Już na pierwszej burzy mózgów poszły słowne zaczepki, a skończyliśmy ją w wybuchach śmiechu, bo okazaliśmy się w pełni godnymi siebie przeciwnikami.

Niewątpliwie najbardziej z nas złośliwa była Emilka, Moryc był dobroduszny, Miki wyluzowany, ja cieszyłem się, że umysł mi się rozpędza i może znów ruszyć z piskiem opon. Od razu na początku zorientowałem się, że idę z Emilką łeb w łeb, miała naprawdę fajny umysł, tylko cholerny charakter, no ale ja ostatecznie też nie byłem słodkim misiem. Szanowałem jej precyzję myślenia, zachwyciałem się świeżością pomysłów i bynajmniej się z tym nie kryłem. Myślę, że ona też doceniała mój potencjał umysłowy i twórczy, choć ani razu tego nie skomentowała, ani w formie komplementu, ani jakiegokolwiek wypowiedzi. Była chłodna, precyzyjna, logiczna, pomysłowa, klęła potwornie, dogryzała mi na każdym kroku, ale wiem, że liczyła się z moim zdaniem i akceptowała moje pomysły.

Wielką kartkę, na której rozpisaliśmy sobie wszystko ręcznie, zawiesiliśmy na korkowej tablicy na głównej ścianie, poza tym każdy co rusz doczepiał do niej swoje koncepcje, cytaty, dogryzki i humory dnia, kompletnie niezrozumiałe dla kogokolwiek z zewnątrz.

W ten sposób stworzyliśmy silną i w sumie lubiącą się grupę czterech nie najgorszych mózgów, połączonych wspólnym celem i cholernie krótkim deadline'em.

8 stycznia

Plan zajęć zrobił mi się tak napięty, że ledwie mogłem odetchnąć. To znaczy, jeśli mam być szczery, nawet na oddech nie było już miejsca. Codziennie zaczynałem pracę o ósmej rano, odwalałem lekcje, pożerałem w pośpiechu stołwkowy obiad, starając się nie kombinować za bardzo i nie próbować, na przykład, odgadywać, co jem, potem wsiadałem w samochód i grzałem do banku, gdzie znów starałem się nie prowokować Emilki, bo i tak dostawało mi się prawie za wszystko... Ostatnio powiedziała do mnie: „Uroda nie jest jeszcze największą wadą mężczyzny, ponieważ istnieje także głupota”. Był to cytat, ale po zastanowieniu się przyznałem jej rację.

Późnym wieczorem dowlekałem się do domu, często z jeszcze jakąś nieskończoną robotą, którą potem próbowałem ogarnąć do czarnych

godzin... Plus był jeden – przestałem w ogóle pić, bo mi się taki luksus już czasowo nie mieścił.

W tym wściekłym kołowrocie wygospodarowałem jeden wieczór dla Ani na matematykę – był to wieczór czwartkowy. Dobrze, że nie piątek, bo czułbym się prawie jak muzułmanin. Czwartkowy wieczór dlatego, że w piątek miałem bardzo mało lekcji i już o dwunastej mogłem być w banku, więc poprzedniego dnia wychodziłem o trzy godziny wcześniej. Emilka tego w żaden sposób nie komentowała, zresztą ona też miała ruchomy czas pracy.

W czwartkowe wieczory przedstawiałem mnóstwo różnych zwrotnic i kół zębatach w mózgu i starałem się w sposób jak najprzystępniejszy wyjaśniać wszystkie najbardziej trywialne rzeczy, co wymagało cierpliwości, ale cierpliwości miałem dla Ani akurat od horyzontu po horyzont.

Patrzyłem na nią, gdy siedziała pochylona nad zeszytem, z miękką burzą włosów, przewalającą się z karku na ramiona, patrzyłem na jej profil, spuszczone oczy, rzęsy, kości policzkowe, na płatek jej ucha, na jej schyloną szyję, na szczupłe, idealne ramiona i nie mogłem uwierzyć, że może istnieć naraz tyle piękna... Czasem podnosiła nagle głowę znad zadania i wtedy spotykała mój wzrok, któremu na gwałt starałem się nadać obojętność. Czy mi się kiedykolwiek udało? Nie sądzę. W oczach była cała moja miłość i czułość, słodycz i pragnienie, wszystkie niepokorne marzenia, wszystkie nad wyraz niemoralne myśli i wszystkie myśli trwożne, niepewne, bojące się samych siebie...

Ileż razy chciałem przykryć jej piszącą dłoń ręką, ileż razy chciałem dotknąć choć na chwilę jej włosów, ile razy powstrzymałem się ostatek woli... Ile razy patrzyłem na nią i marzyłem, że ją dotykam, całuję, zamykałem oczy i czułem pod wargami jej skórę, jej serce, jej dumne usta, jej delikatne piersi, jej długą, smukłą szyję...

Gdy w takich momentach Ania nagle mnie o coś pytała, wydawało mi się, że wracam samotnie z przestrzeni okołogwiezdnej, bez skafandra, bez tlenu i bez jakiegokolwiek statku kosmicznego, że wiruję w nicości, znieważam grawitację, spadam do jej nóg jak zestrzelony ptak, samolot z oderwanymi skrzydłami, rozerwany wybuchem prom kosmiczny i patrzyłem na nią z obcych przestrzeni, spotykając jej nieświadomy niczego wzrok...

To były jedyne chwile, kiedy byliśmy tak blisko, tuż koło siebie, sami, oddzieleni tylko jednym małym stolikiem i samotnymi przestrzeniami

naszych krzesel. Jedyne chwile, które zbierałem skrzętnie, by potem odtwarzać je w mroku, czarną nocą, gdy już upadałem na łóżko, z wyjałowionym, wypranym mózgiem, ze zmęczeniem powalającym mnie na ziemię. Zamykałem wtedy oczy i puszczałem sobie zapętłony film z naszych spotkań, jej jasną urodę, jej profil pochylony nad stołem, jej dłoń z długopisem, chmurę jej włosów... tak długo, aż sekwencja obrazów kołysała mnie wreszcie do snu.

W tych czasach przestałem prawie wierzyć w to, że kiedyś będzie mi dane jeszcze coś więcej, że kiedykolwiek zasnę i obudzę się z nią w ramionach, że będę mógł w każdej chwili patrzeć na nią bezkarnie i mówić jej głośno i otwarcie: „Kocham cię”.

Marzyłem o nocy z Anią, ale równie mocno marzyłem o poranku, o zwykłej chwili, gdy rano zrobimy razem śniadanie, porozmawiamy o tysiącu nieistotnych rzeczy, albo nie porozmawiamy, bo będziemy spóźnieni, bo tuliliśmy się w łóżku za długo i teraz musimy zdążyć – gdzieś tam, gdzie musimy dotrzeć, bo to już nie będzie szkoła... tylko co? Życie. Tęskniłem za normalnością z nią tak bardzo, że zacząłem wreszcie wypierać to szczęście ze swego umysłu, żeby nie oszaleć.

Wciąż nic nie wiedziałem o niej, o jej sercu. Nigdy nie dała mi poznać tego kawałka swojej dżungli, mówiliśmy o wielu rzeczach, nawet intymnych, nawet trudnych, ludzkich, ale nigdy nie mówiliśmy o miłości. Wiedziałem, że tak musi być, a ona? Co wiedziała? Co odkryła w swojej duszy i sercu? Kim byłem dla niej? Znajomym? Przyjacielem? Kumplem? Rany boskie, wujkiem? Nauczycielem ze szkoły. Nauczycielem ze szkoły. Prawdopodobnie po prostu, kurwa, nauczycielem...

Przynosiła mi kawę, herbatę, zapraszała na kolację, na późny obiad, na ciasto, lekka, zwiewna, kobieca, samotna, walcząca z matematyką, a właściwie z własną niewiedzą i niezrozumieniem. Gdy udawało jej się coś pojąć, patrzyła na mnie nagle rozjaśnionymi oczami i ta jasność obejmowała mi serce, w ostatnim momencie powstrzymałem się, by nie powiedzieć: „Kocham cię. Kocham cię, moja maleńka, kocham cię do obłędu, tracę przy tobie rozum, umieram, patrząc w twoje oczy, ukróć już tę mękę, powiedz coś, dotknij mnie... Lepiej nie dotykaj, bo się nie pohamuję... albo wreszcie dotknij i niech się to raz skończy...”.

Patrzyła na mnie, odwracałem wzrok, mówiłem coś o zadaniach, zaciskałem pięści tak, że o mało nie pękały mi kości, trząsałem się tak, że

dygotało razem ze mną krzesło, myślałem – nigdy już nie skończy się ta opowieść, zawsze będę cię kochał...

9 stycznia

Sypnęło znowu ostro śniegiem i w taki czarny, bardzo mroźny czwartkowy wieczór podjechałem do niej ze zbiorem zadań z matematyki, ale nie robiliśmy matematyki, bo zaraz za progiem natknąłem się na całą masę aluminiowych rurek. Ania była wściekła i bezradna, piękna jak nagła burza.

– Co to? – spytałem.

– To jest mój bagażnik – powiedziała.

– A dlaczego on taki... no... luzem? Nie chcesz go złożyć?

– Nie umiem – powiedziała ponuro, siadając na krześle w kuchni.

Przyjrzałem się, co to za model, a potem odwróciłem się i spojrzałem na Anię. Nie patrzyła na mnie. Dokoła niej trzaskały iskry elektryczne gniewu.

Pomyślałem, że zderzyła się właśnie z problemem technicznym, z którym nie dała sobie rady, banalnym tak naprawdę, ale nie dla niej. Potem pomyślałem, że i tak ją podziwiam, tyle rzeczy umiała, z tyłoma radziła sobie zupełnie sama, nie zaprzatając tym innych ludzi, przecież to w sumie młodziotka dziewczynka, co to jest osiemnaście lat? Skąd niby ma umieć takie rzeczy? Gdzie miała się tego wszystkiego nauczyć? Kto miał jej to pokazać? Przecież byłem właśnie od tego, by pomagać jej w takich sytuacjach, wyręczać ją albo uczyć czegoś, taka była moja rola, to właśnie ustaliliśmy z panią Barską. Tymczasem nigdy nie poprosiła mnie o pomoc, nigdy nie powiedziała, że sobie z czymś nie radzi, dumna, niezależna, niepodległa mała księżniczka. Raz jeden – raz zadzwoniła do mnie, ale to nie chodziło o pomoc w zadaniu. O co chodziło? Nie wiedziałem. Miała ochotę do mnie zadzwonić i zrobiła to. Po co mam wnikać w to głębiej? Ale ani przedtem, ani potem już nie. Nie poprosiła mnie nigdy. Dlaczego? Przecież tyle razy deklarowałem gotowość pomocy. Tyle razy w sumie jej pomagałem – tak, tylko zawsze musiało to wyjść ode mnie.

Patrzyłem na jej drobną sylwetkę, pochyloną głowę, spuszczone oczy, tak jak dawno temu, na początku, myślałem: „Boisz się? Czego? Wstydzisz się? Co się dzieje, maleńka?”. Dlaczego po prostu nie powiesz: „Nie umiem złożyć i zamontować tego pieprzonego bagażnika, pomóż mi”. No dobra, niech mi pan pomoże, bo taka była między nami konwencja. Dlaczego?

– Ja umiem to złożyć – powiedziałem, przełykając ślinę, bo było mi tak przykro, że narosła mi w gardle klucha. – Powiedz, Aniu, dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

– Nie chciałam... – zaczęła cicho.

Przerwałem jej.

– Tylko mi nie mów, że nie chciałaś mi sprawiać kłopotu. Upoważniłem cię do sprawiania mi kłopotów. Więc?

Do sprawiania mi kłopotów, do wszystkiego. Pomogę ci zawsze. We wszystkim. Dlaczego nie zadzwoniłaś?

– Bo jestem głupia – powiedziała cichutko, w dalszym ciągu nie patrząc mi w oczy.

Roześmiałem się.

– Naprawdę nienawidzę sprawiać komuś kłopotu, a już szczególnie nie chcę tego robić panu.

Jakby mnie jednym, krótkim ruchem uderzyła przez pysk. Zamarłem. No tak. No tak. Dlaczego?

– Dlaczego? – spytałem, gdy już się zebrałem z podłogi.

– Bo się pana wstydzę – powiedziała rozpaczliwie, w ogóle na mnie nie patrząc.

– Naprawdę... – przełknąłem ślinę, kluchę i serce, które już mi podeszło prawie do przetyku – ...naprawdę się mnie wstydzisz?

– O Boże... niezupełnie. Nie tak naprawdę, ale...

Patrzyłem na nią. Była tuż koło mnie, kucnąłem przed nią w kurtce, w czapce, szaliku, podparłem się o ziemię jednym kolaniem, chciałem wziąć ją za ręce, ale włożyła dłonie pod uda i siedziała na nich. Ścierpły mi nogi i usiadłem przed nią na podłodze.

– Wstydzę się tak, jak wstydzi się każdy człowiek, którego przyłapie się na bezradności. Wstydzę się, że wciąż potrzebna mi jest pomoc, mimo że tak bardzo się staram, by być samodzielna i samowystarczalna...

– I samofinansująca się. – Uśmiechnąłem się.

– Owszem. Jeśli podejmuję się jakiejś roboty, to mam psi obowiązek ją wykonać.

– To znaczy... podjęłaś się montowania bagażników?

Po raz pierwszy na mnie spojrzała. Spod włosów błysnęło spojrzenie błękitne jak otwarte morze.

– Muszę zawieźć blejtram na witrynę – wyjaśniła. – Jest cholernie wielki, nie zmieszczę się z nim do autobusu. Do samochodu też nie wejdzie, więc muszę przewieźć go na dachu. Choinkę tak przywiozłam, przywiązałam ją na okrągło przez otwarte okna... Ale blejtram jest za duży, nie da się tak zrobić. Muszę mieć bagażnik.

– No więc pytam jeszcze raz, dlaczego nie...

– Panie profesorze – przerwała mi. – Czy pan prosi mnie o pomoc w czymkolwiek? Czy przychodzę do pana, reperuję panu zlewozmywaki, wtyczki, suszarki, koła w samochodzie?

Uśmiechnąłem się mimowolnie.

– A może gotuję panu obiady, sprzątam – kontynuowała – szyję coś dla pana? Czy uczę pana malować? Nie. Prawda? Nie chcę, żeby mnie pan źle zrozumiał. Ja naprawdę jestem panu bardzo wdzięczna, ale jednocześnie bardzo krępuje mnie, że to tak pracuję w jedną stronę.

Spojrzałem na nią i już chciałem się odezwać, ale nie pozwoliła mi.

– Wiem, co pan chce powiedzieć. Że między ludźmi nie zawsze musi istnieć handel wymienny, że robi się często różne rzeczy z sympatii, przyjaźni, a nie dla pieniędzy, czy chęci zysku. Ale niech mnie pan też spróbuje zrozumieć. Normalne kontakty między ludźmi polegają na wymianie miłych gestów. Jeśli ktoś świadczy nam pomoc, to nie wzbrania się przed przyjęciem pomocy. Tymczasem pan pragnie zmusić mnie do przyjmowania pomocy, sam natomiast jest naprawdę samowystarczalny, niczego pan ode mnie nie potrzebuje. To jest dla mnie nie do przyjęcia. Dlatego nie dzwonię do pana, nie proszę pana o nic nigdy z własnej woli.

Ja od niej niczego nie potrzebuję... Naprawdę tak myśli?

– Aniu – powiedziałem. Głos mi się trząsnął, właściwie był to najcichszy szept. Ledwie mi się udało go wydobyć. – To nieprawda, że niczego od ciebie nie potrzebuję. To, co ja robię dla ciebie, jest tylko śmiesznie małą rzeczą, którą próbuję...

Co mam jej powiedzieć? Minęły dopiero trzy miesiące. Czy mam złamać przysięgę właśnie teraz? Może teraz będzie najlepiej. Może wreszcie to powiem, jak długo jeszcze mam z tym walczyć? I – w imię czego?

– Którą próbuję... – powiedziałem i raptem zrozumiałem, że nie mogę dalej. – Spłacić ten wielki dług, który mam u ciebie zaciągnięty. – To było wszystko, na co mnie było stać.

– Jaki dług? – spytała szeptem.

Zamknąłem oczy. Puściłem sobie w mózgu film, przy którym codziennie zasypiałem i puściłem pomaleńku, ostrożnie słowa.

– Ty nie jesteś zwykłą dziewczyną. Jesteś zjawiskiem i jesteś mi potrzebna... twoja wrażliwość, osobowość, indywidualność, ta magia, która jest w tobie. Chcę, żebyś wiedziała... – przełknąłem koniec zdania – jak ważna jest dla mnie twoja... przyjaźń – znów przełknąłem słowo „miłość”

– jak wzbogaca mnie i moje życie. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego, jak ty.

No i to akurat jest święta prawda. Nigdy nikogo takiego nie spotkałem. Nigdy w moim życiu nie kochałem tak żadnej kobiety. Nigdy nie oszalałem tak bez reszty, nie dostałem takiego obłędu, nigdy. Kim ona jest? Jak to zrobiła? Co ze mną zrobiła, że miotam się jak pies na łańcuchu, szaleję u jej stóp i nie podejść dalej ani o krok? W co wplątał mnie Andrzejewski, w co ja sam się nieopatrznie wpakowałem? Na miłość boską...

Podniosłem oczy na Anię i zobaczyłem, że ma całą twarz zalaną łzami.

Płakała bezgłośnie, bez jednego szlochu, tylko łzy płynęły jej po policzkach dwiema ciepłymi strugami i kapały na dzinsy. Chciałem się rzucić do niej, całować i błagać o wybaczenie, zacisnąłem zęby.

Odwróciłem oczy, dostałem kompletnego szczękościsku, potem przełamałem go i udało mi się powiedzieć cicho:

– Daj mi śrubokręt, złożę ci to ustrojstwo. Przepraszam.

– To ja... pana... przepraszam – powiedziała, zatrzymując się po każdym słowie. – Śrubokręt gdzieś tam leży. Robiłam próby...

Jeszcze nigdy przy mnie nie płakała. Zdarzała jej się pojedyncza łza – jedna przy Wigilii, jedna w samochodzie, jedna w kuchni, gdy rozmawialiśmy o przyjaźni. Jedna, gdy wróciliśmy od Leszka. Małe, krótkie, szybkie, powstrzymane łzy. Teraz nic nie było powstrzymane. Teraz po prostu płakała.

Kłęczałem tyłem do niej, wstydzilem się patrzeć na nią, nie chciałem jej peszyć spojrzeniem, wdzierać się w nią, w jej intymność. Ręce mi latały, skręcałem bagażnik jak we śnie, ledwie mogąc trafić śrubkami do przynależnych im otworów, ledwie mogłem trafić śrubokrętem w rowek śrubki, miałem płaski, potrzebny był krzyżykowy, nie powiedziałem ani słowa, byłem w takim stanie, że pewnie dokręciłbym wszystko gołymi palcami, ewentualnie zębami. Wszystkie moje emocje poszły w ten cholerny bagażnik, aż dziw, że nie pogiąłem doszczętnie i nie połamałem jego aluminiowych rurek... i w tym momencie kątem oka zobaczyłem dłoń Ani, stawiającą na podłodze koło mnie pełną szklanę.

Zerknąłem. Był to duży drink z lodem, chyba z jakimś sokiem. Przyjechałem samochodem, miałem nie pić. A już broń Boże w jej obecności, bo puści mi wszystko i ruszę... To się tak pięknie zaczyna: Czerwony Kapturek szedł przez las z koszyczkiem i spotkał złego wilka...

Wilk przełknął ślinę i powiedział bohatercko:

– Przyjechałem samochodem.

– Nie szkodzi. Zapraszam pana na kolację, słuchanie muzyki i pogaduchy. Albo milczenie. Co będziemy woleli. Zdaży się zneutralizować.

– Milczenie? – udało mi się spytać.

– Nie. Wódka.

Podniosłem ostrożnie szklankę. Nie pamiętałem za dobrze, jak to tam szło z tym Czerwonym Kapturkiem, w każdym razie starałem się pochować zęby. Babcia, koszyczek, zaraz będzie po balu...

Upiłem ostrożnie łyk i zatchnęło mnie kompletnie. *Iz wsiech francuzskich liegkich win, samyj choroszyj spirit*¹⁶... Ogień objął mi gardło i zakrztusiłem się.

– O rany – powiedziałem ledwie żywy. – Co za siekiera. Twój też taki?

Stała koło mnie z taką samą szklanką w dłoni, też upiła łyk. Nie zakrztusiła się. Skinęła głową.

– A nie popadniemy w ten, no... cholera, ale to mocne... w alkoholizm? – udało mi się spytać.

Ja to na pewno. Już mam coraz bliżej. Jak będę tak szalał i pił, to skończę z wszytym esperalem i do końca życia będę się musiał udzielać w Kole Anonimowych Alkoholików, słuchając ich smutnych historii...

– Nie – powiedziała Ania. – Ja już nie. To też mam odpracowane.

– Co mianowicie? – spytałem lekko przerażony.

Uśmiechnęła się leciutko.

– A co, pani Barska panu nie powiedziała?

Jako żywo nic mi nie powiedziała. Czyżby Ania...?

– Po śmierci rodziców przeszłam taki... incydent alkoholowy... prawdę mówiąc, miałam już dosyć... Potem mój psycholog założył mi absolutny szlaban na alkohol.

Gapiałem się na nią szeroko otwartymi oczami. Tego to się zupełnie nie spodziewałem... ani tego, że zechce mi o tym powiedzieć. To było wyznanie. Nie wiedziałem, czy zasłużyłem na nie.

– Nic o tym nie wiedziałem – powiedziałem zgodnie z prawdą. – W takim razie przepraszam, że cię poczęstowałem shotem u Leszka, nie powinienem był tego robić.

– Proszę sobie nie robić wyrzutów. Teraz już nie ma niebezpieczeństwa. Zresztą ten mój okres karencji skończył się pod koniec roku. Nie sięgam po alkohol. To znaczy... sięgam tak, jak każdy normalny człowiek – od czasu

do czasu. Teraz uznałam, że nam obojgu się należy. Troszkę jesteśmy wytrąceni z równowagi, taki strzał dobrze nam zrobi. A pan lubi pić?

Co miałem jej powiedzieć? Prawdę? Kłamstwo? Unik? Byłem właśnie na granicy, o której mówiła, a nawet ją przekraczałem. Zdałem sobie z tego sprawę zupełnie chłodno, poważnie i aż się wstrząsnąłem. Ta mała Ania też przechodziła tę drogę? Dokąd jeszcze za nią podążę? Gdzie dojdę, by się dowiedzieć, że ona tam była? Jak to śpiewał Czyżykiewicz? „Mądra i piękna ludzkim prawem... ave”.

– Tak jak ty – powiedziałem po dłuższej przerwie. – Lubię. Pewnie.

– A ma pan mocną głowę?

– Podobno. A co, zamierzasz mnie upić?

– Nie. Ale ja też mam podobno mocną głowę. Więc chyba nie tego... nie będziemy tego sprawdzać?

Upić się z nią... Kolejne marzenie odłożone do kupki marzeń niemożliwych do realizacji. Upić się i móc odrzucić hamulce, wstyd, zdjąć piekielną zbroję, stanąć przed nią nagi... Nie rozebrany, po prostu nagi.

– Nie, nie, nie. Wykonamy rzeczywiście jeden strzał, bo masz rację, że nam się przyda – powiedziałem słabo. – I na tym koniec. Nie wydasz mnie przed nikim ze szkoły?

– Nie. I wzajemnie?

– Wzajemnie. Przyrzekam.

– Jest pan...

Przełknąłem duży łyk. Gardło mi prawie omdlało.

– Co? – spytałem.

– Bardzo... – Utknęła.

Teraz jest ten moment. Dokładnie ten moment, aby powiedzieć: „Kocham cię”. Idealny, jedyny. Nie będzie lepszego.

– Ty też. Bardzo... – powiedziałem.

później

O co mi tak na dobrą sprawę chodzi? Trudno to wyrazić słowami. To chyba walka o pewien obraz świata, w którym, czy się tego chce, czy nie, ustanawia się sobie pewne elementarne sprawy. Godność, wierność samemu sobie, walka, a nawet samotność tej walki – określają mnie jako człowieka, wyznaczają wartości z kategorii tych, za które jedynie warto ginąć. Ten głęboki nurt biegnie obok powszechnie rozumianej przyzwoitości, moralności w najszerszym wydaniu, podległości wobec

prawa. To raczej wierność mojemu prywatnemu obrazowi świata, manichejska walka światła i ciemności, która odbywa się we mnie tak jak w każdym, odwaga stanięcia po właściwej stronie w tym skonfliktowaniu wewnętrznym, choćby było to rozwiązanie trudniejsze... a zawsze jest trudniejsze.

To przecież nie chodzi o przysięgę, a raczej ona po prostu postawiła mnie w jakimś miejscu, z którego już nie mogę odejść, choćby było ostatnim bastionem, oblężonym miastem, choćbym został sam jeden i jedyny w jego obronie.

Jak się ta walka zakończy? Prawdopodobnie jak u Conrada – przegraną, bo wartości, o które walczę, nie są już w użyciu, bo jestem romantycznym frajerem, upierającym się przy etyce, gdy tymczasem wszyscy dokoła wyciągają spluwy i strzelają. Czy w jakikolwiek sposób pocieszy mnie fakt, że zginę po walce? Tak, jeśli chodzi o wymiar mojego człowieczeństwa. Nie – jeśli chodzi o wynik gry. Robię to świadomie, bo bronię pewnego etosu. Przegram – i będę mógł mieć pretensję tylko do siebie, jak już nie pierwszy raz w życiu.

Wspaniale. W tak postawionej sprawie – co zwycięży? Światło? Ciemność? Czerń czy biel? Który biegun? Jaka potęga?

Zawsze byłem romantycznym palantem, z buntem, cierpieniem i bez prawa do litości nad sobą.

W tej sprawie, najważniejszej, kluczowej sprawie mego życia, który pierwiastek przeważy?

Bo Bóg patrzy na to wszystko cierpliwie, a diabeł pali papierosa i kręci kieliszek na blacie...

Gdy dotrze się już wreszcie do Boga, o którym nie rozmawiam nigdy i z nikim, to myślę, że moje rozumienie Boga wykracza poza judeochrześcijańskie wzorce, jest czymś coraz bardziej pozbawionym odniesień. W młodości przeczytałem Biblię – właściwie wciąż zdarza mi się ją czytać – i znalazłem tam momenty, które zachwyciły mnie bez granic. Takim cudem jest genialna, wstrząsająca w swej prostocie i uniesieniu *Pieśń nad pieśniami*, taka jest cała *Księga Joba (Hioba)*, operująca językowo najczystsza poezja, bo czym innym można nazwać słowa: „Dach rozciąga nad pustką, ziemi niczym nie umacnia, wody chmurami krępuje, nie pękają pod nim obłoki. Zakrywa oblicze księżycy, rozciągając nad nimi chmury. Wodom nakreślił granice, oddzielił światło od mroku...”. Trudno nie czuć prawdziwego podziwu.

A jednak, gdy czytałem Biblię, uderzył mnie przykro jej, jak by to powiedzieć... merkantylno-rzeźniczy charakter, szczególnie tyczy się to Starego Testamentu. Dziwny ten Bóg starotestamentowy i jego propozycja skierowana do człowieka – jak będziesz grzeczny, to pomogę ci wyróżnić twoich nieprzyjaciół, jak będziesz niegrzeczny, to ciebie wyróżnę... Choć właściwie najbardziej wzrusza mnie w tym wszystkim człowiek, z jego słabościami, upadkami i heroicznymi próbami sprostania wymogom Boga.

Chrześcijaństwo jest w ogóle trudną i wymagającą religią. W judaizmie chociażby masz ściśle wyznaczone przykazania do wypełnienia, jeśli je wypełnisz, to możesz robić co ci się podoba. A w chrześcijaństwie cały czas Chrystus ukrzyżowany patrzy ci w oczy i ciągle żąda więcej...

Gdy byłem w Rzymie i oglądałem antyczną rzeźbę grecką, a nade wszystko etruską – poruszył mnie jej genialny, olimpijski spokój, ponadczasowe piękno tego spokoju – klasyczne rysy, drobnutko marszczące się fałdy szat, głęboka ludzkość w czymś, co jest ponadludzkie. Jaki tam panował spokój i harmonia, właściwość bycia na swoim miejscu tu i teraz, w pełnej akceptacji z otaczającym światem, ludźmi i zwierzętami, losem i bogami... A potem w pewnym momencie po tym ułożonym świecie przetoczył się walec chrześcijaństwa, miażdżąc wszystko w proch i zamiast harmonii dając ludziom bezkresne cierpienie. Odtąd cała sztuka, wszystkie wyobrażenia człowieka i Boga napiętnowane są tym cierpieniem, bólem, rozpaczą, grzechem. Jakie to dalekie od niewzruszonego spokoju sarkofagu etruskiego z Cerveteri, od sznura tańczących kobiet namalowanych w grobowcu w Tarquinii, od waz etruskich z rysunkami cieniutką kreską, napszczoną białym barwnikiem – pełnym dystynkcji i elegancji hymnie o pięknie otaczającego świata.

Czy mój Bóg to groźny Bóg? Czy cierpiący człowiek? Czy Bóg istniejący w kamieniu, drzewie i potoku, panteistyczny w najczystszej postaci? Czy może istnieją we mnie w pełnej równowadze – harmonia i cierpienie, zachwyty, absolut, boskie prawo i boskie żądanie, by sprostać temu prawu?

Popłynąłem sobie – chyba za daleko. To temat tak rzadko świadomie przeze mnie dotykany, że nawet przy kompletnie osobistej próbie uporządkowania i jakiejś artykulacji powoduje zażenowanie.

Czytam ostatnio Herlinga-Grudzińskiego i to on pewnie ruszył w moim umyśle te sprawy.

10 stycznia

Dziś w szkole była rada pedagogiczna, więc do banku dojechałem spóźniony, zmęczony i wściekle głodny. Nie zdążyłem zjeść w czasie przerwy kanapki, a na obiad były kluski ze śmietaną i kompotem z truskawek, wszystko na jednym talerzu... Sam wygląd tego dania powodował w moim żołądku odruch głębokiego protestu i skargi.

Chłopaków już nie było, Emilka siedziała z nosem wetkniętym w komputer. Wyjąłem z teczki kanapkę, obejrzałem ją uważnie, czy jeszcze się do czegoś nadaje, potem przypomniałem sobie Zbyszka Radtke i postanowiłem, że głód głodem, ale nie będę tak wyżerał kanapki z papierka jak on, więc wyjąłem talerzyk i wstawiłem wodę na kawę.

– Mnie też zrób – powiedziała od komputera Emilka tonem nieznoszącym sprzeciwu, więc bez słowa postawiłem przed nią parujący kubek.

– Skończyłeś obliczenia? – spytała.

– Prawie.

– To kiedy będziesz gotowy?

– Poczekaj, zjem i zobaczę – przyrzekłem i ugryzłem pierwszy kęs.

– Kawa jakoś inaczej dziś smakuje – powiedziała podejrziwie Emilka. – Czyżbyś umył kubki?

– Zawsze myję kubki – odparłem cierpliwie, próbując ugryźć drugi raz.

– Chyba że wrzuciłeś tam pigułkę gwałtu... – Zastanowiła się. – To mogłoby tłumaczyć ten dziwny smak.

– Pigułka gwałtu nie ma smaku – powiedziałem z westchnieniem. – Poza tym, gdybym chciał cię zgwałcić, to nie używałbym pigułki.

– Tylko co? – zaintrygowała się.

Odwróciła się wreszcie od monitora i zaszczyciła mnie spojrzeniem. Miała piękne spojrzenie i piękne, srebrzyste oczy.

– Zastosowałbym przemoc fizyczną – powiedziałem uprzejmie.

– Stosujesz przemoc fizyczną wobec kobiet?

– Nie. Nie ma takiej potrzeby – odpowiedziałem równie uprzejmie, wciąż nie mogąc wyjść poza drugi kęs.

– Ho, ho, ho, ale masz przerost ego – stwierdziła złośliwie.

– Nie mam przerostu ego. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Znam takich. Wydaje ci się, że każda musi na ciebie polecieć?

– Emilka, o co ci chodzi? – spytałem, śliniąc się coraz bardziej. – Koniecznie chcesz się ze mną kłócić? To się nie uda.

– Tak? A dlaczego?

– Bo ja z zasady nie kłóczę się z kobietami. I już od dawna przestałem kobietom cokolwiek udowadniać – powiedziałem zrezygnowany. – To nie miało żadnego sensu, a zwycięstwo było bardzo chwilowe. Kobiety i tak wiedziały lepiej.

– A nie zdarzało ci się mieć racji?

– Przeważnie miałem rację.

– Ty jednak jesteś nadętym bufonem, wiesz?

– Nie pokłócisz się ze mną.

Przyjrzała mi się z zainteresowaniem.

– Po co się kłócić, jak się można pobić – powiedziała i uśmiechnęła się czarująco.

– Z kobietami nie biję się tym bardziej.

– To co z nimi robisz, do cholery?

– Zamykam w piwnicy i trzymam o głodzie. Przynajmniej tak długo, aż się wreszcie zamkną – powiedziałem i zająłem się kanapką, bo już mi się robiło słabo z głodu.

Emilka chwilę przyglądała się, jak pożeram, wreszcie nie wytrzymała.

– Co jesz? – spytała.

– Co Duczmal? – odparłem odruchowo, bo po prawie trzydziestu latach noszenia swojego nazwiska miałem już wyrobione pewne odruchy, a nawet tiki.

– Ha, ha, ale śmieszne – skomentowała bez uśmiechu.

Postanowiłem konsekwentnie nie reagować, bo chyba sprawdzała moją wytrzymałość.

– Ty, Jeź, kopsnij się do barku i kup mi coś do żarcia – zaproponowała uroczo, znów odwracając się do komputera.

Westchnąłem, wytarłem palce w serwetkę i pomyślałem, że i tak muszę sobie jeszcze coś kupić, bo pognieciona kanapka tylko podrażniła mój apetyt.

– A co chcesz? – spytałem zrezygnowany.

– Serio, pójdiesz? – zdziwiła się. – Nie jesteś nawet taki najgorszy.

– No, dziękuję. Z twoich ust taki komplement, to poważna sprawa...

– Sałatkę mi jakąś kup. Może być z kurczakiem. I coś słodkiego. – Zamyśliła się.

Sama była słodka. Taki rozkapryszony bachor o potężnym mózgu, a ja doceniam piękne umysły. Poza tym jako kobieta dla mnie nie istniała.

– To co chcesz słodkiego?

Odwróciła się z obrotowym krzesłem.

– Sam wybierz. Będę miała niespodziankę.

– OK – westchnąłem, czując, że jeśli niespodzianka nie trafi, to będę ją zjadał samodzielnie i to jeszcze przy akompaniamencie prychnania.

Wróciłem obładowany, łokciem nacisnąłem klamkę, biodrem popchnąłem drzwi i zastopowało mnie w progu. Emilka siedziała przed moim komputerem i bardzo szybko klikała myszką, patrząc w ekran.

– Hej! – powiedziałem. – Dlaczego mi grzebiesz w komputerze? Nikt ci nie powiedział, że to nieelegancko?

– W dupie mam elegancję – odparła zupełnie niezmiészana.

– No to, to wiem. Czego szukasz?

– Kodu. Nie założyłeś żadnego hasła?

– Dlaczego miałem zakładać hasło? – spytałem zdumiony. – Nie mam w pracy żadnych tajemnic. Jestem transparentny.

– A prywatnie masz tajemnice? – spytała.

– A wiesz coś o mnie? – odpowiedziałem pytaniem.

– Może...

Znow nie dałem się wciągnąć. Liczyła na to, że się będę dopytywał, nie zrobiłem tego.

– Tu masz sałatkę i tiramisu – powiedziałem, stawiając wszystko na jej biurku.

Podszedłem do niej, ująłem za poręcze fotela na kółkach i odsunąłem ją od swojego kompa. I tak przegrzebała mi już wszystko. Ciekawe, co spodziewała się znaleźć.

– Hej, nie pozwalaj sobie – parsknęła.

– Wiesz, to już jest naprawdę szczyt wszystkiego – odparłem.

– Jeśli masz coś do mnie, napisz to, proszę, na kartce, włóż do koperty i wsadź sobie w dupę.

– Tak zrobię – przyrzekłem.

– Czasem nie jesteś miły.

– Ty też. To znaczy rzadko bywasz miła.

– A dlaczego niby miałabym być dla ciebie miła?

– Może dlatego, że jeszcze z tobą wytrzymuję – westchnąłem.

Zjadła sałatkę, zjadła deser, podniosła się i sięgnęła po swoją kurtkę.

– Jak to? – spytałem. – Idziesz już?

– Tak. Skończyłam. Sprawdź sobie.

– A gdzie masz swój kod?

– Na moim komputerze.

Podniosłem się, podszedłem do jej stanowiska, pochyliłem się nad klawiaturą. Ekran był zablokowany, na środku widniał pusty pasek logowania.

– Jaki login? – spytałem znowu.

– Poszukaj. Podobno masz szacunek dla logiki – powiedziała i uśmiechnęła się lekko.

– Emilka, po co te numery? Przecież mam sprawdzić twój algorytm...

– Jak chcesz sprawdzić, to się włam – powiedziała i wyszła.

Tego dnia wyszedłem z pracy grubo po północy.

Złamałem zabezpieczenie Emilki, przegrałem do siebie jej obliczenia, a potem wydrukowałem i wydruki wsadziłem do teczki, żeby rozgryźć to w wolnej chwili. Następnie ustawiłem taką blokadę na swoim kompie, żeby musiała się zdrowo namęczyć, a na jej ekranie powitalnym umieściłem wielki napis z cytatem: „Czysta logika jest ruiną ducha.¹⁷ Miłego dnia!”, wyświetlany przy próbie logowania.

Do domu dojechałem na czworakach. Odstawiłem samochód na parking, wziąłem teczkę i ruszyłem osiedlową uliczką do swojej klatki schodowej. Przed wejściem podniosłem głowę i spojrzałem w górę. Nad moją głową świeciła gwiazda Wenus.

Gwiazda Wenus, ta sama, która płynie na wskroś czarnego nieba, jak przewodniczka łodzi nad miłosną nocą, gdy kobieta, z którą jesteś, nie daje ci zasnąć choć na moment, aż wreszcie świtem wchodzisz w nią po raz ostatni i doprowadzasz do końca, a potem leżysz bezwładnie w jej ramionach, jak wyrzucony na piasek wrak, suchy jak ziarnko pieprzu i osuwasz się w zmęczenie jak w śmierć – zanim rankiem pójdziesz wreszcie do kuchni i zrobisz gigantyczną jajecznicę i zjecie ją razem, popijając czarną, piekielnie mocną kawą – ale wtedy gwiazdy już nie ma na niebie...

Zacisnąłem mocno dłonie w pięści i wszedłem na klatkę schodową.

¹⁶ ros. ze wszystkich francuskich lekkich win, najlepszy jest spirytus.

¹⁷ Antoine de Saint-Exupéry

12 stycznia

Zaszyłem się w domu i zacząłem rozgryzać projekt Emilki. Skubana, zastosowała tak chytry pomysł, że mogłem jedynie chylić czoło przed elegancją jej wzorów, mimo że próbowałem podważyć je na wszelkie sposoby.

Na szczęście nigdy nie miałem ambicjonalnych problemów, związanych z umysłami męskimi i kobiecymi, dla mnie były to po prostu piękne umysły. Emilka niewątpliwie była w czołówce, jej projekty były zaskakujące, logiczne i cudownie świeże. Rozłożyłem się w całym pokoju ze stertą wydruków, ze stosem kartek i komputerem. Mój długo uśpiony mózg ruszył, czułem, jak wchodzi swobodnie na wyższe obroty, mrużąc przy tym z zadowolenia. Robiłem pętle, kompresje, przestawiałem bity na buforze, jakby to był najlepszy sposób spędzania sobotniego popołudnia. Właściwie tak to było, czułem się coraz bardziej rozemocjonowany, umysł dygotał mi przyjemnie, zacząłem permutację z pominięciem ostatniej pętli i wtedy zadzwonił telefon.

Byłem tak mocno w innym świecie, że najpierw go nie usłyszałem. Potem dotarło do mnie, że dzwoni, ale koniecznie chciałem jeszcze dokończyć działanie, potem rozejrzałem się za nim po pokoju, ale nigdzie nie było go widać. Mam aparat przenośny, problem polega na tym, że zawsze rzucam go, gdzie popadnie, na szczęście dzwoni, więc po dźwięku można go zlokalizować, ale tym razem odzywał się nie wiadomo gdzie. Obstawiałem fotel, obejrzałem go z wierzchu, potem obmacałem dziury między podłokietnikami a siedzeniem, potem zacząłem go odsuwać, żeby sprawdzić pod nim, na koniec prawie go podniosłem. Fotel był cholernie ciężki, zziąłem się, bo próbowałem to robić w tempie i wreszcie znalazłem słuchawkę koło fotela, pod rzuconym swetrem.

– Cześć – powiedział Leszek. – Co robisz?

– Permutuję – odparłem zdyszany.

– A ładna jest chociaż?

– Kto? – zdębiałem.

– No, ta panienska, którą permutujesz...

– Leszek, pogięło cię? Przecież ci mówię, że pracuję.

– Oj tam, zaraz pracuję. Co prawda wypoczynek to to nie jest, sport też raczej nie, zależy jak się do tego podchodzi, więc może umówmy się, że rekreacja...

– Proszę cię, stary... naprawdę...

– Widzę, że w dalszym ciągu nie doceniasz zalet bzykoterapii. Mówię ci, działa cuda. A tak na marginesie, może byś do mnie wpadł?

– W ramach tej bzykoterapii, o której mówisz? Przepraszam, kochanie, ale może nie dzisiaj – powiedziałem i gdy już przestaliśmy się śmiać, Leszek powiedział:

– Nie... Mam z tobą do pogadania. Przyjeżdż.

– Kiedy serio nie mogę. Mam roboty od groma i trochę. Muszę to skończyć w ten weekend, a wiesz, jak to u ciebie jest, zawsze się siedzi...

– No to ja do ciebie wpadnę. Na godzinę, nie dłużej, OK? Mówię ci, że muszę pogadać.

– Jasne. Wbijaj. A co, coś poważnego? Coś się stało?

– Prawie – odpowiedział po chwili dziwnym głosem.

– To przyjeżdżaj.

– Będę za chwilę.

Nawet nie zdążyłem powierzchownie ogarnąć bałaganu, gdy już zadzwonił do drzwi.

– Ale sajgon – powiedział na widok pokoju.

Ponieważ miałem jeszcze dodatkowo porozkładane sprawdziany ze szkoły, więc rzeczywiście wszystko było usłane papierami, nie miałem wystarczająco dużego blatu do pracy i kartki były wszędzie.

– A co zrobiłeś z biurkiem? – spytał Leszek. – Przecież pamiętam, że miałeś biurko, trudno tak pracować na tym skrawku...

– Wypieprzyłem – powiedziałem, patrząc mu w oczy.

Prawda była taka, że pozbyłem się biurka z dnia na dzień, po prostu pewnego dnia wyniosłem je z domu i postawiłem koło śmietnika. Była to spontaniczna decyzja, ale nie żałowałem jej ani chwili. W ogóle nie chciałem o tym gadać.

Leszek uważnie popatrzył mi w oczy i powiedział:

– OK. Pewnego dnia przestało ci się podobać. Rozumiem.

Skinąłem bez słowa głową.

– Ale zorganizuj sobie coś do pracy, bo oszalejesz.

Ponownie skinąłem głową. Wspomnienie biurka wytrąciło mnie troszkę z równowagi.

– Chodź do kuchni – zaproponowałem. – Zrobię jakąś kawę czy coś.

Godzina się zrobiła wczesnopopołudniowa, właściwie zaczęła się zbliżać pora obiadowa, ale nie miałem żadnego obiadu, dopiero co wypłynąłem z

obliczeń.

– Zamówię jakiegoś chińczyka, chcesz? – spytałem Leszka.

– Mam w domu obiad, ale... – Zrobił nieokreślony ruch ręką. – Dobra.

Raz mogę zjeść chińczyka.

– To gadaj – zaproponowałem.

Leszek popatrzył na mnie. Natychmiast spoważniałem. Wiedziałem, że gdy ma takie oczy, to sprawa jest poważna.

– Wiesz... – zaczął niepewnie. – Muszę ci to powiedzieć.

– No, te wstępy już zrobiłeś. Co się stało?

– O mało się nie stało...

– Ale co?

– Wiesz... – znów zaczął i utknął.

Postawiłem przed nim kawę, cukier i śmietankę. Dodał sobie wszystko odruchowo i znów na mnie popatrzył. Wyglądał tak, jakby miał się zanurzyć w lodowatej wodzie.

– Dawaj – powiedziałem. – Podobno jesteś kaskaderem.

Nie zwrócił na to uwagi.

– Dobra, trudno – powiedział. – Już myślałem, że będę musiał zrezygnować ze spotkań z Anią po drugim razie.

Usiadłem na krześle. Przełknąłem ślinę. Nic nie powiedziałem. Leszek obrzucił mnie speszonym spojrzeniem.

– Przysięgłem ci, tak? – powiedział. – No to się wzięłem w garść. A sytuacja była taka: zaraz na drugiej jeździe, tej pierwszej bez ciebie, wiesz co mi powiedziała? – Przybrał niewinny wyraz twarzy i powiedział cienkim głosem: – „Jest pan naprawdę cholernie męski, ale intuicję to ma pan kobiecą”. Rozumiesz? – spytał już normalnie. – Jak ja mam się zachować, jak siedzi przede mną, śliczna jak marzenie, patrzy mi w oczy i mówi bez namysłu – jest pan cholernie męski?

Siedziałem zemdlały wewnątrz i patrzyłem na niego.

– Tobie też mówi takie rzeczy? – spytał.

– Zdarza się.

– I jak ty to wytrzymujesz?

– No właśnie... – powiedziałem.

– Myślałem w pierwszej chwili, że mnie szlag trafi. Ale potem przyjrzałem się temu z bliska i wiesz... To nie była żadna zaczepka. Żaden flirt. Żadna prowokacja. Ona po prostu zupełnie nie zdawała sobie sprawy, jak ja to mogę odebrać. Ona rozmawiała ze mną szczerze, tak jakby

rozmawiała z przyjaciółką. Wiesz, jakby nie było między nami żadnej różnicy płci. Połapałem się w tym, ale przez moment tak zachwiała mi równowagę, że już myślałem, że... – przerwał. – Nie. No co ty. W życiu bym ci tego nie zrobił. Ale myślałem, że będę musiał przerwać te spotkania, coś wymyślę, że jadę na plan, czy coś... Na szczęście, jak mówię, ochłonąłem i spojrzałem na to z boku. Ona jest kompletnie nieświadoma tego, co robi z ludźmi. To znaczy z facetami.

Skinałem głową bez słowa, bo jeszcze nie mogłem mówić.

– Bardzo cię przepraszam, stary – powiedział Leszek. – To było zupełnie niespodziewane, teraz się oswoiłem. Już jest OK.

– A gdyby robiła to świadomie? – spytałem cicho.

– Nigdy – odpowiedział. – Proszę cię, widzisz przecież, jak sumienie gryzie mnie już teraz. No, wiedziałem, że ci o tym muszę powiedzieć, bobym ci nie mógł spojrzeć w oczy. Sorry, nie flekuj mnie, bo sam widzisz, że sypię sobie popiół na łeb.

– Wybacz. Dzięki – wykrztusiłem.

– Jak ci się udaje zachować przy niej równowagę? – spytał Leszek, nie patrząc na mnie. Łokcie opierał o kolana, ręce miał mocno zaciśnięte. Kawa zdążyła nam kompletnie wystygnąć.

– Jaka równowagę, człowieku? – spytałem gorzko. – Mnie też wali takimi tekstami otwartym kodem między oczy, że każdorazowo dostaję ataku serca. Ale masz rację. To nie są zaczepki płci. Zaprzyjaźniliśmy się, traktuje nas jak bliskich ludzi, a z bliskimi rozmawia się szczerze. Cały czas to sobie tłumaczę. Bo wiesz... gdybym spróbował odpowiedzieć na to jak mężczyzna, to pewnie by się przeraziła, bo przecież ona nie miała nic takiego na myśli.

– Porozmawiaj z nią – powiedział Leszek. – Powiedz jej wszystko. Nie da się tego dłużej tak ciągnąć. Przecież ona cię wykończy.

– Ania?

– Miłość. – Uśmiechnął się.

– A ty? – spytałem ostrożnie. – Jeśli Ania cię poruszyła, to może oznacza, że zamknąłeś już to z Patrycją...?

Leszek rozluźnił ręce, sięgnął po kawę i wziął duży łyk.

– Wiesz, to też sobie przemyślałem. Właściwie sytuacja z Anią to był dobry impuls, żeby wszystko sobie przemyśleć.

– I co? – zdecydowałem się spytać.

– Trudno, niech sobie wychodzi za mąż. Nic na to nie poradzę – powiedział cicho.

Już chciałem odetchnąć z ulgą, gdy powiedział:

– Ja poczekam. Poczekam aż wyjdzie za mąż, aż ten mąż ją rzuci, bo on ją rzuci, poczekam aż zostanie zupełnie sama, z dzieciakami na karku, coraz bardziej zgorzkniała, gdy jej uroda już się wypali, gdy będzie stara, gruba i sama... I wtedy się z nią ożenię.

Odebrało mi mowę. Patrzyłem na niego i nie mogłem powiedzieć ani słowa.

– Co, chcesz mi powiedzieć, że to trochę słabe? – Popatrzył na mnie ze smutkiem w oczach. – Że ożenię się z nią dopiero wtedy, jak już nikt inny nie będzie chciał? A ona zgodzi się na to z braku lepszych partnerów, tylko po to, żeby nie zostać zupełnie sama? Masz rację, to jest cholernie słabe. Ale ja zupełnie nie mogę myśleć w ten sposób. Gównu mnie obchodzi, że będę żaloszny i wszyscy będą się pukać na mój widok w czoło i śmiać się ze mnie po kątach. Rozumiesz? Mam to w dupie. Zawsze przy niej będę. Przecież to jest Patrycja... – powiedział szeptem.

Odwrócił twarz do okna i został tyłem do mnie, tylko ramiona mu leciutko drgały. Bardzo chciałem go... właściwie przytulić, tak jak mnie przytulał kiedyś Piotrek, ale wiedziałem, że tego to już mi nie wybaczy. Z dużym trudem przełknąłem gulę w gardle i powiedziałem:

– Rozumiem cię, Leszek. Czy ona kiedykolwiek pojmie taką miłość?

– Gównu mnie to obchodzi – powiedział, konsekwentnie cały czas patrząc w okno.

Potem odwrócił się do mnie, oczy miał szkliste, ale nie krył tego.

– Wiesz, że jesteś jedynym człowiekiem na świecie, któremu jestem zdolny powiedzieć coś takiego? – spytał. – Dzięki.

– Dzięki – powtórzyłem.

– Z Anią też tak kiedyś zakończyliśmy rozmowę. – Uśmiechnął się. – Nie gniewasz się na mnie?

Potrząsnąłem głową.

– Coś ci jeszcze powiem. Zobaczyłem, jak ruszyłeś z tą nową pracą, jak zupełnie inaczej wyglądasz, jak ci się oczy świecą i wiesz co... pozazdrościłem ci. I pomyślałem, że nie po to kończyłem fizykę, mało tego, nie po to robiłem doktorat, żeby Petroneli dupę podcierać. Jestem po wstępnych rozmowach w PAN-ie. Jak dobrze pójdzie, to wrócę do zawodu.

– Super – ucieszyłem się. – Gratulacje.

- Pora już chyba zacząć szukać bozonu Higgsa...
- Ty idioto – powiedziałem. – Boska częśćka to ty, twoje psy, konie, koty, twój bigos i pieczone ziemniaki, twoja miłość i przyjaźń. Czego chcesz więcej szukać?
- Przez chwilę patrzył mi w oczy, potem uśmiechnął się i powiedział:
 - Siebie.

16 stycznia

Zatkał mi się kompletnie spryskiwacz do wycieraczek, to znaczy na szczęście nie sam spryskiwacz, tylko rurka doprowadzająca. W czasie jazdy z banku do Ani musiałem zatrzymać się, rozmontować wszystko, przepłukać cholerną rurkę w łazience przypadkowej knajpy, znów wszystko zmontować, bo bez wycieraczek jechać się nie dało, na jezdniach był syf z glutem, który oczywiście leciał spod kół na przednią szybę.

Dojechałem do Ani spóźniony i upapwany jak nieboskie stworzenie.

- Kawa? Herbata? – spytała tradycyjnie.
- Nie wiem – powiedziałem bezradnie, co zdarzyło mi się chyba po raz pierwszy.
- Kawa – zdecydowała Ania, patrząc na mnie.
- OK. Tylko pozwolisz, że umyję ręce.
- Proszę bardzo, ale może raczej nad wanną, bo mam całkowicie zapchaną umywalkę.

Pomyślałem, że dziwnym trafem awarie, podobnie jak nieszczęścia, chodzą parami. Cóż, to już widocznie taki dzień...

- No to dlaczego nic nie powiedziałaś? – spytałem beznadziejnie.
- Nie zdążyłam – odparła trochę speszona. – Zapchało się wczoraj.
- Wszedłem do łazienki i sprawdziłem. Rzeczywiście, woda prawie nie spływała.

– Będę musiał rozkręcić kolanko – powiedziałem, ściągając sweter i podwijając wysoko rękawy koszuli. – Masz może sprężynę?

- Jaką sprężynę? – Nie zrozumiała.
- Taką do przepychania. Jakiś długi drut, albo co? Byle nie aluminiowy.
- Zaraz poszukam.

Rzeczywiście, przyniosła kawał porządnego drutu, podstawilem pod umywalkę wiadro i zająłem się demontażem. Ania patrzyła na mnie z lekkim powątpiewaniem.

- Nic się nie martw. Naprawdę umiem to robić.

– O, wierzę. Tylko nie chciałam robić panu kłopotu. Rozmawiałam już z Michałem, obiecał, że mi to naprawi.

Z Michałem. Wściekłem się od razu.

– Dlaczego poprosiłaś Michała?

– A dlaczego miałam go nie poprosić? – spytała spokojnie.

W tym momencie zabrzmiał dzwonek.

– To pewnie on – rzuciła Ania. – Pójdę otworzyć.

Zaczęła mnie brać coraz większa cholera. Siedziałem nad rozkręconym kolankiem, wyciągając z otchłani rury jakieś długie kłęby, które zatkały odpływ, wściekły, bezradny i upokorzony. Słyszałem ich głosy w korytarzu, niefrasobliwy śmiech Michała, śmiech Ani i marzyłem o tym, by popełnić morderstwo.

– O, dobry wieczór, panie profesorze. – Michał wsadził głowę przez drzwi. – Widzę, że się spóźniłem.

Miałem straszną ochotę powiedzieć mu: „Spierdalaj, synku”, ledwo się powstrzymałem. Michał musiał coś jednak wyczytać z mojego spojrzenia, bo cofnął się na korytarz.

– Słuchaj, Ania – usłyszałem jego głos. – Widzę, że wszystko jest w fachowych rękach, więc nie będę już robił za szóstą kucharkę.

– Przykro mi, że przyjechałeś niepotrzebnie...

– O, powiedzmy, że dla samej przyjemności zobaczenia się z tobą.

Zacisnąłem zęby.

– A właściwie to dobrze się składa, że tu przyjechałem, bo jadę jutro do Macro z Tomkiem, powiedz, czy czegoś nie potrzebujesz?

– Och, tak. Kup żarcie dla Zadymy, jeśli możesz.

– Pewnie. A co, Whiskas?

– Co ty, dlaczego Whiskas? Ona tego do pyska nie bierze.

– No jak to, przecież widziałem u ciebie w kuchni puszkę. To po co jej to kupujesz, żeby sobie kotka na opakowaniu pooglądała?

– Głupi jesteś. Raz kupiłam dwie puszkę, nie smakowało jej, więc tak trzymam na czarną godzinę. Kup Kitekaty w puszcze albo w saszetkach, OK?

– OK. Tylko które, bo zdaje się, że po którychś miała sraczkę?

– Rzygała. Rzygała po tych z rybą. Tych z kurczakiem nie chce brać do pyska, więc weź te z wołowiną, cały karton. Dać ci pieniądze?

– Nie, to już jak przywiozę, bo nie wiadomo, czy będą. Coś jeszcze?

– Czekać... Nie. Wszystko mam.

– Dobra, to lecę. Cześć, Ania.

Poszła go odprowadzić do furtki. Wysłuchałem całego dialogu, siedząc na brzegu wanny i czując, że się zaraz uduszę. Ania wróciła.

– Widzę, że Michał jest u ciebie częstym gościem? – powiedziałem przez zęby, gdy stanęła w drzwiach.

– Owszem. Jesteśmy dość zaprzyjaźnieni – odparła.

– Tak dość blisko? – spytałem z pochyloną głową, czując pulsujący w głowie ukrop.

Pomyślałem, że jak tak dalej pójdzie, to zaraz dostanę wylewu. Może zresztą lepiej, żeby mnie tu na miejscu strzeliła apopleksja, przynajmniej będę miał już raz spokój. Ania przez długą chwilę nie odpowiadała.

– Jeśli pan chce koniecznie wiedzieć, to tak, kocha się we mnie.

Zrobiło mi się zupełnie słabo.

– A ty w nim też? – spytałem ledwie dosłyszalnie, przytrzymując się brzegu wanny.

Znowu długa cisza. Umrę chyba...

– To już prędzej kochałabym się w panu – powiedziała raptem Ania ze złością.

Jakby mnie w pysk strzeliła. Podniosłem głowę.

– Przepraszam – powiedziała cała czerwona. – Nie chciałam pana obrazić.

Obrazić. Boże. Obrazić mnie nie chciała. Siedziałem na wannie zabity i pogrzebany tymi małymi rączkami, na zawsze zabity i naprawdę pogrzebany, a ona nie chciała mnie obrazić!

Zdałem sobie sprawę, że to koniec, koniec mrzonek, planów, marzeń, że ona zupełnie inaczej do tego wszystkiego podchodzi, że nie ma w niej nawet myśli o miłości, mogę się wypchać, mogę tu trupem paść, a i tak nic z tego nie będzie. Cześć pieśni.

Wytarłem ręce o czyste dzinsy i sięgnąłem po papierosa. Trudno, umrę to umrę, ale muszę zapalić. Ania cały czas stała w progu i raptem spytała cicho:

– Bardzo się pan na mnie gniewa?

Miałem ochotę ją po prostu spruć, miałem ochotę ją całować i powiedzieć jej wszystko, zanieść ją do sypialni i zgasić światło, a potem zwyczajnie umrzeć.

– Nie gniewam się – powiedziałem z trudem. – Powiedz, Aniu, czy według ciebie uczciwie jest wykorzystywać chłopaka, o którym wiesz, że

cię kocha i być może liczy na twoją wzajemność?

Długą chwilę przygryzała wargę.

– Nie do końca uczciwie – powiedziała powoli. – Sądzi pan, że o tym wszystkim nie myślałam? Przeciwnie, mam to już dawno przerobione.

– Co masz przerobione?

– Tę sytuację. Miałam dokładnie te same wątpliwości. Bardzo długo rozmawialiśmy z Michałem i Michał mnie porządnie opieprzył. Powiedział, że jego miłość to jego sprawa, że ja nie mogę się czuć za to odpowiedzialna, bo choć nie ma prawa zabraniającego komukolwiek miłości, to i nie ma prawa nakazującego kochać. Powiedział, że wie doskonale, że nigdy go nie pokocham, ale to wcale nie znaczy, że mam odrzucać jego przyjaźń i pomoc. I jeszcze, że to wszystko razem to nie jest handel wymienny, a jeśli tak myślę, to go obrażam. Rozumie pan, nie wszystko się robi dlatego, że się czegoś oczekuje w zamian od drugiej osoby.

Palił mnie potworny wstyd. Zgasilem papierosa pod kroplą wody.

– Chodźmy stąd na chwilę – powiedziała Ania. – Zrobię herbatę. A może woli pan kawę?

– Nie, herbata będzie w sam raz.

Po kawie serce by mi naprawdę wysiadło. W kuchni było przyćmione światło i poczułem się trochę lepiej.

– Pan nie cierpi Michała – stwierdziła nagle Ania. – Dlaczego?

Boże kochany, dlaczego? Co mam jej powiedzieć?

– Nie doceniłem Michała – powiedziałem cicho, czując, że choć to prawda, nie zmienia to faktu, że go nienawidzę. – Bałem się, że może cię jakoś skrzywdzić. Jesteś młoda, łatwo popełnić jakieś głupstwo, a chłopcy w tym wieku też raczej rzadko myślą.

– O, nie, – Ania się uśmiechnęła. – Michał by mnie nie skrzywdził. Michał jest wariat, czasem mam wrażenie, że mu zupełnie odpala, ale znam go bardzo dobrze i mam do niego pełne zaufanie.

– Skąd wiesz, że możesz mieć zaufanie? – spytałem prawie szeptem, bo głos odmawiał mi posłuszeństwa.

– Wiem – powiedziała po prostu Ania. – Michał powiedział mi kiedyś najpiękniejszy komplement, jaki kiedykolwiek słyszałam. Widzi pan, ta nasza znajomość to długa historia. Właściwie ciągnie się przez całą szkołę. Michał zakochał się we mnie od razu w pierwszej klasie. Wiedziałam o tym oczywiście, lubiłam go bardzo, ale nigdy nic do niego nie czułam. Potem

był taki okres, że przestał się mną interesować, no, w ten szczególny sposób, choć nadal pozostawaliśmy w przyjaźni. Potem... po śmierci moich rodziców bardzo starał się mi pomagać i byłam mu za tę pomoc wdzięczna. Widzi pan, my nie mieliśmy przed sobą tajemnic, rozmawialiśmy o wszystkim. Umieliśmy rozmawiać. Spytałam go wtedy, jak to jest, gdy najpierw się kogoś kocha, a potem przez jakiś czas nie. I czy gdy później wraca się do takiej osoby i znów jest się z nią bliżej, to i miłość też wraca?

Siedziałem bez ruchu, trzymając się dla odmiany stołu i bojąc się tak rozpaczliwie, jak tylko się można bać. Bałem się tego, co od niej usłyszę.

– I wtedy Michał mi tak odpowiedział – ciągnęła dalej Ania cicho i z namysłem. – Właściwie nie tyle odpowiedział, ile zaczął mi opowiadać taką historię: „Miałem kolegę i ten kolega miał ogromny sad. Pewnej zimy ten sad przemarzł, mróz dotknął wszystkie drzewa. Kolega sądził, że wszystko się zmarnowało i że drzewa trzeba będzie wyciąć. Żał mu jednak było i postanowił zaczekać do wiosny, żeby ocenić, jak duże są straty. Wtedy przysłała wiosna i cały sad zakwitł tak, jak nie kwitł jeszcze nigdy dotąd”. To wszystko.

Milczałem kompletnie wytracony z równowagi, zdruzgotany i nieszczęśliwy. Zdawałem sobie zupełnie jasno sprawę z tego, że jeśli kiedykolwiek Ania wybierze, to Michała.

Ona też milczała, tkwiliśmy w kuchni nad filiżankami herbaty w absolutnej ciszy.

– Dobrze, powiem panu wszystko – powiedziała nagle, odrzucając fale włosów z czoła. – Proszę, niech pan doceni to, że zwierzę się panu jak przyjaciółce. Chciałabym, aby pan do końca zrozumiał stosunki, jakie mnie łączą z Michałem.

Przyjaciółka milczała, bliska stanu apopleksji.

– Była taka noc na wiosnę zeszłego roku, gdy Michał został u mnie w domu.

Przepadło, przepadło już wszystko, skomlało coś we mnie, więc stało się...

– Wie pan, że stąd bardzo trudno wieczorem wyjechać – ciągnęła Ania. – Nie ma żadnej nocnej linii i gdy się jest bez samochodu, a przegapi się odjazd ostatniego autobusu, to nie ma wyjścia, trzeba nocować. Tak nocowało wielu moich znajomych, dom jest duży i nigdy nie było z tym problemu. Ale wtedy, gdy został Michał... Byłam tego dnia przybita i zgębiona, a nade wszystko umęczona nieustannym schodzeniem do pieca.

Teraz to luksus, wtedy był tu piec węglowy, w którym trzeba było przepalać co parę godzin. To był taki czas, że od wielu miesięcy nie udało mi się przespać spokojnie całej nocy i Michał powiedział, że zostanie u mnie i dopilnuje pieca, żebym się położyła i spała. Położyłam się istotnie, ale nie mogłam zasnąć. Przewracałam się ponad dwie godziny, wreszcie wstałam i poszłam do kuchni, żeby się czegoś napić. Miałam wtedy absolutne zero alkoholu, taka była umowa z moim psychologiem, więc nie poszłam strzelić sobie szybkiej sety, tylko po prostu na herbatę. W salonie paliło się światło, Michał też nie spał. „Michał”, powiedziałam, „to na nic i tak nie mogę zasnąć”. Wtedy on powiedział: „Chodź do mnie”. Przeraziłam się, powiedziałam: „Nie, Michał, proszę, ja nie chcę”, ale on roześmiał się tylko i powiedział szeptem „Ty głuptasie. Przysięgam, że nic ci nie zrobię. Chodź, po prostu przytul się do mnie. Nie masz pojęcia, jak uspokaja obecność drugiego człowieka”. I ja – Ania zacięła się – i ja rzeczywiście do niego przyszłam. Michał mnie objął, położyłam mu głowę na ramieniu, on trzymał mnie bardzo mocno, nie pocałował, nie dotknął, nie poruszył się, tylko cichutko śpiewał mi do ucha taką jazzową kołysankę. I usnęłam. – Ania podniosła na mnie oczy.

Wiedziałem, że muszę być blady jak trup.

– Czy teraz przestanie się pan wściekać? – spytała. – Powiedziałam panu wszystko, choć właściwie nie musiałam tego robić. Traktuję pana jak prawdziwego przyjaciela. Ale jeśli mamy być przyjaciółmi, to wyznanie za wyznanie. Dlaczego pan się tak strasznie wściekł?

Pomyślałem, że nie przeżyję tego wieczoru. Odpowiedź była bardzo prosta: dlatego, że cię kocham do szaleństwa i wariuję z zazdrości. Bardzo proste zdanie, którego nie mogłem powiedzieć. Ania milczała, patrząc wyczekująco.

– Nie mogę tego do końca wyjaśnić – zacząłem, ważąc każde słowo. W tej sytuacji nie było miejsca na żadne kłamstwa ani wybiegi. Szczerowość za szczerowość. – Myślę, że to z powodu sympatii, którą mam do ciebie. Zacząłem ci pomagać i wydawało mi się, że tylko ja mam na to monopol i nikt inny nie umie ci pomóc tak dobrze, jak ja. Bardzo to było głupie z mojej strony, przepraszam.

– A gdyby to nie był Michał? – Sondowała dalej Ania.

Boże jedyny, co jeszcze mam ukrywać, przecież ona już wszystko wie...

– Gdyby to nie był Michał, to pewnie nie aż tak, to znaczy... – urwałem, zdając sobie sprawę, że nie jestem w stanie normalnie sformułować zdania.

– Czy to znaczy, że jest pan zazdrosny? – spytała nagle.

– Tak, do jasnej cholery, jestem zazdrosny! – krzyknąłem, podrywając się z krzesła. – Masz rację, zachowuję się idiotycznie, jak kompletny szczeniak, o wiele mniej dorośle niż Michał. Tak, to prawda, jestem bardzo zaborczy, gdy chodzi o przyjaciół, to paskudna cecha, masz absolutną rację, przyrzekam, że nie będę się więcej wygłupiał, dziękuję ci za twoją szczerłość i za tę rozmowę, a teraz, proszę, wypuść mnie stąd, bo mnie za chwilę szlag trafi!!!

– Jezu – szepnęła Ania. – Przepraszam...

– To ja cię przepraszam! – wrzasnąłem i wypadłem za drzwi, o mało nie urywając klamki.

Wystartowałem tak, że spod kół samochodu trysnął żwir i uderzył o pręty bramy.

Opamiętałem się w jakiejś ciemnej uliczce, kompletnie nie wiedząc, gdzie jestem i jak tu dojechałem, wciąż miałem jeszcze mgłę na oczach, a w sercu przerażającą świadomość, że właśnie straciłem wszystko. Zachowałem się strasznie, w dodatku w sposób całkowicie jednoznaczny, wszystkie karty zostały odkryte i wiedziałem, że przegrałem. Co z tego, że miałem fulla, Ania przebiła go kareta, swoją piękną kareta zaprzęzoną w cztery konie i mogłem iść się powiesić.

Zacząłem szukać jakiejś kwiaciarni. Sklepy były jeszcze otwarte, ale żadna kwiaciarnia nie chciała się podjąć tego, czego żądałem w sposób absolutnie kategoryczny. Wreszcie, przepłacając potwornie, znalazłem chłopaka, który zgodził się teraz zaraz jechać pod wskazany adres i doręczyć kwiaty z listem. Kupiłem dwadzieścia dziewięć różowych róż, kazałem zapakować i opanowując drżenie ręki, napisałem kilka słów do Ani.

Ponieważ chłopak przysięgał, że zaraz wszystko zawiezie, mogłem wrócić do domu, by rozpaczać.

Nazajutrz nie miałem lekcji z Anią i przemykałem chyłkiem, by jej nie spotkać, ale sama do mnie podeszła.

– Dziękuję za kwiaty – powiedziała po prostu. – Wiem, że był pan ze mną szczerzy i bardzo się z tego cieszę, bo to znaczy, że naprawdę jesteśmy przyjaciółmi.

A potem dodała, powstrzymując uśmiech:

– Zostawił pan u mnie kompletnie rozkręcone kolanko...

25 stycznia

– A właściwie dlaczego odszedłeś z firmy Garlickiego? – spytałem Mikię, gdy już wreszcie udało nam się umówić na tę długo planowaną wódkę.

Moryc wykręcił się, twierdząc, że on w zasadzie nie pije, a Emilki nie odważyłem się zaprosić.

Miki lubił się napić prawie tak samo, jak ja, tylko ustaliliśmy bardzo uroczyście, że tym razem już żadnych bójek. Zresztą i towarzystwo było tu inne, siedzieliśmy w modnej, nowo otwartej knajpie w samym centrum, niedaleko naszego dawnego miejsca pracy, stąd pewnie obudziło się we mnie to wspomnienie.

Miki odgarnął włosy z czoła niecierpliwym ruchem, z pewną nieporadnością, która zawsze podobała się kobietom.

– Wiesz – powiedział z namysłem – to trudne pytanie. Złożyło się na to wiele czynników. Raz, że... – urwał na chwilę i przypatrzył mi się badawczo.

Byliśmy już po kilku dobrych kolejkach, ale obaj mieliśmy mocne głowy.

– Byłem zazdrosny o ciebie – powiedział nieoczekiwanie.

– Zazdrosny? – zdumiałem się. – Jak to? O co?

Podniósł kieliszek zapraszająco, więc podniosłem swój w odpowiedzi i wypiliśmy.

– O Garlickiego – powiedział w zadumie Miki. – O to, jak cię faworyzował, jaki byłeś dla niego... ważny. Dla nikogo nie był taki, jak dla ciebie. Uwielbiał cię, szanował, dawał najpoważniejsze zlecenia... Ja wiem. Wiem, jaki masz mózg, wiem, że to było, no... słuszne. Jedyne, słuszne i zbawienne, pewnie nikt inny nie dałby sobie z tym rady, ale wiesz...

– Proszę cię – powiedziałem słabo. – Naprawdę tak to odbierałeś?

– No, tak. Trudno było inaczej. Stary był niewątpliwie pod twoim urokiem.

– Z wzajemnością – powiedziałem gorzko.

Rzeczywiście, traktowałem go trochę jak ojca i dlatego tak bolało to wszystko, co wydarzyło się później.

– No właśnie – powiedział Miki i odstawił kieliszek.

Popatrzyliśmy na siebie.

– I gdy ten facet, mając takiego pracownika, takiego oddanego sobie człowieka, dającego sobie flaki wypruć, gdyby zaszła potrzeba, tak się zachowuje... Zamiast cię wspierać, odcina się od ciebie, zamiast cię zrozumieć – wyrzuca, bezwzględnie, bez namysłu, to co ja mam o nim sądzić? I to z kim tak postępuje? Ze swoim beniaminkiem. To jak się zachowa w stosunku do zwykłego pracownika? Jakim trzeba być zasranym purystą, jak trzeba być ściśniętym w dupie, żeby nie umieć oddzielić tego, co ważne, od bzdury niewartej uwagi? Rozumiesz?

Pomyślałem, że nikt tego tak dobrze nie rozumie, jak ja. A potem zdałem sobie sprawę, że Miki mnie naprawdę wzruszył.

– I wtedy zrozumiałem – powiedział – że nie warto być zazdrosnym, a przede wszystkim nie warto zabiegać o jego sympatię. Bo to zwykły gnojek. Bo jak przychodzi moment próby, to on tej próby nie zdaje. Więc kim jest? Mentorem, opiekunem, charyzmatycznym wodzem czy tępym pracodawcą? Charyzmy nie kupisz. Musisz ją sobie wypracować. A takie zachowanie... przekreśla wszystko. Więc nie warto poświęcać dla takiego człowieka życia, niczego nie warto poświęcać. Poza tym... – urwał.

Pospiesznie nalałem mu kolejny kieliszek.

– Co ty, chcesz mnie upić? – Uśmiechnął się krzywo.

Sobie też nalałem bez słowa.

– Co poza tym? – spytałem.

– Zapieprz się tam zrobił taki, że to było nie do wytrzymania – powiedział cicho Miki. – Ciebie już nie było, nie było się z kim pośmiać, reszta zasuwała jak szczury napędzane karierą, forszą, sławą, chuj wie, czym tam jeszcze... W pewnej chwili popatrzyłem sobie na to tak z boku i powiedziałem – stop. Beze mnie. Pana Boga już nie było na wysokościach, został ponury urzędnik, ekonom z pejczem, a ja się nie nadaję na chłopca pańszczyźnianego. Na budowniczego piramidy tym bardziej. No to się zacząłem rozglądać, trochę wysyłać CV i tak trafiłem na Zdanowskiego i bank.

– Czyli Emilki i Maurycego nie znałeś przedtem?

– Nie, przecież ci mówiłem. My wszyscy jesteśmy z naboru. Tylko ty wszedłeś drogą... powiedzmy... znajomości. – Uśmiechnął się do mnie.

– Dziękuję ci, Mikołaj – powiedziałem poważnie. – Chcę, żebyś wiedział, jakie to dla mnie ważne, że byłeś zawsze po mojej stronie. Wtedy, gdy Garlicki egzorcyzmował po mnie budynek, a moje imię uległo *damnatio memoriae*¹⁸ – ty jeden nie wyparłeś się mnie jak tamci...

– Nikt się ciebie nie wyparł – przerwał mi Miki stanowczo. – Wtedy, jak cię stary wyrzucił, wszyscy z zespołu stanęli za tobą, do Garlickiego chodziły delegacje w twojej obronie. Nic nie było w stanie zmiękczyć skurwysyna...

– Naprawdę? – zatknęło mnie. – Nie gadaj? Serio?

– Serio. Wszyscy byli po twojej stronie, bo przecież każdemu mogło się to zdarzyć. Mało to razy laliśmy się po knajpach? Po prostu miałeś pecha. Rozumiesz? To był pech, a nie przestępstwo... a Garlicki zrobił *auto-da-fé*¹⁹. A właściwie *auto general da fé*²⁰. – Uśmiechnął się krzywo. – Nikt się z tym nie umiał pogodzić.

– Nie wiedziałem – szepnąłem.

Gdybym wiedział, o ileż byłoby mi lżej. Gdybym wiedział, że ktoś za mną stanął, normalnie, po ludzku. Nie mam pojęcia, co Kur...ssski powiedział Garlickiemu, bo coś mu przecież powiedział. Nie wiem, w jakim świetle mnie przedstawił, jak bardzo obciążył tą sprawą, jak ją wyolbrzymił... Wciąż czułem żal, że Garlicki uwierzył. Bez wahania, bez pytania mnie o cokolwiek, bez dania mi prawa obrony. Nie mogłbym się obronić, ale... nawet nie dostałem takiej możliwości. Za to, jak się okazuje, zespół był wierny. Zespół nie mógł zrozumieć i pogodzić się z tym, co wydawało się jawną niesprawiedliwością. Jak dobrze, że Miki mi o tym powiedział.

– Dzięki – szepnąłem znów z trudem, bo gardło miałem ściśnięte, i to nie wódka, tylko czymś, co było już prawie szlochem. – Dzięki, że mi to powiedziałaś. Myślałem...

– Co, idioto? Myślałaś, że ludziom było to obojętne? Serio tak myślałaś? No to wiedz, że najpierw ocknąłem się ja, potem Kula, Adaś, potem chyba Sandra i tak po kolei, jedno po drugim stwierdzaliśmy, że to chyba nie miejsce dla nas... Kurwa, co robisz? – podskoczył.

Nic nie zrobiłem. To znaczy chyba za mocno ścisnąłem kieliszek, bo rozsypał mi się nagle w palcach. Wewnątrz dłoni i po nadgarstku poleciała mi ciepła strużka krwi.

Miki prędko podał mi stos papierowych serwetek.

– Kurwa, co ty jesteś taki melodramatyczny? – spytał i parsknął śmiechem. – Rozumiem, stary, że się wzruszasz, ale naprawdę nie musisz się wykrwawiać.

– Sorry – powiedziałem, patrząc ze zdziwieniem na własne palce. – Jakoś tak wyszło. Efekt niezamierzony. Trochę mnie poruszyło to, co

powiedziałeś.

– Dobra, ale się nie tnij. Bo zaraz będziemy tu mieli kolejne zbiegowisko. Pokaż łapę. Jakies szkło ci tam nie zostało?

Obejrzał mnie nawet fachowo, bardzo delikatnie wyjął mi z palca dwa spore kawałki i zacisnął mocno ranę papierową serwetką. Byliśmy już nieźle na gazie, więc ta niespodziewana pomoc medyczna, w dodatku zupełnie przytomna i skuteczna, wprawiła mnie w prawdziwy podziw.

– Kurczę, dobry jesteś – powiedziałem szczerze. – Ja po tylu kieliszkach nie dałbym rady trafić własną ręką do własnego tyłka, a co dopiero wyjmować komuś z łapy szklane okruchy.

Miki zaśmiał się niefrasobliwie.

– Ja też ledwo trafiłem – wyznał łobuzersko. – Ale jak zobaczyłem, że tak siedzisz i gapisz się na własne paluchy jak szpak w pizdę, to mnie ruszyło, bo sam byś sobie tego nie powymował. Rano jeszcze obejrzyj, czy nic nie zostało. To co, strzemiennego?

– Czekaj – powiedziałem, czując, że język trochę mi się płacze. – Jeszcze ci nie złożyłem podziękowań i tych tam... wyrazów...

– Wyrazów to mi może nie składaj. – Znów się zaśmiał. – Co, język ci się rozwinął przy Emilce? Niezła jest, co?

– Niezła – przyznałem. – Przedtem znałem tylko jedną dziewczynę, która tak potrafiła kłąć...

Wspomnienie Majki przeleciało przeze mnie tym razem bezboleśnie. Bez skurczu w krtani, bez skurczu serca. Majki nie było, skończyła się już dawno temu i moja pamięć też chyba zaczęła pomalutku wychodzić na prostą.

Spojrzałem przez stół na Mikię i uderzyła mnie nagła zmiana w jego twarzy. Przez moment wydała mi się zupełnie przytomna, lodowata, obca, wykrecona jakimś dziwnym grymasem. Przez chwilę, ułamek chwili, wyglądała jak skurczony pysk psa... Drobne, poprzeczne fałdki na nosie i obnażone zęby... I w tym momencie zdałem sobie sprawę, że Miki się po prostu uśmiecha. Byłem nawalony w trzy dupy, on też, a stół między nami pełen był rozlanego alkoholu, potłuczonego szkła i mojej krwi.

– Wszystko w porządku? – spytał młody chłopak, który pełnił obowiązki kelnera, a w każdym razie tak mi się wydawało.

– Poprosimy jeszcze dwie setki – powiedział Miki. – I czy dałoby się to posprzątać?

Po chwili po szkle, krwi i kałużach na blacie nie było już śladu i nie było śladu w moim umyśle po tym dziwnym wrażeniu, maleńkiej delirce, która zaczynała zdarzać mi się w takich sytuacjach z jakąś... niepokojącą systematycznością.

26 stycznia

Rozmowy, rozmowy, rozmowy...

Wciąż z wszystkich stron otoczony jestem przez słowa – wymieniam je z Mikim, Emilką, Leszkiem, Piotrkim... Kim bylibyśmy, gdyby nie było rozmów między nami? Błahych rozmów, ważnych rozmów, po prostu rozmów...

Słów, które niosą treści. Emocje. Przeżycia. Kłamstwa.

Słów, które odkrywają prawdę. Wchodzą do serca dżungli...

Rozmowy z Anią potrafiły zmienić się w nieoczekiwane przeżycie, jeśli chciała to zrobić, a umiała i chciała często. Nie, nie zawsze, czasem rozmowa ślizgała się lekko, czułem, że jest w Ani jakiś próg, przez który nie puszczała mnie dalej, może z obawy, a może z braku nastroju. Ale i bywały chwile, gdy zniecka otwierała się łagodnie, jak muszla o różowych krawędziach, spadzista krawędź, za którą była już tylko fosforyzująca perła.

Potrafiłem rozmawiać z kobietami, wiedziałem, że aby uznały mężczyznę za interesującego, trzeba umieć ciekawić się tym, co je ciekawi i trzeba umieć rozmawiać o ich problemach, ale w rozmowach z Anią nigdy nie musiałem zadawać gwałtu swej inteligencji. Przeciwnie – to ona czasem chwytała coś, co w rozmowie ledwie było napoczęte, jakiś cień myśli, do której nie przywiązywałem wagi, a który ona potrafiła raptem rozwinąć w coś, co grało humorem, inteligencją, przenikliwością i głęboką mądrością, ale było wzięte tak naturalnie, spontanicznie i pozornie lekko, że nie ciążyło patosem, umęczoną powagą czy banałem.

Potrafiła raptem uruchomić w sobie niebywałą ciekawość – ciekawość problemu, ciekawość dojścia do sedna rzeczy pozornie błahych, które okazywały się czymś ważnym, prawdą o zakamarkach ludzkiej wrażliwości, o nieprzeczutych możliwościach, tkwiących na granicy pomiędzy umysłem a sercem, w tym niewielkim zakątku człowieka, który prawdopodobnie można nazwać duszą. I w obliczu którego sam rozum był bezradny i samo serce niewystarczające – potrzebna była ta styczność, by zapaliła się iskra.

Ania bywała zabawna, urocza, wzruszająca, ale i głęboko mądra, nie mądra osadem wyuczonej wiedzy, czymś, co nazywała cywilizacją, ale mądrością intuicyjną, darowaną jak pałeczka sztafetowa przez pokolenia, darem, bez którego nie ma mądrości w ogóle. Tyle odwagi formułowania i otwarcia na rozmówcę nie znalazłem przedtem nigdy, w żadnej kobiecie. Rozmowy z Anią nie były proste, ale ona sama potrafiła być cudownie świeża i właśnie prosta, nigdy prostacka, ale prosta, spontaniczna i naturalna, co pozwalało takie trudne rozmowy prowadzić bez przymusu, bez wstydu i bez strachu.

Ania bawiła się słowem, śpiewała słowem i słowem opowiadała o najczystszej poezji. Nie wahała się przed słowami, nigdy nie było w niej drobnomieszczańskiej „przyzwoitości”, tego ograniczenia czerpania z bogactwa języka słów uznawanych przez ludzi małego ducha za niemoralne czy wstydlive. Nie znaczy to, by przeklinała. Ale znała wagę słów, ich ciężar gatunkowy i umiała robić z nich użytek.

Wiedziałem też z całą pewnością, że te rozmowy są dla niej ważne i że nie z każdym pozwoliłaby sobie na taką swobodę. Była jak czuły odbiornik nastawiony na odpowiednią częstotliwość, który przechwytywał sygnały interlokutora i to musiała być odpowiednia osoba. A my nadawaliśmy na tych samych falach.

Był w tym zachwyt i odwaga, i szczęście porozumienia, wzajemne pobudzanie się do coraz większych wysiłków, odsłaniania głębszych tajemnic, docierania do wspólnych krajobrazów, które raptem odkrywały się we mnie i w niej, gra na pograniczu magii i metafizyki, cud stający się na naszych oczach.

Nigdy nie lubiłem przeintelektualizowanych pań, natchnionych oratorek, onanizujących się w dyskusjach na temat dyskusji, bez śladu dotarcia dokądkolwiek, wałkujących z bezwzględny poczuciem ważności własną próżnię duchową, ale nigdy nie natknąłem się na coś takiego w trakcie rozmów z Anią. Miała zbyt dużo poczucia humoru, zbyt wiele inteligencji i właśnie mądrości, by obniżyć poziom do bełkotu o pustce, poza tym w niej nie było pustki.

Była w niej puszcza.

Swobodna, groźna, znająca prawa przyrody i ulegająca im, tajemnicza i niepokojąca, ale i imponująca zarazem swym przepychem, odwiecznością i głęboką uczciwością na miarę praw boskich, która trzymała ten bezmiar w ryzach, nie pozwalała, by rozbestwił się nadmiernie, która porządkowała i

pozwalala czerpac z bogactw bez strachu przed mozlivością wymknięcia się spod kontroli.

18 łac. potępienie pamięci

19 port. akt wyroku inkwizycji, podczas którego jedynie czytano wyroki skazańcom.

20 port. końcowy etap procesu inkwizycyjnego, czyli egzekucja

28 stycznia

– Na początku było słowo i w słowie były dwa bajty i więcej nic nie było – powiedział w zamyśleniu Miki. – I oddzielił Bóg jedynkę od zera i zobaczył, że to było dobre...

– A co ty wpadłeś w taki biblijny nastrój? – spytałem z zainteresowaniem.

Siedzieliśmy wszyscy trzej na swoich stanowiskach, Emilki nie było.

– Dodaję sobie ducha – powiedział bezczelnie Miki. – Bo coś czuję, że to wszystko skończy się katastrofą. Co wy właściwie z Emilką robicie?

– Tworzymy coś, co potem będziesz mógł nieodwołalnie zepsuć – westchnąłem.

– Że tworzycie, to może być. Tylko pamiętaj, że potem ona po dziewięciu miesiącach będzie musiała pójść na urlop macierzyński...

– No to na szczęście moduł już będzie napisany – powiedziałem pogodnie.

Byliśmy właśnie po wizycie kontrolnej Rafała Trzeciaka, który koniecznie chciał się dowiedzieć, co słychać na froncie robót. Front był całkiem nieźle uformowany, zaczęliśmy pisać moduły. Tablica korkowa w naszym pokoju zniknęła już zupełnie pod ilością przypiętych do niej karteluszków, wydruków, ręcznie wyprowadzonych wzorów, głupich zdjęć i jeszcze głępszych napisów. Ostatnio wielką kartkę Emilki, na której było napisane: „Don't make me flip my bitch switch”²¹, przysłoniliśmy równie wielką grafiką, przypominającą o terminie. Moryc napisał datę – 31 marca, podpisaną DEADLINE i poprowadził od niej rząd kropeczek, wiodący do kolejnego napisu – Zespol.zip. Był to skrót myślowy naszych debilnych żartów, idących prostymi skojarzeniami – deadline, śmierć, grób. Zip naturalnie oznaczał spakowanie zespołu w jedną trumnę, ale ta przenośnia chyba przekraczała umysłowe możliwości Rafała, bo stał tak długo przed kartką, że wreszcie Maurycy parsknął zduszonym śmiechem.

– Hańba ci, Moryc – powiedział Miki, zupełnie nie przejmując się obecnością Rafała. – Nie wolno wyśmiewać się z dziwołagów.

Cytat z *Madagaskaru* rozłożył nas kompletnie, Rafał niestety wyszedł ścigany huraganem śmiechu, wściekły jak furia.

– A gdzie Emilka? – zainteresował się Miki. – Często się tak spóźnia?

Emilka się nie spóźniała. Zawsze gdy przyjeżdżałem po lekcjach do banku, ona już siedziała na miejscu, więc teraz byliśmy zdziwieni.

– Ale serio, na jakim jesteście etapie? – spytał Moryc. – Bo wiesz, Rafała możemy spuszczać, ale zaraz nie pozbieramy się czasowo.

To była prawda. My z Emilką musieliśmy zakończyć pierwszy etap – algorytm działania programu i potem stworzyć jego wszystkie moduły, a dopiero całość mogła pójść do integracji i testów. Koncepcja była zakończona. Praca nad modułami trwała. Miki i Moryc opracowywali wstępnie panel. Wszystko rozkręcało się w naprawdę dobrym tempie i wiem, że cisnęli mnie tylko po to, żeby mieć potem więcej czasu na swoją część. Niestety, niczego nie dało się przyspieszyć, bo ustaliliśmy z Emilką, że będziemy każdorazowo sprawdzać w module drugiej osoby poprawność kodu. Taka podwójna weryfikacja dawała szansę wyłapać choć w części jakieś błędy czy miejsca, gdzie moduł, względnie jakaś jego część, się wyklada.

Obecnie ja pisałem obsługę procesów, a Emilka moduł, który sprawdzał komunikację zewnętrzną. Nie było rady, wymagało to czasu.

– Musicie nam dać chwilę – powiedziałem Mikiemu.

– Taaa... kreatorzy z bożej łaski – mruknął Miki złośliwie.

– Dwa wielkie mózgi się zmarszczyły – dodał równie złośliwie Maurycy.

– To sami się zmarszczcie. Zobaczymy, co wam wyjdzie – odgryzłem się i w tym momencie strzeliły gwałtownie otwarte drzwi.

Emilka stała w progu w swoim skórzanym motocyklowym uniformie. Takiej furii jeszcze u niej nie widziałem.

– Hej, Emilka – powiedział niepewnie Moryc, który bał się jej najbardziej z nas wszystkich.

– Omal mnie, kurwa, nie zabił – powiedziała Emilka przez zaciśnięte zęby. – Ślepy chuj. Na pełnej kurwie wpierdalał się na skrzyżowanie.

– Wyluzuj – powiedział uspokajająco Miki, odbierając jej kask. – Na cholere jeździsz motorem w taką pogodę?

– Będę jeździła tym, czym będę chciała! Odpierdol się.

Położyliśmy wszyscy uszy i zostawiliśmy ją w spokoju. Emilka siadła przy swoim kompie, wyjęła służbową komórkę i zaczęła pisać SMS, w czym absolutnie nie odważyliśmy się jej przeszkadzać, nawet gdy jego długość zaczęła zbliżać się do objętości *Trylogii* Sienkiewicza.

– To my już pójdziemy – powiedział pospiesznie Moryc. Obaj z Mikim podnieśli się, poklepalili mnie współczująco po ramieniu i wyszli.

Zostałem sam na sam z Emilką, ziejącą wściekłością jak wulkan.

– No proszę cię – powiedziałem pojednawczo. – Spuść trochę dymu z uszu, bo naprawdę nie mogę pracować w takiej zagęszczonej atmosferze.

– „Twoje porażki z sobą to nie jest mój problem” – odparła tekstem jakiegoś zespołu rapowego, nie pamiętałem którego, bo wszystkie mi się myliły. Emilka była fanką rapu i puszczała go w pokoju ustawicznie, aż wreszcie pokonany kupiłem jej słuchawki, bo ciężko to było w takim natężeniu wytrzymać.

– Czy mogę się podpiąć pod twój port USB? – spytałem niewinnie.

– Wal się – odparła ponuro. – Jak jeszcze raz będziesz mnie molestował seksualnie w pracy...

Połapałem się, że rzeczywiście można było temu pytaniu nadać seksualny wydźwięk i zacząłem się śmiać, niestety Emilkę rozjuszyło to jeszcze bardziej.

– W pracy nie – powiedziałem pogodnie. – Ale może umówilibyśmy się kiedyś do jakiejś knajpy? Co o tym myślisz?

Chciałem z nią trochę pogadać na gruncie prywatnym, przegryźć się przez szczelną powłokę profesjonalizmu i dotknąć jakichś głębszych rejonów. Nie miałem naturalnie na myśli podrywu, po prostu czułem do Emilki sympatię, mimo że mało dawała mi do tej sympatii powodów.

– Tak, do knajpy – powiedziała pogardliwie. – Z matematykiem. Żebyś mi zaczął opowiadać o nieskończeniu wielowymiarowych przestrzeniach liniowo-topologicznych...

– Nie, będę ci opowiadał o wyróżniku trójmianu kwadratowego, popularnie zwanym deltą. Przestań. Naprawdę masz taką opinię o matematykach? A ty co skończyłaś?

– A co cię to obchodzi? – odpowiedziała pytaniem. – Na pewno nie MIM UW.

MIM UW to był skrót mojego wydziału – Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego, skrót był popularny, ale zdziwiło mnie, że ona wie, co skończyłem.

– No, co się tak gapisz? – spytała.

– Nie szalej – powiedziałem ugodowo. – Jak pójdziesz ze mną do knajpy, to przysięgam, że nie powiem słowa o matematyce.

– Wiesz co... – zawahała się. – OK. Ja teraz piszę moduł sprawdzający...

– No, pamiętam.

– Jak skończę, to dam ci do weryfikacji. Wiem, że to trochę potrwa, bo ty nawet przy obliczeniach dwa plus dwa czekasz parę sekund, żeby

zbuforować wyniki. – Kapała po prostu złościwością. – Ale jak znajdziesz jakikolwiek błąd, to nie ty mnie, tylko ja ciebie zapraszam na wódkę. Stoi?

Spojrzałem na nią.

Była śliczna, delikatna, charakterna, mądra, twórcza, złośliwa, słodka, ale nic mi przy niej nie stało...

– Stoi – powiedziałem głośno, wbrew oczywistym faktom.

29 stycznia

W najbliższą sobotę będzie w naszej szkole studniówka.

Nie wiedziałem właściwie, czy iść, gdyż podejrzewałem, że Ania nie pójdzie. Ale gdy spotkaliśmy się w czwartek, Ania spytała raczej twierdząco:

– Przyjdzie pan na naszą studniówkę, prawda?

– A ty?

– Właśnie tak się wahałam, wahałam i... chyba tak. Co prawda nie byłam jeszcze na żadnej imprezie, to znaczy takiej tańczonej, od śmierci rodziców... Z drugiej strony studniówkę ma się tylko raz w życiu.

– Pewnie. Koniecznie powinnaś pójść.

– Ale pan będzie?

– Jak ty pójdziesz, to ja też.

No i bęc. Przepadło.

Problem dręczy mnie taki raczej kobiecy, gdyż za cholerę nie mam w co się ubrać. Na dobrą sprawę nie mam żadnego porządnego garnituru, ostatni tego typu sprzęt sprawiłem sobie na własną maturę, potem już całe życie zdawałem egzaminy i broniłem się w codziennych marynarkach, jedynym ukłonem w stronę powagi chwili był krawat. Ale teraz powinienem przyodziać się jakoś bardziej uroczyście, a jedynym uroczystym strojem, jaki posiadam, jest smoking. Autentyczny smoking i nawet nieźle w nim wyglądam, ale obawiam się, że wszyscy wezmą mnie za idiotę, gdy przybędę w nim na studniówkę.

Starłem się jakoś podpytać kumpli ze szkoły, męczyłem Darka, argumentując, że przecież pracuje tu już ponad dwa lata, uczestniczył w tutejszych studniówkach i niewątpliwie musiał się zorientować, jak się ubrać. Darek powiedział, że on zakłada garnitur, a potem machnął ręką i wyznał z rezygnacją:

– Stary, co założysz, to będzie dobrze. Możesz nawet przyjść we fraku i lakierkach, albo na bosaka i w prześcieradle. Chyba się już zorientowałeś,

że tu wszyscy są pomyleni.

Wojtek zdecydował, że też przyjdzie w smokingu, a pani Barska, która musiała słyszeć, jak dyskutujemy w kacie, powiedziała:

– Ależ oczywiście, panie Pawle. Smoking będzie jak najbardziej na miejscu.

Pomyślałem, że musi mieć niezły ubaw i się poddałem. Wiedziałem, że będę się czuł nieco idiotycznie, ale przecież nie przyjdę w dzinsach i koszulce w kratkę...

W przeddzień zadzwoniłem do Ani.

– Aniu, czy jesteś już z kimś umówiona, czy mam po ciebie przyjechać?

– Nie jestem, ale naprawdę...

– W takim razie jesteś umówiona ze mną. Przyjadę po ciebie o piątej. I odwiozę cię potem do domu.

– Dziękuję.

Przed samym wyjściem wpadłem jeszcze do mamy, żeby uzyskać ostatni szlif, a właściwie, żeby mi pomogła zawiązać tę cholerną muszkę. Krawat mam opanowany bezbłędnie, i to na różne sposoby, ale muszka to już wyższa szkoła jazdy.

Mucha była przepisowo czarna, skarpetki też, od obuwia bił blask i zacząłem się gorączkowo zastanawiać, czy powinienem przywieźć Ani jakieś kwiecie. Potem jednak uznałem, że to nie amerykański bal szkolny i nie muszę przybywać z obowiązkową orchideą.

Ania wyskoczyła do furtki w lekkiej kurtce narzuconej na ramiona, popędziłem ją szybko z powrotem do domu, bo bałem się, żeby się nie zaziębiła.

– Może pan na mnie chwileczkę poczekać? – zawołała. – Proszę sobie włączyć muzykę i niech pan absolutnie nie bierze Zadymy na kolana, bo strasznie wyłazi jej futro i będziemy potem cały wieczór pana czyścić. Świetnie pan wygląda w tym smokingu! Przepraszam... – I poleciała.

Zadyma usposobiona była nad wyraz romantycznie i uniemożliwiała mi wszelkie próby usadowienia się gdziekolwiek, gdyż od razu próbowała na mnie wskakiwać. Włączyłem Sinead O'Connor i słuchałem, spacerując w kółko, podczas gdy cholerna Zadyma nie odstępowała mnie na krok i ocierała mi się o nogawki. Miałem ochotę wziąć ją za kark i wystawić za drzwi, ale bałem się, że tak potraktowana może się obrazić i w przyływie podłego humoru zasikać Ani cały dom, gdyż już zdarzało jej się w ten sposób wyrażać swą dezaprobatę.

Pierwsza strona płyty dobiegała właśnie końca, Sinead śpiewała cudowne *Never get old*, gdy Ania stanęła w progu. Pomyślałem, że według wszelkich sentymentalnych wzorców powinna właściwie spływać po schodach, unosząc w palcach pierwszą długą suknię balową, podczas gdy ja powinienem czekać u podnóża stopni, unosząc ku niej zachwyconą twarz.

Właściwie jedynie to ostatnie było możliwe do zrealizowania, tyle tylko, że nie patrzyłem do góry, za to zachwyty niewątpliwie udało mi się osiągnąć bez trudu.

Ania ubrana była w czarną matową sukienkę, prześliczną, niezwykle prostą i przez swą surowość wyrafinowaną do granic. Sukienka miała maleńki skromny dekolt, proste, dość wąskie rękawy, a potem lekko rozszerzała się, układając się miękkimi, zwiewnymi fałdami i sięgała do połowy ud.

Ania uczesana była w kok i miała delikatny makijaż, była tak śliczna, że na chwilę zabrakło mi tchu.

– Czy tak dobrze? – spytała i okręciła się szybko w kółko.

Sukienka zafurkotała, odsłaniając prawie całe nogi, od czego zrobiło mi się już zupełnie miękko w kolanach.

– Ślicznie – powiedziałem. – Ślicznie wyglądasz. I masz przepiękną sukienkę.

– Dziękuję. – Ania się uśmiechnęła. – A z tyłu ma taką śmieszoną łezkę, o, widzi pan?

Pomyślałem sobie, że awansowałem właśnie do roli psiapsiółki, z którą omawia się w najdrobniejszych szczegółach fragmenty garderoby, gdy odwróciła się i zademonstrowała mi ową śmieszoną łezkę.

Było to wycięcie, istotnie w kształcie pionowej łzy, u dołu pleców. W wycięciu tym prześwitywała naga skóra Ani, dokładnie w miejscu lekkiego wygięcia kręgosłupa w części lędźwiowej, delikatny blask skóry i złotawy puszek...

Teoretycznie było to absolutnie niewinne, w istocie perfidia pomysłu ścięła mnie niemalże z nóg. W ułamku sekundy zdałem sobie sprawę, że wycięcie przypada idealnie w tym miejscu, w którym zazwyczaj opiera się ręka mężczyzny w tańcu, pieprzone wycięcie po prostu prowokowało, by wsunąć w nie dłoń i pieścić nagie plecy Ani. Zacząłem się zastanawiać, czy zrobiła to celowo.

– Śmieszne, prawda? – spytała lekko.

Bardzo śmieszne. Och, ona chyba nie zdaje sobie z tego sprawy...

– Bardzo przewrotne – odparłem po chwili.

– Przewrotne? – zdziwiła się. – Dlaczego?

– Powiedz, tańczyłaś już w tej sukience?

– Nie. Dziś mam ją pierwszy raz na sobie. To inauguracja. Ale co to ma do rzeczy?

– Zobaczysz.

– Och, nie. Proszę, niech mi pan powie!

Spojrzałem na nią, chyba trochę spode łba. Podeszedłem szybko, stanąłem naprzeciwko.

– Proszę, wyobraź sobie, że ze mną tańczysz... – Wziąłem ją za rękę, drugą dłonią objąłem ją w pasie.

Nie myliłem się. Ręka znalazła się dokładnie w miejscu wycięcia. Na sekundę ją tam wsunąłem, poczułem jak przechodzi przeze mnie szereg dreszczy i gwałtownie cofnąłem dłoń.

– Dlatego – powiedziałem cicho do Ani, wciąż trzymając ją w objęciach.

Potem odstałem szybko dwa kroki do tyłu.

Ania stała okropnie zmieszana i przygryzała dolną wargę, bliska łez.

– O Boże... W ogóle mi to nie przyszło do głowy. I co ja mam teraz zrobić? Nie mam innej sukienki.

– Załóż coś pod nią – poradziłem. Już się na nią nie złościłem, zrobiło mi się jej żal. – Coś czarnego.

– Ma pan rację. Tylko będzie pan musiał jeszcze chwilę poczekać, bo oczywiście przy zdejmowaniu sukienki rozleci mi się kok, więc to trochę potrwa. Boże, wiem, że jestem beznadziejna.

– Och, ty dzieciaku – szepnąłem z trudem, bo niestety opanowała mnie wizja zdejmowania sukienki i rozlatywania koka... opadania kolejnych warstw włosów na nagie plecy... na proste ramiona... na piersi o sutkach jak różowe stokrotki... Potęga niespodziewanej erekcji była już chyba nie do ukrycia. – No, leć – dodałem jeszcze słabiej, by usunąć ją choć na moment z pokoju.

– Ale pan jest nieco konserwatywny w poglądach, nie uważa pan? – spytała przekornie.

Tak, bardzo jestem konserwatywny...

– A ty jesteś taka wyzwolona, że chciałabyś, żeby ci tam każdy pakował łapę? – spytałem.

– NIE! Przecież pan widzi, że natychmiast stosuję się do pana zaleceń, bez szemrania i z podziwu godnym pośpiechem. Ale co, podroczyć się nie

można? – spytała filuternie i uciekła.

Ania zachowywała się dziś zupełnie inaczej niż zwykle, wiedziałem, że jest podniecona zabawą, pierwszą od półtora roku, była tak kusząca i zalotna, że pomyślałem, iż będę musiał mocno się trzymać. Takiej Ani jeszcze nie znałem i bałem się, że siła jej kobiecości zniszczy mnie w jednej chwili.

– Czy teraz już dobrze? – usłyszałem jej głos.

Istotnie założyła pod spód coś czarnego, ale przetykanego srebrną nitką, dzięki czemu wycięcie mieniło się tajemniczo.

– Nie chciałam tak do końca zrezygnować z pomysłu – wyjaśniła przez ramię. – Chcę, żeby to wycięcie było widać, ale żeby straciło wydźwięk erotyczny. Czy teraz już straciło wydźwięk erotyczny?

Pomyślałem, że zaraz przyleję jej w tyłek.

– Straciło – powiedziałem. – Chodź, Aniu, bo jak tak dalej pójdzie, to ominie nas polonez.

– Nie ominie. – Roześmiała się. – Pan o tym jeszcze nie wie, ale na początku jest część artystyczna, myślę, że może się przeciągnąć.

– Jaka znów część artystyczna?

Ania zaczęła chichotać.

– Zrzutka była nawet spora – wyjaśniła.

– O rany, powiedz. Ja ci powiedziałem...

– Dobrze. Kupiliśmy komplet farb do włosów w sprayu, w kolorach takich dość delirycznych. Wszyscy uczniowie mają obowiązek pomalować sobie włosy, przynajmniej we fragmencie. A z grona te osoby, które będą miały na to ochotę. Na początku mieliśmy pomysł, żeby to było obligatoryjne, ale uznaliśmy, że co poniektórzy mogliby nadmiernie spanikować, więc daliśmy spokój. Mam nadzieję, że pan przyłączy się do zabawy?

Podaliśmy jej płaszcz, sam ubrałem się szybko i wreszcie wyszliśmy. Otworzyłem przed Anią drzwi samochodu. Wsiadła, zagarniając długie połę płaszcza.

– Pewnie. – Uśmiechnąłem się, uruchamiając silnik. – Ale pod jednym warunkiem.

Spojrzała na mnie.

– Jeśli już, to chciałbym się oddać w twoje ręce. Mam nadzieję, że będziesz miała nade mną trochę miłosierdzia.

Tłok na ulicach był względny, dojechaliśmy po pół godzinie. Zaparkowałem pod szkołą i już miałem otworzyć drzwi, gdy Ania nagle przytrzymała mnie za rękaw. Spojrzałem na nią szybko.

– Panie profesorze... odzwyczaiałam się od zabaw. Strasznie się boję...

Uśmiechnąłem się do niej.

– Ja też się boję – przyznałem.

– No to idziemy... – westchnęła.

– Poczekaj chwilę, tylko wyjmę amunicję – mruknąłem, sięgając do bagażnika po dzwoniąco-grzechoczącą torbę. Trochę na własny użytek, a trochę jako element perswazji w realizacji pewnego planu.

– Czy mam przez to rozumieć, że przemycą pan na teren szkoły alkohol?
– spytała Ania, unosząc brwi.

– Bardzo dobrze rozumiesz. Tylko postaraj się, żeby sprawa nie nabrała rozgłosu. Oczywiście paru osobom możesz szepnąć.

Wstąpiliśmy na schody.

– Pamiętaj. Jakbyś potrzebowała gwałtownie ratować sobie nastrój i samopoczucie, to bez zbędnych wahań przychodź na jednego.

Cała szkoła była rześście oświetlona, brzmiała muzyka, otoczył nas niesamowicie elegancki tłum. Rozebraliśmy się w szatni, powiesiliśmy płaszcze koło siebie. Ania zmieniła buty, założyła pantofle na wysokich obcasach.

– Dobrze – powiedziałem. – Płynę przywitać się z gronem. Gdzie do tego malowania?

– Strzały pokażą – odparła, skinęła mi głową i poszła schodami na górę.

Rzeczywiście, „malarnię” odnalazłem bez trudu. Prowadziły do niej wielkie, papierowe, fosforyzujące strzałki. Udało mi się namówić Darka, Wojtka i Beatę od angielskiego i przestąpiliśmy próg, jako pierwsze koty za płoty. Powitanie mieliśmy owacyjne, co niewątpliwie nieco nas rozluźniło.

Ania miała już pomalowane włosy. Jeden długi lok w kolorach tęczy, wpleciony znów w kok. Michał miał całą głowę w jakichś kabalistycznych znakach, naokoło mieniły się czuby, punkowskie pióropusze, ruchome obrazy, kwiaty, motyle, napisy, kropki, kółka, figury geometryczne i inne cuda.

– Aniu, miejże nade mną litość – poprosiłem, siadając posłusznie na wskazanym krześle.

– Proszę się o nic nie martwić. – Uśmiechnęła się. – Firma świadczy usługi dla ludności. Czy ma pan jakieś specjalne życzenia, czy może mam

improvizować?

– Ludność nie ma życzeń. Ludność jest cokolwiek przerażona.

– Chociaż raz. Och, co za słodki moment.

Otaczał nas już gruby wieniec gapiów.

– To tylko drobna zemsta za cierpienia, których pan nam przysparza – powiedziała Aśka.

– Czy z zemsty pomalujecie mi całą głowę? – jęknąłem.

– Nie. Zemstą jest ta chwila. Pana niepewność i nasza przewaga. Innymi słowy – odwrócenie ról.

Patrzyłem na nich. Byli naprawdę sympatyczni. Kolorowi, inteligentni, pełni poczucia humoru, twórczy. Dlaczego właściwie tak okropnie się ich czepiałem?

– Proszę, niech pan trzyma. – Ania wetknęła mi w rękę kawał brystolu. – Musi pan sobie zasłonić oczy. – Pokazała, jak nagiąć papier.

Usłyszałem psssik, potem jeszcze psik psik i Ania powiedziała:

– Dziękuję. Tu jest lusterko. Czy coś poprawić?

Z przodu nad czołem zwisał mi niebieski cieniowany kosmyk. Jak na portrecie. Rewelacja.

– Rewelacja – powiedziałem głośno. – Dziękuję ci, Aniu. Darek, siadaj. Ja przeżyłem.

Zostawiłem ich i wyszedłem na korytarz. Gonili mnie rozbawione spojrzenia. Istotnie musiałem przepięknie wyglądać z niebieskimi włosami i w smokingu, dobrze, że mnie żaden kumpel nie widzi, a nade wszystko Emilka. No, dopiero miałyby uciechę. Mam nawyk pakowania łap do kieszeni, niezbyt elegancki, to prawda, ale czuję się swobodniej. W tym ubranku niespecjalnie mogłem sobie na ten gest pozwolić, co nieco wytrącało mnie z równowagi. Natknąłem się na Andrzejewskiego, który na mój widok stanął jak wryty. Uprzytomniłem sobie nagle, że ci wszyscy pomalowani siedzą dotychczas w jednym pokoju, ja pierwszy ruszyłem na Dzikie Pola i zachciało mi się okropnie śmiać. Andrzejewski ma rzeczywiście pełne prawo przypuszczać, że zatrudnił szaleńca.

– Panie dyrektorze, ja to tylko awangarda – powiedziałem. – Niech pan uprzejmie zajrzy tam, do tego pokoju. Ale uprzedzam, że ci szaleńcy już pana z łap nie wypuszczą. – Skłoniłem się uprzejmie i odmaszerowałem w stronę disc jockey'ów ubijać interes.

– Dzień dobry, szefie – powiedziałem do młodego byczka kręcącego się za pulpitami. – Czy pan i koledzy nie napilibyście się przypadkiem piwa? –

Postawiłem przy nim na podłodze torbę z baterią puszek.

– O, z prawdziwą przyjemnością – odparł facet, nie spuszczać wzroku z mojej głowy.

Nachyliłem się do niego i szepnąłem konfidencyjnie:

– Ja to frajer. Zaraz pan zobaczy lepsze rzeczy. Chyba że ma pan też ochotę strzelić sobie taki fryzur?

– Nie, myślę, że poprzestanę na swoim – odpowiedział byczek nieco ogłupiały.

– Nie ma sprawy. W każdym razie, gdyby pan się zdecydował, to malarnia jest tam. A teraz chciałbym pana prosić o maleńką przysługę.

– Słucham?

– Zna pan prawdopodobnie swoje utwory na pamięć, a ja chciałbym pana prosić, żeby mi pan dał dość dyskretnie znak, gdy będzie pan miał po kolei niezbyt długi, dynamiczny kawałek i bardzo długi, z gatunku przytulanych.

– Takich kombinacji mam nawet kilka.

– Doskonale. Więc gdyby zechciał mnie pan uprzedzić, byłbym zobowiązany. A w przerwie, o ile takowa będzie, zapraszam pana i kolegów na mocniejszy przerywnik.

– W takim razie przerwa BĘDZIE. Gdyby miał pan jeszcze w trakcie jakieś życzenia, to proszę, śmiało.

– Czy przewidujecie coś takiego, jak biały walc? Nie wiem, czy występuje w dzisiejszych czasach w ogóle to zjawisko, za czasów moich zabaw owszem.

Tak, tak, za moich czasów, to znaczy kiedy naczelne rozważały opcję zejścia z drzew...

– Panie proszą panów? Naturalnie. Może wystąpić.

– Szalenie miło się z panem rozmawia.

– I wzajemnie. Do usług.

Mrugnęliśmy do siebie i się oddaliłem. Facet był najzupełniej obcy i wisiało mi jak kilo kitu, co sobie o mnie i moich kombinacjach pomyśli. W przelocie natknąłem się na dyrektora, który miał już na głowie czarno-złoty es-flores. Beata przyozdobiona była wielką fioletową plamą, wyglądała tak, jakby przewróciła się prosto w kałużę farby, Darek miał włosy pomalowane na zielono, cały kolorowy tłum błąkał się już po auli.

Niewiele pamiętam z początków balu. Zaczął się polonezem, którego poprowadził dyrektor z panią Barską, ja tańczyłem z panią Czechowską od

malarstwa, bardzo sympatyczną, choć nieco już posuniętą w latach. Ania tańczyła z Michałem.

Potem wraz z Darkiem i Wojtkiem wykonaliśmy szybką ewakuację w celu pokrzepienia serc i gdy znów wróciłem na salę, Ania tańczyła z Michałem wściekłego rock-and-rolla. Pomyślałem, że muszę wymyślić inny sposób na pokrzepianie się, bo inaczej zaraz będę leżał gdzieś pod stołem. Tańczyli fantastycznie. Bez udziwnień i tych wszystkich cyrkowych akrobacji, ale z nieprawdopodobnym wyczuciem rytmu, żywiołowo i z radością. Sukienka Ani fruwała, a sama Ania wyglądała, jakby miała nogi do samej szyi. Musiałem przyznać w duchu, że Michał jest świetny i humoru mi to specjalnie nie poprawiło.

Wciąż czułem się nieco spięty, na szczęście następny kawałek był trochę spokojniejszy i ruszyłem do boju. Otańczyłem już cztery koleżanki z grona, po głowie plątały mi się fragmenty jakiegoś dzieła literackiego, mam wrażenie, że *Przedwiośnia* Żeromskiego i wreszcie uznałem, że można zacząć obniżać nieco granicę wieku.

Poprosiłem do tańca Joasię Wojnowicz, moją pierwszą ofiarę na pierwszej lekcji w klasie Ani.

Ku memu prawdziwemu zdumieniu Asia była najwyraźniej przerażona, tańczyła w odległości metra, z gracją stołu z powyłamywanymi nogami, przy wszelkich próbach obrotów natychmiast gubiła rytm i sens konwersacji.

– Aśka – powiedziałem wreszcie otwarcie. – Co się z tobą dzieje? Przecież wiem, że umiesz tańczyć. Jakie tam są między nami sprawy na matematyce, takie są, ale teraz jesteśmy na zabawie i chyba nie musisz się mnie bać. Czy musisz?

Aśka nie była już nawet czerwona, tylko bordowa, poczułem, że dłonie pocą jej się rozpaczliwie i zrobiło mi się strasznie przykro.

– No Aśka, nie wygłupiaj się – powiedziałem pojednawczo. – Jeśli cię kiedykolwiek jakimś tekstem obraziłem, to cię teraz za to oficjalnie przepraszam. Przykro mi, gdy pomyślę, że się mnie boisz.

– Nie boję się pana – wyjąkała.

– Tylko co?

Milczała.

– Czy pan naprawdę nie wie, że cała żeńska część szkoły się w panu kocha? – strzeliła nagle.

– Co się robi?... – Zamurowało mnie.

Staliśmy na środku parkietu, potrącani przez tańczących.

– Kocha się – zdenerwowała się Aśka. – Proszę, tańczmy, bo i tak wszyscy już na nas patrzą.

– Czekał, pozwól mi ochłonać.

– Niech pan nie robi z siebie takiego niewiniątka – powiedziała Aśka ze złością. – O rany, teraz to już mam naprawdę przewalone...

– Jakie przewalone, co ty w ogóle gadasz! – Też się zdenerwowałem. – Masz mnie za bydlaka czy idiotę?

– Ani za jedno, ani za drugie. Przepraszam, że się zachowuję tak idiotycznie. Ale to się przeważnie rzuca na mózg.

– Co?

– Durzenie.

– Czy mam przez to rozumieć, że durzysz się we mnie?

– Brawo. Wiedziałam, że pan na to wpadnie. Dla ścisłości informacji myślę, że może pan przeprowadzić prawie identyczny w brzmieniu dialog z co drugą dziewczyną.

– A te co pierwsze?

– Te co pierwsze jeszcze na to nie zdążyły zapaść.

– Dzięki Bogu choć za to.

– Na pana miejscu specjalnie bym się nie cieszyła. Mamy jeszcze trochę czasu do końca roku, tak gdzieś w okolicach matury wszystkie będą pana.

– Wiesz, Aśka – powiedziałem, próbując ochłonać – muszę przyznać, że naprawdę wytrąciła mnie trochę z równowagi ta rozmowa z tobą.

– Choć raz – odparła z uroczym uśmiechem. – Co za triumf.

Utwór właśnie się skończył, Aśka skinęła mi głową i powiedziała:

– Dziękuję za taniec.

– To ja ci dziękuję – opamiętałem się.

– Cóż, wiem, że nie jest pan idiotą, więc trzymam pana za słowo, że nie jest pan też bydlakiem – powiedziała, ukazując w uśmiechu dołeczki i odeszła.

Zaczął się nowy kawałek, pospiesznie usunąłem się z parkietu, by nie plątać się pod nogami tańczących i usiłowałem dojść do siebie. Zastanawiałem się, na ile to, co powiedziała Aśka było prawdą, a na ile zakpiła sobie ze mnie.

Po długiej chwili rozejrzałem się dokoła nieco przytomniejszym wzrokiem. Ania tańczyła teraz z Igorem, królem klasowym, przystojnym, muskularnym, podobno o wielkiej intuicji plastycznej, ale poza tym głupim

jak plemnik. Wiedziałem, że ten nie zawróci jej specjalnie w głowie, rozejrzałem się za Darkiem, ale Darek strasznie przejęty tańczył właśnie z Ewą, kruczoczną piękną z B klasy, więc samotnie wymknąłem się ku zawartości torby. Postawiłem się trochę na nogi, wiedząc, że to już ostatni łyk z tego, na co mnie stać, bo przyjechałem samochodem i mam w dodatku odwiedzić Anię. Potem poprawiłem sobie samopoczucie papierosem i wróciłem na salę, wybierając tym razem Agnieszkę Wilczarską, też z klasy Ani. Z Agnieszką tańczyło mi się miło, była naturalna i nie wlokłem jej za sobą jak kuli u nogi. Pod koniec tańca ktoś dotknął leciutko mojego ramienia.

– Parę razy już dawałem panu znaki – szepnął mi byczek do ucha. – Ale był pan dość nieprzytomny. Teraz będzie to, o co panu chodzi.

– Dziękuję – odmruknąłem, podziękowałem Agnieszce i rzuciłem się w stronę Ani.

Stała razem z Karoliną, Michałem, Arturem i Igorem. Przy pierwszych dźwiękach muzyki wpadłem w środek tego miłego grona, gotów wyrwać Anię stamtąd nawet z narażeniem życia. Udało mi się uprzedzić wszelkie ewentualne propozycje.

Spytałem:

– Aniu, zatańczysz teraz ze mną?

– Z przyjemnością. – Uśmiechnęła się.

Ująłem jej dłoń.

– Miał pan absolutną rację w sprawie łezki. Bardzo panu dziękuję – szepnęła.

Uścisnąłem lekko jej rękę na znak porozumienia.

– Jak się bawisz?

– Cudownie. A pan?

– Całkiem nieźle.

– Czy pan jest zawsze tak oszczędny w wyrażaniu uczuć?

Właśnie trzymałem Anię po szybkim obrocie.

– Nie zawsze – odpowiedziałem i znów puściłem ją w obrót.

Ania tańczyła tak świetnie, że nie chciało mi się tracić czasu na rozmowę. W życiu dumna, często nawet przekorna, w tańcu była absolutnie uległa, poddawała się bez najmniejszych wahań woli partnera. Wiedziałem, że wyczuwa moje intencje na ułamek sekundy wcześniej, przed jakimkolwiek znakiem z mojej strony, wiedziałem, że mi bezwzględnie ufa, nie boi się ryzykownego obrotu, wie, że zawsze zdążę ją złapać czy

przytrzymać. Była lekka, szybka i zwinna – żywe, przelewające się srebro, giętki cud ufny moim dłoniom, z łagodnym przegięciem łędźwi, ze zdyszana piersią prawie tuż przy mojej, a jednak pozostającą w oddaleniu, w tym bezbłędnym dystansie, prowokującym pozorną bliskością, ale jednak nie do dotknięcia.

Myślę, że wtedy właśnie pojąłem do końca tę porażającą siłę kobiecego kuszenia najwyższej klasy, nie tych taniutkich, lepkich zwycięstw, lecz zwycięstwa w wielkim stylu, gdzie zwyciężony zostaje takim na całe życie. Ania nie robiła nic świadomie. W Ani była po prostu triumfująca kobiecość, przed którą klęczałem.

– No więc jak się pan bawi?

– Cudownie.

– Och, dziękuję.

– Za co?

– Za komplement. I za taniec.

– Czy mogę cię poprosić do następnego?

Zgodnie z umową był to naprawdę przytulaniec. Z ulgą po pierwszych dźwiękach rozpoznałem Dire Straits z jego cudownym, gołębio łagodnym *Why worry* i pobłogosławiłem byczka w myślach.

Odważyłem się troszkę przytulić Anię. Czulem jej gorący oddech, gdy odwracałem leciutko głowę, dotykałem policzkiem jej włosów, od stóp do głów pokryty byłam gęsią skórą wielkości winogron.

– Ania, Ania, Ania – szeptało coś we mnie. – Masz ją, trzymasz ją w ramionach. Tę ulotną zjawę, to pragnienie, tę miłość. Jest tuż, blisko, dotykasz jej ciała. Chwilo trwaj, jesteś piękna. Goethe, stary przyjacielu, czy powiedziałeś też do chwili: nie kończ się nigdy, nigdy... Umrę bez ciebie, umieram bez ciebie, o najwyższa doskonałości, znaku nieskończoności ciągnącym się w obie strony, o wartości bezwzględna... chyba bredzę. Aniu, moja rozkoszy, moja melodio niepodzielona na dźwięki, moja Piękna w ramionach Bestii, nie wolno mi teraz umierać, przecież nie umrę, nie powiedziawszy ci tego wszystkiego...

Wciąż nie byliśmy zbyt blisko siebie, wciąż trzymałem rękę na jej kibici nie przesuwając jej ani o centymetr w żadną stronę, a już szczególnie nie w stronę pamiętnego, zgwałconego już raz otworu, wciąż wszystko było nie do odgadnięcia dla cudzych chciwych oczu, tańczyłem z nią pierwszy raz, nikt nie mógł nam nic zarzucić.

Och, jak kochałem Marka Knopflera, wciąż jeszcze trwała słodka piosenka, kilka minut kupionych od losu, może jeszcze nie ostatnich tego wieczoru, ale w ogóle pewnie ostatnich, ostatnich na najbliższych parę miesięcy. Ale mi się to wszystko w życiu ułożyło... Brak słów.

Piosenka kończyła się wahająco, wciąż nawracała delikatną frazą.

– Dziękuję – powiedziałem do Ani z westchnieniem przy ostatnich taktach.

Ale Ania nie odchodziła.

– Panie profesorze, teraz, jeśli można... chciałabym skorzystać z pana propozycji.

Zerknąłem na boki.

– To chodź. – Skierowałem ją w stronę pokoju nauczycielskiego.

Był pusty, zaprosiłem Anię do środka, szybko nalałem trochę Tullamore Dew do szklanki i podałem jej.

– A pan?

– Ja już nie. Pamiętaj, że muszę cię odwiedzić. Ale miałem wrażenie, że bawisz się dobrze i nie musisz poprawiać sobie samopoczucia.

– A może muszę?

– Dlaczego?

– Przecież nie mogę tańczyć z panem przez całą zabawę – powiedziała z żartobliwym błyskiem w oczach.

– Och. Dziękuję.

– Za co?

– Za komplement – powtórzyłem jej słowa.

Roześmiała się cichutko. Poczulem, że jestem zupełnie bezradny wobec tych podfruwajek, najpierw Aśki, teraz Ani. Nie wiedziałem, na ile mówią prawdę, a na ile żartują. Nie podejrzewałem Ani o złośliwość, ale wiedziałem też, że nie mogę traktować jej słów jak wyznania.

– Jeśli dobrze ci się ze mną tańczyło, to powtórzmy to.

– Będę o tym pamiętać.

– Nie musisz. Ja będę pamiętał. Czy samopoczucie ci się poprawiło, czy zyczysz sobie na drugą nogę?

– Poproszę. Dziękuję. A teraz, jeśli można, przyślę panu Aśkę, niech pan ją poratuje jednym głębszym, bo jest zupełnie zdesperowana po rozmowie z panem.

– O, mówiła ci o tym?

– Tak jest, odraportowała mi wszystko, ale nie prosiła o dyskrecję, więc mogę panu powiedzieć. Niech się pan nią nie przejmujecie, ona często tak bredzi, a potem jej głupio.

– Bredzi... aha. Wiesz, Aniu, jeśli ja rozmawiam z Olą i ona pyta mnie obcesowo, czy mam sraczkę, to ja mogę to przypisać jej wiekowi. Ale jeśli tańczę z osiemnastoletnią pannicą i ona mi w obcesowy sposób mówi, że się we mnie kocha, to ja mam prawo potraktować to albo jak wyznanie, albo jak kpinę ze mnie.

– Och, może pan to też przypisać naszemu wiekowi...

– Waszemu wiekowi... Dobrze – westchnąłem. – Daj ją tutaj. Order mi się należy za te rozmowy z wami. Gdybym miał wierzyć w to wszystko, co opowiadacie, to niechybnie bym oszalał.

– Och, troszeczkę może pan wierzyć – powiedziała Ania i po prostu uciekła.

Aśka, pewnie dla dodania sobie odwagi, przysłała z Karoliną, dałem im po kieliszku bez zbędnego gadania i zacząłem się zastanawiać, że co to jest, iż w tej szkole piją wyłącznie dziewczyny. Potem pomyślałem sobie, że nie ma tak dobrze, chłopcy z pewnością muszą mieć gdzieś prywatny arsenał. Miałem nadzieję, że nikt nie widział, gdy dziewczyny się tu przemykały, bo jeszcze pójdzie fama, że zwabiam uczennice do pustych pomieszczeń i wykorzystuję seksualnie albo co.

Wróciliśmy na salę. Ani nigdzie nie było widać, potem zobaczyłem, że tańczy z Krawczykiem, który przytula ją bardziej, niż mógłbym to sobie wyobrazić w najśmielszych nawet marzeniach... O, nie. Coś tam było niedobrze. Co to powiedział Wojtek, wtedy w knajpie? „Krawczyk to trep. I do dziewczyn się klei. To znaczy do uczennic”.

Już byłem w połowie auli i to w dodatku ze śmiercią w trzewiach... Bylebym miał na tyle przytomności, żeby wywlec Krawczyka gdzieś poza zasięg wzroku, by nie lać go tu przy ludziach... Wtem niespodziewanie naprzeciwko Krawczyka i Ani wyrósł Michał. Dopadłem do grupy, popatrzyłem na nich wszystkich.

– Co tu się dzieje?

Ania była cała czerwona, Michał przeciwnie, blady i lodowaty jak trup. Krawczyk wyglądał tak, jakby już dostał po mordzie. Zacisnąłem pięści i wbilem w niego spojrzenie.

– Nic się nie dzieje – usłyszałem z boku Michała, cedzącego słowa przez zęby. – Po prostu Ania nie ma ochoty tańczyć z panem Krawczykiem.

– Brawo, Michał – powiedziałem.

Wiedziałem, że jak teraz nie poprę Michała, to Krawczyk zrobi wielką aferę. Wiedziałem też, że gdy Michała nie poprę, to nieodwołalnie stracę jego szacunek. I wiedziałem na koniec, że gdy nie poprę Michała, to sam do siebie stracę szacunek. Jeszcze raz Michał pojawił się jako figura w rozgrywce – nie był pionkiem, którego łatwo zbić, był królem, któremu należało dać mata.

Nie odwracałem wciąż spojrzenia od Krawczyka, czułem, że oczy mi lodowacieją.

– Nie zarobiłeś od Michała, ale zaraz możesz zarobić ode mnie – powiedziałem cicho groźnym głosem. – Spadaj stąd i zostaw młode dziewczyny, bo ja nie będę tak dyskretny, jak Michał. Uważaj.

Krawczyk zachwiał się, cofnął niepewnie dwa kroki, a potem gwałtownie odwrócił się i wyszedł z auli. Jeszcze mocniej zacisnąłem ręce.

– Dziękuję, Michał – powiedziałem poważnie, czując wyraźnie nad sobą łopot chorągwi i husarskie skrzydła. Rycerz niepokalany, w dupę kopany...
– Byłeś szybszy. Gdyby próbował się na was mścić, to mi powiedzcie. – Odwróciłem się, pozabierałem skrzydła, kopię i konia, i odszedłem.

Rozpoczął się liryczny utwór i dla uspokojenia poprosiłem do tańca panią Barską, która początkowo bardzo się wzbraniała, twierdząc, że powinienem tańczyć z młodymi, ale ugięła się pod presją mego uporu.

Tańczyło nam się szalenie przyjemnie, rozmawialiśmy o dupie Maryny, pani Barska pytała, czy dobrze się bawię, potakiwałem, tak, naturalnie, wszystko jest w największym porządku, no problems, jestem zdobywcą świata. Co prawda omal nie zabiłem przed chwilą kolegi z grona, ale to detal, niewart wspomnienia... Troszkę było mi przykro, że stroję idiotę przed panią Barską, stanowczo zbyt mądrą, by nie umiała zajrzeć pod powierzchnię luzackiego uśmiechu, lecz nie miałem wyjścia.

Potem dostrzegłem znak od byczka, upewniłem się, że nastąpi kombinacja szybki-wolny, szybki sobie odpuściłem, to znaczy poprosiłem niewysoką panienkę, której imienia za skarby nie mogłem sobie przypomnieć, miłą, nieśmiałą, bardzo inteligentną i niestety brzydką jak kałuża, a potem znów stanąłem przed Anią.

– Jak pan myśli, jaki utwór teraz zatańczymy? – spytała. – Szybki czy wolny?

– A jaki wolałabyś? – spytałem desperacko, pełen paniki, że odgadła moje machlojki.

- Wolny, zmęczyłam się poprzednim tańcem.
- Będzie wolny.
- O... istotnie. Skąd pan wiedział?
- Miałem przeczucie.
- A może pan to oblicza na zasadzie rachunku prawdopodobieństwa?
- Tego się nie da obliczyć na zasadzie rachunku prawdopodobieństwa. Tak samo, jak wygranej w Totolotka, loterii, ruletki i innych gier. Gdyby było inaczej, byłbym już bardzo bogatym człowiekiem.
- No więc czemu właściwie służy ten cholerny rachunek prawdopodobieństwa? – spytała z przekorą.
- Niczemu nie służy – odparłem z westchnieniem. – Dlaczego mnie dręczysz?
- To nie ja pana dręcę. To ja jestem tym rachunkiem dręczona. Nie ma możliwości, żebym to pojęła. A teraz się jeszcze okazało, że nie ma powodu, abym to próbowała pojąć.
- Powód jest. Ponieważ mnie na tym zależy.
- No tak. A czy panu nie mogłoby przestać zależeć?
- Nigdy – odparłem. – Nigdy.
- I za to pana wszyscy kochamy – powiedziała Ania, powodując, że moje wnętrze wywróciło się do góry nogami.
- Nie miałem sił na takie słowne zabawy, zbyt wiele mnie to kosztowało.
- Czy pan się obraził? – spytała.
- Nie. Ale przestańcie już dworować sobie ze mnie.
- Och, przepraszam – powiedziała Ania, uśmiechając się do mnie. – Ale przecież my byśmy się nie obrażały, gdyby pan powiedział, że nas pan też kocha.
- Więc dobrze. Kocham was, moje słodkie, wódki już więcej nie dostaniecie i rachunku prawdopodobieństwa wam nie odpuszczę, a teraz przestań na miłość boską gadać, bo i tak cały nastrój tego utworu jest zrujnowany.
- Jeszcze nie do końca – powiedziała Ania i uśmiechnęła się do mnie tak, że zmiękło mi w środku wszystko.
- Nie odważyłem się jej przytulić, Ania też nie zrobiła żadnego gestu, ale leciutko pochyliła głowę i jej włosy musnęły mój policzek. Przyczajona czułość targnęła moim wnętrzem, przeszedł przeze mnie łagodny, lawinowy wstrząs i Ania drgnęła. Nie wiem, co poczuła. Nie powiedziała nic.

Po tańcu odprowadziłem ją do jej grupki i zwyczajnie dałem nogę. Nade wszystko w świecie potrzebny mi był papieros. Zdażyłem jeszcze zauważyć, że Anię natychmiast poprosił do tańca Michał.

Wróciłem na salę po rozpoczęciu kolejnego kawałka, tym razem grał Pearl Jam i stałem zamyślony, opierając się o filar z boku auli, gdy kątem oka wyczułem obok siebie czyjaś obecność. Zerknąłem. Była to Bożena Talarczyk, koleżanka z grona, dość hałaśliwa, mniej więcej w moim wieku, uczyła chemii. Niespecjalnie lubiłem Bożenę, ale w tym wypadku nie miałem wyjścia – zauważyła moje spojrzenie, tkwiła przy mnie jak wkopana w ziemię, niepoproszenie jej do tańca byłoby grubym nietaktem.

Tłumiąc westchnienie skłoniłem się przed nią i Bożena w sposób brawurowy natarła na mnie całym ciałem.

Nigdy nie byłem zwolennikiem korpulentnych brunetek i nigdy nie byłem zwolennikiem bezpardonowych ataków w wykonaniu kobiet, więc sytuacja zniesmaczyła mnie w mgnieniu oka.

– No i jak, Paweł, podoba ci się studniówka w naszej szkole? – spytała Bożena, ukazując w uśmiechu duże zęby.

Włosy miała pomalowane na czerwono, co wyglądało tak, jakby głowa jej krwawiła.

– Bardzo sympatyczna – odparłem, starając się dać jakoś opór tej burzy zmysłów, która koniecznie usiłowała znaleźć upust na mym łonie.

– Widziałam, że jesteś zwolennikiem raczej młodszego pokolenia – rzuciła Bożena.

Miałem ochotę odpowiedzieć: „Niezupełnie. Za to jestem na pewno zwolennikiem umiaru w tańcu”, ale nic nie powiedziałem. Nie chciałem wojny z Bożeną, zdawałem sobie sprawę, że odtrącona, mogłaby sobie pozwolić na niewybredne plotki. Z drugiej strony wcale nie miałem ochoty z nią flirtować. Miała ogromny dekolt, który oceniłem dość krytycznie, nacisk jej bujnych piersi w okolicach mego splotu słonecznego wywoływał we mnie odruch protestu i z najwyższym trudem, oblekając pysk we względnie miły uśmiech, odpowiedziałem:

– Pozory, Bożenko, pozory. To jednak straszne kozy. A ty jak się bawisz?

– A wiesz, że naprawdę fajnie? Jest to jedna z lepszych studniówek, w jakich brałam udział. Trzeba przyznać, że ten rocznik jest wyjątkowo udany.

Pomyślałem, że udany czy nie, i tak najbardziej nawet niedowarzone kozy są lepsze niż takie nedorżnięte babska, próbujące zgwałcić człowieka

na środku parkietu. Cała ta sytuacja podziałała na mnie niezwykle deprymująco. Unikając jej tkliwych spojrzeń, patrzyłem cały czas na boki i w pewnym momencie zobaczyłem tuż obok nas Anię i Michała. Tańczyli blisko przytuleni, po twarzy Ani błąkał się zagadkowy uśmiech, a Michał szeptał jej coś we włosy, nie dałbym głowy, czy jej nie całuje...

Całe wnętrze zastygło mi w przerażający sople, twarde i ostry, tkwiący w lodowatej przerebli. Powiedziała mi wszystko o Michale, ale może od tego czasu coś się... coś... Czy nic się między nimi nie wydarzyło?

– Czemu jesteś taki milczący? – spytała Bożena i przez ułamek sekundy nie wiedziałem, kto to jest, co ja tu z nią robię i jak to się stało, że jej jeszcze nie zabiłem.

– Przepraszam cię, zamyśliłem się. Bardzo lubię ten utwór.

– Chwile wspomnień?

– Zgadza się.

– Więc może te wspomnienia wzbogacą się jeszcze i o ten taniec?

Spojrzałem na nią z góry, bo była sporo niższa ode mnie. Nie uśmiechnąłem się, miałem nadzieję, że z oczu nie można odczytać moich myśli.

– Niewykluczone – powiedziałem, wiedząc, że istotnie, wspomnienie tego tańca będzie mnie prześladowało dość długo, a w każdym razie na tyle długo, by nie popełnić już nigdy tego błędu.

Znów otarliśmy się niemal o Anię i Michała, którzy tym razem rozmawiali, ale zbyt cicho, bym mógł coś usłyszeć.

Moja gehenna wreszcie się skończyła, podziękowałem Bożenie, zastanawiając się w duchu, za co jej właściwie dziękuję i w tym momencie została ogłoszona przerwa.

– Może pójdziemy do bufetu? – zaświergotała Bożena, która postanowiła sobie chyba, że nie ujdę dziś z jej rąk żywy (*Józek, nie daruję ci tej nocy...*), ale starając się zrobić to z maksymalnym wdziękiem, przeprosiłem ją, mówiąc, że mam pewną sprawę do załatwienia.

Istotnie. Nagroda dla byczka z przyległościami za bezbłędne wywiązanie się z umowy tkwiła w mojej torbie, podziękowaniom stało się zadość. Była godzina dziesiąta. Dowiedziałem się, że część druga zabawy jest wyraźnym ustępstwem na rzecz młodzieży, głównie jeśli chodzi o rytmy i postanowiłem wykonać unik, bo nie wyobrażałem sobie, jak niby będę w tym smokingu tańczył na przykład pogo, pomijając już to, że nigdy w życiu pogo nie tańczyłem.

Okazało się jednak, że niepotrzebnie spanikowałem, po prostu prawie nie było teraz wolnych kawałków, ale nikt się po podłodze specjalnie nie tarzał. Druga część miała potrwać jeszcze godzinkę, najwyżej półtorej, pomyślałem, że najchętniej znalazłbym się już z butelką we własnym fotelu, bo czułem się nieco rozwalony wewnątrz.

Resztę wieczoru zajęło mi systematyczne usuwanie się sprzed oczu Bożeny, bo nie miałem najmniejszej ochoty na jakiegokolwiek kontakty z nią. Tańczyłem do upadłego, niespecjalnie już wybierając, zgnieciony strasznym podejrzeniem, pełen panicznej myśli, że może właśnie między Anią i Michałem zaczyna nawiązywać się... nie. Lepiej nie myśleć. Michał świetnie wyglądał, ubrany był dość nonszalancko w luźny, czarny garnitur, czarną koszulę i krawat malowany własnoręcznie sprayami do włosów, w takie same kabalistyczne wzory jak na głowie. W uchu jak zwykle miał kolczyk. W ogóle większość tego towarzystwa ubrana była elegancko, ale z przymrużeniem oka, aczkolwiek normalne garnitury też się zdarzały, a także świeciły na sali, jak egzotyczne kwiaty, smokingi, w tym mój.

Spodnie piły mnie w kilku miejscach, z bufetu zostały rozdrapane co lepsze rzeczy w trakcie mego posiedzenia dziękczynnego, chciałem już się stąd zabierać. Było wpół do dwunastej.

Gawędziliśmy właśnie z Darkiem, gdy nagle, wśród śmiechów i okrzyków ogłoszony został ostatni taniec dzisiejszego wieczoru, biały walc. Nie wiem, czy byczkowi pomyliło się z tradycją mazurów, kończących bale, białych ze względu na ranną porę, czy też koniecznie chciał mnie zadowolić – ja w każdym razie zdążyłem już zapomnieć, że w ogóle poruszaliśmy ten temat.

Niepewność i strach złapały mnie za gardło. Czy Ania zechce ze mną zatańczyć? Jak zrejterować przed Bożeną? Nie wymyśliłem nic. W czasie tych kilku krótkich chwil, gdy pierwsze pary zaczęły już wypływać na parkiet, siedziałem bezwładny, obolały wewnątrz, miętosząc w sobie cierpką decyzję, że nie zrobię żadnego ruchu, nie będę jej szukał, by mimochodem podsunąć się pod oczy. Jeśli naprawdę chce, to mnie znajdzie, zdąży przed Bożeną, zdąży uprzedzić wszelkie inne propozycje, o ile padną, albo może zostanie tu, niepoproszony przez nikogo, przeżuwając w milczeniu owoce własnej porażki.

Stała nagle przede mną i serce wykonało mi dwa przewroty.

– Panie profesorze, czy zatańczy pan ze mną?

– Oczywiście, Aniu – powiedziałem, dźwigając się z miłosiernej ławki, dzięki której ominął mnie niewątpliwy blamaż chwiania się z przejęcia i łapania ścian dla ratowania równowagi. – Miło mi, że mnie wybrałaś.

Wślizgnęliśmy się w tłum przed samymi złymi oczami spóźnionej Bożeny – było mi już wszystko jedno, niech się trzęsie od plotek, Wojtek też tańczył z Aśką, Darek z Ewą, dajcie mi wszyscy spokój... Przecież to już ostatni raz. Więc jednak wybrała mnie... Nic więcej nie chcę wiedzieć, nie muszę. To może nic nie znaczyć, ale chcę choć na chwilę utopić się w marzeniu, zebrać siły na później, gdy już nie będę miał nic.

– Bardzo miło mi się z panem tańczy – powiedziała Ania i zorientowałem się, że instynkt mnie nie mylił – jeszcze jakieś inne alkohole musiały zostać wszmuglowane na teren szkoły.

Ania nie była bynajmniej wstawiona, ale i nie poprzestała tylko na tych dwóch kieliszkach, które zaserwowałem jej prawie na początku. Uśmiechnąłem się. Krew musowała mi grzesznie i słodko – dłoń Ani w mojej ręce, dłoń Ani na moim ramieniu, jej włosy pachnące tęczą, delikatna szyja, kark wyłaniający się z wycięcia sukienki i puszek na nim, ten zapach wciąż ją spowijający, niezatarty przez wszystkie dłonie, które ją dzisiaj obejmowały, jej oczy z zabłąkanym uśmiechem, i rzęsy, i leciutka chmurka dobrej whisky. Ania. Choćbym miał... Nic nie zależy ode mnie.

– Czy pan wie – powiedziała Ania, przeciągając leciutko słowa – że tańczy pan najlepiej ze wszystkich mężczyzn, z jakimi kiedykolwiek tańczyłam?

– Dziękuję – odrzekłem cicho.

– I jest pan też najbardziej małomówny...

– Tak? – Roześmiałem się. – Ty, Aniu, tańczysz cudownie, masz taniec w duszy i we krwi. To prawdziwe przeżycie tańczyć z tobą, może dlatego niewiele mówię.

– Och... i jest pan strasznie miły. Już to chyba kiedyś panu mówiłam?

W miejscu serca zamiast sopła miałem wielką kałużę, chlupotała mi w piersiach – drobniutkie fałdki niedowierzania i drżenie... „Czarujesz a łowisz jak niewód”... Ta mgła zadyszki i szept alkoholu... Opamiętaj się, nie wierz, a w każdym razie nie do końca.

– Oj, Aniu, Aniu – powiedziałem. – Troszkę sobie strzeliliśmy, prawda?

– Troszkę – przyznała. – Ale to nie znaczy, że nie jest pan miły.

– Ty też jesteś miła... – urwałem.

Pieprzony cyniku, dlaczego się bronisz?

– Czy miał pan ochotę powiedzieć: „dzieciaku”?

– Przeciwnie. Miałem ochotę powiedzieć: „kobietko”.

Pastelowy rumieniec zabarwił jej policzki i w tym momencie skończył się ostatni taniec. Wśród wybuchłego nagle gwaru powiedziała cicho:

– Poczekaj pan na mnie, prawda? Jestem umówiona z paczką na strzemiennego...

– Spotkamy się w szatni. Aniu...

Ale już odeszła. Ja też poszedłem się pożegnać. I Darek, i Wojtek przyjechali samochodami, udało mi się namówić Wojtkę, by zabrał Bożenę, choć miałem wyrzuty sumienia, w stosunku do niego oczywiście. Bożena ignorowała mnie ostentacyjnie, czułem, że jest niedobrze, ale nie miałem siły dłużej się tym przejmować.

Wyszliśmy z Anią przed szkołę, gęsta chmura białych płatków zdawała się wisieć nieruchomo w świetle latarni, na twarzy czułem ich chybotliwe, łaskoczące dotknięcia. Otworzyłem przed Anią drzwiczki. Nic nie mówiła, gdy ruszyliśmy wolniutko przez zaśnieżone miasto. Wyrwana z głośnej zabawy, z gwaru i cudzych dłoni, znów siedziała przy mnie, drobna, sama, raptem zamilkła, z tęczowym kosmykiem we włosach.

– Zmęczona? – spytałem banalnie, tak trudno było mi coś powiedzieć.

– Zmęczona – westchnęła. – Zmęczona i zdemobilizowana. Och, jestem zupełnie rozprzęgnięta. Taka miła zabawa.

Pomyślałem, że jednak jest troszkę podcięta.

– Jak się bawiłaś?

– Wspaniale. Czy pan wie, że przetańczyłam dokładnie wszystkie tańce? Nie usiadłam ani na chwilę. Nawet dyro mnie poprosił. I tak się właśnie zastanawiam...

– Tak?

– Wie pan, zastanawiam się, na ile to zainteresowanie było podyktowane sytuacją, w której się znalazłam. No, pierwsza zabawa po długim okresie abstynencji i wciąż ta niezdrowa sensacja wokół mnie, a na ile...

– Nie komplikuj – powiedziałem. – Nie sądzę, aby tak było.

Jechaliśmy Puławską.

– Nie sądzę, aby tak było – powtórzyłem.

– Może ma pan rację. W każdym razie nigdy nie przeżyłam takiego zainteresowania moją osobą jak dziś. Z jednej strony to było miłe, ale jednak nie przywykłam. To było... No, to był męczący wieczór.

Troszeczkę chciało mi się śmiać, a troszkę byłem rozczulony.

– Mój Boże – powiedziała. – Wie pan, co jest w tym wszystkim najgorszą rzeczą? Powrót do domu, gdzie nikt nie czeka. Po takiej zabawie tak bym chciała wygadać się, usiąść i wyplotkować to wszystko, może jakoś by mi się uporządkowało. I widzi pan, nie mam komu.

– Służyłbym ci swoją osobą, ale chyba troszkę nie tego... nie nadaję się, prawda?

– O, dziękuję, ale... No właśnie. Pan się troszkę nie nadaje. Nie ma rady, będę musiała opowiedzieć wszystko Zadymie. Wie pan, koty są genialne, gdy chodzi o słuchanie. Psy w przypadku kierowania do nich wielkiej mowy w pewnym momencie koniecznie chcą odpowiedzieć, co zazwyczaj wypada zupełnie nie à propos, poza tym zaraz widać, że cała sytuacja szalenie je stresuje. Koty natomiast siedzą bez ruchu, uśmiechają się, mają wszystko w dupie, ale pozwalają się wygadać do końca.

Słumiłem uśmiech. Rzeczywiście musiała sobie strzelić strzemiennego.

– Och, gdyby mama żyła – powiedziała nagle. – Mama by mi... mamie bym... – I rozplakała się.

Byliśmy już pod jej furtką. Ze ściśniętym sercem zatrzymałem samochód i wyłączyłem silnik. Straszliwy żal trzymał mnie za krtań. Zrozumiałem, jak ciężki musiał być dla Ani ten pozornie miły wieczór. Teraz przyszedł taki moment, że zaczęły z niej schodzić wszystkie emocje. Dla dzielnej, mądrej, dumnej Ani raptem musiała się zrobić za dużo wrażeń, a wiedziałem, jak często potrafią nas rozłożyć zupełnie drobiazgi. Byłem bezradny, nie umiałem jej pomóc, nie nadawałem się do niczego w tej delikatnej materii. Siedziałem bez ruchu, patrzyłem wprost przed siebie, przez szybę, prosto w zadymkę.

– Aniu – odezwałem się cichutko. – Może jednak chcesz... Może spróbujemy pogadać? Ja...

– Czy pan wie, że dwóch facetów dzisiaj wyznało mi miłość? – powiedziała Ania wśród łkań. – Dwóch facetów – powtórzyła. – I właśnie zdałam sobie sprawę, ile warte są takie miłości. Bo wie pan, żaden z nich nawet się nie zainteresował, czy nie trzeba mnie przypadkiem odwiedzić do domu.

Milczałem.

– No i już, tyle to warte – mówiła dalej Ania chaotycznie. – A to właśnie pan troszczy się o to, żebym cała dotarła po nocy. I o ile pana przyjaźń ważniejsza jest niż tamte wyznania... Pan jest taki dobry, a ja... Och, przepraszam...

- Za co mnie przepraszasz? – szepnąłem.
- Tak mi strasznie wstyd!
- Nie ma powodu.
- Ale pan sobie pomyśli...
- Nie pomyślę.
- ...że z panem flirtowałam!

Odebrało mi oddech.

– A jeśli nawet, to co? – spytałem słabo. – Zabawa jest, żeby się bawić. Także, żeby flirtować. Nic strasznego się nie stało.

– Ale ja dałam się ponieść nastrojom... To Aśka zaczęła... Panie profesorze... a ja byłam... Czy pan wie, że ja w pewnym momencie byłam ZAZDROSNA?

Wszystko, co było we mnie, spiętrzyło się w jedną kulę, gorącą, kłębiastą kulę w przetyku, dudniącą hałaśliwie rytmem mego serca. Ania płakała bez opamiętania. Na końcu języka miałem: „Aniu, Kocham cię, Kocham cię ponad życie, wszystko jest dobrze, wszystko będzie dobrze”. Chciałem porwać ją w ramiona i całować, przełknąłem kulę ze strzyknięciem śliny i już... I wtedy Ania powiedziała rozpaczliwie:

– Czy pan wie, że ja całe życie chciałam mieć starszego brata? Takiego jak pan, który jest mądry, doświadczony, poradzi mi, wysłucha, któremu będę się mogła zwierzyć... Nie wiem, jak mam panu dziękować, że pan jest. A ja, jak ta głupia, o, proszę mi wybaczyć... Nie chciałam pana obrazić...

Schyliłem głowę, czując pod powiekami gorący wiatr, suchy piasek i łzy. Całe życie chciała mieć BRATA. Wielki Brat Durna Pała siedział właśnie koło niej, Genialny Strateg w kostkę kopany, Umęczony Idiota, któremu się coś wydawało, psychoanalityk od siedmiu boleści, oszukany przez własne mrzonki koncertowy bałwan. Za dużo już dla mnie tego wszystkiego. Brata... Nie ma nic gorszego. Co z tego, że zdobyłem jej przyjaźń i zaufanie, gdy teraz zostałem uplasowany na pozycji brata, a wiedziałem z doświadczenia, jak niezwykle trudno zmienia się potem taką kwalifikację, wszystko raptem zaczyna trącić kazirodztwem, pozycja jest od początku spalona...

Wyjąłem swoją dyżurną, nieskazitelną białą chusteczkę i podałem Ani. Nie spojrzała na mnie. Ukryła twarz w białym płótnie. Wielki Brat siedział jak zmieniony w kamień, z obolałym sercem, zmaltretowaną wątrobą i szlochom wstrzymanym na krawędzi przetyku.

– No Aniu, nie płacz już tak strasznie – powiedziałem wreszcie. – Naprawdę nie ma powodu. Wszystko jest w porządku, ja sobie nie myślę nic złego, to się czasem zdarza. Właściwie nawet dość często...

– Co się zdarza?

– Upiłaś się na smutno. – Uśmiechnąłem się. – Zobaczysz, że jutro wszystko będzie lepiej.

– Nie będzie... Nie odważę się panu spojrzeć w oczy.

– Odważysz się.

– Nie...

– Tak. – Odwróciłem się do niej, jednym palcem podniosłem jej brodę i zmusiłem, by spojrzała na mnie. Oczy miała całe we łzach.

– No i już – powiedziałem. – Odważyłaś się. Po wszystkim.

– I pan nie myśli...

– Nie. To znaczy myślę, że powinnaś się położyć i odespać. A jutro od rana mocna kawa i aspiryna. I nie kombinuj za dużo. Nie będziesz?

– Nie...

– No to chodź – westchnąłem, pomagając jej wstać.

Przeczekałem otwieranie wszystkich zamków i odstawiłem ją do korytarza.

– Wie pan co? – powiedziała. – Był pan jeszcze lepszy niż Zadyma. Dziękuję.

Roześmiałem się.

– Z jednym uzupełnieniem – powiedziałem. – Ja nie miałem wszystkiego w dupie.

– Och, przepraszam...

– Za co? – Mrugnąłem do niej i wyszedłem.

Dojechałem do domu, było po pierwszej i umierałem. Miałem gdzieś na półce czarnego Jasia Wędrowniczka, zaprosiłem go do towarzystwa. Jaś Wędrowniczek okazał się nawet dość chętny do współpracy, ale jednocześnie nastawiony był w stosunku do mnie trochę sarkastycznie.

– No i co, dupku? – zapytał, gdy próbowałem uwolnić się z muszki, wgryzającej mi się w gardło. – Gdy nie trzeba, to straszna z ciebie zadziora, a w momentach krytycznych okazuje się, że jednak jesteś niewąski patafian. Dlaczego stchórzyłeś?

Muszka wreszcie się poddała, pozbyłem się też marynarki i butów, które tymczasem zdążyły się już zmienić w buty hiszpańskiej inkwizycji. Wpadłem w fotel razem z Jasiem. Nie chciało mi się z nim kłócić.

– Przecież nie mogłem jej pocałować.

– Bo co? Była na granicy, gdybyś popchnął leciutko języczek wagi, przechyliłaby się na tę stronę, na którą byś chciał. Drobnny ruch...

– Nie mogłem.

– Jak długo masz zamiar sam się oszukiwać? Znasz pierwsze prawo Murphy`ego. To, co chcesz zrobić, jest właśnie rzeczą z gatunku tych, które jeszcze nikomu, nigdy i nigdzie się nie udały. A ty jesteś bezgranicznym idiotą.

– Jasiu, odpiardol się ode mnie – powiedziałem ugodowo, bo czułem już jego ciepły dotyk w okolicach serca. – Tu się nie da nic poradzić, sam słyszałeś. Jak to było? „Zaklinam was na gazele”...

– Teraz mi będziesz Pismo Święte cytował?

– „Na gazele i na łanie pół... nie budźcie ze snu... nie rozbudzajcie ukochanej... póki nie zechce sama...”.

– Skończyłeś? To słuchaj. Pluj na umowę. Nie daj się zrobić, rozumiesz? W niej może jeszcze nic nie ma, ale będzie, gdy się postarasz. Chcesz przegrać największą rzecz w swoim życiu? Tu nie będzie poprawek i egzaminów komisyjnych. Wygrasz lub przegrasz. Nie bądź taki cholernie dobrze wychowany. Naprawdę lepiej być bydlakiem niż idiotą.

Lekkie mrocзки obejmowały już całą moją głowę. Mrocзки i zawahania, pstrokate plamki pod powiekami i tęczy kosmyk.

– Jasiu – powiedziałem. – Równy z ciebie chłop, ale proszę, spadaj. Jesteś wybitny łajdak i chociaż lubię łajdaków, to tym razem nie próbuj mnie nawracać, albo nawróć mnie po prostu na pijaństwo.

Jasio bulgotał uprzejmie w gardzieli szyjki, czułem, że bierze zniecka we władanie całe moje rozwrażliwione wnętrze. Dość już miałem programowego cynizmu i kpiny z samego siebie. Dość już miałem szyderstw, gier, niezłomności i starań, dość miałem trzymania wszystkiego wbrew sobie w eleganckim futerale nieporuszonego ciała. Postawiłem szklankę na stoliku obok fotela, krawędź i brzdęk, szkło poleciało po podłodze, zrozumiałem, że płaczę.

– Aniu – powiedziałem na głos w pustkę stojącą koło mnie. – Mój niedotknięty cudzie, nie jestem już silny, zabrałaś mi wszystko. Jestem w twoich rękach, moja tęczy. Nigdy już nie skończy się ta opowieść, choćby nie wiem co się wydarzyło, zawsze będę cię kochał, tak jak kocham cię teraz, gdy siedzę tu pijany, udreńczony ponad ludzkie siły i zdemolowany wewnątrz, gdy siedzę i piję, by pływało we mnie magiczne –

niedorzeczne – czule – groteskowe wybawienie studzące pożogę, precyzyjnie odmierzoną, matematycznie przewidywalną – pieprzony, ognisty słup miłości, przed którą nie ma ucieczki...

*

Nad ranem podeszła nieoczekiwanie do fotela, na którym siedziałem i odpięła mi jeden guzik koszuli.

Zamarłem i wpatrzyłem się w jej oczy. Oczy były czarne, a spojrzenie intensywne i zrozumiałem, że chce. Bez żadnych wahań. Nie wiem, jak podniosło mnie z fotela. Tylko jeden ruch. I trzymałem ją w ramionach.

Uniosła twarz, uniosła się na palcach, sama poszukała moich ust. Niezwykle delikatnie chwyciła wargami moją dolną wargę, omiotła ją językiem i leciutko przygryzła.

Wulkany wybuchały w moim ciele jeden za drugim.

Przygarnąłem ją do siebie, nie opierała się wcale i zacząłem ją całować.

Jeszcze nigdy żadnej dziewczyny tak nie całowałem.

Był w tym pocałunku pośpiech i czułość, było narastanie potwornego wybuchu, był ten wybuch, miażdżący jej wargi, chwytalem te wargi, dzikie z pragnienia, miękkie jak aksamit, wilgotne, chciwe, ztracałem się w nich bez reszty, czułem nacisk jej drobnych piersi, zacząłem ich szukać. Ania bez słowa uniosła obie ręce w górę, jednym ruchem ściągnąłem jej przez głowę czarną sukienkę. Piersi miała krągłe, o idealnych łukach, małych poziomkowych sutkach, przywarłem do nich, czując westchnienie Ani i jej drżący jęk.

Wziąłem ją za ręce, zaniósłem do sypialni. Na mój materac na podeście i jakieś wspomnienie delikatnie mnie zaniepokoiło. Otworzyłem oczy i popatrzyłem na nią.

Była tu, na wpół naga, drżąca z pragnienia, oplatająca mnie długimi nogami, cała w westchnieniach, dreszczach, w pożądaniu. Pozwoliłem, by rozpięła mi do końca koszulę i zdjęła ją. Potem zaczęła rozpinąć mi guzik smokingowych spodni. Bałem się, że za chwilę będzie po wszystkim, sam zdjąłem spodnie i zacząłem zsuwać jej cienkie jak mgiełka rajstopy. Pomogła mi.

Leżeliśmy oboje zupełnie nadzy i nie przestawaliśmy się całować. Czułem całe jej ciało, jej jedwabną skórę i chciałem całować każdy milimetr tej skóry, ale nie zdążyłem, bo Ania szepnęła: „Chodź...” i nie była to prośba, którą można zlekceważyć.

Oparłem się na łokciach i delikatnie, niezwykle delikatnie zacząłem wchodzić w nią, w głąb jej ciała. Czerń przed oczami pochłonięła cały obraz, pomyślałem, że może dostałem udaru i zatrzymałem się. Byłem w niej, głęboko, słodko, do końca.

Szarpnęło mną przerażenie, czy znów nie zobaczę pustki, tak jak kiedyś. Otworzyłem oczy i spojrzałem z bliska na jej twarz. Wielkie oczy Ani patrzyły na mnie, lekko zmrużone. Była tu. Nie wyobraziłem sobie tego.

Była tu, a ja byłem w niej i teraz zacząłem poruszać się, wznosić i opadać, szeptać jej imię. Czułem, że nie widzę zbyt wyraźnie, ale wiedziałem, że to ona, że zabiera mnie gdzieś z mego ciała w wędrówkę nie wiadomo dokąd, bliższa mi z każdym ruchem, cudownie chłonna, gorąca, pragnąca, że doprowadzam i ją, i siebie do kresu, jeszcze tylko kilka ruchów, jeszcze jeden...

Jakby granat rozrywał mnie na strzępy, zgiąłem się w spazmie, dygocząc nieprzytomnie nad jej dygoczącym ciałem, wciąż jeszcze to przeżywała, więc wciąż jeszcze poruszałem się w niej, w jej ciele, w jej ramionach, w mocnym chwycie jej nóg.

Na koniec upadłem bez życia na jej piersi i leżałem, jakbym właśnie umierał, jak samotna asteroida w bezkresie kosmosu, a potem Ania szepnęła: „Zostań, chcę żebyś znów wstał we mnie...”.

Nagły skurcz poderwał mnie całego. Spojrzałem na nią z przerażeniem. Szarzielone oczy, proste rude włosy, smukłe ciało Majki i nagle pustka. Krzyknąłem i upadłem na poduszkę.

21 ang. Nie zmuszaj mnie do włączenia trybu suka.

Rano

Rano...

2 lutego

Jak wezmę taki porządny, osikowy kołek...

3 lutego

Co się ze mną dzieje, na miłość boską?

Czy mój mózg naprawdę oszalał? Rozmawiam z diabłem, widzę zamiast twarzy psi pysk, kocham się z Anią... czy z Majką? Czy z żadną z nich?

Dlaczego Majka, jak strzyga, wciąż wędruje za mną?

Dlaczego nie mogę od niej odejść, dlaczego przychodzi do mego umysłu w snach?

Pewnie dlatego, że w łóżku każdorazowo szliśmy na Olimp. Majka miała ogromny temperament seksualny, nie zdarzało się, by bolała ją głowa, była bezpruderyjna, odważna, pomysłowa, namiętna, w nieoczekiwanych momentach szeptała mi do ucha świństwa, potrafiła zadzwonić na uczelnię i szeptać mi te świństwa przez telefon, wprawiając mnie w straszliwą konsternację, ale z drugiej strony... szalałem za tym.

Wciąż pamiętam noce, gdy nie dawała mi zasnąć, gdy co chwilę podejmowaliśmy drogę na szczyt, gdy brała tyle samo, ile dawała, śmiało mówiła o swoich pragnieniach, jasno stawiała granice, których nie chciała przekraczać, choć lubiła tak naprawdę prawie wszystko i gdy następnego dnia po takiej nocy szedłem do pracy, ledwie mogłem się ruszać, ale wewnątrz mnie wciąż przelewał się słodki dreszcz i tylko czekałem na chwilę, gdy będę mógł wrócić do niej i znów robić to, co robiłem poprzedniej nocy bez wytchnienia.

Gdyby we wszystkim układało nam się tak, jak w łóżku... ale niestety. Seks był jedynym genialnym czynnikiem w naszym związku, reszta była od początku zła i z czasem stawała się coraz gorsza. Nie potrafiłem z nią żyć, zderzać się z jej cynizmem, z jej twardością, z jej zdradami. Wciąż nie wiem, dlaczego mnie zdradzała, przecież pod tym względem nie mogła chyba narzekać... Dlaczego mnie zdradzała, kłamała, dlaczego wciąż walczyła o dominację, wciąż się ze mną ścigała, wciąż starała się mnie upokorzyć.

Rozumiem kobiety i nie boję się ich. Majki też się nigdy nie bałem, nie potrafiła mną zachwiać, nie odebrała mi poczucia wartości, właściwie nic ze mną jej się nie udało. Dlaczego w ogóle to robiła? Przecież gdyby zachowywała się normalnie, pewnie kochałbym ją do końca życia. Widocznie życie ze mną przekraczało jej siły, czy chęci, czy oczekiwania.

Pozamykałem już z nią to wszystko, oczyściłem umysł, tylko wciąż jeszcze nawiedzała mnie w snach, bo ciało przyzwyczajone do pewnych rzeczy nie umiało już się bez nich obejść, bo brak mi było seksu, który zawsze był bardzo ważną częścią mojego życia i ten wymuszony celibat, zupełnie dla mnie nieoczekiwany, rujnował mnie, tym bardziej że nie chciałem korzystać z pszczołek i przejawiałem zdecydowaną niechęć do masturbacji...

Zawsze myślałem z politowaniem o facetach, którzy w ten sposób pomagają sobie w trudnych chwilach i coraz jaśniej docierało do mnie, że nie ma już w zasadzie dla mnie innego wyjścia, jeśli chcę zachować wierność dziewczynie, która nie miała pojęcia o mojej walce, miłości i porażce.

Owszem, zostawały mi marzenia senne i pranie pościeli...

Owszem, przychodziła do mnie Majka, właściwie jako ciało, cudowne ciało, które znałem na wylot i które potrafiłem zaspokoić, które było moim odpoczynkiem wojownika, skarbem mojej pamięci i moją tęsknotą.

Bałem się tego uczucia, bo wiedziałem, że jest ono nie w porządku w stosunku do Ani, że właściwie ją ustawicznie zdradzam, a raczej, że robi to jakiś zakamarek mojego mózgu, wypuszczony na chwilę spod kontroli, i moje ciało, gdy rozluźnia je sen...

Wiedziałem doskonale, że z Anią, nawet gdyby wszystko poszło jak najlepiej – ten seks będzie inny. Ania nie była twardą Majką, z którą zdarzało mi się kochać ostro. I czułem jednocześnie, że z Anią wcale tego nie pragnę, nie... z nią wypracuję wszystko od nowa i będę taki, jak ona będzie chciała. Że nie będzie miała takiego seksualnego głodu, przynajmniej na początku – też wiedziałem. Ale wiedziałem też, że powolutku pokażę jej wszystko, otworzę ją, roznamiętnię, zrobię z niej kobietę. Będę najdelikatniejszy na świecie, będę czuły, romantyczny, nie przestraszę jej niczym, nie zrażę do niczego, choć jestem stary łajdak, co tu kryć.

I wiedziałem też, że gdy pierwszy raz przytulę do siebie Anię, Majka odejdzie ostatecznie, nigdy już nie wróci, bo po prostu przestałem ją

kochać. Była pamięcią ciała, które szalało w samotności, ot, choćby teraz: zapisałem jedną kartkę i niestety muszę...

*

To znaczy, nawet jeśli zapisuję sobie tak wszystko w pamiętniczku, jak panienka, to jednak są pewne granice wynurzeń...

Choć tak naprawdę nie wiem sam, co bym zrobił, gdyby nie możliwość spisywania tych żalonych memuarów. Potem je uroczyście spalę, bo gdyby to wpadło w czyjeś ręce, to nie ma rady, musiałbym popełnić honorowe samobójstwo.

5 lutego

Zupełnie nieoczekiwanie odwiedził mnie ksiądz po kolędzie. Byłem skacowany, ledwie żywy, nie spojrzałem przez wizjer, więc mu otworzyłem, a potem było już za późno.

Wszedł do mojej jaskini grzechu, gdzie w dużym pokoju poniewierał się rzucony byle jak smoking i pusta flaszka, taktownie widoku nie skomentował, za to nieopatrznie ruszył problem wiary. Ruszyłem równie ochoczo, startując od pierwszych chwil chrześcijaństwa, a właściwie – jak to określił Miguel de Unamuno – od tego wyjątkowego okresu od Cycerona do Marka Aureliusza, gdy bogów już nie było, a Chrystusa jeszcze nie było i gdy człowiek był sam.

Potem przewinęliśmy się przez krucjaty i Zakon Rycerzy Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego, potem przez całą Inkwizycję od trzynastego do dziewiętnastego wieku, potem na moment nas przystopowało i przyjrzeliliśmy się sobie uważnie. Ksiądz najwyraźniej miał ochotę sobie pogadać, ja z grzeczności też, więc poszliśmy Einsteinem.

– „Bóg jest wytworem ludzkich słabości” – powiedziałem.

O tym, że Biblia według Einsteina jest zbiorem dostojnych, ale jednak prymitywnych legend, już nie wspomniałem.

– „Chcę znać myśli Boga. Reszta to detale” – odpowiedział ksiądz.

No to ruszyłem Kantem:

– „Idea Boga wybiega poza możliwe doświadczenie, nie jest faktem stwierdzonym przez umysł. Jest wyłącznie hipotezą konieczną do zaspokojenia rozumu”.

– „Dwie rzeczy napełniają umysł coraz to nowym i wzmagającym się podziwem i czcią: niebo gwiazdziste nade mną i prawo moralne we mnie.

Są to dla mnie dowody, że jest Bóg nade mną i Bóg we mnie”.

Zdenerwowałem się trochę, głównie dlatego, że wziął mnie najbardziej popularnym cytatem.

– Jeśli chodzi o moralność, cóż... jestem matematykiem – powiedziałem nieco sarkastycznie. – Zna ksiądz to powiedzenie Kołakowskiego, że matematyka jest moralnie obojętna, również diabeł, jak się domyślamy, może być wybornym matematykiem?

– Pan jest matematykiem? – ucieszył się nie wiadomo z czego ksiądz. – No to przecież Galileusz powiedział, że matematyka jest alfabetem, za pomocą którego Bóg opisał wszechświat. Oczywiście jest rzeczą, że przyrodą rządzą zasady teleologiczne.

W tym momencie pękłem i zaproponowałem księdzu whisky, bo po pierwsze zrozumiałem, że nie skończymy tak prędko, a po drugie ucieszyłem się, że mam z kim pogadać.

Wyszedł ode mnie po kolejnych dwóch godzinach, gdy przelecieliśmy Einsteina, Kanta, Kartezjusza, Montaigne’a, ale także Pasteura, Hawkinga, Bacona i księdza Twardowskiego.

– „Wiara jest to pewność bez dowodu” – powiedział, żegnając się ze mną cytatem z Amiela i podając mi swój bilet wizytowy. Po czym dodał słowami księdza Twardowskiego: – A „Boga się nie udowadnia, Boga się poznaje”. Tak à propos – czy jest pan wierzący?

– Bóg raczy wiedzieć – odparłem z westchnieniem.

Gdy wyszedł, zostałem jeszcze w fazie myślenia o Kimś Poza Zasięgiem, który stworzył genialną maszynę, zwaną wszechświatem. Prawdopodobnie to On ją stworzył, człowiek nie byłby tak logiczny...

Jakie może być inne wyjście? Dokąd dotrze matematyka i fizyka w swych poszukiwaniach?

Pasteur twierdził, że mało wiedzy oddala od Boga, a dużo wiedzy sprowadza do Niego z powrotem. Czy zgromadziłem już wystarczająco dużo wiedzy?

Śmiem wątpić.

Czy wierzę w Boga?

Nawet diabeł nie jest ateistą...

7 lutego

Emilka puściła błąd.

Wprost trudno mi było w to uwierzyć, tym bardziej że na pierwszy rzut oka moduł był napisany bez zarzutu. Przeprowadziłem rewizję kodu, która nic nie wniosła, no ale ponieważ to była Emilka, więc zawiąłem się, skupiłem i wznowiłem batalię prawie jak Napoleon pod Austerlitz. Po batalii wyłożyła się większa część modułu...

Usiadłem sobie wygodnie w fotelu, otworzyłem piwo i zacząłem napawać się zwycięstwem. Nieoczekiwanym, niesłychanym, brawurowym zwycięstwem, tak jak brawurowy był ten mój atak, po którym właściwie niczego się nie spodziewałem. A jednak. Przyłapałem ją. Wypunktowałem. Więc nie jest taka idealna. Jakbym słyszał jej pogardliwy foch... „Uroda nie jest jeszcze największą wadą mężczyzny”, „Proszę, proszę, co za niebanalna wolta myślowa”, „To nic osobistego, po prostu jestem od ciebie lepsza”. Nie urząły mnie te uwagi, raczej bawiły i nigdy nie myślałem o tym, żeby dokopać Emilce, teraz też zwyczajnie uśmiechnąłem się w duchu. No, ciekaw byłem jej miny.

Tę minę zobaczyłem zaraz następnego dnia. Bez słowa położyłem przed nią wydruki i patrzyłem, jak pospiesznie i nerwowo przegląda kolejne kartki, na których przeprowadzony przeze mnie dowód bił, można powiedzieć, po oczach.

Podniosła na mnie metaliczne spojrzenie.

Nie powiedziałem ani słowa.

– Kurwa – podsumowała. – Byłam pewna, że jest dobrze.

Przyjrzała mi się z ciekawością.

– Niezły jesteś, wiesz?

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi. W oczach miała skrywane błyski, leciutki rumieniec na wysokich kościach policzkowych. Nie była wcale wściekła, raczej bezradna. Spytała:

– Znasz jakąś knajpę, gdzie nie będziemy rzucać się w oczy?

Po raz kolejny wylądowałem u mamusi, tym razem z Emilką. Jadwisia ostentacyjnie ignorowała naszą obecność, zamówienie przyjął młody chłopak, chyba nowy w tej knajpie. Emilka położyła na blacie stolika papierosy, kluczyki od motoru i rozejrzała się dyskretnie.

– Nie sądziłam, że lubisz takie miejsca – powiedziała.

– Jakie? – zdziwiłem się.

Miejsce było dobre jak każde inne.

– Nie wyglądasz na takiego, który chodzi po spelunach.

– Może po prostu niewiele o mnie wiesz? – Uśmiechnąłem się.

– Nie uśmiechaj się.
– Czekaj. – Zacząłem liczyć na palcach. – Nie rozmawiać o matematyce, nie uśmiechać się... Czego jeszcze mi nie wolno? A właściwie dlaczego mam się nie uśmiechać?
– Bo się robisz... Nie, dobra, właściwie OK.
– Jaki się robię? – Spojrzałem jej w oczy.
Zmieszała się na moment, potem podniosła wzrok i walnęła bez uprzedzenia:
– Robisz się za przystojny. Poza tym wiesz o tym i ci się w głowie przewraca.
Pospiesznie opróżniłem kieliszek i poczułem, że teraz ja się czerwienię.
– Nie żartuj – powiedziała zdumiona. – Naprawdę tego typu uwaga jeszcze cię krępuje?
– Emilka – powiedziałem słabo. – Chyba nie próbujesz mnie podrywać?
Parsknęła śmiechem, potem nagle spoważniała i po chwili znów parsknęła śmiechem.
– No chyba sobie jaja robisz – powiedziała.
– Dobrze, to o czym moglibyśmy porozmawiać? – spytałem grzecznie. – O matematyce nie, o pracy nie, o podrywie nie...
– Opowiedz mi coś o sobie.
– Po co?
– Po prostu staram się podtrzymać konwersację.
Byliśmy już w połowie 0,7 litra, ale trzymała się bardzo dobrze.
– To może ty mi coś opowiesz? – spytałem przekornie.
– Dobra. Co chcesz wiedzieć?
Ależ była śliczna. Krótka fryzurka, kpiące oczy, słodkie usta. Drobną, niegrzeczna, piekielnie inteligentna i złośliwa jak ziarnica.
– Jesteś z Warszawy? – spytałem.
– Tak.
– I studiowałaś tutaj?
– Też.
– A gdzie jeszcze?
– Nie mogę powiedzieć.
– Jesteś w jakimś związku czy sama?
– Nie mogę powiedzieć.
– A coś możesz powiedzieć?
– Tak. Na przykład lubię rap.

- To już wiem.
- Nie szkodzi. Utrwal sobie.
- I co jeszcze lubisz?
- Fajki – powiedziała, wyciągając papierosa.

Podąłem jej ogień.

- A ty? – spytała.
- Ja też lubię fajki.

Odchyliliśmy się na krzesłach i popatrzyliśmy na siebie przez blat stolika.

- Trzeba więcej wypić – powiedziałem, nalewając następną kolejkę.
- I co, naprawdę uważasz, że się upiję i coś ci powiem?
- Nie musisz. Jesteś prześliczną dziewczyną, siedzę sobie z tobą w knajpie i piję wódkę. Nic więcej wiedzieć nie muszę.
- No, wreszcie zacząłeś mówić z sensem. Utrzymaj się w tym tonie. Jest tu kibel? Muszę sobie przypudrować nos.

– Jest, oczywiście. Prosto i w lewo.

Nagle przypomnienie *Pulp Fiction* kazało mi jeszcze spytać:

- Ale nie będziesz nic brała?
- Bo co?
- Bo nie mam zamiaru wbijać ci igły w serce.
- Co, uważasz, że zwykłe szpile wystarczą? – spytała i podniosła się od stolika.

Byłem już leciutko trącony, a postanowiłem, że dziś się nie upijam. Nie, nie przy Emilce. Miałem nadzieję, że nie wciąga tam teraz na osobności żadnej ścieżki. Spojrzałem na blat stołu. Wzięła ze sobą papierosy, ale zostawiła kluczyki od motoru. Bez namysłu schowałem je do kieszeni.

– Wysokość zamontowania tego ustrojstwa powoduje pewne sportowe wyzwania – powiedziała Emilka, pojawiając się znów przy stoliku.

Jej wypowiedź zostawiła mnie pobitego na deskach, naprawdę nie mogłem się zorientować, co miała na myśli.

– Co tak słuchasz jak świnia grzmotu? – spytała uroczo. – Ty nie masz takich problemów.

Jako żywo nie mam...

– Oj, no dobra, kabina była zamknięta, musiałam się wysikać do pisuaru – powiedziała niechętnie.

– Czyli już wiesz, co to znaczy nie dorosnąć do pewnych rzeczy. – Pokiwałem głową, a Emilka parsknęła jak rozzłoszczona kotka.

– No dobra – zdecydowała. – Teraz ja pytam, a ty odpowiadasz. Zamów jeszcze jedną flaszkę.

– Serio? Damy radę?

– A czemu byśmy mieli nie dać?

– Bo jak szłaś do łazienki, to już cię nosiło na boki.

– Może lubię chodzić bokiem. A co ty taki czujny?

Znów się do niej uśmiechnąłem.

– Długo znasz Mikiego? – spytała.

– Długo. Pracowaliśmy razem, a przedtem studiowaliśmy na jednym roku.

– Lubisz go?

– Pewnie. Jest spoko.

– A gdzie pracowaliście?

– A... w takiej firmie u naszego byłego profesora.

– I czemu tam w dalszym ciągu nie pracujecie? – spytała.

Była już lekko pijana, widziałem to po jej oczach. Skinąłem na przechodzącego chłopaka, poprosiłem go o kolejną flaszkę.

– Tak się ułożyło – powiedziałem do Emilki.

– Razem odeszliście?

– Nie. Ja najpierw, a Miki później.

– Często rzucasz robotę?

– Nie.

– A tu ci się podoba?

Skinąłem głową.

– Zapieprz jest, to prawda, ale robota fajna – powiedziałem. – Poza tym mam przyjemność pracować z tobą.

– Ta-ta-ta – powiedziała Emilka, dolewając nam do kieliszków. Rękę miała zadziwiająco pewną. – Lubisz wciskać laskom taką gadkę?

– Mówię serio – powiedziałem serio. – Bardzo szanuję twój sposób myślenia. Masz piękny mózg. To frajda pracować z kimś takim.

– Dlaczego jesteś dla mnie miły?

– Ja po prostu jestem miły...

– Nie pierdol. – Uśmiechnęła się szybko. – Nie ma ludzi po prostu miłych.

– Dlaczego, na Boga? – zdziwiłem się.

– Każdy zazwyczaj czegoś chce. Ciekawi mnie, czego chcesz ty?

– Niczego – odparłem. – Naprawdę.

– To szkoda – palnęła i uśmiechnęła się do mnie znowu. – Masz dziewczynę?

Pytanie było tak niespodziewane, że aż się wstrząsnąłem.

– Nie mam – odpowiedziałem po przerwie.

– Jesteś sam? Do wzięcia?

– Sam, ale nie do wzięcia.

– Bo co?

– Bo jestem zajęty.

– No to sam czy zajęty? Ej, a może ty jesteś gejem?

Roześmiałem się.

– Nie jestem. Jestem wściekle heteroseksualny.

– No to nie rozumiem.

– Mówiłem ci już kiedyś, że czysta logika jest ruiną ducha?

– Taaa, pisałeś też. Czyli co?

– Nic. Jestem zajęty.

– Aha. – Wypiła znowu.

Też wypilem. Potem pomyślałem, że chyba nie damy rady tej drugiej flaszce.

– A ty... a ty... ty... ty... – zaczęła Emilka.

– Jąkasz się, czy rapujesz? – spytałem z zainteresowaniem.

– ...mczasem wódka stygnie – dokończyła.

– Naprawdę chcesz jeszcze pić?

– Oczywiście. Czy ja wyglądam na pijaną?

Prawdę mówiąc, wyglądała, i to już od dłuższej chwili. Bez słowa nalałem jej jeszcze jeden kieliszek. Wypiła i powiedziała:

– Zapieprzyłeś mi kluczyki od motoru. Oddawaj.

– Nie.

– W tej chwili oddawaj.

– Emilka – powiedziałem z westchnieniem. – Nie będziesz jechała po pijaku na motorze. Chyba zwariowałaś.

Przyjrzała mi się. Właściwie próbowała to zrobić, ale nie bardzo udawało jej się skupić spojrzenie.

– Weźmiemy taksóweczkę – powiedziałem łagodnie. – Zaraz zamówię.

– Gównu. Jeszcze mamy flaszkę do skończenia.

– Emilka, nie będę cię potem nosił.

– Tylko co, zostawisz na ulicy?

Język jej się jeszcze nie plątał i zachowywała jako taki sens wypowiedzi, ale widziałem, że nie jest najlepiej.

– Nigdy w życiu bym cię nie zostawił – powiedziałem i przestraszyłem się, czy nie zabrzmiało to dwuznacznie. Emilka nie zwróciła na to uwagi.

– Nalej sobie – powiedziała. – Dlaczego nie pijesz?

– Jedno z nas musi być trzeźwe.

– Co ty taki harcerz? Mieliśmy się nastukać.

– Jestem nastukany. Wystarczy, Emilka. Odpracowałam już swój błąd.

– Jaki błąd? – zdziwiła się.

– No dobrze, omyłkę. Omyłkę w module.

– Człowiek genialny, hep! nie popełnia żadnych omyłek. Jego błędy są hep! dobrowolne i stają się wrotami... wrotami...

– Tak, odkryć – dokończyłem z westchnieniem.

– Wiesz, kto to powiedział?

– James Joyce.

– Nie. Ja.

– OK. Chodź, będziemy się ewakuować.

– Jeszcze zostało pół flaszki...

– Proszę pana. – Zatrzymałem chłopaka, przechodzącego znów koło naszego stolika. – Poproszę rachunek i zakrętkę od butelki. Nie daliśmy rady, bierzemy ją ze sobą.

– Ale...

– Bardzo proszę. Rachunek i zakrętka – powiedziałem, nie patrząc na niego, bo Emilka zaczęła spadać z krzesła.

– Szybciutko – dokończyłem. – Jeśli nie chcemy katastrofy.

– Może pani pójdzie do łazienki? – spytał spłoszony chłopak.

– Może pójdzie.

Emilka nigdzie nie miała zamiaru chodzić. Zapłaciłem za nasze bachanalia i zacząłem ją wyciągać z lokalu. Musiałem trzymać mocno wpół, bo gięła się na wszystkie strony. Z wielkim trudem założyłem jej kurtkę i wtedy padła mi na pierś. Pozbierałem ją z piersi, zanim jeszcze dotyk jej ciała zdołał mnie poruszyć, do cholery, nie miałem dziewczyny od ponad pół roku... pozbierałem ją, zaciskając zęby i wymanewrowałem z knajpy. Na ulicy już ją prawie niosłem.

– Poczekaj – powiedziała nagle. – Będę rzygać.

Postawiłem ją pospiesznie i przytrzymałem nad koszem. Wyrzygała się pięknie, odetchnąłem. Lepiej tutaj, niż w taksówce... Taksówek nie było, za

to Emilka zaczęła odpadać. Co pewien czas próbowałem ją lekko tarmosić, ale nic to nie dawało.

– Emilka, gdzie mieszkasz? – pytałem beznadziejnie. – Malutka, gdzie mieszkasz, co? Powiedz coś, do cholery.

Tarmoszona Emilka otwierała co pewien czas oczy, ale nie udzieliła żadnej odpowiedzi. Władowałem ją do taksówki i podałem kierowcy swój adres. W połowie drogi Emilka przecknęła się i powiedziała:

– Niedobrze mi.

Włos mi stanął na głowie.

– Cicho, ciii, zaraz przejdzie – szepnąłem do niej, przytulając do siebie, żeby nie latała bezwładnie po siedzeniu.

– Jaki jesteś miły... – powiedziała niewyraźnie.

„Lepiej być miłym, niż obrzyganym” – westchnąłem w duchu.

Taksówkarz co pewien czas oglądał się do tyłu kontrolnie, chyba miał takie same obawy jak ja.

– Mam torebkę foliową. – Uspokoilem go.

– Jak mi zarzyga wóz, to biorę podwójną stawkę.

– OK.

Emilce na szczęście udało się utrzymać resztę we wnętrzu, wyciągnąłem ją z taksówki, przerzuciłem sobie przez ramię i zaniósłem do windy.

– Gdzie mnie przywiozłeś? – spytała, gdy postawiłem ją pod drzwiami i wyjąłem klucze.

– Do siebie.

– Ale ja nie powiedziałam, że spędzę noc z tobą... – powiedziała już trochę przytomniej.

– Ja też tego nie powiedziałem – stęknąłem, znów ją podnosząc. – Prześpisz się u mnie, bo nie wiem, gdzie mieszkasz. Nie byłaś uprzejma mi powiedzieć.

Zaniósłem ją do sypialni, posadziłem na łóżku i zacząłem zdejmować z niej skórzaną motocyklową kurtkę. Emilka zaczęła rozpinać mi koszulę. Zabrałem jej rękę, pozapinałem guziki. Schyliłem się, zacząłem rozwiązywać jej buty. Emilka upadła na mnie połową ciała. Podniosłem ją do pozycji siedzącej, zdjąłem buty, a potem delikatnie położyłem na łóżku i otuliłem kocem.

– Chodź do mnie – powiedziała niewyraźnie i wyciągnęła rękę.

– Będę w drugim pokoju. Śpij.

– Chcę spać z tobą...

Teraz to już o mało się nie złamałem, ale zacisnąłem zęby i wymacałem w kieszeni płaszczka niedopitą flaszkę z knajpy.

– Emilka, malutka, śpij. Rano mi podziękujesz – powiedziałem przez zęby.

– Gównu – powiedziała Emilka, odwróciła się do mnie tyłem i naciągnęła koc na głowę.

W dużym pokoju wyjąłem dmuchany materac i pompkę, i walnąłem sobie z gwinta. Potem spróbowałem umościć sobie jakieś legowisko. Miałem zapasową poduszkę, na kołdrze spała Emilka, koc też jej oddałem. Przypomniałem sobie, że w szafie został jeszcze jakiś koc po Majce, zawahałem się i zawróciłem do sypialni.

Emilka leżała przykryta z głową tak jak ją zostawiłem. Otworzyłem cicho przesuwne drzwi szafy i wymacałem koc. Majka przez sekundę uśmiechnęła się do mnie z ciemności, potrząsnąłem głową, by odegnać ten obraz. Zabrałem koc, potem jeszcze wróciłem cicho i postawiłem przy podeście pustą miszkę, aż w końcu wycofałem się ostatecznie.

Ułożyłem się na materacu, flaszkę postawiłem koło siebie na podłodze, fajki i popielniczkę też. Zapaliłem sobie i pociągnąłem długi ostry łyk. Pięknie, tu Majka, tam Emilka... Ciało szalało mi z samotności, wódka tylko w tym pomagała. Siedem kilometrów stąd jest Ania – jedyna, z którą chciałbym spędzić tę noc. Jedyna, którą naprawdę kochałem i której pragnąłem. Majka, Emilka – to były zaczepki wyobraźni, to były zachwiania ciała, po prostu chciałem się kochać do bólu, ale nie z byle kim... Już zrezygnowałem z pszczołek, pogoniłem Majkę, oparłem się Emilce... zresztą była pijana i nie bardzo czaiła bazę, miałem tylko nadzieję, że nic nie będzie następnego dnia pamiętała, bo będzie jej głupio. Alkohol strasznie rozluźnia hamulce. Mnie też, ale nie na tyle, bym poszedł z nią do łóżka.

Leżałem, paliłem kolejną już fajkę, od czasu do czasu pociągałem z flaszki. Słyszałem Emilkę w pokoju obok, wiedziałem, że nie śpi, ale twardo to ignorowałem. Trudno, niech się tłucze, ma miszkę, ma koc, ma łóżko, nic więcej nie mogłem dla niej zrobić.

Pełnometrażowy film z Anią w roli głównej wyświetlał mi się pod zamkniętymi powiekami, między kolejnymi sztachnięciami i między łykami wódki, kołyszącej mnie coraz bardziej do snu. Zgasilem fajkę, powiedziałem: „Kocham cię” i usnąłem.

9 lutego

Gdy obudziłem się następnego dnia, Emilki nie było. Na stole w kuchni leżała kartka:

*Nie chciałam cię budzić. Kluczyki od motoru wzięłam z twojej kieszeni.
E.*

PS Dziękuję

Zrobiłem sobie mocną kawę i zadumałem się nad kartką. Za co mi podziękowała? Że się nią zaopiekowałem, czy za to, że jednak udało mi się jej nie bzyknać, choć było blisko?

Poczułem, że jestem śmiertelnie zmęczony. W szkole właśnie zaczęły się ferie zimowe, może trochę złapię oddech. Ostatni okres był nad wyraz ciężki. Robiłem klasówki semestralne we wszystkich klasach, potem je sprawdzałem po nocach, wystawiałem oceny, a w banku zapieprzałem jak mały samochód. Pomyślałem, że najbardziej na świecie chciałbym się wyrwać, uciec na kilka dni od roboty, stresu, nierozwiązanych sytuacji. Do tej pory nigdy od tego nie uciekałem, ale tych sytuacji nie dawało się rozwiązać.

Miłość do Ani zaczynała się przeobrażać w zainfekowaną ranę, pochłaniającą powoli swą trucizną całe moje wnętrze, moje obolałe serce i pękniętą duszę. Nie miałem już siły, by zмагаć się z nieustannym wewnętrznym chaosem, by zaliczać kolejny absolutny rozpad świata.

Majka nawiedzająca mnie w snach, Emilka testująca moją wytrzymałość i daleka Ania – niedotknięta, nieświadoma, odległa, ani jednym słowem, ani jednym spojrzeniem niedająca mi choć skrawka nadziei. Byłem tylko człowiekiem. Nie żadnym pierdolonym herosem ani świętym męczennikiem, nie, nie liczyłem na żadną kanonizację, właściwie nie liczyłem też na współzucie.

Przypomniało mi się, co na studniówce Aśka mówiła o kochaniu. Była to, niestety, cholerna prawda. Uczucia rzucają się na umysł, nie można zaprzeczyć. Czy inaczej ja, dorosły facet, doświadczony już przez życie, zachowywałbym się jak ostatni kretyn? Dokładnie tak, jakby była to pierwsza miłość w moim życiu, a ja miałbym osiemnaście lat, tak jak Ania. Przecież miałem wcześniej tyle kobiet, praktycznie mogłem mieć każdą, na której mi zależało. Ale intencje zawsze były czyste. Nawet jeśli stosowało się jakieś strategie, to w ściśle określonym celu – zdobycia. Tu zaś następowała typowa sytuacja patowa. Chciałbym i być może potrafiłbym ją zdobyć, ale była to właśnie ta rzecz, której nie wolno mi było zrobić i to

nawet już nie tylko ze względu na przyrzeczenie. Zdawałem sobie sprawę, że nie chcę wykorzystywać układu, który stawiał mnie na pozycji uprzywilejowanej jako jej nauczyciela, nie chciałem czerpać z tego profitów, i tak narzuciłem jej swoje towarzystwo i opiekę, i tak miałem nad nią władzę, która mi się nie należała. Nie chciałem posuwać się dalej.

Tu już nie chodziło o wygraną. Ja ją kochałem. Dlatego tak zupełnie straciłem głowę. Kochałem ją i nie mogłem jej mieć, bo sytuacja była taka, nie inna, stąd całe moje dotychczasowe doświadczenie mogłem sobie o kant dupy potłuc.

W ręku same blotki, we mnie pierwsza prawdziwa miłość, powodująca kompletne zaćmienie i stan totalnego wewnętrznego rozkładu, rzucającego mnie niespodziewanie z pozycji męskiej w jakieś czysto pensjonarskie prehistoryzowane stany, w tygiel emocji, z którymi nie potrafiłem sobie poradzić.

Zawsze byłem typem emocjonalnym, co mnie samego doprowadzało do szału, w wyniku działań obronnych wypracowałem więc w sobie metodę kpiny i ataku, a także kamuflażu, mającego osłonić łagodną krainę romantyzmu, której się wstydziłem jako mężczyzna.

Sytuacja, w której się znalazłem teraz, rozwalala we mnie wszystkie mury obronne, powodując, prócz udręki, także stan permanentnej złości na własne przewrażliwienie.

Mówiąc potocznie – chlałem i wariowałem. Wariowałem do tego stopnia, że...

10 lutego

...poszedłem do Rafała Trzeciaka i spytałem, czy nie mógłbym wziąć kilku dni urlopu. Emilka dziś w ogóle nie przyszła do pracy, siedziałem sam, od wczoraj zaczęły się ferie w szkole. Rafał był zaskoczony, ale zgodził się bez namysłu. Byłem mu bardzo wdzięczny, bo wiedziałem, że w banku urlop jeszcze mi się nie należy, uzależnione to było wyłącznie od dobrej woli Rafała.

– Dzięki – powiedziałem. – Jestem wykończony. Muszę naładować baterie.

– A jak stoicie z robotą? – zainteresował się Rafał.

Tym razem już bez żadnych kpin zreferowałem mu przebieg prac, pokazałem gotowe moduły, wszystko było naprawdę na niezłym etapie,

porządnie już posunięte. Gdybyśmy utrzymali takie tempo, nie mielibyśmy żadnych problemów z dotrzymaniem terminu.

– OK. – Rafał się uśmiechnął. – Widzę, że idziecie ostro. Weź sobie tydzień wolnego.

– Dzięki, kilka dni wystarczy...

– Weź tydzień – powiedział Rafał stanowczo. – Zresetuj się. Nie chcę, żebyś tu trupem padł.

Wieczorem byłem jeszcze u Ani, potem spakowałem się i następnego dnia rano pojechałem na narty.

11 lutego

Mam kwatere w Szczyrku, z której korzystam od lat, w genialnym miejscu, przy ulicy Myśliwskiej, prawie naprzeciwko dolnej stacji wyciągu na Skrzyczne. Myk polega na tym, że gospodarze nie inwestują kompletnie w interes, przedpotopowa łazienka, w dodatku jedna na cały dom, jest na korytarzu. W związku z czym ruchu też nie mają, wszyscy chcą wygody, łazienki i telewizora w pokoju. Mnie osobiście to wali, w łazience jest czysto, tydzień mogę wytrzymać. Teraz też przyjechałem z marszu, dostałem swój stały pokój, jedynekę i zdążyłem jeszcze poszaleć na nocnym, oświetlonym stoku.

Późnym wieczorem zadzwoniła moja służbowa komórka.

– Hej – powiedziała Emilka i urwała.

– Hej – odpowiedziałem.

– Co się z tobą dzieje? Gdzie jesteś?

– Nie będzie mnie przez ten tydzień – odparłem.

– Ale coś się stało?

– Nic się nie stało.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś?

Na końcu języka miałem odpowiedź: „Nie muszę ci się tłumaczyć”, ale się zatrzymałem.

– Myślałam, że może... – powiedziała Emilka cicho – że może zrezygnowałeś z pracy czy co...

– Dlaczego miałbym zrezygnować? – zdziwiłem się.

– No wiesz, po tym naszym... wieczorze. Zraziłeś się?

– No co ty.

– Przepraszam cię, strasznie się spiłam. Nic nie pamiętam. Czy poszliśmy do łóżka?

- Nie – odpowiedziałem.
- Ale naprawdę? Bo cały czas się tym gryzę...
- Ty się gryziesz? – Roześmiałem się. – Nie. Nie poszliśmy. Dałaś mi po mordzie i powiedziałaś, żebym się walił.
- Naprawdę?
- Aha.
- Przepraszam.
- Ale za co?
- Za to, że powiedziałam, żebyś się walił. – Roześmiała się. – A tak na serio, to za to, że... no wiesz.
- Nie ma sprawy.
- A teraz gdzie uciekłeś?
- Na narty. Wrócę za kilka dni.
- Rafał wie?
- Puścił mnie.
- Dokończysz ten moduł?
- Nie mam tu kompa, ale zrobię co będę mógł na sucho.
- OK – westchnęła. – To miłego urlopu.
- Dzięki.

Rozłączyła się.

Emilka, słodkie dziecko, które do tej pory kompletnie się mną nie przejmowało. No, no.

13 lutego

Dziewczynę zobaczyłem zaraz drugiego dnia po przyjeździe do Szczyrku. Mieszkaliśmy w tym samym domu, oboje zajmowaliśmy pojedyncze pokoje na tym samym piętrze. Mogła być w moim wieku, może trochę młodsza. Miała podłużną twarz okoloną luźnymi czarnymi lokami – drobna, niewysoka, wyglądała na zmęczoną.

Aż do momentu, gdy mnie zobaczyła. Od tej chwili zmęczenie zniknęło, w ciemnych oczach zapaliło się liliowe światełko, ledwie przeczone, a jednak pełne spokojnej premedytacji. Znałem tę aurę gotowości, posmak szeroko zakrojonego planu, kiedyś potrafiłem wchodzić w takie przygotowania z marszu, bez cudów i bez żalu, a nade wszystko bez żadnych zobowiązań. Teraz byłem zmęczony. Nie ciekawiła mnie ta dziewczyna. Nie była brzydka i nie była zła, przeciwnie, była w niej

niedomówiona zmysłowość, to, co zawsze mi się w kobietach podobało, ale ja byłem już inny. Przeszedłem koło niej z twarzą zupełnie bez wyrazu.

Potem natknąłem się na nią w jadalni, niewielkiej, czystej, serwującej domowe obiady, które codziennie spożywałem w hałasie butów narciarskich z odpiętymi klamrami, wrzasków dzieci i wszystkiego, co miało do zaoferowania Radio Zet nastawione w natężeniu pozbawionym miłosierdzia. Skręcało mnie od tego hałasu, ale obiady były dobre, więc tylko starałem się pożerać je w zwiększonym tempie. Dziewczyna zrobiła taki ruch, jakby chciała się do mnie przysiąść, lecz byłem właśnie na etapie dyskretnego wypluwania pestek wiśni z kompotu, więc zrezygnowała.

Po raz kolejny spotkaliśmy się na wyciągu. Stałem sam, czekając na podwójny orczyk, „wpinający” zawołał w stronę kolejki „Ktoś do pary!”, uchwyciłem kątem oka szybki ruch, odbicie kijkami, dwie srebrne narty zgrabnie wpasowały się w wyslizgany ślad tuż koło moich, szarpnął nas orczyk i wtedy dziewczyna przekładając kijki do zewnętrznej ręki powiedziała:

– My się przecież znamy.

– Istotnie? – spytałem. Miałem na twarzy okulary słoneczne, nie widziała moich oczu.

– Owszem. Z widzenia. Mieszkamy w tym samym domu.

– Ach tak? Być może.

„Rwij się na drzewo” – pomyślałem. Całą trasę przejechaliśmy w milczeniu. Na końcowej stacji przytrzymałem jej orczyk, gdy wysiadała, ale natychmiast skręciłem w bok, na czerwoną trasę prowadzącą na Golgotę. Żadnych pogawędek. Żadnych spojrzeń. Żadnych kumpłowań się. Nic mnie nie obchodziła.

Wszędzie były idealne warunki. Mnóstwo śniegu porządnie ubitego ratrakami, słońce majowe. Nie pierwszy raz jeździłem w Szczyrku, pamiętałem sezony, gdy na górze był wyłącznie lód, a na dole glina, kamienie i krowie łajna, gdy trzeba było desperacko prześlizgiwać się po resztkach rozjeżdżonego śniegu, chroniąc deski przed kamieniami lub brać zwyczajnie narty na grzbiet i schodzić na co gorszych kawałkach. Ponieważ mój stosunek do narciarstwa był zawsze i niezmiennie entuzjastyczny, więc prześlizgiwałem się, otrząsałem z błota i igliwia, marzłem, mokłem i wkurzałem się, ale za to nagrodą były takie wyjazdy jak ten teraz, gdzie nadmiar śniegu i słońca mógł prowadzić do szaleństwa lub przynajmniej ekstazy. Golgota była idealna, muldy jeszcze nie wyrąbane, można było

wyprawiać cuda. Lubię jazdę na muldach, szybką i ostrą, bawi mnie skakanie po ich grzbietach i wymierzone wślizgiwanie się w maleńkie przełęczki między nimi, lubię wiatr i kruchy zgrzyt śniegu i lubię, gdy słońce, padając od tyłu, rzuca mi pod nogami mój długi, dynamicznie kładący się w dwie strony cień. Zahamowałem pod wyciągiem w pióropuszu śnieżnego pyłu, spojrzałem w górę na trasę, którą przed chwilą jechałem i w połowie niej dostrzegłem drobną czarną sylwetkę, małą kropkę postawioną na cieńszym końcu z górnym, przelewającym się łagodną amplitudą na boki. Więc jechała za mną... Naprawdę świetnie jeździła na nartach, miała długie, fantastycznie zgrabne nogi, opięte w elastyczne spodnie narciarskie, loki zebrane w kité na czubku głowy i doprowadzała mnie do szału. Już tyle miesięcy wyniszczała mnie ciemna, trująca pożoga, pragnienie kobiecego ciała, tego cudownego odpoczynku unieważniającego wszystko prócz siebie, a to ciało było na wyciągnięcie ręki.

Nie wiem, czemu uznała, że koniecznie musi mnie ustrzelić. Jej strategia na zmianę bawiła mnie i złościła, ale jednocześnie musiałem o niej myśleć, bo nie miałem innego wyjścia. Wciąż się na nią natykałem, co całej znajomości nadawało pewien posmak nieuniknionej gry, w którą ja nie chciałem grać, za to ona bardzo.

W domu stosunki między nami nabrały większej zażyłości, o ile tak można nazwać kilka bezosobowych rozmów, wypływających każdorazowo z jej strony.

– Przepraszam, czy mógłby mi pan pożyczyć otwieracz do konserw?

– Proszę mi wybaczyć, okno w łazience nie daje się zamknąć, czy byłby pan łaskaw...? Zdaje się, że wymaga męskiej ręki...

– Przepraszam, czy nie orientuje się pan, gdzie tu jest poczta?

Krótkie rozmowy korytarzowe, ani razu nie była u mnie w pokoju, bo też nie miałem najmniejszej ochoty jej zapraszać. Odpowiadałem grzecznie, uprzejmie szarpałem się z oknem, pożyczałem, wyjaśniałem i notorycznie spływałem sprzed jej oczu. Lubiłem się kochać, lecz nade wszystko lubiłem sam wybierać. Mogłem być wybranym dla żartu, dla kaprysu, ale nigdy dla ucieczki przed czymś, co było ważne. Na takie zagarnięcie mnie się nie godziłem, choć jednocześnie przyznawałem w duchu, że chyba nie jestem normalny – każdy facet brałby bez namysłu, bez zobowiązań, bez spoufaleń – ot, pyk i po sprawie. Ale ja nie chciałem takiego pyk. Nawet jeśli nie byłoby to żadną psychiczną zdradą wobec Ani – nie chciałem.

Miała samochód – małego Fiata Punto, którym posługiwała się swobodnie i z wyraźną przyjemnością, odpadł więc na szczęście problem podwożenia jej dokądkolwiek. Wieczorami siedziałem w pokoju i czytałem, albo pracowałem nad modułem. Nie chciało mi się szwendać, poza krótkimi wypadami na piwo, dość regularnymi, ale za to niezabierającymi wiele czasu, nie chodziłem nigdzie. Po powrocie z nart i zjedzeniu obiadu, tak gdzieś w okolicach siódmej, wykapałem się pod natryskiem, przebrałem w dres i wyciągnąłem na łóżku z książką, gdy raptem zobaczyłem, że zostawiłem niechcący wszystkie przybory toaletowe w łazience. Ktoś teraz też brał prysznic, słyszałem szum wody i wyczekiwałem na moment, gdy skończy i będę mógł pozabierać swoje rzeczy. Woda przestała lecieć, odczekałem jeszcze dłuższy czas, ale ponieważ już nic nie było słychać, więc uznałem, że łazienka się zwolniła.

Otworzyłem drzwi. Całe pomieszczenie było w kłębach pary. Stała na samym środku absolutnie naga i zupełnie bezwstydna. Chciałem poczuć rozbawienie, ale nie poczułem.

– Zostawiłaś otwarte drzwi – powiedziałem.

– A ty wszystkie swoje rzeczy. Celowo?

– Nie. W odróżnieniu od ciebie.

Była piękna. Idealnie zbudowana i nad wyraz podniecająca. Miała szczupłe ramiona, fantastyczne piersi utrzymane na granicy pomiędzy rozkosznym pełnym ciężarem a dumną wyniosłością, bez żadnego śladu obluźnienia tkanek, miała wąziutką talię rozszerzającą się w łagodnie sklepione biodra, ciemny, idealnie równoboczny trójkąt włosów i strzeliste nogi. Żadnego zażenowania. Piękne, nieskromne zwierzę, pozbawione wahań. Podeszedłem kilka kroków i zdjąłem z półki pod lustrem swoje rzeczy. Była o metr ode mnie. Stałem, patrzyłem na nią, wypachniony, czyściutki jak siedmiu krasnoludków razem wziętych przed obiadem u Śnieżki, miałem ochotę ją kopnąć, a jednocześnie czułem, że leci przeze mnie dreszcz.

– Jutro rano wyjeżdżam – powiedziała spokojnie niskim, chropawym głosem. – Nie muszę nawet znać twojego imienia. Bez żadnych obciążeń, bez słów.

– I bez myśli? – spytałem.

Patrzyła na mnie spod mokrych włosów.

– Przede wszystkim bez myśli. Mam za dużo rzeczy, o których chciałabym zapomnieć. Chcę właśnie dziś zapomnieć. Z tobą.

– Nie – powiedziałem powoli. – Ja nie chcę zapominać.

– Ale chcesz się kochać. Wiem.

– Nie. Nie z tobą.

– Nie okłamuj sam siebie – powiedziała z westchnieniem. – Chcesz mnie. Wiem to i widzę. Chodź.

Pokręciłem głową. Podeszła dwa kroki, wzięła mnie za rękę i swobodnym ruchem położyła na swojej piersi.

– Przestań się wygłupiać – powiedziała cicho. – W obojgu nas jest ten cholerny głód, to wszystko jest w twoich oczach. Przecież wiesz, że to będzie bez żadnych następstw, spotkanie obcych ludzi i rozejście obcych ludzi. Nasze umysły zostaną nietknięte, damy sobie tylko swoje ciała.

Wciąż trzymała moją dłoń przytuloną do piersi, czułem pod palcami jedwabistość i krągłość, i leciutki rytm serca. Cofnąłem dłoń, ująłem ją za rękę. Przez chwilę patrzyłem na tę rękę, na długie, wypielegnowane palce – na serdecznym było lekkie przewężenie od długotrwałego noszenia obrączki – teraz palec był pusty. Nie wiedziałem, co chciała zapomnieć, nie interesowało mnie to. Podniosłem jej dłoń do ust.

– Wybacz, że narażam cię na taki despekt – powiedziałem cicho. – Ale nie przywykłem do tego, by wybierano mnie wbrew mojej woli. Jesteś inteligentna i miła, a także bardzo piękna, tylko że ja nie chcę twojego piękna. Nie wiem, do jakich celów chcesz, abym ci służył, ale ja nie służę cudzym celom. Wybrałaś nieodpowiednią osobę.

Wypuściłem jej dłoń, odwróciłem się i wyszedłem z łazienki, zamykając za sobą drzwi.

Gdy następnego dnia wracałem z nart, przed domem nie było już jej małego samochodu.

15 lutego

Ostatni odcinek ze Skrzycznego był bardzo oblodzony i trzeba było zjeżdżać na dół wyciągiem. Siedziałem, trzymając zdjęte narty na kolanach, krzeselko majestatycznie sunęło w dół, patrzyłem na panoramę tego średnio malowniczego miasteczka i osłepiającą biel wzgórza pod fiołkową chmurą, i raptem zapragnąłem do bólu, żeby była tu Ania.

Dlaczego nie zaproponowałem jej, by pojechała ze mną?

Przecież bym jej palcem nie tknął... Mogłaby mieszkać w osobnym pokoju, ale cały dzień bylibyśmy razem, rano robilibyśmy sobie śniadanie w małym pomieszczeniu na dole, służącym za jadalnię, potem cały dzień

jeździłibyśmy razem, razem na orczyku, na krzesełku wyciągu, razem na stoku, razem w knajpie pośrodku trasy pilibyśmy herbatę i wiśniówkę, potem razem, zmęczeni, zjeżdżalibyśmy na dół do domu i szli na obiad, do tej jadłodajni pełnej wrzasku dzieci, Radia Zet i hałasu butów narciarskich... Potem wracalibyśmy do domu, zapraszałbym ją do mojego pokoju i siedzielibyśmy, rozmawiając, pijąc herbatę, albo byśmy milczeli, albo czytali książki i nigdy bym nie dotknął jej ręki, jej włosów, nie dotknąłbym jej ust... A może właśnie bym dotknął, ujął ją za rękę i powiedział wreszcie, jak bardzo ją kocham, powiedziałbym, że jest jedyną kobietą w moim umyśle i sercu, jedyną na świecie kobietą, dla której zrobię wszystko, z którą chcę być już do końca życia, choć wiem, że tak się pewnie nigdy nie stanie, bo przecież gdyby chciała, dałaby mi jakiś znak, więc nie ma w niej miłości, więc nie będziemy razem i mogę tylko marzyć o tym szczęściu, o jej drobnym ciele, o jej jasnych oczach, o jej smutku i wdzięku, o łagodnej chwili jej wahania, o jej lekkim rumieńcu i spuszczeniu oczu, mogę tylko marzyć, że przychodzi do mnie przez korytarz powietrza, przez stok pod fiołkową chmurą, przez ciemny pokój, podchodzi do mnie krok po kroku cicho i pewnie, bez namysłu, bez strachu, podchodzi do mnie przez bezmiar ciszy, przez krew dudniącą w tętnicach, przez zatrzymanie serca i oddechu, podchodzi, dotyka lekko mojego ramienia i pyta: „Panie profesorze... dlaczego pan płacze?”.

16 lutego

Gdy wyjeżdżałem ze Szczyrku, była piękna pogoda, tylko w jednym miejscu na jasnym, błękitnym niebie stała ogromna chmura – z jej rozprutego brzucha waliła szybka, pospieszna zamieć.

Gdzieś daleko pod tą chmurą była Warszawa.

Tam właśnie jechałem.

KONIEC TOMU I

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)